

Jacek Rudnicki

Wszystko co małe jest piękne

„Przepięknie jakiegokolwiek rzeczy jest mały” Czesław



Jacek Rudnicki

Wszystko co małe jest piękne

Małgosia martwiła się, że po opublikowaniu tej książki wiele zdarzeń i uczuć z naszego życia nie będzie już należało tylko do Nas. Tak jest w istocie. Ale to, co napisałem jest niewielką częścią tego, co do Małgosi czuję. A czuję głęboką wdzięczność, szacunek i miłość za życie z Tobą.

Jacek

„Wszystko, co małe jest piękne” to książka przede wszystkim dla moich najbliższych, przyjaciół i znajomych, również dla mnie abym lepiej zrozumiał siebie i swoje życie, pisząc bowiem muszę definiować to, o czym piszę. Kiedy o czymś mówię jest to mniej precyzyjne i jakoś bardziej ulotne. Zupełnie inaczej odbieram książkę o życiu pisaną przez nieznanego mi autora, o nieznanym mi ludziach, w nieznanym mieście, a zupełnie pisaną osobiście o tych miejscach i tych ludziach, których znam. Poza tym mam nieprawdopodobnie ulotną pamięć, zatem czego nie zapiszę, w sposób naturalny ulatuje na zawsze i tego zwyczajnie nie ma. Jeżeli nawet wszystko przypomnę sobie w chwili śmierci to i tak nie zdołam tego nikomu opowiedzieć, już nie będzie na to czasu. Poza tym pisanie jak wspomniałem z natury rzeczy zmusza do definiowania swoich poglądów. Inaczej o tym samym się myśli a inaczej o tym pisze. Myślenie jest takie ulotne, wieloznaczne, wielowymiarowe, można je uznać za nadsterowne w każdym pożądanym i niepożądanym kierunku. Pisanie to jednak coś innego. Należy zająć konkretne

stanowisko i ono jest czarno na białym, nie można się już wykręcić. Napisanie książki jest w jakimś sensie powinnością każdego. Jest to dokument epoki, miejsca, poglądów, zdarzeń. Można w ten sposób ocalić wiele od zapomnienia. Jakaż to może być przygoda dla kogoś, która przeczyta tę książkę za dwadzieścia pięć lat w 2031 roku?

Szczecin-Dominikowo 2005/6

Zaczęło się od porodu

Urodziłem się w Oddziale Noworodków Szpitala Wojskowego przy ul. Piotra Skargi w Szczecinie. Nie minęło 28 lat i w dość niespodziewanych okolicznościach zostałem jego ordynatorem. Te niespodziewane okoliczności miały związek z przenosinami Kliniki Patologii Ciąży i Porodu Pomorskiej Akademii Medycznej do kompleksu szpitalnego na Unii Lubelskiej. Personel akademicki odszedł i zostałem z czterema tysiącami porodów i niewielkim doświadczeniem sam. Ale wracam do swojego porodu w grudniu

1951 roku. Kto z personelu w owym czasie wiedział, że kleszczami wyciąga przyszłego ordynatora, lub przewija takiej „*figurze*” pupę albo wiezie „*Batorym*” do karmienia? Dla pewności powiem, że „*Batory*” to był dwupoziomowy wózek do przewożenia noworodków do karmienia i z powrotem. Dzieci ułożone w kołdrach ciasno owiniętych wokół tułowia odbywały rejs do Mam i z powrotem na oddział noworodków. Dzisiaj takie oddzielanie dzieci od matek byłoby nie do zaakceptowania. Ale nim system kohortowy został zastąpiony nowym „*Rooming-in*” część Mam zmęczonych porodem chciało oddawać na noc swoje dzieci pod opiekę położnych. No i znowu wracam do swojego porodu. Nikt nie ma wiedzy o tym, kim w przyszłości będzie noworodek, którym się opiekujemy z wyjątkiem, kiedy jest to dziecko panującej rodziny królewskiej. Wówczas jego przyszłość związana jest z pozycją następcy tronu. Ale to się często nie zdarza, szczególnie w Szczecinie. Ostatnie takie zdarzenie miało miejsce w przypadku porodu Carycy Katarzyny II. Nazywała się Sophie Friederike Auguste zu Anhalt-Zerbst. Poród miał miejsce 2 maja 1729 w Szczecinie, jak sądzę w Pałacu pod Globusem na Placu Orła Białego. Nikt wówczas nie przypuszczał, że będzie cesarzową imperium rosyjskiego i uczestniczyła w rozbiorach Polski. „*Na smyczy trzymam filozofów Europy...Kobietą jestem ponad miarę swoich czasów*” pisał o niej Jacek Kaczmarski. Nie jeden raz patrząc na noworodka zastanawiałem się, jakie będą jego dalsze losy, kim będzie w przyszłości? Ale tego nie wie nikt, w przeciwnym przypadku mogłaby znacznie wzrosnąć umieralność okołoporodowa z powodu

swoistego rodzaju pozytywnej, prewencyjnej eugeniki poporodowej zwanej naukowym rasizmem. Swoją drogą czy znając przyszłość Adolfa Hitlera czy Józefa Stalina ktoś zdecydowałby się na odebranie im życia? To jest ciekawe pytanie, co byśmy zrobili wiedząc, że ten noworodek w przyszłości będzie okrutnym i seryjnym mordercą lub pozbawionym litości dyktatorem albo naukowcem, którego wynalazek spowoduje zagładę świata. Czy zdecydowalibyśmy się na eliminację takiego noworodka, a może podjęlibyśmy działania preresocjalizacyjne? Pionierem eugeniki był Sir Francis Galton kuzyn Charlesa Darwina. Zatem ewolucja naturalna mogłaby być wsparta ewolucją świadomą, czyli wrócilibyśmy do eugeniki w imię celów wyższych? Nie sądzę, to już było. Różowymi, rozbrajająco kwilącymi i poszukującymi matczynej piersi noworodkami byli dobroczyńcy naszego świata, a także najwięksi zbrodniarze ludzkości. I tak jest nadal. W momencie porodu małe i bezbronne dzieci wywołują wzruszenie matek i ojców, są widoczną nadzieją na przyszłość i swoistego rodzaju nieśmiertelność. Są genetyczną kopią rodziców, kombinacją ich łańcuchów genetycznych splecionych podobnie jak oni w swoim życiu. Są duchowym i materialnym owocem miłości, nadzieją na spełnienie marzeń, są symbolem szczęśliwego i pełnego życia rodzinnego. Poród, jedno z najpiękniejszych zjawisk naszego świata. Za każdym razem, kiedy jestem świadkiem narodzin dziecka, przeżywam głębokie wzruszenie. Emocje rodzącej kobiety są wzruszające, niezwykle ekspresyjne, wydobywają i ukazują głębię natury kobiecej w sposób najbardziej optymistyczny i radosny jak

możemy sobie wyobrazić. Poród jest pięknem artystycznym, pokazuje piękno, siłę i seksualizm kobiety. Nieliczne obrazy filmowe pokazują poród na przykład na plaży z delfinami, w kontakcie z naturą porównując go do piękna i siły natury. Ukazują poród jako Święto Życia.

Piotra Skargi

Ten pierwszy szpital, w którym pracowałem został ukończony przez braci Stefanów w latach 1929-1931 jako szpital położniczo-ginekologiczny (Landesfrauenklinik) przy ul. Piotra Skargi (Roonstraße). „Osoba, która zainicjowała budowę szpitala, a następnie kierowała nim aż doorku 1945 był profesor Siegfried Staphan. Prof. Staphan po okresie pracy w Greifswaldzie gdzie był zastępcą kierownika kliniki od października 1922 roku objął funkcje kierownika Frauenklinik Stettin. Placówka ta mieściła się wówczas w dzisiejszym szpitalu dziecięcym przy ul. Św. Wojciecha (Karutschstraße), jednak ze względu na narastającą w Szczecinie liczbę porodów, ponad 4500 rocznie, w tym 40% w tym właśnie szpitalu często ciężarne zmuszone były do leżenia na materacach i podłodze, a noworodki umieszczano po dwa w jednym łóżeczku. Stwarzało to konieczność podwojenia liczby łóżek, co przy ograniczonych możliwościach przestrzennych szpitala przy ul. Św. Wojciecha nie było możliwe. Prace budowlane przy Roonstraße rozpoczęto w sierpniu 1929 roku. Pod budowę przeznaczono teren o powierzchni 26 500 m² położony na skraju Quisopparku w dzielnicy

Westend. Szkic szpitala oraz wiele zastosowanych w nim rozwiązań były pomysłem profesora Stephana. Autorem projektu był Lanesbaurat Paul Viering. Otwarcie kliniki nastąpiło w dniu 12 grudnia 1931 roku. Była to wówczas jedna z najnowocześniejszych klinik położniczych w Niemczech, a może i w całej Europie. Składało się na to położenie poza centrum miasta, niewielkie kilku osobowe sale dla chorych, zastosowanie dużych okien gwarantujących nasłonecznienie, niespotykany dotąd stosunek powierzchni okien do płaszczyzny ścian oraz wielu nowinek technicznych. Bezpośrednio przy ulicy położone były budynki administracji, mieszkania dla personelu oraz pomieszczenie dyrektora kliniki. Natomiast właściwe pomieszczenia dla chorych położone były w pewnym od niej oddaleniu w celu uniknięcia hałasu i zanieczyszczeń. Wszystkie budynki były połączone ze sobą krytym i ogrzewanym korytarzem. Pomieszczenia dla chorych posiadały węzły sanitarne, we wszystkich salach działał radiowęzeł. Budynek posiadał trzy windy osobowe, nie licząc wind do przewozu sprzętu i posiłków. Okna sal chorych wychodziły na południe lub zachód, z widokiem na park, natomiast pomieszczenia techniczne ulokowane zostały od północy. Łącznie w szpitalu znajdowało się 230 łóżek, w tym 165 położniczych i 65 ginekologicznych, przewidziano również 114 miejsc dla noworodków i niemowląt. Tyle w istocie ich było, kiedy tam pracowałem. 4500 porodów rocznie, 30 wcześniaków, 25 na izolacji zwanej sepsą oraz 45 na noworodkach zdrowych w systemie kohortowym. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem budynek szpitala na Piotra Skargi sprawił na

mnie imponujące wrażenie. Pięknie położony, niezwykle klarowna, otwarta bryła, drewniane markizy i równiutka, niemiecka, wypalona, czerwona cegła. Przez moment pomyślałem, że trzeba położyć tynk na tę cegłę. I wówczas dotarło do mnie, że ta cegła jest piękna sama w sobie a na dodatek trwała. Tynk szarzeje i odpada, cegła jest ciągle piękna. Wielokrotnie potwierdziłem to swoje jakże oczywiste przekonanie w Szwecji, gdzie wiele budynków ma elewację z cegły. Są wiecznie, całymi stuleciami niezmiennie czyste, eleganckie, świeże i pełne pierwotnej, zamierzonej urody. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć tego zamiłowania do tradycyjnej elewacji z nietrwałego tynku. W oddzielnym pionie umieszczono łącznie sześć sal porodowych i operacyjnych. Ten pion wyglądał jak statek kosmiczny. Piękne kaskady szkła otwarte na przestrzeń rodem z filmu Stanleya Kubricka Odyseja kosmiczna 2001. Tu również zastosowano szereg nowoczesnych jak na owe czasy rozwiązań, np. krany i podajniki z płynami dezynfekującymi dla przygotowujących się do zabiegów lekarzy obsługiwane były za pomocą nóg. To rozwiązanie wyprzedzało polską rzeczywistość o 50 lat. W zabiegach fizykoterapii wykorzystywano między innymi piasek przywożony z nad Morza Bałtyckiego. Budynek posiadał 158 telefonów. Na terenie szpitala działał ciekawy system poszukiwania lekarzy, na skrzyżowaniu ciągów komunikacyjnych umieszczone były kolorowe lampki, między innymi w obrębie żyrandoli, każdy kolor przyporządkowany był określonemu lekarzowi. Zapalenie się lampki oznaczało, iż lekarz jest poszukiwany. Transport bielizny szpitalnej odbywał się poprzez

system mosiężnych rur z gwintowaną pokrywą, co zapewniało jego szczelność. Podjazd do szpitala wyłożony był drewnianymi klepkami, co miało zapewnić ochronę przed hałasem. W klinice funkcjonowała też bardzo nowocześnie wyposażona sala wykładowa i fantomowa. W tej kwestii za czasów prof. Z. Kornackiego posunęliśmy się znacznie dalej. Profesor zorganizował studio TV w klinice. Operacje były nagrywane i transmitowane bezpośrednio na salę wykładową gdzie znajdowały się wielkie telewizory zawieszane na metalowych wysięgnikach. Wraz ze śmiercią profesora wszystko zostało zlikwidowane a telewizory zdemontowane. W ogrodzie przy szpitalu znajdował się pomnik przedstawiający kobietę z dzieckiem, poświęcony żonie profesora Stephana, która zmarła wkrótce po porodzie. Pomnik ten przetrwał wojnę, ale nie zachował się do dnia dzisiejszego. Nowoczesne rozwiązania sprawiały, że szpital odwiedzany był przez liczne delegacje z całego świata, między innymi z Chile i Nowej Zelandii. Wśród ówczesnych mieszkańców Szczecina zwany był potocznie „Storchenburg”, bocianie gniazdo, bociani gród. W najlepszych latach w Landesfrauenklinik odbywało się 4000 porodów rocznie. Poza tym wykonywano 840 operacji ginekologicznych. Co ciekawe personel lekarski szpitala stanowił jedynie osiem do dziesięciu osób. Szpital przetrwał wojnę w praktycznie nienaruszonym stanie. Został zajęty 26 kwietnia 1945 roku przez Rosjan a następnie w maju przekazany na krótko Niemcom. W dniu 14 sierpnia 1945 roku szpital został przejęty przez Wojsko Polskie, w którego posiadaniu pozostaje do dzisiaj.

Ciekawostką jest fakt, że jeszcze przed przekazaniem budynków wojsku, w dniu 13 sierpnia, w szpitalu przy Piotra Skargi wykonany został zabieg operacyjny. Wykonał go dr Jerzy Tuz w asyście niemieckiej instrumentariuszki. Operowanym był ksiądz, a powodem operacji była uwięźnięta przepuklina. Zabieg zakończył się powodzeniem. Profesor Stephan przeżył wojnę. W 1945 roku przez krótki okres pełnił funkcję dyrektora Kliniki Uniwersyteckiej w Grefswaldzie. Zmarł w dniu 29.02.1948 roku w wieku 64 lat. *(Sławomir Świdorski saw.pam.szczecin.pl www.sedina.pl)*

Piękny przykład niemieckiego Bauhasu. Klasyczna, prosta linia. Niekończące się ciągi dużych okien, z których większość ubrana jeszcze była w drewniane markizy. Jedne były czynne, inne znieruchomiały w jakiejś pozycji, w której ktoś pozostawił je ostatni raz. Zasnęły nie konserwowane, nikomu w zwycięskim socjalistycznym społeczeństwie niepotrzebne, zapomniane symbole niemieckiego zamiłowania do luksusu i porządku. Szpital zbudowany był z czerwonej, wypalanej niemieckiej cegły, nieprzyzwoicie równej. Te cegły były równe ale nie jednakowe. Każda z nich miała inne odcienie czerwieni, stanowiła niepowtarzalny byt estetyczny. Razem tworzyły gigantyczne dzieło sztuki, które żyło samodzielny bytem w codziennym dialogu ze światłem. Dostojne, odporne na deszcz, śnieg, wiatr i słońce mimo upływającego czasu. Budowla miała kształt podkowy od frontu zamknięta linią bramy z poddaszem, w którym mieściły się małe mieszkania dla personelu i pomieszczenia biurowe. W środku był dziedziniec okolony starymi, dużymi drzewami, oraz

wielki okrągły klomb z krzewami i kwiatami, który poprzecinany był alejkami. Stały tam ławki, na których odpoczywali pacjenci lub oczekiwali na dobre i złe wiadomości, także ich bliscy. Te ławki były niemymi świadkami tych co wyzdrowieli i tych co odeszli z powodu choroby. Cały budynek postawiony był na wzgórzu w wielkim parku. Fasada od strony parku była imponująca. Przez cały środek ciągnął się od szczytu do podstwy imponujący wodospad ze stali za którymi kryły się sale operacyjne i bloki chirurgiczne. Przez szyby przeświecały intensywne niebieskie lampy bakteriobójcze, które upodabniały to do błękitu spadającej wody a w nocy przypominały bezmiar gwieździstego nieba. Ten widok rozpalał wyobraźnię. Za tym błękitem i granatem kryła się głęboka tajemnica mistrzów skalpela walczących o życie pacjentów. Był to widok i miejsce ponadczasowe. Wewnątrz budynku znajdowały się trzy klatki schodowe. Pośrodku była ta główna z frontem całym oszklonym, z widokiem na dziedziniec. Ile razy wspinałem się tą klatką schodową nie mogłem się na dziwić jak wygodne są te schody, łagodne łuki i poręcze, które pozwalały mi zachować równowagę pomimo szalonej szybkości jaką rozwijałem po górę. W dół schodziłem spokojnie sam nie wiem dlaczego. Dwie boczne klatki były mniejsze, schody może mniej wygodne ale za to były z dwóch stron przeszklone co sprawiało wrażenie, że są zawieszane w powietrzu. Imponujące były detale wewnątrz. W owej epoce politycznej perfekcyjna równość i gładkość glazury w pomieszczeniach była niemy i namacalnym dowodem, że socjalizm nie jest dla człowieka tylko odwrotnie. Ta glazura miała

kolor kości słoniowej lub głębokiej zieleni. Pewne detale widziałem pierwszy raz w życiu jak półokrągłe płytki w rogach pomieszczeń czy lamówki wykańczające. Pomimo upływu 50 lat od ich położenia i braku w owym czasie klejów Atlas trzymały się uparcie ścian i nie chciały odpadać. Ubytki były widoczne tylko w tych miejscach, w których nasi fachowcy coś stłukli w trakcie mocowania nowych urządzeń. Ale ponad wszystko podziwiałem te duże powierzchnie, które pokrywały płytki bliźniaczo do siebie podobne kształtem, grubością i kolorem bez jednej niewłaściwej krzywizny. Klamki w drzwiach i oknach były wykonane z kolorowych metali, a sama rączka pokryta była imitacją kości słoniowej. W budynku było 48 wind osobowych i gospodarczych. Posiłki dostarczano na oddziały małymi widami prosto z kuchni, ciepłe i gotowe do spożycia. Drzwi do sal chorych, pokojów zabiegowych i operacyjnych były niewiarygodnie szerokie, solidne, zawieszane na trzech zawiasach. Były niezniszczalne, zamykały się i otwierały bezszelestnie. Nic nie jest wieczne i w latach osiemdziesiątych po pięćdziesięciu latach eksploatacji budynku zaczęły się remonty. To był dramat przypominający niszczenie dóbr kultury a efekty tego remontu można porównać do katastrofy. W dniu zakończenia jednego pionu zaczęła cieknąć kanalizacja czego skutkiem było ponowne kucie ścian i tak w kółko. Po wymianie okien wypaczały się zanim minął tydzień a w ich ramach pojawiły się klamki chwiejące się w posadach, bez koloru i kształtu, których nie chciało się dotknąć.

Misterium porodu

Liczba porodów nie przekracza zwykle dwóch, trzech w życiu kobiety i mężczyzny. Jest to zjawisko wyjątkowe i wydawałoby się, że takie powinny być jego okoliczności. Czy inaczej powinno wyglądać miejsce porodu niż na przykład szynkowne wnętrza banku, w którym ubiegamy się o pożyczkę na dom, samochód *etc.*? Swoją drogą poród to też swoista pożyczka od Pana Boga, którą trzeba spłacać latami, aż dziecko usamodzielni się. Wszyscy widzą jak wyglądają banki, a jak wyglądają szpitale. Gdyby banki wyglądały tak źle jak nasze szpitale, to klienci straciliby prawdopodobnie do nich zaufanie. Ale na pewno pacjenci poczuliby się lepiej, gdyby w szpitalu pojawiły się piaskowce na ścianach, w pokojach estetyczne meble, a w miejsce porażających neonówek łagodne oświetlenie. Na pacjentów czekałyby wygodne kanapy, estetyczne krzesła. Łagodne światło bocznych lamp miałoby na celu uspokojenie oczu i obaw wynikających z choroby, a uprzejmy i ubrany w estetyczne mundurki personel kierowałby pacjentów do odpowiednich osób i pomieszczeń. Tam uprzejmym głosem pracownik szpitala zapytałby, w czym mogę Państwu pomóc?

Ale spłyciłem okropnie! Co ja w ogóle mogę powiedzieć o porodzie nawet po trzydziestu latach asystowania przy nich jako lekarz dzieci? Musiałbym być kobietą i jeden raz urodzić, wówczas mógłbym wypowiadać się. Jestem sprawny zawodowo, ale mam jedną nie do naprawienia wadę. Nie jestem kobietą i nigdy nie urodzę. Nie mam też kamicy nerkowej. Nie urodziłem nawet kamienia nerkowego.

Mogę tylko usiłować zrozumieć rodzącą. Już lepiej Afrykanie rozumieją rodzące. Kobiety rodzącą traktują na takich samych prawach jak wojownika, jako rodząca jest bohaterką, dodają jej odwagi wykonując taniec wojenny.

Moment porodu ma w historii znaczenie prognostyczne. Narodzinom Bogów i znanych ludzi towarzyszyły niezwykle zjawiska. *„Kiedy około roku 570 w arabskiej Mekce rodził się prorok Mahomet, na całej Ziemi miało rozbłysnąć wielkie światło...Podobnie w przypadku Zarasruty ok. 1000-600 lat p.n.e. przez trzy noce ściany domu wyglądały jakby były z ognia, od wsi gdzie się rodził, szedł blask tak wielki, że Spitamowie porzucili ją myśląc, że płonie...Siddhartha Gautama, czyli przyszły Budda narodził się w 560 roku p.n.e. w wyniku niepokalanego poczęcia. Budda urodził się w ogrodzie, a w tym czasie Ziemię rozjaśnił niezwykle blask. Gdy jego matka chwyciła się drzewa, wyłonił się z jej prawego boku, po czym zrobił sześć kroków na północ rycząc niczym lew: Jam jest najwyższy na świecie, jam jest najlepszy na świecie, jam jest pierwotnym synem świata...Z kolei Mahavira, mistrz dżinistów, późniejszy konkurent Buddy, zstąpił na Ziemię wcielając się w ciało księżniczki Magadhy. Także w noc jego narodzin ogromny blask miał rozjaśnić Ziemię. Nie tylko wielcy prorocy rodzili się w tak spektakularnych warunkach. Niezwykłe zdarzenia poprzedziły narodziny Aleksandra Wielkiego około 20 czerwca 356 roku p.n.e. Ojciec przyszłego geniusza militarne go, król Filip Macedoński, zakochał się podczas misteriów w Olimpias, córce króla Epiru. W przeddzień pokładzin*

ślubnych panna młoda śniła, że wśród grzmotu w żywot jej uderzył piorun i przy jego uderzeniu błysnął wielki ogień, który z kolei rozdzielił się w ulatujące na wszystkie strony płomienie. Niezwyčajnie urodził się też Perykles jeden z najwybitniejszych reformatorów, twórca demokracji ateńskiej, do której potem nawiązały systemy państw europejskich. Jego matka Agarysta miała sen, że urodziła lwa i w kilka dni później wydała na świat Peryklesa, około 500 roku p.n.e. Podobno Perykles od dziecka miał niezwykle kształt głowy, oddający jego lwią mądrość. Jego czaszka przypominała kształtem cebulę, dlatego poeci ateńscy nazywali go Schinokefalos czyli Cebulogłowy...Czyngis urodził się w 1155 lub 1162 r. z Hoelun i Jesugea Dzielnego z królewskiego rodu Bordżiginów. Ojciec nadał mu imię pobitego właśnie wodza Tatarów Temudżyna. Przyszły władca Azji przyszedł na świat ściskając w prawej dłoni skrzep krwi wielkości kostki. Niebawem po dorostaniu Temudżyn krwawo i bezwzględnie podporządkował sobie zwaśnione plemiona. Potem ruszył na podbój świata, tworząc olbrzymie imperium. Krwią i okrucieństwem rzeczywiście zalał cały ówczesny świat. Nie wiadomo tylko czy legenda o narodzeniu z grudką skrzepłej krwi w dłoni została napisana najpierw, czy dopisana dopiero po niesłychanych podojach Czyngis-Hana...Natalia Kiryłowna rodziła aż trzy doby, w męczarniach swojego syna cara Piotra I zwanego Wielkim. Olbrzym mierzący około 2 m wzrostu, oświecony okrutnik, który siłą wprowadził Rosję do Europy...Ludwik XIV obdarzony żywym temperamentem kaleczył piersi mamek, gryząc je...Niech

sąsiedzi Francji strzegą się tak wcześnie ujawnionej drapieżności...Ludwik XIV wyrósł na pierwszego monarchę Europy, dwór w Wersalu stał się niedoścignionym wzorem dla innych...Wielkie znaki towarzyszyły życiu Jana Sobieskiego. To matka przekazała Janowi okoliczności jego narodzenia w Olesku 17 sierpnia 1629 r. podczas urodzenia mego bił piorun bardzo...Tatarowie też podpali w tenże czas pod zamek, który zaś ów sławny gromił Chmielecki...taka sceneria urodzin człowieka, którego rodzinie Turcy i Tatarzy tyle bolesnych i tragicznych strat zadali, a który sam zasłynął później jako jeden z największych w dziejach ich pogromców, nie nosi w sobie czegoś zdumiewająco wprost symbolicznego?...Wolter - François Marie Arouet - największy szyderca, prześmiewca, cyniczny filozof Epoki Świata, nie mógł urodzić się zwyczajnie. Jego życie zaczęło się od strojenia min. Zrazu sądzono, że jest martwy. Chciał oszukać swe otoczenie. Urodziłem się zabity - powie później o sobie Wolter. Było w tym nieco prawdy, maleńki Arouet był tak wątły, że mamka nie dawała mu nawet godziny życia. Dlatego został najpierw szybko ochrzczony z wody, a dopiero po roku przyjął chrzest w kościele. A jednak owe chuchro nie rokujące najmniejszej nadziei na przeżycie nie tylko przeżyło, ale wyrosło na giganta myśli, szyderstw i obrazoburstwa. Jako zabity w chwili narodzenia jęczał jednak rzeczywiście przez całe życie, w gorącej Francji opatulał się w kożuchy, grzał przy piecach, w blasku królewsko-prusko-carskich liwrów, talarów i rubli i było mu stale zimno. Pewnie z nieświadomionego do końca lęku wynikłego z permanentnego szargania świętości. A mimo to Wolter dożył 84

lat!...W XIX wieku, stuleciu pary i elektryczności, zaczęło gwałtownie ubywać cudownych narodzin...Nawet Napoleon nie dorobił się takiego mitu...Najwięksi ludobójcy ludzkości, Hitler i Stalin, nie mieli także - nawet czarnej - legendy narodzin. Jerzy Besala Focus 1/2006.” Większości porodów jakie obserwowałem nie towarzyszyły zjawiska szczególne lub ich nie zauważyłem zajęty porodem. Całemu natomiast dalszemu życiu towarzyszą wszystkie zjawiska jakie znamy dzięki czemu „czujemy czym jest życie”.

Mój wyrostek został w Milanówku

To było latem. Dzień był piękny i pięknie by się zakończył gdyby nie ból brzucha, który skulił mnie w fotelu, nie pozwolił do końca obejrzeć meczu piłki nożnej, nie dawał spać i w końcu znalazłem się w oddziale chirurgii szpitala Miejskiego w Milanówku. Rozpoznanie ustalono i operacja się rozpoczęła. Wszystko było dobrze do momentu gdy anestezjolog położył mi coś na usta z przejmującym, ostrym i aromatycznym zapachem. Kazał mi głęboko oddychać więc oddychałem, bo chciałem aby znieczulenie było szybkie, skuteczne i żeby mnie nie bolało w czasie operacji. Jednak wkrótce zacząłem się dusić, czułem, że uduszę się i już. Zacząłem się szamotać. Na chwilę maska powędrowała w górę, złapałem trochę powietrza, poczułem się lepiej ale maska na powrót opadła mi na usta. Znowu zrobiło mi się duszno, ale nie na długo. Zacząłem spadać w przestrzeń. Przeszłość była wspaniała, spadanie nie. Od samego początku powracania świadomości pojawiły się wymioty. Miałem

nudności i wymioty przez dwie doby. Za oknem letnie słońce i ptaszki, a ja tęskniłem za rodzicami i wymiotowałem. Kiedy odwiedziła mnie Mama z Tata, poczułem się bezpiecznie i wraz z nimi powróciło do mnie szczęście. Na krótko, bo poszli do domu. Tęskniłem za nimi i za latem. Już nie wymiotowałem. Wkrótce zostałem wypisany do domu i pojechałem na wakacje na mazowiecką wieś, do rodziny. Pobyt w szpitalu pozostał w mojej pamięci, odegrał jakąś rolę w wyborze zawodu. Do dzisiaj, kiedy przejeżdżam kolejką podmiejską przez Milanówek, widzę budynek tego szpitala i ożywają niezmiennie wspomnienia.

Zaraz po operacji wyjechałem do Gródka, gmina Obryte, powiat Pułtusk, województwo warszawskie i tam miałem przygodę z wścieklizną, szczepionką i zakonnicami, z czepcami jak samoloty.

Pierwsza wzmianka o Milanówku pochodzi z XVI wieku. Była to osada szlachecka położona w Puszczy Mazowieckiej, gdzie na łowach przebywał Jan III Sobieski. Ulicę Królewską w Milanówku przemierzał król Stanisław August Poniatowski, który jeździł w odwiedziny do dworku Mokronowskich, właścicieli Grodziska. Przed wojną droga ta nosiła nazwę "Droga Królewska". Na przełomie XIX/XX wieku dokonano parcelacji majątków ziemskich w taki sposób aby zrealizować idee miasta-ogrodu. W owym czasie i okresie międzywojennym powstało wiele wspaniałych willi. Piękno krajobrazu i elitarny charakter miasta sprawiał, że chętnie zamieszkiwali tu ludzie związani z kulturą i sztuką, jak Rufin Mrozowicz, Feliks Dzierżanowski, a Bolesław Prus, Konstanty I.

Gałczyński i inni lubili odwiedzać Milanówek. Magia tego miejsca działa do dzisiaj. W Milanówku osiedli Krystyna Janda, Edyta Górniak, Katarzyna Grochola, Włodzimierz Szaranowicz, Janusz Zaorski i wielu innych. W czasie wojny ścigali tu politycy niepodległej Polski stąd przyłgnęło do Milanówka nazwa "Mały Londyn". W epoce PRL-u, w kościele odbywały się msze big-beatowe. To było bardzo oryginalne w owym czasie tj. długowłosi grający na gitarach elektrycznych muzykę sakralną w kościele. Milanówek zastąpił z produkcji krówek i produkcji jedwabiu naturalnego. Na straży tajemnic miasta stoi 135 dębów będących pomnikami przyrody i wiele głazów narzutowych wkomponowanych w krajobraz. Miasto przyciąga bogactwem architektury nawiązującej do baroku, renesansu i klasycyzmu. Przykładem budowli w stylu neoromańskim jest Kościół Św. Jadwigi gdzie przechowywano urnę z sercem Fryderyka Chopina uratowaną z kościoła św. Krzyża w Warszawie. Milanówek szczyci się też dużymi parcelami zabudowanymi pięknymi willami, położonymi w lesie. Wyglądają tajemniczo. Jedne są utrzymane w dobrej kondycji a inne wyglądają na pozbawione opieki i nie wiadomo czy ich właściciele jeszcze żyją, czy może są starzy i nie mają sił aby pracować w ogrodzie.

Mnie zapadła w pamięć kawiarnia „*Magnolia*”, o której napisałem piosenkę. W tej kawiarni zbudowanej w stylu kubistycznego PRL-u z meblami na wysoki połysk i kremem sułtańskim stała szafa grająca...

Magnolia

Mała kawiarnia, na skraju parku

Kolei niegdyś warszawsko-wiedeńskiej

W minionej epoce wybudowana

Jak tamta epoka też wyglądała

W Milanówku zielonym

Kawiarnia Magnolia trwała

Wpadali do niej licealiści

Młodzi Panowie, powabne Panie

Dystyngowani srebrni Panowie

Dystyngowane srebrne Panie

Opowiadali o tym co było

Co jest i co się stanie

Kawiarnia Magnolia

W zielonym Milanówku

Licealiści dyskutowali

Powabne Panie chłonęły uczucia

Srebrni Panowie i srebrne Panie

Pili herbatę, pachnącą kawę

Czasem do tego łyczek

Czegoś rozgrzewającego

Kawiarnia Magnolia

W zielonym Milanówku

Przyszłość z terażniejszością

Przeszłość z szafą grającą

Licealiści i zakochani

Srebrni Panowie i srebrne Panie

Cicho szeptali i rozmawiali

O świecie, który kochali

Kawiarnia Magnolia

W zielonym Milanówku

Opatrzność 1

W piękny, wiosenny, słoneczny dzień graliśmy w piłkę na boisku naszego X Liceum Ogólnokształcącego w Grodzisku Mazowieckim im. Leonida Teligi. Ten sławny żeglarz urodził się w tym mieście. W samotny rejs wokół globu Teliga postanowił wyruszyć jachtem "Opty", zaprojektowanym przez inż. Leona Tumiłowicza. Jachty tego typu były udaną i sprawdzoną konstrukcją pełnomorską, *nota bene* pierwszą polską, opracowaną jeszcze przed II Wojną Światową. Rejs "Opty" rozpoczął się 25 stycznia 1967, a trasa wiodła z Casablanki na zachód, uczęszczanymi szlakami, aby po drodze odwiedzić Wyspy Kanaryjskie, Małe Antyle, Kanał Panamski,

Galapagos, Markizy, Tahiti, Bora-Bora, Fidzi, Dakar. W tamtych czasach tego typu przedsięwzięcia wciąż jeszcze należały do rzadkości i o wyprawie Teligi było na tyle głośno, że wszędzie był uroczyście witany. Samotnym rejsem Teliga próbował zmobilizować swój organizm do walki z rozwijającą się chorobą. Podróż zabrała Telidze 165 dni żeglugi i pobił tym samym rekord czasu trwania nieprzerwanej samotnej żeglugi oceanicznej, należący od 85 lat do Amerykanina Bernarda Gilboya, który w ciągu 163 dni przepłynął 6 tys. mil, próbując dotrzeć z Kalifornii do Australii. Rejs zakończył się 30 kwietnia 1969 w Casablance. W Warszawie na Teligę czekała na płycie lotniska karetka pogotowia. Na jego późniejszych zdjęciach prasowych widać już twarz człowieka mocno schorowanego. Mimo operacji, zmarł 21 maja 1970.

Grałem na bramce, której granice wyznaczała linia namalowana kredą na murze za moimi plecami. Padł strzał, który udało mi się obronić pewnym chwytem. Zadowolony z takiego obrotu sprawy wykonałem parę kozłów piłką po czym obróciłem się w kierunku ściany i rzuciłem piłką do góry trafiając w ponad metrowej średnicy ciężką, drewnianą klapę zamykającą otwór okienny na wysokości około 7 metrów. Złapałem odbitą piłkę, obróciłem się i miałem ją już wykopać na boisko, gdy zauważyłem wśród kolegów na boisku dziwne zachowanie. Coś do mnie krzyczeli i gestykulowali, machali rękami ale nie bardzo rozumiałem o co im chodzi. Zrobiłem krok do przodu i wykopałem piłkę na boisko. W tym samym momencie poczułem tuż za głową i plecami silny podmuch powietrza i potężne

uderzenie o ziemię tuż za moimi piętami. Zdrętwiałem ze strachu, dosłownie odebrało mi władzę w nogach. Znowu obróciłem się. Za mną leżała drewniana klapa, wagi pewnie 25 kilogramów. Oderwała się od ściany pod wpływem uderzenia piłką i spadła 10 cm od mojej głowy uderzając z impetem o ziemię. Nie rozumiałem intencji kolegów z boiska, nie posłuchałem ich, jak do dzisiaj nie wszystkiego słucham z należytą uwagą, zrobiłem swoje, krok do przodu i wykopałem piłkę. To mnie uratowało. Wróciłem do życia jak Teliga wrócił z podróży dookoła świata. Mały krok do przodu, tylko mały krok do przodu. Zostało mi to do dzisiaj, ten mały krok do przodu, bez względu na wszystko. Tak niewiele trzeba, aby nie stało się coś strasznego i tak niewiele wystarczy aby to się stało.

Opatrzność 2

Tato pozwolił mi prowadzić Syrenkę, gdzieś po krętych drogach Mazur. Prułem jak oszalały, bo i jazda Syrenką powyżej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę była szaleństwem. Samochód był wąski, miał proste w konstrukcji zawieszenie i wszystkie przeciążenia zagrażały jego stabilności na drodze. Na zakręcie siła odśrodkowa wyniosła mnie na zewnątrz. Zjechałem na pobocze i jechałem tuż nad krawędzią wysokiej skarpy. Trzęsło tak, że aż odpadły dekle z kół. Udało mi się jednak utrzymać na drodze i szczęśliwie nic więcej się nie stało. Tak się przestraszyłem, że boję się

do dzisiaj jak przypomnę sobie tamtą sytuację. Wszystko mogło się zakończyć już wówczas, moje życie, które tak lubię, i to bez żadnego istotnego powodu jeżeli nie brać pod uwagę kompletnego braku wyobraźni.

Syrenka to było zjawisko dwudrzwiowe, dwucylindrowe i dwusuwowe. Decyzja o rozpoczęciu prac projektowych nad nowym polskim samochodem małowitrazowy została podjęta w maju 1953 roku. Według założeń w samochodzie *Syrena* miano w maksymalnym stopniu wykorzystać elementy konstrukcyjne modelu Warszawa M20, a do napędu pojazdu przeznaczyć silnik dwusuwowy o małej pojemności.

Koordynatorem prac był inż. Karol Pionnier. Pierwszy przedprototypowy egzemplarz został ukończony i zaprezentowany 31 grudnia 1953 roku. W czerwcu 1955 roku na XXIV Międzynarodowych Targach Poznańskich zaprezentowano po raz pierwszy publicznie prototypowy egzemplarz Syreny. Samochód *Syrena* była to konstrukcja szczególna, dwudrzwiowa, a te drzwi otwierały się do przodu. Pod maską krył się silnik dwucylindrowy, dwusuwowy, który charakteryzował się kompletnym brakiem mocy, dużą produkcją spalin, intensywnie pachnących benzyną i olejem. Miał taką właściwość, że bez przerwy psuły się przednie przeguby i szczotki w silniku, które odwieszały się po dwóch energicznych uderzeniach młotkiem. Nie mniej posiadanie tego samochodu było powodem do nie lada dumy i pozwalało na wycieczki do pobliskich jezior, rzek i lasów, oczywiście w wolne od czynów społecznych

niedziele.

Wróblewski i Bielecki

Miałem dwóch przeciwników w szkole podstawowej: Bielecki i Wróblewski. Jeden duży drugi mały. Chyba bardzo mnie nie lubili, chociaż do dzisiaj nie znam powodów tej niechęci. Szczególnie zادیorny był ten mały, Wróblewski. Któregoś razu zaatakował mnie w szkole w trakcie przerwy. Po niedługiej szamotaninie udało mi się złapać jego głowę pod pachę i dać mu parę kuksańców w nos. Zaczął krwawić. Tak spacyfikowanego agresora zaholowałem do wychowawczynie i oznajmiłem, że właśnie mnie napadł i próbował pobić. Ta patrzy zdumiona bo wygląda jakby było odwrotnie. Kazała mi biedaka puścić, no to puściłem. Ale w tej sytuacji szykował się rewanż, a przeciwników miałem dwóch. Na tę okoliczność przygotowałem sobie drewnianą pałkę, przepaliłem w rękojeści rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem dziurkę i przeciągnąłem rzemień, który służył za uchwyt. Z tą bronią chodziłem w torbie kilka tygodni. Torba była zamykana od góry, paskiem skórzanym, który przebiegał przez metalowe kółka. Kiedy zbliżała się do mnie spółka z brakiem odpowiedzialności, duet Wróblewski i Bielecki (W&B) wysuwałem pałkę z torby tak aby moja broń była wyraźnie widoczna i żeby wiedzieli, że jestem uzbrojony i bez walki się nie obędzie. Do walki jednak nie doszło. Że też nie ośmieliło mnie to do wyboru zawodu policjanta albo ochroniarza? W każdym razie poczułem dumę, z faktu, że potrafię się obronić w życiu. Dzisiaj Panowie W&B są po

pięćdziesiątce, nie wiem jakie są ich losy. Może ich spotkam jeszcze?
Ale czy w ogóle rozpoznam?

Okrutne dzieci

To niestety nie były odosobnione przypadki, kiedy wiejskie dzieci „przerywały” młode koty i topiły je, a miejskie dzieci dla odmiany nadmuchiwały żaby, puszczając je na wodę, o wyrywaniu muchom nówek i skrzydeł nie wspominając. To było okropne, okrutne. Niestety nie był to tylko koszmar dzieciństwa. Kiedy wspominam zabijanie żab o kant umywalki na ćwiczeniach z fizjologii podczas studiów lekarskich, to ogarnia mnie wielki smutek i wewnętrzny sprzeciw do dzisiaj. Dzisiaj wykonywanie jakichkolwiek doświadczeń i eksperymentów wymaga zgody Komisji Bioetycznej a uzyskanie tej zgody na eksperymenty na zwierzętach jest trudniejsze niż uzyskanie zgody na badania na ludziach. Ta zasada nie dotyczy dzieci, ponieważ na dzieciach można przeprowadzać eksperymenty medyczne tylko wówczas jeżeli nie można ich przeprowadzić na dorosłych lub w sytuacjach szczególnych kiedy jest to jedyna szansa uratowania życia lub uzyskania jakiegokolwiek poprawy w ciężkiej chorobie. Dzisiaj nie jest już tak łatwo znęcać się nad zwierzętami. Powstały komisje bioetyczne do badań na zwierzętach, które zakazują okrutnych praktyk. Miałem kiedyś wiejską przygodę z małym, żółtym kurczaczkiem, której nie mogę zapomnieć, a wydaje mi się, że miała

ona jakiś wpływ na wybór zawodu lekarza. To było na wsi u mojego wujka, dyrektora szkoły podstawowej, która mieściła się w pięknej posiadłości pałacowej otoczonej parkiem. Był też staw. Wokół kręciły się kaczki, gęsi, kury i te małe, żółte kurczaczki. Oglądałem to wszystko i podziwiałem, rozglądałem się wokół, aż niechcący nadepnałem na maleńkiego, żółtego kurczaczka. Nienaturalnie się wygiął i dostał drgawek. Przerażony zaniósłem go w krzaki i pobiegłem po wodę dla niego. Wracając z tą wodą nadepnałem go ponownie bo zdążył w tym czasie już wyjść z ukrycia. Teraz był w znacznie gorszym stanie. Byłem przerażony swoim bezmyślnym choć bezwiednym okrucieństwem, oraz cierpieniem kurczaka. Ale jednocześnie odkryłem w sobie współczucie i chęć niesienia pomocy. Nie pozostawiłem go swojemu losowi, starałem się mu pomóc tak jak umiałem.

Wracając do tych dzieci, które wyrywają skrzydła i nogi muchom pozostaje zacytować fragment tekstu piosenki z Kabaretu Starszych Panów autorstwa Barbary Kraftówny cyt. *„W czasie deszczu dzieci się nudzą, to ogólnie znana rzecz. Choć mniej trudzą się i mniej brudzą się, ale strasznie nudzą się w deszcz. Do flaszeczek złapią muszek, wypuszczają puch z poduszek żyłkami krając je i śpiewając słowa te: w czasie deszczu dzieci się nudzą, to ogólnie znana rzecz. Choć mniej trudzą się i mniej brudzą się, ale strasznie nudzą się w deszcz. Nie pogardzą również gratką, by drzemiącym dopiec dziadkom; podpalają brody. Nieraz też i cała chatka zajmie się od brody dziadka, a choć ją ugasi straż...”* Tak więc w czasie deszczu

dzieci się nudzą, wyrywają muchom skrzydła, mogą dziadkowi podpalić brodę dla zabawy, starsze gubią dowody osobiste, paszporty, telefony komórkowe jeden po drugim, zapominają kupować bilety w autobusach i tramwajach i akurat pojawia się „kanar” itd. itp. W końcu doprowadzają rodziców do przekonania, że jeżeli nie zawalił się jeszcze Pałac Kultury w Warszawie to już dobrze, a nawet jeżeli by się zawalił to i tak nie jest jeszcze całkiem źle.

Szczur Dyrektor

Chodził w nienagannie czystych popelinowych koszulach, zawsze czystym, chociaż cerowanym w kilku miejscach, wyprasowanym garniturze. Te pocerowania w garniturze były świadectwem niewysokiej pozycji ekonomicznej nauczyciela. Było to wzruszające i pouczające doświadczenie. Wzruszające, w tym sensie, że przez swój nienaganny chociaż pocerowany garnitur pokazywał szacunek dla powołania nauczyciela i dla nas swoich uczniów, pouczające, ponieważ zastanawiałem się w jakim stopniu przyszło by mi znosić niedostatek gdybym wybrał na drogę życiową zawód nauczyciela lub wznioślejszy rzeźbiarza dusz dojrzewającej i pokwitającej młodzieży. Zawodu tego nie wybrałem chociaż jestem teraz nauczycielem akademickim. Ta historia z garniturem i pozycją ekonomiczną nauczycieli przypomina mi inną. Dwoje nauczycieli, małżeństwo całe życie odkładali pieniądze na kupno fiata 126 p, a kiedy byli już bliscy celu cena samochodu rosła i musieli dokonywać kolejnych wysiłków aby ją dogonić. Był to wyścig bez końca i

wreszcie pewnego dnia ich dorosły już syn wziął wszystkie zebrane przez nich pieniądze i zamienił w kantorze na marki niemieckie. Pojechał do Republiki Federalnej Niemiec i tam kupił Volkswagena Passata kombi w doskonałym stanie, który koncepcją projektową, zaawansowaniem technologicznym i wyglądem górował nad fiatem 126 p niczym Giewont nad mrowiskiem. Tak skończył się ten nierówny wyścig a zmęczone nim małżeństwo nauczycieli miało wreszcie swój wymarzony samochód.

W 1968 roku dyrektor szkoły polecił mi napisanie wypracowania dotyczącego kwasu dezoksyrybonukleinowego (DNA), a było to zaledwie 6 lat po tym jak w 1962 Francis Harry Compton Crick (W Brytania), James Dewey Watson (USA), Maurice Harry Frederick Wilkins (W Brytania) otrzymali za odkrycie jego struktury w 1953 roku nagrodę Nobla. Wypracowanie napisałem, chociaż niewiele rozumiałem z tego wszystkiego. W każdym razie nie przyszła mi wówczas na myśl historia z suwakiem na podstawie, której powstała technika powielania DNA (*polymerase chain reaction*) PCR. Została ona opracowana przez Kary B. Mullisa. Ten amerykański biochemik laureat Nagrody Nobla z 1993 roku, urodził się 28 grudnia 1944 roku w Lenoir w Karolinie Północnej w Stanach Zjednoczonych. W rozmowie z Albertem Hofmannem wyznał, że odkrycie reakcji łańcuchowej polimerazy zawdzięcza po części LSD. Tego też nie miałem, tym bardziej nie mogłem dokonać odkrycia. Historia z LSD nie jest oczywiście godna polecenia, bowiem LSD w USA zdelegalizowano w roku 1966. W Polsce uznany jest za

narkotyk, choć substancja została zsyntetyzowana z nadzieją, że będzie lekiem działającym rozkurczowo na macicę w trakcie porodu, oraz że będzie miała działanie stymulujące. W wywiadzie opublikowanym we wrześniowym wydaniu *California Monthly* (1994), Mullis powiedział, że „*było to doświadczenie otwierające umysł. Dużo ważniejsze niż jakiegokolwiek zajęcia, w których brałem udział.*”

PCR zrewolucjonizowała współczesną biologię molekularną. Stosuje się ją w diagnostyce chorób dziedzicznych, ustalaniu ojcostwa, w kryminalistyce przy ustalaniu pochodzenia śladów krwi, do powielania DNA ze szczątków organizmów wymarłych, wykrywania wirusów we krwi, np. wirusa HIV a także bakterii w czasie tak krótkim, który pozwała na wczesne i skuteczne leczenie infekcji zagrażających życiu. Jest dużą różnica o ile wynik bakteriologiczny otrzymuje się po dwóch dobach czy w dwie godziny. Swoją drogą dobrze, że nie przyszła ta myśl o reakcji łańcuchowej do głowy jeszcze tylu innym ludziom, bo mógłbym pomyśleć, że jestem mało pomysłowy. Odkrycie metody PCR miało związek nie tylko z zażywaniem LSD. Kary B. Mullisa zapinał sweter na suwak. I nagle olśniło go, że konstrukcja suwaka jest bardzo podobna do budowy DNA.—Tak więc adenina zawsze łączy się z tyminą, zaś cytozyna z guaniną. W ten sposób jedna nić DNA wyznacza pozycję i budowę drugiej nici, zatem dwie nici są komplementarne, wzajemnie się uzupełniające W każdej z dwóch uzyskanych podwójnych nici DNA będzie jedna nić macierzysta i jedna nowa. Jeżeli do płynu

wypełnionego resztkami RNA wleje się dostateczną ilość aminokwasów, będą one dobierane parami według opisanej wyżej reguły i tak łańcuch będzie replikował się w nieskończoność. Facet, który to wymyślił, otrzymał Nagrodę Nobla po czym zrezygnował z kariery naukowej i zamieszkał na wsi, z dala od cywilizowanego świata. Gra w golfa, spaceruje, może czeka na następny impuls?

Możliwości jakie posiada dzisiejsza inżynieria genetyczna, są z dnia na dzień coraz mniej ograniczone. Jeszcze kilka lat temu klonowanie żywych organizmów można było zobaczyć jedynie w filmach science-fiction, a dziś jest to jeden z praktykowanych sposobów wykorzystania inżynierii genetycznej XXI wieku. Klonowanie, uzyskiwanie idealnych cech, zmiana przystosowań, wyglądu, wszystko to jest w dzisiejszych czasach możliwe, czego doskonałym przykładem jest sklonowana jako pierwszy ssak w 1997 roku owca Dolly. Z punktu widzenia nauki klonowanie roślin, zwierząt czy nawet ludzi prawie niczym się od siebie nie różni, jednak z perspektywy człowieka budzi to niemałe kontrowersje.

Jak sprzedać książkę?

Nie wiem jak będzie się czytać i sprzedawać moja książka. Mam nadzieję, że nie trzeba będzie używać argumentu w rodzaju „*Kupuje Pan, czy mam zacząć czytać*”? W każdym razie postanowiłem wydać ją własnym nakładem i sprzedawać pierwsze egzemplarze podczas zjazdu pediatrów i neonatologów, będę też organizował spotkania

autorskie. W neonatologach nadzieja bo znajdują się na dzieciach, noworodkach a ta książka jest w dużej części o nich.

W ten sposób mam nadzieję zorientować się jaką zyska opinię. Może jednak powinienem poradzić się kogoś z branży wydawniczej? Może przekonać jakieś profesjonalne wydawnictwo do edycji rękopisu? Ale gdyby nikt jej nie kupował nie zniósłbym zawiedzionego zaufania, w tym sensie, że ktoś wyklada pieniądze, traci czas, wydaje książkę a ona leży nie kupowana na półce. Okropnie źle wyglądają nie kupowane książki leżące w jakimś koszu bez żadnego porządku po pięć złotych za sztukę. To taki smutne. Na początek pójdę więc na własne ryzyko.

Samba i Cedra

Samba, czarna spanielka, nasz pierwszy pies tj. suka. Miała męża o nazwisku Meki Bandola. Jej dzieci były z Tarczy Jacusia. A Cedra nasz drugi pies tj. suka to mieszanka boksera z amstafem w proporcji 3 do 1. Samba, w końcu była uśpiona czego przeboleć nie mogę. Urodziła osiem szczeniaków. Najlepszy był moment kiedy jednocześnie startowały do ośmiu misek z jedzeniem. W większości wylewały je na siebie a miski zakrywały im głowy. Potem zaczynało się wielkie zlizywanie. Ostatnia z tego rodzeństwa to była Duśka. Miała lekko przekrzywiony uśmiech i była straszną rozrabiaką. Potrafiła w czasie obiadu wskoczyć na środek stołu i warczeć

wykrzywając nieco skośnie mordkę. Cedra ma urojone ciążę. Rosną jej piersi i szuka legowiska dla swoich „dzieci”. Karmi piersią szczura Pimpusia i liże go. Innym razem miała dzieci z centralą telefoniczną, brała w paszczę telefon bezprzewodowy, zanosila na kanapę tuliła i karmiła. Ostatnio musiała mieć romans z pluszowym łosiem. Jej dzieckiem jest łoś do wypchania, większy od niej ale zagarnia go pod siebie i karmi. Nie chce chodzić z nami nad jezioro bo obawia się zostawiać same swoje „dzieci”. Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest chirurgiczna sterylizacja, ale na to nie zgadza się póki co jej właściciel a nasz dorastający Synek Pawełek. Każe na siebie mówić Paweł. Liczne urojone ciążę były powodem ropomacicza. Ledwo psina przeżyła. Leczyłem ją Biseptolem. Skończyło się na wycięciu macicy.

Urodziłem się w swojej pracy

Po raz pierwszy byłem w swoim przyszłym miejscu pracy jak już wspomniałem w dniu swoich narodzin. Poród odbył się przy pomocy kleszczy i do dzisiaj mam na głowie po nich znak. Nie musiałem o tych kleszczach wspominać, ale na coś muszę zważyć mój brak koncentracji, ciągle kryzysy, depresje, napady niekontrolowanej wesołości lub nieuzasadnionego wzburzenia, nienajlepszą pamięć etc. Mogłem też nie przeżyć pierwszych dni po porodzie. Śmiertelność w tamtych latach nie była mała. Zastanawiałem się często nad okolicznościami narodzin różnych znanych osób. Jedne cudem

przeżywają mimo wcześniactwa i wszelkich innych przeciwności losu po to aby dać nam rzeczy piękne i wartościowe jak Albert Einstein, Isaac Newton, Steve Wonder, Nil Young, Bruce Willis i inni. Ale też rodzą się i przeżywają dzieci, które być może lepiej gdyby nie przeżyły jak Adolf Hitler, Józef Stalin, seryjni mordercy i im podobni. Sądzę, że z tymi ostatnimi nie jest tak do końca wszystko jasne. Załóżmy, że Hitler i Stalin urodziliby się w USA. Ze swoimi zdolnościami przywódczymi byłiby pewnie senatorami i w tym demokratycznym kraju zrobiliby kariery. Nie pozwolono by im na całkowite zdominowanie narodu, na masową eksterminację opozycjonistów. Innymi słowy może nie każdy rodzi się zdeklarowanym złym człowiekiem ale staje się takim z powodu okoliczności zewnętrznych.

Ten szpital, w którym się urodziłem i a później pracowałem jako neonatolog był wybudowany kosztem 4,3 mln marek niemieckich oddany został do użytku w 1931 roku. Był pod względem architektonicznym fascynującym przykładem klasycznego niemieckiego Bauhausu. Do prekursorów Bauhausu należeli: berliński architekt Peter Behrens i Henry van de Velde, założyciel Szkoły Rzemiosł Artystycznych. Jednym ze współpracowników Behrensa był Walter Gropius. Bauhaus oparty był na funkcjonalności. Była to funkcjonalność oparta nie tylko na przesłankach mechanicznych, ale także psychologicznych. Potrzeby emocjonalne były uznawane za równie ważne jak pragmatyczne. Co ma znaczenie zasadnicze w przypadku ludzi chorych wymagających podejścia holistycznego.

Odkryto, że zorganizowana przestrzeń wpływa na sposób działania i myślenia ludzi, stąd tak istotna waga społecznej roli architekta, architekt jako projektant życia społecznego, a nie tylko budowli. Architektura reguluje też relacje między krajobrazem, przyrodą, techniką a człowiekiem. W projektowaniu należy uwzględnić biologię, socjologię, psychologię, ergonomię. Co w przypadku szpitala przy ul. Piotra Skargi jest wyraźnie zaznaczone. Już samo położenie szpitala w założeniach wielkiego parku, który jest również ogrodem dendrologicznym z racji ogromnego bogactwa drzew z całego świata. Do dzisiaj niewiele z tej klasyki zostało z wyjątkiem zewnętrznego kształtu budynku i wspaniałych schodów wewnątrz. Liczne remonty wykonywane w różnych nienajlepszych technologiach i wzorach estetycznych odebrały mu staranność detali i elegancką harmonię. Zupełnie inaczej powinno wyglądać łączenie starego z nowym. Zaprosił mnie do Uckermünde mój przyjaciel z Wojskowej Akademii Medycznej dr Lech Sarecki. Mieszka tam z żoną Ilse, która jest Niemką. Oboje są bardzo zaangażowani w budowę współpracy na pograniczu. Organizują wystawy, koncerty i innego rodzaju spotkania tłumacząc wszystko i wszystkich z polskiego na niemiecki i z niemieckiego na polski. W każdym razie ich obecność w takich spotkaniach gwarantuje możliwość porozumienia się w sposób precyzyjny w obu językach. Niedostateczna znajomości języka niemieckiego to główna przyczyna braku ożywionych kontaktów lub ich niewystarczającego wymiaru. Inne słówka i inna składnia gramatyczna. Słówek można się nauczyć,

ze składnią gorzej. No i jeszcze odmiana. Niemcy z korpusu bałtyckiego NATO często uczą się polskiego. Słówka opanowują szybko, ale resztę gorzej więc mówią niegrammatycznie w odróżnieniu od ich dzieci, które chodzą do przedszkola z polskimi dziećmi. Te nie mają żadnego problemu z opanowaniem języka polskiego. Jedynym sposobem opanowania języka są zatem wspólne przedszkola i szkoły. Z językiem niemieckim radzę sobie sposobem. Słówka to sprawa pamięci i ćwiczeń. Jeżeli chodzi o składnię zdania do zorientowałem się, że to co w nim najważniejsze to Niemcy mówią na samym końcu np.: w poniedziałek do Ciebie wieczorem ZADZOWNIĘ. Po polsku jest akurat odwrotnie: zadzwonię do Ciebie wieczorem...itd. Stosuję więc te metodę ale wiem, że mają ze mnie niezłą zabawę. Trudno, cel uświęca środki.

Połączenie starego z nowym zostało też zrealizowane 65 km od granicy w Eberswalde. Mała, śpiąca miejscowość przygraniczna. Stare budynki szpitalne z wypalanej cegły zostały połączone szklanymi łącznikami, wokół park, ławki, monumenty, w środku kawiarnie, recepcje, windy, automatycznie otwierane drzwi a na dachu lądowisko dla helikopterów. To są oczywiście kosztowne przebudowy. Najlepiej zrobić to kompleksowo, raz a dobrze...

Wielkie wcześniaki

Wracam do myśli o sławnych wcześniakach. Isaac Newton dla

przykładu. Albert Einstein byli wcześniakami, „*cudem*” przeżyli i dali światu to, czego by nie dali gdyby nie przeżyli. Moja z początku pacjentka, później studentka medycyny, a w końcu anestezjolog w jednym ze szpitali warszawskich urodziła się z masą ciała dziewięćset gram. Jest piękną, wesołą, wykształconą młodą kobietą. Znam też pielęgniarkę na oddziale noworodków, która urodziła się z masą ciała dziewięćset gram. Jest bardzo przyjazna pacjentom, ludziom i życiu ogólnie. Są oczywiście wcześniaki, które przez całe życie będą znosić konsekwencje negatywne wcześniactwa w postaci ślepoty i deficytu intelektualnego, którymi trzeba opiekować się całe życie, bo nigdy nie osiągną samodzielności. Zawsze jednak myślę sobie, że lepszy jest człowiek słaby ale dobry, niż silny ale zły.

Dlaczego napisałem tę książkę?

Nawet najlepsza książka pisana przez nowojorczyka o nowojorczykach nie wzbudza we mnie takiego zainteresowania jak książka napisana przez szczecinianina o szczecinianach. Swoją drogą poza granicami kraju nikt na świecie nie jest w stanie wymówić tego „*szczecinianin o szczecinianach*”. To książka przede wszystkim dla moich najbliższych, przyjaciół i znajomych, również dla mnie abym lepiej zrozumiał siebie i swoje życie, pisząc bowiem muszę definiować to o czym piszę. Kiedy o czymś mówię jest to mniej precyzyjne i jakoś bardziej ulotne. Zupełnie inaczej odbieram książkę o życiu pisaną przez nieznanego mi autora, o nieznanym mi ludziach, w nieznanym mieście, a zupełnie pisaną osobiście dla

przykładu przez mojego przyjaciela Marka Seydę ze Szczecina, o tych miejscach i tych ludziach, których znam. Poza tym mam nieprawdopodobnie ulotną pamięć, zatem czego nie zapiszę, w sposób naturalny ulatuje na zawsze i tego zwyczajnie nie ma. Jeżeli nawet wszystko przypomnę sobie w chwili śmierci to i tak nie zdołam tego nikomu opowiedzieć, już nie będzie na to czasu. Poza tym pisanie jak wspominałem z natury rzeczy zmusza do definiowania swoich poglądów. Inaczej o tym samym się myśli a inaczej o tym pisze. Myślenie jest takie ulotne, wieloznaczne, wielowymiarowe, można je uznać za nadsterowne w każdym pożądanym i niepożądanym kierunku. Pisanie to jednak coś innego. Należy zająć konkretne stanowisko i ono jest czarno na białym, nie można się już wykręcić. To w zasadzie jest duża niedogodność, jest w tym jakiś brak swobody, niemożność surfowania na fali morza wyobraźni. Jest jeszcze jedna trudność związana z pisaniem. Myślenie ma charakter osobisty, najintymniejsze szczegóły, najskrytsze pragnienia, wstydlive wydarzenia pozostają ograniczone do jednej konkretnej, piszącej osoby autora. Tekst napisany może mieć wielu czytelników. Czy wszystko należy napisać, czy należy odsłonić całkowicie fakty i zdarzenia? Oczywiście, że nie. Każdy ma prawo do przemilczeń, do swojego osobistego wstydu i wyrzutów sumienia. „*Ta prawda wcale niepotrzebna mi*” śpiewała Ada Rusowicz. W naturalny sposób milczenie jest jakimś sposobem obrony, wyznania skruchy bo nie chwalimy się swoją prawdą złą, nie usprawiedliwiamy się, nie przerzucamy ciężaru na innych. Każdy popełnia błędy, których nie

chce popełnić. Dlatego tak wielu ludzi zostawia rękopisy z zastrzeżeniem, że można je ujawnić po dwudziestu pięciu latach kiedy już nikogo nie zranią słowa i fakty.

Napisanie książki jest w jakimś sensie powinnością każdego. Jest to dokument epoki, miejsca, poglądów, zdarzeń. Można w ten sposób ocalić wiele od zapomnienia. Jakaż to może być przygoda dla kogoś, która przeczyta tę książkę za dwadzieścia pięć lat w 2031 roku? Ile może sobie uświadomić i nauczyć się, poczuć wartość i znaczenie upływającego czasu. Pamiętam jak czytałem i dotykałem rękopisy dr Mikołaja Łackiego pisanych podczas II Wojny Światowej w Warszawie. Tamta rzeczywistość wojenna i okupacyjna, w dostojnym, cichym wnętrzu Archiwum Państwowego Miasta st. Warszawy stała się niemal realnie odczuwalna. Czułem się tak blisko tamtych ludzi i ich problemów. Po lekturze dokumentów archiwalnych, kiedy wychodziłem na warszawską starówkę, na świeże powietrze i lipcowe słońce doceniłem fakt, że nie ma okupacji, zagrożenia wojną i nawet gierkowski „*socjalizm z ludzka twarzą*” w „*najweselszym baraku w obozie*”, w którym odbywają się „*mistrzostwa modeli latających na uwięzi*” nie wydawał się taki komicznie straszny, chociaż nadal był szary i nie do użytku jak nierówno ułożone płyty chodnikowe.

Oglądałem w telewizji serial „*Wszystkie zwierzęta małe i duże*” według Jamesa Herriota. To opowieść o życiu weterynarza, jego pracy, miłości, taka saga zawodowa. Spodobało mi się zarówno co do formy jak i treści. Treść jest pogodna. Nie wiem czy to co ja piszę

będzie takie pogodne ale po części podobne, pomieszanie życia osobistego, pracy różnych skojarzeń.

Właśnie przekroczyłem dwieście stron maszynopisu. Pisanie zajęło mi parę lat. Czy ja w ogóle, kiedykolwiek skończę te książki? Są tacy zawodnicy co piszą powieść niemal w jedną noc. Mnie się to nie udaje. Poza tym potrzebował bym kilku miesięcy tylko na pisanie. Rano kawa, potem druga. Spacer z psem. W domu cisza. Wszyscy wyszli. Siadam i piszę, bo mam pozbierane myśli. Tak, żeby pisać musi się to wszystko ułożyć w głowie, muszą dojrzeć pomysły. Trzeba być na tyle skoncentrowanym i wypoczętym, że pisać z lekkością i polotem i nie przedzierać się przez zarośla raniąc się dotkliwie. No i Internet. Każde poruszone zjawisko, każdy termin niezrozumiały i podobnie zagadnienie można na miejscu wyjaśnić. Liczy się tylko wyobraźnia, umiejętność kojarzenia bo fakty są na talerzu.

W moim kalendarzu są karki niezapisane w ogóle, co oznacza, że byłem na urlopie, albo jakimś sympozjum. Pozostałe są pełne notatek o wizytach domowych, innych rzeczach niezbędnych do zrobienia, terminowych, o spotkaniach, ale nie ma żadnych notatek do książki. Czyżby nic istotnego się nie działo? A może tego nie zauważam zaprzątnięty codziennością, od której nie ma ucieczki? Może stępiła mi się wrażliwość na rzeczy i zjawiska? A może naprawdę nic się nie dzieje i jest spokojnie w myśl zasady, że brak wiadomości to dobre wiadomości.

Znieczulenie 2

Miałem taki okres w życiu kiedy było wszystkiego było za dużo. Specjalizacja, praca w klinice, dyżury, ćwiczenia z historii medycyny w akademii medycznej ze studentami, próby i koncerty z zespołem, wieczory w klubie studenckim „*Trans*” w stałym i wesołym towarzystwie przyjaciół i pacjenci prywatni, doktorat, budowa domu i jeszcze parę innych rzeczy. W konsekwencji organizm odmówił posłuszeństwa. Musiałem zasięgnąć lekarskiej pomocy kolegów. Wśród niezbędnych badań diagnostycznych wyniknęła potrzeba wykonania gastrofiberoskopii. Bez znieczulenia nie da się włożyć grubego światłowodu przez przełyk do żołądka i dalej. Przez lata, które upłynęły od wycięcia wyrostka robaczkowego wiele się zmieniło. Nikt już nie znieczulał eterem, ani chloroformem nakrapianym do maski Schimelbusha. Pojawiły się krótko działające, dożylnie postacie leków, bez takich działań ubocznych jak te koszmarne wymioty. Tak też byłem po raz drugi w swoim życiu znieczulany do zabiegu. Nie pamiętam kiedy i jak usnąłem, i nie pamiętałem zabiegu. Bezboleśnie w pełnej niepamięci i nieświadomości, żadnych złych wrażeń. Żadnego duszenia się, walki o powietrze, bez upiornego wrażenia spadania. Wokół panowała cisza i wszystko było granatowe i złote. Byłem ciałem astralnym, ciałem niebieskim, szybującym wśród gwiazdnych bezkresnych przestrzeni. Czuję coś co mógłbym nazwać błogostanem. Nie tylko, że nic mnie nie bolało, ale czułem się wręcz szczęśliwy do granic doznań.

Przebudzenie ze znieczulenia było dla mnie przykrą niespodzianką. Byłem zawiedziony i wkurzony, że ktoś mnie z tego świata zabiera, że ktoś mnie śmie budzić i zabierać z tego cudownego miejsca a właściwie przestrzeni. Natomiast kiedy zacząłem się budzić miałem niezwykle przyjemne odczucia. Było mi tak dobrze, słodko i przyjemnie a na dodatek lewitowałem wśród gwiazd zupełnie swobodnie, bez lęku przestrzeni. Kiedy zorientowałem się, gdzie jestem, dokąd wróciłem byłem zły i zawiedziony, że to się skończyło. Nic w tej gastrofiberoskopii nie wykrył mój przyjaciel dr Ryszard Kowalewski bo i nie żołądek był przyczyną moich dolegliwości ale stresujący i intensywny tryb życia. Nic mnie nie bolało. Podziękowałem kolegom i kontynuowałem dzień. Jeździłem samochodem, z kimś rozmawiałem, coś załatwiałem ale na drugi dzień, nie miałem kompletnie pojęcia gdzie, co i z kim.

Licealny Rock

Zacząło się niespodziewanie nawet dla Mnie, który był przyczyną wszystkiego. Na pierwszej lekcji wychowawczej oznajmiłem wiedziony impulsem i entuzjazmem, że zakładamy zespół rockowy. Jeszcze wówczas nie umiałem grać na gitarze, chociaż byłem takim sobie akordeonistą. Nawet nie wiedziałem dobrze kto w klasie gra na gitarze, kto na perkusji i czy w ogóle ktoś gra. Ale wstałem i powiedziałem, że zespół zakładamy. Do dzisiaj podziwiam

siłę swojej wyobraźni i optymizm. Nie miałem pojęcia skąd weźmiemy sprzęt, instrumenty, wzmacniacze, mikrofony, kable, statywy. Musiałem jednak mieć głębokie wewnętrzne przekonanie do przedsięwzięcia, ponieważ jeszcze tego dnia zacząłem go realizować. Już nie pamiętam skąd zdobyłem gitarę akustyczną Dafin produkcji polskiej. Gitary tej firmy miały kilka charakterystycznych cech. Przede wszystkim nie stroiły od piątego progu. Po drugie struny znajdowały się jeden centymetr powyżej gryfu co znacznie utrudniało granie nie mówiąc o zmalretowanych opuszkach palców usiłujących docisnąć twarde, wysoko stojące struny do progów na gryfie. Po trzecie brzmiały tak źle jak tylko może źle brzmieć gitara. O wyglądzie nie wspomnę, bo to można sobie ostatecznie darować. Willi Nelson gra na tak zniszczonej gitarze, że żał patrzeć, ma dziurę w przedniej płycie, jest okropnie podrapana i całkiem straciła kolor. W każdym razie kiedy rodzice oglądali w lampowym czarno białym telewizorze z drewnianą obudową Szmaragd film ja usiadłem w kuchni, zamknąłem drzwi i mozolnie zacząłem ćwiczyć. Tego pierwszego dnia skończyłem dopiero wówczas, kiedy palce zaczęły piec niemiłosiernie i pokazały się pierwsze krwawiące rany. Mniej więcej w tym czasie skończył się program telewizyjny, a kończył się wówczas o godzinie 22:00. Wkrótce jednak doszedłem do pewnej wprawy w podstawowych chwytach gitarowych, w czym znacznie pomogło mi wykształcenie zdobyte w szkole muzycznej. Moi koledzy z zespołu byli w podobnej sytuacji. Zaczęliśmy próby w liceum. Pojawiła się kwestia braku sprzętu nagłaśniającego. Jako

wzmacniacze do gitar posłużyły lampowe radia z zielonym oczkiem i wkładki mikrofonowe z telefonów. Drzenie płyty rezonansowej gitary wprawiało w podobne drzenie membranę wkładki do telefonu, która wytwarzała w magnesach prąd, ten był przesyłany dwużyłowym przewodem do radia, które miało całkiem przyzwoity wzmacniacz. Aby słuchawkę telefoniczną przymocować do gitary a kabel do radia używaliśmy różowych plastrów medycznych i zapalek. Wszystko „grało”. Cały pozostały sprzęt był podobnej konstrukcji. Wkrótce graliśmy na szkolnej akademii, „ku czci”. Obowiązywał w muzyce rockowej ruch sceniczny jak na ówczesne czasy dość drażniący dla ciała pedagogicznego. W związku z tym psorka Basia Wolniewicz stojąc za kurtyną próbowała łapać mnie za łokieć i uspokajać moje zapędy choreograficzne polegające na nieskoordynowanych ruchach nóg i tułowia, potrząsania głową itp. Tak zostałem rockmenem i uważam się za niego do dzisiaj.

Mój Przyjaciel „Szczota”

Zmarł w wieku pięćdziesięciu lat. Wizyty na jego grobie w sposób oczywisty są dla mnie przypomnieniem jak krótkie i kruche jest życie ludzkie. Kiedy idę do mojego przyjaciela kupuję jedną świeczkę, zapalam ją i myślę w sposób intuicyjny o przemijaniu, intuicyjny, nie naukowy, ten typ myślenia nie w tym miejscu zastosowania. Kiedy jestem przy jego grobie nie boję się tego

przemijania wydaje mi się ono naturalne i przynoszące w konsekwencji wielki spokój. Zmarł w wieku pięćdziesięciu lat. Jego Tata też zmarł w tym wieku i chyba dziadek. To genetyczna historia rodzinna. Nawet gdyby udało się oznaczyć gen odpowiedzialny za występowanie nowotworów w rodzinie i tak nic nie można byłoby poradzić, ponieważ nie da się wyciąć całych płuc a Zdzisiu umarł na rozsianego raka płuc. Na trzy lata przed zachorowaniem powrócił z Paryża po dwunastu latach emigracji. Dzisiaj to jedna Europa, nie emigracji jest kontrakt, powrót i znowu wyjazd z kartą kredytową działająca tak samo w Dominikowie jak i w Paryżu. Tam wydał płytę, która nie odniosła sukcesu i sądzę, że nie mogła go odnieść chociażby z powodu wielkiej nostalgii jaką była nasycona, nie było w niej radości więc dlaczego ludzie mieliby ją kupować? Było w niej sporo rozczarowania „*Zachodem*” a muzycznie wyczuwalny był romantyzm lekko dramatyczny typowy dla nas. Wrócił do kraju z żoną i dwójką dzieci. Odwiedziliśmy ich w warszawskim mieszkaniu. Zdzisiu nadal grał i wierzył, że uda mu się donieść sukces. Nagrał płytę i przygotował koncert promocyjny w klubie „*Ground Zero*” modnym wówczas w Warszawie. Nic z tego nie wyszło. Nie wiem dlaczego, ale nie wyszło. Powinien się tego spodziewać. Przecież już całymi latami grał koncertując po Polsce z dobrymi zespołami i znał prawa rynku muzycznego, żeby wiedzieć, że jeden sponsorowany koncert nie przyniesie globalnego sukcesu. Zaprosiłem go z zespołem do Szczecina. Mieliśmy koncert w XIII Muzach. Kiedy grałem bluesa do mojej „*Inwigilacji*” Zdzisiu wszedł na scenę, rozkręcił Rolanda i grał

z nami. Byłem szczęśliwy. Czułem się jakbym wrócił do naszej młodości. Wieczór a właściwie noc spędziliśmy w domu i rozmawialiśmy bez końca. Małgosia nad ranem usnęła, Zdzicha położyłem w na kanapie i przykryłem kocem. Zachciało mi się płakać ze szczęścia. Cóż można pragnąć więcej. Dom, kochana żona, dzieci i przyjaciel i... nasza muzyka. Więcej nie zagraliśmy już razem. Zdzichu rozchorował się poważnie. Z chorobą walczył dzielnie. Zadzwońłem do niego z Dominikowa. Zapraszałem go na wieś. Miał cichy głos i powiedział „*Jacuś, ja nie wiem, czy będę miał siłę przyjechać*”. Wiedziałem, że może nie dać rady w walce z tą straszną chorobą. Wypiłem wówczas w jego intencji butelkę polskiego Krupniku, z oczu popłynęły mi łzy.

Przyszła zima a z nią Święta Bożego Narodzenia. Dzwoniłem do Niego z życzeniami. Zdażyłem w ostatniej chwili. Zmarł w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Dostał kaszlu, a ponieważ często odkasztuszał krew poszedł do łazienki. Kaszel nasilał się, Zaniepokojona żona poszła zobaczyć co się tam dzieje. W tym momencie dostał gwałtownego krwotoku z płuc. Zmarł w jej ramionach. Mój przyjaciel Szczota. Kolega z zespołu rockowego „*Nocne Marki*”, z powiatowego miasteczka.

Jego Mama miała swoją opinię o przedwczesnej śmierci Syna. Mówiła, że zgubiła Go nieodwzajemniona miłość do muzyki.

Za każdym niemal razem jak jestem w Grodzisku Mazowieckim chodzę do mojego przyjaciela na cmentarz. On pewnie mnie nie słyszy, ale ja do Niego chodzę. Radzę się Go w różnych sprawach,

załę a On mi odpowiada, a może to ja odpowiadam sobie? Do Pana Boga, Przenajświętszej Pani, jej syna Jezusika Chrystusika i mojego Anioła Stróża modłę się często i rozmawiam z nimi swoim normalnym językiem. „*Strąciłem*” ich z piedestału aby móc z nimi rozmawiać, a mówię również o swoich grzechach. Nie mam ich wiele, już coraz mniej, ale czy przyjdzie czas kiedy nie będę miał ich w ogóle?

Dzisiaj znowu byłem u Zdzisia na cmentarzu. W grudniu minie 10 lat jak zmarł. Jest okropny upał. Takiego lata nie było w Polsce od XVIII wieku, albo nigdy. Siedziałem na ławeczce przed grobem, piłem warszawskie piwo „*Królewskie*” i rozmawiałem z nim, o wszystkim. Pomyślałem, że jego przykrości ziemskie już nie dotyczą i to jest niewątpliwie korzystne w sytuacji w jakiej się znajduje. To przemawia na korzyść tego świata, w którym teraz jest.

„Chlorek” Hippis powiatowy

Miał długie, rude, kręcone włosy. Zaczynam od włosów, ponieważ niewyobrażalny był i jest Hippis bez długich włosów. Hippis bez długich włosów nie istnieje. Bycie hippisem kiedy nie ma się długich włosów jest niemożliwe. Chlorek ponadto był chudy przerażająco. Na pociągłej twarzy miał ślady przebytej ospy wietrznej. Dzisiaj można zaszczepić dziecko przeciwko tej chorobie, wówczas jeszcze nie. Od tamtych czasów a mam na myśli lata siedemdziesiąte

zmieniło się wiele. Powszechne są szczepienia przeciwko odrze, różycze, wirusowemu zapaleniu wątroby, zapaleniu mózgu itd. Na większość z tych chorób nasze pokolenie chorowało. Chlorek na ospę z wyżej opisanymi następstwami. Ja chorowałem na odrę i wirusowe zapalenie wątroby. Kulminacją moich doświadczeń w zakresie szczepień na choroby zakaźne była przygoda z ospą prawdziwą *variola vera* w roku 1964. Powracałem z Kamieńczyka z kolonii letnich. W szczerym polu pociąg został zatrzymany i w upalnym lipcowym słońcu rozpoczęło się szczepienie metodą skaryfikacji. Nie było to zbyt bolesne i wyglądało jak ukąszenie węża, także wkrótce o tym zapomniałem. Jednak niedługo po tym pojawił się obrzęk w okolicy szczepienia oraz stale nasilająca się wysoka gorączka trwało to kilka dni i było dokuczliwe do tego stopnia, że nocami kładłem się na balkonie aby nocny chłód przynosił mi ulgę. Któregoś dnia gorączka odeszła na zawsze. Ledwo przeżyłem szczepienie. Przed erą szczepień ospa prawdziwa potrafiła być przyczyną wyniszczenia populacji jak z nadejściem Hiszpanów kiedy to nadeszła na Inków epidemia, która w końcu zabiła około 95% ich populacji. Jaką odwagą wykazał się Edward Jenner, który wtarł proszek z krost chorej na ospę krowy wiejskiemu chłopcu aby zapobiec zachorowaniu na ospę prawdziwą w razie nadejścia epidemii. Epidemia nadeszła i chłopiec nie zachorował podobnie jak naturalnie uodpornione dojarki. Uszczęśliwiony swoim sukcesem, Jenner powiadomił Royal Society o uzyskanym wyniku. Jednak nie dano mu nawet możliwości publicznego wystąpienia, gdyż uznano wyniki badań za mało

przekonywające. Uważano również całe zjawisko za zbyt dziwne. Nie zniechęcony, Jenner powtórzył doświadczenie na następnych pięciorgu dzieciach. We wszystkich przypadkach wynik był ten sam. Tym razem Jennera potraktowano poważnie; do roku 1800 jego prace opublikowano we wszystkich ważniejszych językach europejskich. Doświadczenie powtarzano w całej Europie i w Stanach Zjednoczonych. Wskaźnik umieralności był bliski zera.

Wracam do Chlorka. Kiedyś ostatnie dni czerwca były okazją do corocznego zlotu hippisów w Kazimierzu Dolnym, zbiegało się to z Festiwalem Muzyki Ludowej. Hipisi uczestniczyli w licznych koncertach, zaś wieczory i noce spędzali przy kamieniołomie nad Wisłą. Ogólnopolski Festiwal Bluesowy „*Rawa Blues*” w Katowicach, odbywający się corocznie pod koniec lata lub na początku jesieni, był kiedyś bez wątpienia najbardziej hipisowskim festiwalem. Zloty były również organizowane podczas letnich festiwali muzycznych np. „Muzycznego Campingu Rock” na Pojezierzu. Ruch hippisów była to rewolucja proklamująca bunt młodych przeciwko światu dorosłych (*nie wiercie nikomu po trzydziestce*) - to i tak lepiej niż w Rewolucji Francuskiej 1789-1799, podczas, której padała propozycja podajże M. Robespierre’a aby wszystkich po czterdziestce zgilotynować to rewolucja się powiedzie - i jego instytucjom: rodzinie, Kościołowi, szkole, pracy, szefom, rywalizacji, pieniądzwowi, wojsku, wojnie, normom, przymusom, zakazom (*zakazuje się zakazywać*), domniemanej hipokryzji, konwencji ubioru, własności prywatnej (*życie w komunach - jak u hippisów*). Przejaw kontrkultury

odrzucającej normy społeczne oparte na konsumpcji, rywalizacji i materializmie. Instytucje i struktury, którym się sprzeciwiali, hippisi określali jako establishment. Mimo akcentu tego ruchu na zwalczanie obowiązujących konwencji ubioru, sam także wykreował specyficzny gatunek mody. Chlorek zaangażowany był bardzo w ruch hippisów, do tego stopnia, że zyskał sobie tytuł „*Hippis powiatowy*”. Jeździł na spotkania hippisów do Kazimierza nad Wisłą. Swoiście pojmował przyjaźń z naszym wspólnym przyjacielem „*Szczotą*”. Któregoś razu nieco odurzony winem marki *Wino* prosił przyjaciela aby ten dał mu w mordę. Szczota się wzbraniał, ale Chlorek nalegał w imię przyjaźni. W końcu Szczota zdecydował się na ten przyjacielski gest i zamachnął się na Chlorka, który z racji odurzenia i niewielkiej masy, a ważył około czterdziestu kilogramów padł na kanapę od samego podmuchu powietrza. Przyjaźń została skonsumowana i przypieczętowana. W moim pojęciu Chlorek uosabiał nieskrepowanie w dążeniu do wolności, sprawiał wrażenie osoby bezbronnej, takiej która nikomu nie zrobi krzywdy i cieszy się życiem.

„Bohun” klawisz Nalepy

Boguś Lewandowski grał na „*klawiszach*”. W tamtym czasie hitem były organy Hammonda i wirujące głośniki Leslie o takim charakterystycznym wibrującym dźwięku. *„Laurens Hammond dzięki wynalezieniu elektrycznych organów stał się twórcą nowej dziedziny przemysłu, której tak szalonego rozwoju nikt wówczas nie był w stanie przewidzieć. Minęły już 64 lata od dnia, kiedy to w styczniu 1934 roku*

w Urzędzie Patentowym w Waszyngtonie przedstawił swój prototyp. Patent został przyznany autorowi w niemal rekordowym czasie, bo już 24 kwietnia 1934r. Pierwszy publiczny pokaz możliwości instrumentu odbył się 15 kwietnia 1935 r, na jedynej tego rodzaju Ekspozycji Sztuki Przemysłowej w budynku radia RCA w Chicago. Na wynalazku Hammonda zagrali między innymi Pietro A. Yon organista z katedry św. Patryka oraz Fritz Reiner późniejszy dyrygent Chicagowskiej Orkiestry Symfonicznej. Niedługo po tym zdarzeniu sam Henry Ford złożył zamówienie na sześć egzemplarzy organ. Możliwość wypróbowania nowego instrumentu miał również Georg Gershwin. Wrażenie jakie na nim wywarł było tak ogromne, że natychmiast zamówił egzemplarz dla siebie. Werdykt krytyków nad wynalazkiem był przychylny i co warto podkreślić niemal jednomyślny. Organy Hammonda oprócz wielu niewątpliwych zalet miały jednak pewną wadę, były dość drogie. Cena modelu B-3 z głośnikami Leslie dorównywała prawie cenie nowego samochodu Buick. Dopiero w roku 1950 stworzono instrument, który kosztował 975 \$, przez co stał się dostępny dla znacznie większej ilości muzykujących ludzi. To właśnie owe organy zainicjowały nową filozofię na rynku muzycznym, której podstawy do dziś uważa się za wzór. Instrument miał być z zewnątrz schludny i ładny a gra na nim miała być łatwa i przyjemna. Druga młodość tego instrumentu przypada na lata 60-te i 70-te., kiedy to czołowi muzycy jazzowi i rockowi odkrywają na nowo piękno i ciepło brzmienia Hammonda nadając mu nowy wyraz. Uważny uprzednio za zmorę odgłos

naciskanego klawisza (klik) oraz efekt "percussion" pozwalały wyróżnić się dźwiękom organów spośród mieszaniny krzyczących wokalistów, wyjących gitar i walących bębnów. Narodziły się również nowe techniki gry, w zależności od rodzaju muzyki do jakiej były używane. Brzmienie organów Hammonda jest dzisiaj kojarzone nieodłącznie z takimi muzykami jak np. Booker T, K.Emerson, J.Smith, Merl Saunders oraz całymi zespołami jak np. Procol Harum, Colosseum, Deep Purple czy Ekseption. Czysto brzmiaące - fletowe brzmienie instrumentu zamieniano często celowo na zniekształcone i chrapliwe, przepuszczając go przez tzw. "tube overdrive". Całości dopełniały nowe modele wirujących głośników systemu Leslie z serii 400 i 700 oraz poprawiona wersja sztandarowego lampowego modelu Leslie typ 122. Warto w tym momencie wspomnieć również o polskich muzykach, którzy już wówczas cenili ten instrument. Byli to między innymi: W. Karolak, K. Sadowski, A. Zieliński, Cz. Niemen.

Przede wszystkim jednak nazwisko twórcy instrumentu legendy Laurensa Hammonda kojarzyć się będzie z brzmieniem, które ma swoje trwałe miejsce w historii."

(<http://www.venco.com.pl/~yahoob3/hammond/html/historia.htm>).

Wkrótce pojawiły się pierwsze syntezatory. Pamiętam jak w organie ludu Peerelu „Trybuna Ludowa” ukazał się artykuł państwowotwórczy o młodym, zdolnym elektroniku radzieckim, który skonstruował urządzenie elektroniczne, naśladujące dźwięki wszystkich instrumentów i nazywa się syntezator. Od tego czasu syntezatory używane są przez muzyków na całym świecie, ale żaden

nie został wyprodukowany w Związku Socjalistycznym Republiki Radzieckich. Najpopularniejszą marką był Roland. Jeżeli z litery R usunąć nóżkę wyszłoby Poland, ale tak też nie było. Bohun był i jest naszą dumą ponieważ przez całe lata towarzyszył Tadeuszowi Nalepie na klawiszach. Grał z gwiazdą polskiego rocka. Koncertował w kraju i za granicą. To była w naszym pojęciu kariera i tak rzeczywiście należy to traktować. Do dzisiaj się przyjaźnimy, ale ciągle brak mi czasu aby odwiedzić go w Warszawie. A chciałbym ożywić wspomnienia i coś do nich dodać, jeszcze jest czas, jeszcze jest czas. Do zobaczenia Bohunie w Warszawie.

Gitariada powiatowa

Gitariada powiatowa miała odbywać się w upalny czerwiec 1966 roku w ogródku jordanowskim. Nazwa pochodzi od nazwiska lekarza Henryka Jordana, pomysłodawcy i założyciela pierwszego ogrodu tego typu w Krakowie. Ideą Jordana, którą było założenie dla dzieci i młodzieży ogrodu - parku wypoczynku i zabawy bogatego w polskie wątki patriotyczne. Pierwszego czerwca, w Dzień Dziecka mieliśmy tam koncert. Upał był nieprawdopodobny. Część sprzętu musieliśmy pożyczyć. Ja niosłem wzmacniacz lampowy „Luna”. To było cudo wyprodukowane pod koniec pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. Ukazał się w sklepach RTV. Był to niewielkich rozmiarów wzmacniacz akustyczny o dosyć awangardowym jak na

owe czasy wyglądzie i szokującym wszystkim różowym kolorze obudowy. Był produkowany przez Z(akład?) P(rodukcyjny?) U(rządzeń?) E(lektronicznych?)”ELZA” w Warszawie, o symbolu WS17 Luna przeznaczony do doraźnego nagłaśniania pomieszczeń średniej wielkości: szkolnych auli, mniejszych kościołów, niewielkich klubów oraz kameralnych imprez. Marzenie ówczesne zespołów mocnego uderzenia. Niosłem go i nie mogłem od niego oderwać wzroku. Tak zapatrzony idąc na miejsce koncertu uderzyłem głową w słup, gruby, drewniany słup telefoniczny, czy elektryczny, dla mnie to było obojętne. W ogóle nie widziałem tego słupa zauroczony niesionym wzmacniaczem. Prawie straciłem przytomność, usiadłem na ziemi ale wzmacniacza nie wypuściłem z rąk. Dłuższą chwilę musiałem odpocząć w przysiadzie nim doszedłem do siebie. Na całe szczęście wzmacniacz był cały i głowa też. Wówczas słupy telefoniczne były z dużych, okrągłych bali drewnianych, nie z betonu, nie miały ostrych kantów i to było moje szczęście. Dotarłem na scenę a nie do szpitala. Scena była zbudowana z dwóch złączonych przyczep samochodowych. Były pokryte blachą, która w czerwcowym słońcu rozgrzała się do temperatury topnienia blachy, co znacznie podniosło atrakcyjność choreograficzną naszego koncertu. A rzecz miała związek z ówczesną modą na buty „beatlesówki”. To były półbuty, pantofle na bardzo cienkiej gumie z podwiniętymi jak w średniowieczu do góry czubkami. Zamiast sznurowadeł miały gumy ściągające po boku. Były czarnego koloru a przez środek przebiegał szef. Były bardzo szykowne. Jednak podeszwa z cieniutkiej gumy w

żadnym wypadku nie była termoizolacyjna. W związku z tym blacha nagrzana letnim słońcem do nieprzytomności parzyła bez litości nasze stopy. Jedynym ratunkiem było podskakiwanie czy przeskakiwanie z nogi na nogę, co chroniło przed oparzeniami i dawało dynamiczny efekt sceniczny. W każdym razie graliśmy w gronie innych zespołów w ramach Gitariady Powiatowej. Graliśmy dwa nasze ówczesne przeboje. Moja kompozycję „*W niebo spójrz*” i Zdzisia „*Szczoty*” Grzesiewicza bluesa „*Nocny Marek*”. Było jeszcze parę zespołów. Najgroźniejszym konkurentem był zespół braci Styniaków, ale tego dnia nie mieli najlepszej formy i wygraliśmy. Znany wówczas z Polskiego Radia Dariusz Michalski wręczył nam nagrodę w postaci czarnego long playa „*Alarm*” Niebiesko Czarnych.

Ten dzień pozostał w mojej pamięci i przyszło mi na myśl, że odwiedzę to miejsce jeszcze raz, najlepiej w czerwcu. Siostra Dariusza Michalskiego przyjaźniła się z Pawłem Połaneckim moim przyjacielem z liceum, ale ich przyjaźń nie trwała długo ponieważ Ona miała futro z królika i Paweł cały czas musiał zbierać włosy ze swojego ubrania po spotkaniach, w związku z czym zaprzestał tych kontaktów.

Zakończenie tej historii miało miejsce 40 lat później w centrum Kultury w Grodzisku gdzie odbył się koncert rocznicowy więcej na tym koncercie było wspomnień niż widzów, ale było to miłe. Słowo o Grodzisku. W moim mieście Grodzisku Mazowieckim, dzisiaj produkują chipsy Lays z zapachem identycznym jak naturalny np. ser fromage czy cebula. Ohyda światowa. Ale mają za to naprawdę ładne

tataże w środku każdej paczki. Lubię takie naklejane, tataże. Po dwóch lub trzech dniach można je zmyć acetonem do paznokci i naklejać kolejne. Grodzisk Mazowiecki to nie tylko chipsy Lays czy Grodziskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa”, urodził się w tym mieście Leonid Teliga, który opłynął samotnie glob ziemski małym jachtem, sławny kompozytor Tadeusz Baird.

Płódeli

To z filmu „Przypadkowa dziewczyna” (oryg. *Sliding Doors*) film z 1998 roku w reżyserii Petera Howitta z Gwyneth Paltrow i Johnem Hannah. jak gość mówi, że znajomość tekstów „Beatlesów” mamy już od urodzenia i w ogóle wysysamy je z mlekiem matki. (*Agnieszka Holland uważa ten film za kiepską kopię Przypadku Kieślowskiego, ale tego filmu nie widziałem i chciałbym go obejrzeć.*) No i co jeszcze można wyssać z płynem owodniowym i mlekiem matki? Czy rzeczywiście można wyssać mądrość jak mówi przysłowie? Badania dowodzą, że dzieci karmione piersią osiągają większe sukcesy w życiu rodzinnym i zawodowym w przyszłości. Co prawda nijak ma się ta prawda do historii życia Amadeusza Mozarta, który nie był karmiony piersią ale On jest wyjątkowym wyjątkiem. Karmienie piersią nie było wówczas w modzie przez Panie z Towarzystwa. Karmiły „Mamki”. Sam Amadeusz był karmiony wodą uzyskiwaną z płukania, czy gotowania pszenicy? Oczywiście z tych i innych

powodów śmiertelność noworodków i niemowląt była ogromna w owym czasie w Europie. Ale Amadeo był wyjątkiem i przeżył między innymi po to by stworzyć piękne dzieła. Mimo iż Mozart żył tylko 35 lat, zdążył pozostawić po sobie kilkaset skrzących się dowcipem i wyróżniających słynną mozartowską lekkością oraz melodyjnością utworów. Ponad 50 symfonii, kilkadziesiąt koncertów fortepianowych, skrzypcowych, fletowych i na inne instrumenty solowe z towarzyszeniem orkiestry, blisko 20 mszy (a także słynne, acz niedokończone przez niego *Requiem*) oraz inne utwory muzyki kościelnej, 13 oper, które do dnia dzisiejszego znajdują się w repertuarze wszystkich teatrów operowych świata zwłaszcza takie arcydzieła, jak *Uprowadzenie z seraju*, *Wesele Figara*, *Don Giovanni*, *Czarodziejski flet*, *Così fan tutte* czy też mniej znana u nas jego pierwsza większa opera *Idomeneo, król Krety*. Mozart napisał również wiele utworów kameralnych, solowych. Jest także pierwszym wielkim twórcą wśród zawodowych kompozytorów piszących muzykę rozrywkową, tańce, divertimenta, serenady z *Eine kleine Nachtmusik* na czele. (http://pl.wikipedia.org/wiki/Wolfgang_Amadeusz_Mozart).

Zrobiłem też taki rysunek Henryka Sawki w czapce Stańczyka zrobionych z piersi kobiecych. Kiedy patrzy się na jego inteligentne rysunki satyryczne można dojść do przekonania że wyssał mądrość z mlekiem matki. Swoją drogą Sawka mieszka w Warszawie, to dzielnica Szczecina, a nie w Warszawie.

Gajewska Quinn

Elżbieta Gajewska ma napęd, który spokojnie mógłby wynieść na orbitę okołozemską wszystko co można sobie wyobrazić np. Alpy albo Himalaje i nawodnić Saharę. Niezniszczalna, niezatapialna, sto procent wydajności, *perpetuum mobile*, coś, co się nie zdarza w przyrodzie. Cud, wyjątek natury. Będąc na emeryturze otworzyła we Wrocławiu Przychodnię Patologii Noworodka w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym we Wrocławiu, którą poświęcił kardynał Henryk Gulbinowicz. To Ona przekonywała Jurka Owsiaaka w pociągu relacji Wrocław - Warszawa aby ten przeznaczył pieniądze na program nieinwazyjnego wspomaganie oddechu u noworodków. Rozmowa ta skutkowała powszechnym zastosowaniem przyjaznej dla dziecka i inteligentnych metod wspomaganie oddechu. Dzięki temu w wielu przypadkach nie trzeba było wkładać wcześniakowi rurki intubacyjnej do tchawicy ani stosować wysokich ciśnień, które trwale mogą uszkadzać im płuca. To Ona zdobyła dla tej poradni cyfrowy aparat eeg. Co jeszcze wymyśli nie wiadomo. Wiadomo jednak, że wymyśli. Tacy ludzie jak Ona, pełni entuzjazmu i oddania dla swojej pracy, dla noworodków potrafią zmienić oblicze całej dziedziny, nawet w nie do końca sprzyjających okolicznościach. Co do tych niesprzyjających okoliczności to los jej nie oszczędzał dlatego tym bardziej godne podziwu jest to co zrobiła dla nas i dla noworodków. Nadal stanowi *modus vivendi* i pociągają za sobą innych.

Wiśniowy mózg

Poznałem przez mojego Tatę, wówczas prokuratora powiatowego docenta zakładu medycyny sądowej i jego żonę również lekarzkę. Wyjawiłem im swój zamiar studiowania medycyny. Próbowali mnie od tego zamiaru odwieść, ale byłem już emocjonalnie uwikłany w swoje plany. Gdybym dzisiaj mógł wrócić do tamtego dnia też nie zmieniłbym zamiarów. Miałem wówczas siedemnaście lat i byłem wypełniony entuzjazmem do życia. Miałem też cudowną cechę jaką jest naiwność młodzieńcza. Mogłem wówczas pokonać każdą przeszkodę. Nic nie było w stanie odwieść mnie od dążenia do celu. Z perspektywy dnia dzisiejszego nie byłoby to takie proste. Ale wracam do moich znajomych. On był docentem patologii i zaproponował mi udział w sekcji zwłok. To miała być jak sądzę próba przydatności do studiowania medycyny. Był słoneczny, lipcowy, upalny dzień. Słodkawy zapach prosektorium był szczególnie intensywny z powodu upału. Ten słodkawy zapach towarzyszył mi później na ćwiczeniach z anatomii prawidłowej, ale nie zrobił na mnie już takiego wrażenia jak wtedy w budynku Medycyny Sądowej. W środku słońce już nie rozświetlało wszystkiego, panował półmrok. Środek pomieszczenia zajmował kamienny stół przypominający ołtarz ofiarny Azteków*. Dla Azteków oddanie życia na ołtarzu było zaszczytem, bo tylko dusze ludzi ofiarowanych bogom mogły wejść do najwyższego raju. Inny los spotykał jeńców lub wielkich wojowników, którzy mogli walczyć o życie na kamieniu o średnicy półtora metra, zwanym gladiatorskim. Ofiara, przywiązana krótkim sznurem do kamienia, musiała stoczyć cztery pojedynki z najlepszymi

wojownikami azteckimi, których zadaniem było nie zabić, lecz swymi uzbrojonymi w kamienne ostrza maczugami w sposób zręczny i delikatny naciąć skórę skazańca tak by cały spływał w krwi. Kiedy żywcem krajany człowiek załamywał się z wyczerpania i upływu krwi, czekała go już tylko śmierć na ołtarzu ofiarnym. Ten obraz przedstawia, tak ceremonialny, mistyczny wymiar śmierci nie przypadkowej, wywalczonej i spełnionej. Jeśli jeniec, gladiator, pokonał wszystkich kolejnych przeciwników, mógł odzyskać wolność. Na naszym kamiennym stole sekcyjnym leżał nagi mężczyzna w wieku nie więcej niż 40 lat, w każdym razie młody, za młody, żeby umrzeć. To było takie realne i nierealne zarazem. On nie zamierzał umrzeć, stracił życie w wyniku wypadku samochodowego jak się okazało z powodu wypitego alkoholu. Technik ubrany w gumowy fartuch i rękawice ułożył głowę denata na drewnianej podpórce, wprawnym ruchem wykonał cięcie od ucha do ucha łukiem obiegającym czaszkę. Następnie bezceremonialnie zaczął ściągać płat twarzy w dół co wymagało sporo siły, aż w końcu zrolowana twarz zniknęła naciągnięta pod brodę. Za chwilę tylny płat skórny razem z włosami został zrolowany w podobny sposób do poziomu potylicy. Elektryczną piłą odpiłował czerep, po czym zdjął go i ukazał się mózg. Nachylił się nad denatem i uważnie powąchał po czym mruknął pod nosem „*wiśniówka*”. Pił wiśniówkę! W zamkniętej przestrzeni czaszki zapach alkoholu mającego silne powinowactwo do mózgu był szczególnie intensywny. Przyszła kolej na wnętrzności i z powodu wrażenia jakie to na mnie wywarło, jak i upału lata zrobiło mi się

słodko i słabo. Musiałem na chwilę wyjść na świeże powietrze. Dość szybko mi przeszło i wróciłem do sali sekcyjnej. Po tym powrocie wiedziałem już, że podołam wyzwaniom studiów medycznych skoro okoliczności sekcji, woń i widok zwłok w upalne lato nie przeraziły mnie całkowicie i dotrwałem do końca, a chwilową słabość w czasie sekcji zwłok pokonałem i nie odwiodło mnie to od bycia studentem medycyny.

Ciągle zadaję sobie pytanie. Czy gdybym mógł powrócić do tamtego dnia, czy pozostałbym przy swoim wyborze? Jakie to miałyby znaczenie skoro od tego lipca minęło ponad 40 lat, a podróże w czasie pozostają w sferze teorii i filmie” *Wehikuł czasu*”. Akcja filmu zaczyna się w Nowym Jorku w roku 1899. Główny bohater to marzyciel i zapalony wynalazca. Osobista tragedia powoduje, że próbuje on zmienić bieg czasu. Odkrywa jednak, że nie można zmienić przeznaczenia. Zrozpaczony w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące go pytania, postanawia wyruszyć w podróż do przyszłości. Nawet gdybym wsiadł do wehikułu czasu i powrócił do tamtego czasu to coś może bym zmienił, ale pytanie brzmi co? Nie można zmienić przeznaczenia, które się dokonało. Idę więc dalej wybraną wówczas drogą aż któregoś dnia zabraknie mi sił a inni będą iść dalej.

Moja druga próba

Sobotni wieczór na Osiedlu Lumumby w Łodzi należał do

studentów. W klubach studenckich grały zespoły rockowe, piło się wino, rozmawiało, tańczyło czyli żyło. W pokojach akademickich toczyło się życie towarzyskie w mniejszych grupach podgrzewane przy pomocy „rozjuszaczy cytoplazmatycznych” czyli etanolu w różnych postaciach i rozcieńczeniach. Zwykle zapasy okazywały się niewystarczające i trzeba je było uzupełniać. Szedłem z kolegami alejką wśród akademików. Na trzecim piętrze jednego z nich pojawiła się postać forsująca okno. Dostrzegłem zielone rękawiczki wojskowe, które nie gwarantowały dobrego uchwytu bo były z miękkiej bawełny, a zamiary postaci w oknie miały charakter wyraźnie alpinistyczno kaskaderski. Trzymając się parapetu oparł się nogami o górną framugę okna piętro niżej i wykonał nieszczęśliwy manewr uchwycenia się piorunochronu przypiętego do ściany metr obok. W tym momencie obsunęła mu się noga a ręka nie zdołała dostatecznie silnie zacisnąć uchwytu na piorunochronie. Odpadł od ściany i jak w zwolnionym filmie zaczął spadać w wykonując obrót głową w dół. Uderzył o ziemię jakieś piętnaście metrów ode mnie. Działąłem intuicyjnie, podbiegłem, oceniłem oddech. Nie oddychał. Z ust lała się krew na trawę. Delikatnie odchyliłem głowę na do tyłu i na bok aby mógł złapać oddech, co też zrobił. Zauważyłem otwarte złamanie nadgarstka. Był nieprzytomny. Krew obficie płynęła z ust. Oddychał. W krótkim czasie przyjechało pogotowie ratunkowe. Moja rola się skończyła. Niestety student nie przeżył. Ale wiedziałem od tego momentu, że w sytuacjach krytycznych zrobię co należy. Wiedziałem, że mogę dalej studiować medycynę z pewnością że w krytycznym

momencie podejmę odpowiednie, zdecydowane działanie i, że posiadam predyspozycje do wybranego przez siebie zawodu. Determinacja i trzeźwość umysłu pomimo braku wiedzy i doświadczenia medycznego utwierdziły mnie w przekonaniu o wyborze kierunku studiów. Pomimo, że nie udało mi się uratować pacjenta i podobną utratę przeżyłem jeszcze nie raz i pewnie będę przeżywał podejmowałem i dalej będę podejmował walkę o życie. Nie każda taka walka kończy się porażką.

Doba kończy się północy

Na pierwszym roku medycyny Królestwo Anatomii dominowało całkowicie nad naszą wolą, umysłem i czasem. Kierownikiem Zakładu Anatomii Prawidłowej w Łodzi był profesor Tadeusz Wasilewski, legenda studentów tamtejszej uczelni. Kto te legendę „przeszedł” ten miał prawo przypuszczać, że ukończy studia medyczne. Tajemnice anatomiczne człowieka zawarte są w siedmiu tomach Adama Bochenka. Przeczytać to monstrualne dzieło jest już wyzwaniem a nauczyć się go w całości to prawie niemożliwe. Próbowałem na początek „do oporu” i udawało mi się wytrwać do drugiej lub trzeciej nad ranem. Jednak następnego dnia nie nadawałem się do użytku. Oczy zamykały się same, spałem na wykładach, byłem półprzytomny na ćwiczeniach i z przerażeniem myślałem o kolejnej nocy z anatomią Bochenka. Któregoś dnia postanowiłem, że będę się

uczył do północy, nie dłużej. Jeżeli to nie wystarczy na opanowanie materiału to znaczy, że ja nie nadaję się do studiowania medycyny. Od tego czasu uczyłem się do północy, byłem w lepszej kondycji następnego dnia a moja wiedza na tym nie ucierpiała. Jednak egzamin z anatomii to było gigantyczne wyzwanie, zdawało go zazwyczaj nie więcej niż pięćdziesiąt procent studentów. W końcu nadszedł dzień egzaminu. Stres był ogromny. Studenci opowiadali anegdotę o koledze który zapytany o nazwisko całkowicie obezwładniony strachem powiedział:” *Nie wiem panie profesorze jak to jest po łacinie*”. Krążyła także anegdota o studentce, która trzymała w ręku łopatkę i która na pytanie co to za kość odpowiedziała; łobojezyk.

Władca anatomii prawidłowej posilał się słonymi paluszkami. Miałem wrażenie, że był w niezłym humorze, ale to nie zmieniało faktu, że miałem mniej niż pięćdziesiąt procent szans na zdanie egzaminu. Była to swoista rzeź niewiniątek podobna to tej dokonanej w Betlejem przez Heroda Wielkiego, który na wieść o narodzinach króla żydowskiego chciał usunąć konkurenta do tronu. Rzeź niewiniątek została opisana w Ewangeli wg św. Mateusza. Pośród małych dzieci, które kazał w Syrii zamordować Herod, znalazł się też jego synek. Daleko niesie się zawodzenie Rachel, która opłakuje swe dzieci i nie chce utulić się w żalu, bo ich już nie ma. Mateusz nie przekazał liczby zamordowanych chłopców. Późniejsze przekazy starały się wyolbrzymić ich ilość, synaskaria greckie określają liczbę zamordowanych na 14 tysięcy, Hieronim ogólnikowo na wiele tysięcy (multa parvulorum milia), syryjskie przekazy mówią o 61 tysiącach, a

martyrologium Usuarda o 144 tysiącach. Jak ten Herod mógł z tym żyć?

Dostałem zestaw pytań a jedno z nich dotyczyło nerwu błędnego, który jak wiadomo błądzi po całym organizmie począwszy od czaszki a skończywszy na jamie brzusznej. Błądziłem razem z tym nerwem i trwało to dosyć długo ale jakoś zawsze wracałem na ścieżkę. W końcu profesor ledwo podnosząc głowę powiedział „*Panie Rudnicki, Pan to nic nie umie*”. Zdrętwiałem. Oznaczało to naukę przez całe wakacje, czyli brak wakacji i na dodatek całkowicie niepewny drugi termin. Profesor odetchnął, przegryzł słonym paluszkiem i dokończył „*Ale można się z Panem dogadać*” po czym wlepił mi trzy na szynach. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Do dzisiaj to trzy na szynach stanowi dla mnie powód nieuzasadnionej dumy. Po egzaminie zgodnie ze zwyczajem wykąpałem się w fontannie na środku *campusa* i zjadłem gałązkę paproci narecznicy samczej, chociaż nie byłem pewny konsekwencji. Ta trująca roślina należy do gatunku rdzennej paproci Europy. Obecnie występuje na całej półkuli północnej i w Ameryce Północnej. Niegdyś używana jako lek przeciw tasiemcom. Po wielu latach rozmawiałem z moim współmieszkańcem ze studiów Stasiem Różalskim. Splot wydarzeń spowodował, że dostał posadę asystenta na anatomii prawidłowej i sam uczył jej studentów. Twierdził, że anatomia jest do nauczenia się. Opanował ją dosyć szybko jako asystent. Potwierdziła się maksyma „*repeticio mater studiorum est*”. Pewnym problemem na ćwiczeniach były dla mnie zwłoki ludzkie, które preparowaliśmy. Zawsze budziły

respekt, a do tego dochodził od nich bardzo ostry zapach formaliny, którą były nasączone. Nie udało mi się do tego przyzwyczaić do końca, tak jak nie można się przyzwyczaić do śmierci pacjentów, która zawsze porusza wszystkich głęboko. Dzisiaj studenci ćwiczą w większości pewnie na komputerowych, trójwymiarowych lub czterowymiarowych obrazach ludzkiego ciała. Takie możliwości praktycznie daje już cyfrowa tomografia komputerowa. Można różne układy i narządy oglądać z różnych perspektyw. Można różne narządy i organy wydzielać i oglądać w przestrzeni i w ruchu z różnej strony. Na co dzień, w praktyce klinicznej korzystają z tych technik lekarze dziedzin zabiegowych. Mogą w ten sposób przystępując do zabiegu mieć dość realne wyobrażenie o tym co ich spotka w podróży w głąb ludzkiego ciała.

Ludzie nauki

Na parterze budynku zakładów teoretycznych Wojskowej Akademii Medycznej przy placu 9 maja w Łodzi mieściły się obok siebie patomorfologia i fizjologia. Kierownikami zakładów byli szacowni profesorowie, utytułowani niezwykle. Jak głosiła plotka nie lubili się bardzo i dokuczali sobie na różne sposoby. W zakładzie fizjologii jeden z nich prowadził badania nad wpływem diety na metabolizm szczurów. Szczury były karmione precyzyjnie według ustalonego programu co było warunkiem uzyskania rzeczywistych

wyników całego eksperymentu. Drugi profesor podkarmił szczury swojemu koledze aby w ten sposób zepsuć mu wyniki badań i doprowadzić do błędnych wniosków. Obaj szacowni profesorowie zachowywali się jak małe złośliwe dzieci i uprzykrzali swoje życie jak to tylko było możliwe kiedy jeden wychodził na korytarz drugi mówił: *”O tak wcześnie do domu kolego profesorze?.”*

Kujon

W mojej decyzji o wkuwaniu nie później, niż do północy w krótkim czasie utwierdził mnie przykład kolegi. Był wyjątkowo pilnym studentem. Wieczorem zabierał się do nauki w oryginalny sposób. Podręczniki obłożone starannie w szary papier układał w wieżę na łóżku. Na stoliku nocnym kładł dwie paczki papierosów i co najmniej litrowy garnek mocnej, czarnej kawy. Sam układał się na boku, lewą ręką podpierał głowę i dzięciolił anatomię, fizjologię i inne dziedziny podpierając się nie tylko rękami, ale kawą i papierosami marki Sport. Tak udało mu się dotrzeć prawie do końca pierwszego semestru, aż organizm odmówił współpracy. Zwykle nieprzytomny ze zmęczenia usypiał na ranem. Tak było każdego dnia, ale do czasu. Którejś nocy poczerwieniał na twarzy, rozboleła go głowa, źle się poczuł i stracił przytomność. Karetka pogotowia odwiozła go do szpitala. Więcej go nie zobaczyliśmy, nie wrócił do studiów, może na innej uczelni? Wówczas utwierdziłem się w przekonaniu, że na siłę, wbrew naturalnym predyspozycjom i możliwościom organizmu nic nie da się zrobić. Czasami nadinterpretowałem tę zasadę schodząc na

manowce słodkiego lenistwa, które pochwałał lekarz z wykształcenia Antoni Czechow, który napisał cyt. *„Bez próżnowania nie ma prawdziwego szczęścia.”* Nie on jeden docenia lenistwo. Robert Koch w książce *„Sposób na życie 80/20”* pisze, że mniej zmartwień i mniej pracy przynosi więcej sukcesów i radości. Nie bardzo wiadomo dlaczego tak jest, ale można osiągnąć sukces w życiu prywatnym i zawodowym nie uczestnicząc w szaleńczym i wyczerpującym wyścigu jakim jest życie. *„Wystarczy wyznaczyć sobie najważniejsze cele życiowe (20%) i skupić się na nich, a rezultaty będą nieproporcjonalne do włożonego wysiłku (80%).”* Zasada ta funkcjonuje jednak tylko wówczas kiedy nasze ograniczone wysiłki w dążeniu do celu są systematyczne. Czasami warto odpuścić na chwilę, wstać, wyjść na spacer, wypić kawę i kieliszek koniaku i będzie nam wówczas łatwiej przekroczyć kolejne progi niemożności. Jak sądzę ciężka wyczerpująca praca nie dająca szans na regenerację zmęczonego mózgu każe pracować mu sprawdzonymi schematami. Dopiero kiedy pozwolimy sobie na wypoczynek w mózgu otwierają się klapki, które wkrótce zamieniają się w skrzydła i znowu możemy lecieć wysoko uwolniwszy zniewolony talent. Czasami przymuszony sytuacją ignorowałem zasadę uczenia się tylko do północy, pracowałem do późna, ale zdarzało się to rzadko.

Szklane schody i kawiarenka

Czyli jak zakochałem się w pediatrii. Na trzecim roku Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi rozpoczęły się w ćwiczenia

z pediatrii. Odbywały się one przy ul. Spornej w Instytucie Pediatrii Akademii Medycznej, którego szefem był prof. Kazimierz Sroczyński. To była postać imponująca mi bardzo. Miał dystyngowany wygląd, granatowe volvo i nie lada historię życia za sobą, którą poznałem dopiero później kiedy zbierałem materiały w Archiwum Państwowym Warszawy do doktoratu o dzieciach okupowanej przez Niemców Warszawy. Nosił też o ile pamiętam muszkę co dla mnie ma pewne znaczenie emocjonalne. Muszkę nosił również mój nauczyciel muzyki Feliks Dzierżanowski i stryj Witold Karwowski. Kliniki mieściły się w parku pełnym jabłoni i grusz. Same budynki były projektowane przez architektów we współpracy z pediatrami. Rozmach był duży. Socjalistyczna ojczyzna zbudowała dzieciom łódzkich prząśniczek i robotnic szpital na światowym wówczas poziomie. W Łodzi ta tradycja była kontynuowana później jeszcze przez budowę Centrum Zdrowia Matki Polki. Nie były to najgorsze tradycje, a szpitale służą do dzisiaj założonym pierwotnie celom co w Polsce nie jest zjawiskiem powszechnym. No ale wracam do tych schodów i kawiarenki. Wnętrza były przestronne, szerokie korytarze, duże okna, schody łączące wiele poziomów, schody z przeszklonymi bocznymi barierkami. Piękne sale wykładowe i kawiarenki dla studentów i studentek. To wyróżniało akademię cywilną od wojskowej, gdzie w owym czasie studiowali wyłącznie chłopcy. Później na niedługo przed upadkiem WAM studiowały również dziewczęta. W mundurach, ze spódniczkami i zgrabnymi czapczkami wyglądały lepiej niż w sukienkach czy dzinsach, ale to było później i mnie już tam nie było.

Ten świat, nieco oddalony od wojskowości, za którą nie przepadałem, od pierwszego wejrzenia stał się moim światem i w nim upatrzyłem sobie przyszłość. Pierwszego dnia ćwiczeń już wiedziałem, że tylko pediatria wchodzi w grę. Urok tego miejsca wywołał u mnie miłość od pierwszego wejrzenia do pediatrii. Wiele lat później profesor Andrzej Piotrowski, obecnie kierownik Oddziału Klinicznego Intensywnej Terapii i Anestezjologii Dziecięcej UM w Łodzi, zaprosił mnie na wykład o kangurowaniu do tego samego miejsca. Był styczeń, wokół zima. Ogród okalający budynki spał w oczekiwaniu na wiosnę. Te same korytarze w środku, pielęgniarki, dzieci, lekarze, odwiedzający. Szedłem do sali wykładowej, w której miałem wystąpienie. Tam też powinna być ta kawiarenka z 1972 roku. Wreszcie schody okalające salę z boku, wiodły do kawiarenki, w pół zasłoniętej rozsuwana kratą. Pokazała się miła Pani, która podała mi herbatę z cytryną i pączka jak trzydzieści lat wcześniej. Odżyły wspomnienia i zadziwiła mnie ta nagle trafność ówczesnego wyboru, którego po tylu latach nie żałuję. Jeszcze słówko o profesorze Andrzeju Piotrowskim. Jest osobą o niezwykle miłym i ujmującym zachowaniu. Kiedy się z nim rozmawia lekko pochyla głowę w bok i uważnie patrzy w oczy swojemu rozmówcy. Jego książka o niewydolności oddechowej noworodków napisana jest pięknym polskim językiem a jasność i logika wyводу powoduje, że czyta się tę książkę jak najlepszą powieść a zawiłości najbardziej wyszukanych technik wsparcia oddechowego są jasne jak słońce. Takie osoby zapamiętuje się na całe życie i chowa w sercu i głębokiej wdzięczności.

Kirk Douglas

Kto nie zna Kirka Douglasa? Współczesne pokolenie może go nie znać, ale za to pewnie zna jego syna Michaela Douglasa chociażby z filmu „*Miami vice*”. Ojciec cieszył się nie mniejszą popularnością. Urodził się jako Issur Danielowicz Demski. Jego rodzice, Herszel Danielowicz i Bryna Sanglel, białoruscy Żydzi uciekli z carskiej Rosji i w 1908 r. osiedlili się w Amsterdamie, w stanie Nowy Jork. W 1936 r. otrzymał Oscara. Sławę zdobył tytułową rolą nieugiętego gladiatora i przywódcy największego powstania niewolników w starożytnym świecie w filmie „*Spartakus*” (1960) w reżyserii Stanleya Kubricka. Zagrał w hollywoodzkich produkcjach, takich jak „*Ostatni zachód słońca*”(1961), „*Układ*” (1969) czy „*Był sobie łajdak*” (1970). W 1968 odebrał nagrodę im. Cecila B. DeMille’a. Jest autorem siedmiu książek; dwóch autobiografii, trzech powieści i dwóch książek dla dzieci. Był mega gwiazdą kina światowego i odwiedził Łódzką Szkołę Filmową. To był dopiero zaszczyt. Tuż obok mnie, zniewolonego tyranią studiów medycznych i zawodowej służby wojskowej. Do wolnego świata elitarnej sztuki filmowej przybył Kirk Douglas. Nie tylko on. Później bywał Roman Polański i inni. To nie pierwszy raz i nie ostatni, kiedy bliźniutko obok mnie działo się coś nadzwyczajnego, a ja byłem przekonany, że nigdy nie opuszczę Ludowego Wojska Polskiego i będę w nim trwał bez końca a medycyna organiczna

pozostanie moją jedyną nadzieją i radością życia. Ogarniał mnie wówczas smutek, nie znajdowałem wyjścia z sytuacji. Jediną pociechą pozostawał fakt, że jestem studentem medycyny, no i fortepian, który stał na parterze w sali wykładowej. Bycie studentem medycyny stanowiło dla mnie wartość wobec której inne okoliczności traciły swoje znaczenie. Fortepian na którym w chwilach smutku grałem pocieszając się muzyką był furtką do zaczarowanego ogrodu muzyki, która wzruszała mnie, budziła najlepsze emocje dla których warto było żyć.

Roman Polański, Marek Hłasko, Krzysztof Komeda, Wojciech Frykowski zwani „*nieśmiertelnymi*” nie przeżyli eskapady do USA. Roman Polański oskarżony o kontakty erotyczne z nieletnią nie przeżył w sensie cywilnym i musiał stamtąd uciekać a trzej pozostali nie przeżyli w ogóle. Żyją oczywiście powieści Hłaski i kompozycje Komedy. W różnych, dramatycznych okolicznościach stracili życie. Historia ta opisana jest w książce „*Nieśmiertelni*” Krzysztofa Kąkolewskiego. Zyskali sławę i zostali „*nieśmiertelnymi*” z tytułu legendy jaką po sobie pozostawili. Polański nadal swoją legendę tworzy. W filmie „Rosemary’s Baby” jest taka scena jak matka (Mia Farrow) rodzi dziecko antychrysta, które odbierają Jej natychmiast po porodzie. Nie może się z tym pogodzić, idzie szukać i znajduje je. Dziecko wygląda okropnie, tak okropnie i przerażająco jak może wyglądać diabeł. Ale matka przytula je, ponieważ miłość matki jest ponad całe zło tego świata. I to jest piękne w tym filmie. Także lęki matki w młodej niedoświadczonej kobiety w ciąży stanowią druga

warstwę tego filmu i są jego zasadniczą wartością. Zatem tylko z pozoru film jest horrorem. W istocie jest opowieścią o potędze ludzkich uczuć. Kołysankę „Rosemary’s Baby” napisał do filmu Krzysztof Komeda. To trzecia jazzowa kołysanka na świecie. Skomponowana jest w pięknej geometrycznej formie, linia melodyczna regularnymi kaskadami schodzi w dół by zaokrąglonym łukiem wzniesć się do góry, obrócić się wokół siebie i powrócić do źródła. To konstrukcja łącząca uporządkowanie i piękno. Rozlegają się dźwięki kołysanki Krzysztofa Komedy takiej smutnej i takiej pięknej. Krzysztof Komeda był z wykształcenia lekarzem. W istocie leczył muzyką. Takie rzeczy działy się obok mnie, w których nie brałem udziału, a jednak we mnie są.

Fortepian

Na parterze akademika mieściła się sala na jakieś trzysta osób z kolumnadą i fortepianem. Po południu lub wieczorem kiedy ogarniała mnie tęsknota za domem i „*wolnością*” ponieważ uważałem się za zniewolonego przez fakt zawodowej, „*dożywotniej*” wówczas służby wojskowej siadałem do fortepianu i grałem. Fortepian był czarny, majestatyczny i pięknie brzmiał. Granie przynosiło mi ulgę na duszy i ciele. Granie było lekarstwem na tęsknoty, kłopoty, depresje. Dzisiaj gram bez mała w całości dla satysfakcji i przyjemności swojej i tych, którzy słuchają. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie mam depresji. Miewam różne, zimowe, zawodowe, osobiste, z bezsilności. Zawsze

jednak jak dotychczas wiem co jest ich powodem, czasami tylko nie wiem jak temu zaradzić. Nie można zaradzić wszystkiemu. Z tym graniem to jest tak, że w trakcie koncertu muzyka „wrywa” mnie z rzeczywistości. Wszystko poza nią na te dwie godziny koncertu znika, nie istnieje, po prostu nie ma tego. I pomimo, że po zakończonym koncercie rzeczywistość wraca nie zmienia to faktu, że przez dwie godziny jej nie było. Byłoby jednak kompletnie nieuczciwe, gdybym pisał o muzyce jako o antydepresancie. Muzyka to nie jest różowa tabletki, wręcz przeciwnie. Muzyka rozwija i uczy wrażliwości i to przenosi się na wszystko inne w życiu czyniąc je lepszym. Jest niedefiniowalna. Znamy siedem dźwięków i pięć półtonów, zatem wydawałoby się, że nic prostszego jak tworzyć z dwunastu elementów konstrukcje. Okazuje się, że bez większego problemu można tworzyć melodie, etiudy, małe i duże formy w nieograniczonej ilości tyle, że tylko nieliczni tworzą takie, które są piękne. A to tylko dwanaście dźwięków, nie więcej.

Kontrasty

Klub studencki „*Kontrasty*” w Szczecinie, „*Żak*” w Gdańsku, „*Siódemki*” w Łodzi, „*Od Nowa*” w Poznaniu stanowiły w latach 60 i 70 - tych realne centra kultury nie tylko studenckiej. Życie studenckie rozrywkowe, teatralne, muzyczne czy filmowe koncentrowały się w tych klubach. Najbardziej oblegane były soboty. Żeby do klubu wejść trzeba było mieć znajomości. W klubie panował ścisk niemiłosierny

co miało swoje zalety. To była jedna masa młodych ciał, które ogarnął szal tańczenia, bycia razem, picia razem, identyfikowania się z innymi i potwierdzenia przynależności do grupy. Niemal wszyscy się znali. Za barem legendarna Pani Lena nalewała szybko i sprawnie. Można było doprawdy zapomnieć o wszystkim w taki sobotni wieczór. Na małej scenie grał zwykle zespół muzyczny, era muzyki mechanicznej miała dopiero nadejść, chociaż dyskoteki już były w modzie. To było szaleństwo jednej nocy, jeden raz w tygodniu. Klub miał swoich rezydentów, którzy mieszkali w nim mniej czy bardziej na stałe. Klub miał swoje historie zarówno artystyczne jak i sytuacyjne. Dużo takich zna dr Jerzy Romanowski, który obiecał historie te opisać. Jak nie w tej książce to może w innej. Jurek to taki bardzo miły gość, który obietnic dotrzymuje ale musi się nagadać co trochę trwa.

Budynek w którym od 29 kwietnia 1961 roku znajduje się Studenckie Centrum Kultury Kontrasty jest częścią większego kompleksu terenu zajmowanego przez dawny Zakład Opiekuńczo-Szpitalny „Bethania” (Krankenhaus Bethanien) prowadzony przez siostry diakonistki założony w 1866 roku między ulicami: Mickiewicza (Kreckower Strasse) i Wawrzyniaka (Alleestrasse). Celem działalności zakładu była opieka nad chorymi, dziećmi oraz zagrożonymi chorobami.

Studenckie Centrum Kultury KONTRASTY jest również miejscem spotkań i twórczości młodych muzyków skupionych w różnych zespołach. Z sal prób tego klubu wyszło wielu znanych artystów, takich jak „Hey”, „Firebirds”, „Dum Dum”, „The

Days”, *”Teges Nara*”, Maciek Silski, Grzegorz Grzyb itd. W klubie ćwiczą także zespoły jak *”Emerald*”, *”Lebowski*”, *”Ambulanza*”, *”Analog’s*”, *”Road Trip’s Over*”, *”Skambomambo*”, *”Indios Bravos*”, *”Anti Dread*”, *”Beri Beri*”, *”O.D.C.*”, *”Annalisa*”, *”Sklep z Ptasimi Piórami*” itd. Oprócz sal prób w budynku SCK Kontrasty działa również studio nagrań. W klubie Kontrasty działa do dzisiaj ambitne kino, którego historię powinien pisać ktoś inny. Ale czy to wystarczy aby klub istniał nadal?

Trans

Profesor Erwin Stefan Mozolewski ówczesny Rektor PAM przecinał wstęgę w trakcie ceremonii otwarcia klubu studentów Pomorskiej Akademii Medycznej. Problem polegał na tym, że wstęga biegła nie w poprzek ale wzdłuż od wejścia przez cały parter, dwa długie zbiegi schodów i na piętro. Kiedy wziął nożyczki do ręki zmartwiłem się, że potrwa to trochę długo i będzie wyglądało „*mozolnie*”. Tymczasem profesor lekko naciął materiał, zablokował nożyczki i szybkimi korkami, a po schodach susami sunął wzdłuż wstęgi prując ją na dwie części. Byłem pełny podziwu dla sposobu w jaki rozprawił się z tą wstęgą. Mowę też miał sensowną i krótką. W ten sposób tak jak wprowadził szczecińską laryngologię akademicką do grona ośrodków wiodących w świecie tak wprowadził Trans na szerokie wody życia akademickiego. I wszyscy od tej pory mogli cieszyć się zabawą i wciąż tworzyć jej nowe formy. Co się tam jeszcze w klubie działo przez całe lata długo by opowiadać. O „*Medycynie humanistycznej biologicznej*” i Sławku Kruszyńskim, o

tym jak silna grupa klubowiczów wciągnęła do klubu wrak Fiata 125p, o tym jak koledzy jazzmani zostawili Maurycego Przybyłowicza na scenie na solo z kontrabasem i o mało o nim nie zapomnieli. Kiedy wrócili po trzydziestu minutach Maurycy grał w najlepsze i pewnie mógł grać długo jeszcze, o tym jak przyjechała wycieczka studentów radzieckich z których jedna połowa pilnowała drugą połowę w związku z czym nie doszło do prawdziwego zacieśnienia stosunków między zaprzyjaźnionymi narodami słowiańskimi.

Maurycy Przybyłowicz pochodzi ze znanej muzycznie rodziny. Jego tata był, nauczycielem muzyki w szkole muzycznej w Stargardzie Szczecińskim, a brat Krzysztof członkiem zespołu *String Connecton* w którym między innymi grali Krzesimir Dębski, Krzysztof Ścierański i inni. Był współtwórcą zespołu *Lombard*, który zyskał dużą sławę w latach 80 i 90-tych. Sam Maurycy był wiceprezesem banku, właścicielem studia nagrań a aktualnie zajmuje się nagłaśnianiem koncertów innych muzyków. Człowiek niezwykle ujmujący w obejściu, lubi papierosy i mięso marynowane pieczone na grillu.

Dzisiaj Trans jest po przebudowie i usytuowana jest tam biblioteka akademicka. Kiedy wybieram się tam w poszukiwaniu wiedzy ozywają wspomnienia wesołej zabawy, koncertów i imprez. Siadam w bibliotece i słyszę dźwięk kontrabasu Maurycego, głos Stanisława Soyki, gwar przy barze z tamtych lat.

Jako biblioteka Trans wygląda imponująco. W elewacji pojawiły

się gotyckie okna nadające nową przestrzeń zewnątrz i wewnątrz. Szara i czerwona kolorystyka wnętrza, pełno studentów w różnych pozach z książką, wpatrzonych w ekrany komputerów lub siebie nawzajem. Trans zamienił się w świątynię wiedzy. Wiele serca, wyobraźni i talentu włożyła w jego wnętrze Dagmara Budek, kustosz PAM.

Żeby wyzdrowiała

Czyli historia leczenia córki dowódcy 17 Batalionu Saperów, człowieka o kluczowym znaczeniu dla mnie jako lekarza na początku mojego rozwoju jako lekarza a szczególnie w kontekście specjalizacji z pediatrii. Personel medyczny batalionu składał się sanitariusza kierowcy i sanitariusza oraz mnie w randze porucznika a także sanitarki marki Lublin starszej ode mnie, o niezwykłych właściwościach. Przede wszystkim jej resory były zdecydowanie najlepsze na świecie. W warunkach poligonowych potrafiła przedostać się przez najbardziej pofałdowany teren. Bujała się majestatycznie i ekstremalnie na głębokich koleinach nie przewracała się wbrew wszelkim prawom fizyki chroniąc od wszelkich wstrząsów pacjentów i pasażerów. W srogą zimę można było w niej zainstalować żeliwną kozę, wyprowadzić komin przez okno i ogrzewać wnętrze. Temperatura w środku pozwalała na przebywanie w bieliźnie. Na wyposażeniu były jeszcze dwie skrzynie leków, materiałów opatrunkowych i narzędzi oraz spirytus stanowiący nieustanne źródło

zainteresowania przemarzniętych poligonowym chłodem kolegów. Oczywiście nie miałem zamiaru spędzić całego życia zawodowego na tym spokojnym stanowisku. Miałem nieodwołalne postanowienie zostać lekarzem dzieci i pracować w szpitalu wojskowym. W tamtych czasach wyjście z Ludowego Wojska Polskiego i zakończenie zawodowej służby wojskowej było niewyobrażalne trudne, niemal niemożliwe. Każdy człowiek był na wagę złota oczywiście na wypadek walki z imperializmem czy to obronnej czy wyzwoleniczej w myśl powiedzenia H.Sawki „*zdobynamy czy wyzwalamy*”. Jednostki wojskowe były bardzo liczne i wchłaniały każdą liczbę żołnierzy i oczywiście lekarzy mających stanowić zabezpieczenie medyczne. Ciężko też było wydostać się lekarzom z jednostek wojskowych do szpitali. Niektórym nie udało się to przez całe lata. A Ja chciałem być pediatrą. To wymagało pozwolenia na otwarcie specjalizacji a następnie wielomiesięcznych stażów w klinikach i szpitalach. Mój dowódca Henryk Tacik wówczas w randze kapitana miał córkę może pięcioletnią. Dzisiaj musi mieć ona około 35 lat. Jak ten czas szybko biegnie. Ale wtedy miała 5 lat i zachorowała. Mój dowódca prosił abym ją zbadał ponieważ zachorowała. Wsiadłem w tramwaj i pojechałem. Rozpoznałem infekcję oskrzeli i zapisałem antybiotyk o nazwie *Rulid*, Bardzo pragnąłem aby zadziałał zarówno z powodu mojej pacjentki jak z powodów osobistych bo miałem nadzieję, że otrzymam zgodę dowódcy na swoją upragnioną specjalizację. To był swojego rodzaju egzamin. Pacjentka wyzdrowiała. Nie wiem czy na skutek własnych sił obronnych, czy z pomocą leku, w każdym razie

wyzdrowiała a ja otrzymałem upragniony podpis. Droga do pediatrii stała się otworem. Prawie, bo jeszcze musiałem pokonać przeszkodę z dowództwie Okręgu. Tam dominowała doktryna wojskowa a według niej pediatrizy nie byli potrzebni tak jak specjaliści od chirurgii „polowej”, organizacji ochrony wojsk itp. Jednak uparłem się w rozmowie i w zasadzie bez większych przeszkód otrzymałem zgodę na swoją pediatrię. Mój dowódca batalionu saperów był erudyta i miłym człowiekiem. Publikował artykuły naukowe z zakresu wojskowości. W czasie długich pobytów na poligonach wojskowych godzinami siedzieliśmy w jego wozie sztabowym i rozmawialiśmy o różnych sprawach. Później szybko awansował do stopnia generała i pełnił ważne funkcje w wojsku polskim.

Z tym *Rulidem* była jeszcze inna historia. W wiele lat później urodził się chłopczyk ważący niecały kilogram. To było pierwsze dziecko kangurowane w trakcie mechanicznej wentylacji w naszej klinice. Na dodatek kangurowała matka i ojciec na przemian. Mały leżał na piersiach, czasami trzymał się ręką za rurkę intubacyjną jakby grał na trąbce i tak powoli dzień po dniu, przybierał na wadze i nabierał sił. Przeżył i został wypisany z kliniki bez większych szkód poniesionych w trakcie intensywnej terapii. Jego zdjęcia z rurką wentylacyjną i kangurowanego widziało wielu neonatologów w Polsce. Nie mogli uwierzyć, że to jest możliwe. Rodzice przyprowadzili go w trzecie urodziny do ambulatorium. Stanął przed plakatem reklamującym lek i bezbłędnie odczytał jego nazwę, chociaż na raty Ru... Ru... Rulid... powiedział skrajnie mały wcześniak w

wieku trzech lat. Takie historie napawają wiara w sens ratowania tak małych dzieci przy obecnym stanie wiedzy medycznej. Wiedza nieustannie rozwija się i to co dzisiaj jest takie trudne i obarczone niepewnością co do dalszego rozwoju ratowanych małych wcześniaków w przyszłości będzie zapewne znacznie mniejszym problemem. Ale żyjemy w teraźniejszości.

Miłość

Miałem już 27 lat, własne dwupokojowe mieszkanie na Witkiewicza, samochód marki Skoda *Octavia*, telefon, tzw. pozycję społeczną, w zasadzie wszystko potrzebne do życia. W domu ciepło, przytulnie. W zasięgu ręki książki, gitara, sprzęt stereofoniczny *Tesla*. Mogłem spokojnie czekać na telefon od kogoś? Mogłem... Pomyślałem sobie, że jeśli dokucza mi samotność dzisiejszego wieczora, to jeżeli mam mieć szansę spotkania dziewczyny dla mnie, tej jedynej na zawsze, to muszę gdzieś wyjść, muszę wyjść, wyjść naprzeciwko Niej. Przeczucie? Tego wieczoru mój Wielki Dobry Przyjaciel Anioł Struż, którego bez wątpienia mam w Niebie podpowiedział mi co mam zrobić. Miałem wyjść, więc wyszedłem. Tym razem przez napotkanego kolegę architekta Zdzicha Wawrzczaaka trafiłem pod klub Politechniki Szczecińskiej *Pinokio*. Zwykle chodziłem do klubu Akademii Medycznej *Trans* ale tym razem nie. Było już ciemno. Na niebie na przemian migotały gwiazdy lub nie wiadomo skąd pojawiały się przelotne chmury i zaczynał padać

drobny deszczyk. Zdychu był z towarzystwem. Zostawili mnie ze swoją koleżanką na dziedzińcu a sami poszli załatwiać wejście do klubu. W tamtym czasie, żeby wejść w sobotę do klubu studenckiego trzeba było mieć „wejście”. W praktyce oznaczało to, że trzeba było mieć, znajomego w klubie, który do klubu wpuścił, nic więcej, ale aż tyle. Tak więc zostałem na dziedzińcu z tą koleżanką w oczekiwaniu na „wejście”. Kątem oka dojrzałem, że ma duże, ładne, wyraziste oczy. Jest gładko uczesana. Ma zgrabną głowę, ładny nosek i piękne, kształtne usta. Miała na imię Małgosia. Stałem z nią na dziedzińcu pod niebem pełnym gwiazd, pod parasolem chroniących nas przed orzeźwiającymi kropelkami deszczu. Małżeństwem zostaliśmy w pół roku później. Od tego czasu minęło trzydzieści lat. Kolejna rocznica XXXV zwana „koralową” sugeruje jaki prezent powinna otrzymać M. Jednak prezent co pięć lat to trochę mało. Ogromną przyjemność sprawia jej zawsze bukiet róż lub tulipanów kupowanych przy okazji codziennych zakupów w Lidlu. Po powrocie do domu wkłada je do dzbanka emaliowanego koloru kości słoniowej na kawę, który pięknie się prezentuje w takiej sytuacji a zupełnie nie sprawdza jako zaparacz do kawy. Wracam jednak do M. często Ci którzy nas znają zadawali mi pytanie jak można kochać tyle lat. Stąd tekst piosenki napisałem bez trudu, bo ten tekst we mnie tkwił.

Jak można kochać tyle lat, aż tak

Jakby za zawsze się zatrzymał, cały świat

Noce gorące w pochmurne dni

Kwitające łąki w pustynie z kamienia

Wszystko się zmienia, tylko nie my

Jak można żyć w zachwycie sobą, mimo wad

Jak można kochać bezustannie tak

Pomimo smutków, depresji złych

Pomimo wszystko, jesteśmy My

Płynie wciąż zagłowiec nasz

Żagle mu wypełnia wiatr

A horyzont jest taki sam

Chociaż już opłynęliśmy świat

Czy przeżyjemy jeszcze raz tyle lat

Bez względu na to jaki będzie świat

Czy będę patrzył na Ciebie tak

Jakbym Cię widział pierwszy raz

Pod parasolem z samych gwiazd

Przyszłość nieznaną nam odkryje kiedyś czas

Za tą przyszłością jakaś inna czeka nas

Nie rozpleciemy naszych rąk

Nieważne jak daleko stąd

Pozostaniemy razem Ty i Ja

Jan Kowalski i Roger Vadim

Roger Vadim, znany francuski reżyser filmowy miał pięć żon,

Brigitte Bardot, Annette Strøyberg, Jane Fonda, Catherine Schneider, Marie-Christine Barrault był związany z Catherine Deneuve. Francuski reżyser, scenarzysta i aktor. Jeden z pionierów nowej fali francuskiego filmu. Scenarzysta i reżyser filmowy, również aktor. Był jednym z pionierów francuskiej nowej fali. Jego filmowy debiut "*I Bóg stworzył kobietę*" (1956) przyniósł mu sławę reżysera skandalisty, a z jego ówczesnej żony, Brigitte Bardot, uczynił symbol seksu i uosobienie obyczajowej emancypacji kobiety lat 50.

Pan Jan Kowalski mieszka w M3 na obrzeżach centrum miasta. Rozwiódł się z żoną, ale nadal mieszkają w tym samym M3 razem, udając, że osiągnęli wolność. Wychodząc do pracy Pan Jan Kowalski zamyka na klucz drzwi do swojego pokoju, w którym i tak nie ma nic cennego.

Roger Vadim po rozstaniach ze swoimi pięknymi żonami, że nawet gdyby chciał, to nie miał okazji na nie patrzeć. Pan Jan Kowalski pomimo że nie chciał już patrzeć na swoją dotychczasową żonę to musiał.

Zupełnie inną sytuację kreuje swoim obywatelom państwo Szwecja. Szwedzi mogą się żenić i rozwodzić ile dusza zapagnie, ponieważ jest nie do pomyślenia aby swemu obywatelowi *svenska kommun* nie przydzieliła mieszkania, w związku z tym rozwodzą się i żenią wielokrotnie nie martwiąc się o kolejne mieszkanie dla kolejnej rodziny. Problem leży natomiast gdzie indziej, dzieci z takich wielokrotnych związków tracą orientację kto jest ich rodzicem a kto ciocią lub wujkiem. W związku z tym stworzono programy badawcze,

których celem jest znalezienie sposobu na zachowanie relacji rodzinnych i właściwego rozwoju osobowościowego dziecka w tej sytuacji. Teraz przyszła mi na myśl anegdota z okresu II Soboru watykańskiego, na którym dyskutowano o celibacie księży katolickich. Włoski ksiądz twierdził, że zniesienie celibatu nie powinno mieć miejsca bo to odciąga od kontemplacji wiary, niemiecki ksiądz twierdził że powinno się znieść celibat bo to niezyciowy zakaz, a polski ksiądz powiedział „*to ja już wolę żeby było jak dotychczas*”. Zwolennicy zmian posoborowych podkreślali, że oznaczają one pozbycie się przez Kościół katolicki sztucznej, formalnej bariery odgradzającej go od współczesnego świata. I dobrze.

Feliks Dzierżanowski

To, że był kompozytorem, że miał charyzmę, że był sławny, dyrygował swoją orkiestrą w polskim radio w każdą niedzielę, że nosił wiązaną ręcznie muszkę, która w owym czasie jeszcze nie wzbudzała u mnie większego zainteresowania to było nic w porównaniu do faktu, że komponował! To robiło na mnie wrażenie. Grać z nut, owszem. Ale komponować, to było przyrównanie tego Kogoś do naznaczonego talentem, absolutne wywyższenie, to była twórczość, stworzenie. Były to co prawda małe formy, Poli, oberki, kujawiaki, ale to nie miało znacznie wobec faktu, że były to Jego kompozycje. To coś jak cud stworzenia i narodzenia dziecka. Mają moc tworzenia. Feliks Dzierżanowski był dyrektorem szkoły muzycznej w Grodzisku Mazowieckim. Szkoła muzyczna robiła niesamowite wrażenie. To piękna stara budowla chociaż nieduża miała wygląd bardzo

eleganckiego o nienagannie wyważonych proporcjach pałacyku. Swoim wyglądem przypominał świat, pełen harmonii, spokoju, piękna i mądrości wieków. Miałem wówczas osiem czy dziesięć lat i dworek ten robił na mnie wielkie wrażenie. W późniejszych latach szkoła muzyczna została przeniesiona do budynku z wielkiej płyty i to sprawiało już przykre wrażenie. Ze szkołą muzyczną mieszczącą się w dawnym budynku łączyła ją tradycja ale to było według mnie mało, bardzo brakowało tego dworku. Na szczęście ostateczną siedzibą szkoły muzycznej stał się Dworek Skarbków wybudowany w II połowie XVIII w stylu barokowo-klasycystycznym. Rodowa siedziba kolejnych właścicieli Grodziska Mazowieckiego. We wnętrzu znajdują się unikalne polichromie autorstwa Jana Bogumiła Plerscha z 1782 r. Obecnie Państwowa Szkoła Muzyczna I st. im. Tadeusza Bairda, polskiego kompozytora, który zadebiutował wkrótce po wojnie. Wraz z Kazimierzem Serockim i Janem Krenzem stworzył tzw. "Grupę 49", która postawiła sobie za cel komponowanie muzyki socrealistycznej. Wielokrotnie podkreślał też, że jego utwory są "muzycznymi wyznaniem", rodzajem "dziennika pisanego nutami". Przykładem: *Jutro* (dramat muzyczny), *Erotyki*, czy *Ekspresje*. Jego imię nosi Filharmonia Zielonogórska, Państwowa Szkoła Muzyczna I st. w Grodzisku Mazowieckim a także Państwowa Szkoła Muzyczna I st. w Iławie, oraz jedno z osiedli w Grodzisku Mazowieckim.

Po latach szkoła zyskała właściwą dla siebie siedzibę ale nie imię Feliksa Dzierżanowskiego. Kiedy jestem w domu rodziców w Grodzisku Mazowieckim lubię iść na spacer i zobaczyć oba dworki, z

którymi związane są losy szkoły muzycznej i moje. Zrobię sobie zdjęcia i przywiozę je do Szczecina, kawałek historii swojego życia. W tej pierwszej siedzibie były stare meble, wspaniały parkiet i piękny, przedpotopowy telefon i sekretarka o niezwykle dystyngowanym wyglądzie, zachowaniu i wielkiej urodzie, której nie zmienił wiek tej damy. Do dzisiaj mam czuć tę atmosferę w sobie.

Feliks Dierżanowski ukończył Konserwatorium Muzyczne w Moskwie (klasa skrzypiec i kompozycji). W 1933 założył Polską Kapelę Ludową, która wkrótce zaczęła regularne występy przed mikrofonami Polskiego Radia. Był też założycielem Prywatnej Szkoły Muzycznej w Milanówku. Feliks Dierżanowski został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, otrzymał nagrodę *”za twórczość muzyczną i rozpowszechnianie piękna polskiej muzyki ludowej”* oraz Złotą Odznakę za Zasługi dla Województwa Warszawskiego (1967). Zgromadził ok. 5 tys. utworów ludowych i własnych kompozycji, będących w repertuarze Polskiej Kapeli Ludowej. Był synem zesłańca, walczył z bolszewikami, był echem przeszłości w odróżnieniu od T. Bairda, który był echem przyszłości.

Bożenka i smoki

Bożenka była pielęgniarką na oddziale noworodków szpitala wojskowego. Szczupła, wesoła i zgrabna, filigranowa blondynka. Zalecali się do niej żołnierze z kompanii obsługującej szpital. W

jednym z nich zakochała się chyba bez pamięci. A było tak. Podczas dyżuru spałem w gabinecie i obudził mnie ostry zapach spalonej gumy. Wstałem, wyszedłem na korytarz i widzę jak Bożenka stoi oparta o futrynę, z odchyloną do tyłu głową, jak portugalska piosenkarka Fado wpatrzona w przystojnego żołnierzyka, a on w nią. Obraz żywcem przypominający scenę Wojciecha Kossaka *"Kirasjer i dziewczyna"*. W kuchence mlecznej gotowały się smoki do karmienia noworodków, przypaliły się i zapach przypalanej gumy wiał się przez cały oddział. Mnie obudził ze snu, a Bożenka nie odrywała oczu od żołnierzyka, straciła powonienie. Jak się ta historia miłosna skończyła to nie wiem. Natomiast zupełnie minęła era gotowania smoków jako nieskuteczna jeżeli chodzi o ich odkażanie. Teraz używa się smoków i butelek jednorazowych z jednorazową mieszanką w środku. Są sterylizowane fabrycznie.

A miłość pozostała taka jak była. Jeżeli chodzi o smoki prawdziwe to czas również nie pozostaje w tyle, aby dzisiaj ożywić smoka wawelskiego na odległość w Krakowie i spowodować aby zionął piekielnym ogniem należy wybrać numer SMS o treści "SMOK" na numer 7168 (koszt 1,22 zł). Tym sposobem z każdego miejsca w Polsce i na świecie możemy smoka rozgrzać a kiedy zionie ogniem może przywróci do przytomności Bożenkę.

Sklep z Ptasimi Piórami

Zespół powstał ósmego marca 1978 roku w Szczecinie. Wszyscy jego członkowie są już dinozaurami. Oczywiście to przyjemnie być dinozaurem, sympatycznie i w ogóle dinozaury są obecnie modne. I te

roślinożerne i te mięsożerne z długimi, ostrymi zębami, szybkie tyranozaury. W przeszłości groźne, aktualnie sentymentalne. My jesteśmy raczej dinozaurami łagodnymi i podobna jest nasza muzyka. Oczywiście jak trzeba przyłożyć, to potrafimy. Muzyka powinna wzruszać, pobudzać wyobraźnię i podniecać, nakręcać. Ale co ja będę pisał o muzyce. Muzyki się słucha. Kolesie z zespołu to oczywiście cała historia. Jak ma nie być historia skoro trwa ponad trzydzieści lat? Najmłodszy w zespole jest Szymon Orłowski, basista, który zastąpił Maurycego. Maurycy początkowo grał na kontrabasie, ale w jakiś czas potem przerzucił się na gitarę basową i tak zostało. Pomimo wielu podejść nie udało nam się nawrócić go na kontrabas zwany wielorybem. Całkiem niedawno po wielu latach zrezygnował z grania z nami. Było nam bardzo żal z powodu jego decyzji. Wziąłem butelkę dobrej whisky, namówiłem Rysia Leoszewskiego i poszedłem z nim odwieść Maurycego od tego zamiaru. Udało nam się, ale nie na długo. Po pół roku Maurycy pożegnał się z nami definitywnie. Jego miejsce zajął Szymon, który ma dokładnie tyle lat co zespół. Szymon jest bardzo zdolnym muzykiem i gra z zacięciem swingowym. Robert Jarzębski i Lech „Groszek” Grochala mają też swoją ciekawą historię. Kiedy jeszcze służyłem w armii przyszli do mnie z prośbą aby pomóc im w odbyciu służby wojskowej w charakterze sanitariuszy w szpitalu. Nie miałem pojęcia czy mi się uda. W czasie trwania komisji wojskowej okazało się, że leczę dzieci prawie wszystkich członków tej komisji i z moją prośbą nie było żadnego kłopotu. Kiedy Robert i Lech pojawili się na oddziale Pani Irenka Talarek, siostra

gospodarcza, rzuciła na nich wzrokiem i przysłała do mnie do gabinetu mówiąc. Panie doktorze oni mają długie włosy a jeden to ma nawet warkocz, to chyba jacyś chuligani. Musiałem Pani Irence objaśnić, że to są muzycy i taka fryzura to w tym środowisku jest normalna rzecz. Odsłużyli swoje bez zarzutu. Obaj są bardzo pomysłowi muzycznie, rozwijają się ciągle. Ja, wymyślam piosenki i piszę teksty. Rysiu Dziubak jest perkusistą zawodowym. Ma wielkie wyczucie, gruntowne wykształcenie muzyczne i wysoką kulturę grania na hałaśliwym z natury instrumencie jakim jest perkusja. Robercik mówi od jakiegoś czasu, że jesteśmy „*Bandem*” coraz lepszym i ma rację, podobnie jak Rysiu, który mówi, że śpiewających duetów męskich jest mało, że to rzadkość. Ostatnio graliśmy z Rysiem koncert dla dosyć dużej i bez wątpienia wykształconej publiczności. Byliśmy ubrani w czarne spodnie i białe smokingowe koszule. Moje spodnie były skórzane, ale nie błyszczące, naprawdę z klasą, Obaj mamy się fizycznie i estetycznie dobrze. Graliśmy na stojąco, z dobrym nagłośnieniem z pasją ale bez zbędnych emocji, które odbierają precyzję wykonania. Koncert trwał ponad godzinę. Na jednym z koncertów kolega po poprosił, aby piosenkę „*Ty i ja*”...i nasze światy dwa zadedykować jego dziewczynie. Zrobiłem to i gramy. Oni się przytulają. Ona zaczyna szlochać. Było mokro od łez. Normalnie głośno płakała.

Ale to już historia. Teraz gram sam. Ma to swoje zalety wielkie ponieważ moja wyobraźnia może do woli hulać po dźwiękach wyobraźni niekrępowana przez konieczność dostosowania się do

pozostałych kolegów z zespołu. Współczesna technologia jak cyfrowe studio Ableton czy looper DigiTech pozwalają na realizację każdego pomysłu muzycznego w sposób samodzielny.

Prawda

„Mówienie prawdy nie jest błędem, ale mówienie jej w sposób cierpki jest nim” (Za Franciszkiem Solezym). Kiedy mówimy rodzicom prawdę o stanie ich dziecka powinniśmy pomyśleć czy ją naprawdę znamy? Każde słowo powiedziane o ich dziecku na krawędzi życia ma dla nich ogromne znaczenie, jeżeli jeszcze wypowiadamy się o tym jaka będzie jego przyszłość, a szczególnie jaka nie będzie, może to dla nich być torturą nie do zniesienia. Nawet jeżeli będzie zła to Oni będą to inaczej widzieć. Z naszych informacji i prognoz powinno wiać ciepłem i nadzieją. Dlatego mówiąc „prawdę” rodzicom powinniśmy być pewni, że zrozumieją oni to co chcemy im powiedzieć i być pewni tego co mówimy. Istotę prawdy poznają w czasie.

Upadek „Świętości”

Instytucje państwowe np. szpitale akademickie w „*minionej epoce meteorologicznej*” czyli w socjalizmie znajdowały się w pozycji uprzywilejowanej pod każdym względem. Teraz w IV Rzeczypospolitej, w warunkach wolnego rynku już tak nie jest. Dla przykładu często w gabinetach prywatnych lekarze mają lepszy sprzęt diagnostyczny, niż w klinice. Źle? Może i tak, ale należy zatem

pozbyć się złudzeń o protekcji państwowej i samemu kreować swoje miejsce pracy. To wyrażenie „*swoje*” też nabrało innego znaczenia. Nie czuje się, że jest to swoje miejsce pracy, dopóki jej się nie straci, wówczas traci się właśnie „*swoją*” pracę, miejsce, splendor z nim związany itd.

Nawet badania naukowe mogą być wykonywane przez prywatne kapitały, instytucje. W USA istnieją prywatne uniwersytety jak UCLA - University of California in Los Angeles. W Polsce, też są szkoły wyższe prywatne. Nie ma co obawiać się upadku instytucji. Prawdziwie silne naukowo, ekonomicznie, organizacyjnie i moralnie ośrodki przetrwają, a czy te bez moralności i siły naukowej powinny istnieć? Po co? Żeby uczyć jak nie należy pracować, leczyć i żyć?

Wojskowa Akademia Medyczna 1969-1975

Inaczej wygląda to z perspektywy czterdziestu lat. Inaczej wyglądało to 28 lipca 1969 roku. Tato przywiózł mnie do Łodzi „*Syrenką*” trzycylindrową, dwudrzwiową. Kiedy w dniu wyjazdu oddalaliśmy się od domu patrzyłem przez tylną szybę z uporczywie narastającym przeświadczeniem, że wyjeżdżam z domu na zawsze. Miałem wówczas siedemnaście lat i czułem całym sobą ten nieodwracalny smutek. To takie przygnębiające. Pamiętam każdy szczegół tamtego dnia. Byłem ubrany w jeansy Rifle za siedem dolarów z Pewexu, białą koszulę z krótkimi rękawami i adidas. Pożegnałem się z Tatą przed wejściem, przy którym stał umundurowany i uzbrojony wartownik. Krok po kroku zbliżałem się do tej furtki. Był piękny i słoneczny lipiec. Przekraczałem pewną

granicę w moim życiu. Po przejściu na drugą stronę już za parę godzin ostrzyżony prawie na zero, w polowym mundurze piłem w wojskowej kantynie herbatę i zagryzałem herbatnikami Petit Berry. Wszyscy wokół wyglądali tak samo jak ja. Wieczorem była kolacja, do której podawały kelnerki, młode i ładne. Tak to były jeszcze czasy, w których podchorąży wojska polskiego na stołówce zasiadał przy stole a jedzenie podawały młode i piękne uczennice technikum gastronomicznego. Apel wieczorny i capstrzyk, czyli spanie o dziesiątej wieczorem. Zmęczony wrażeniami i upalnym dniem zasnąłem szybko i głęboko. Moje zdziwienie nie znało granic, kiedy o szóstej rano kazali nam wstawać i wyjść na zewnątrz w krótkich spodenkach i podkoszulku na poranną zaprawę fizyczną. Później śniadanie, znowu te młode i ładne kelnerki, apel poranny i zajęcia wojskowe okresu unitarnego. Było się z czego pośmiać. Po raz pierwszy zobaczyłem pokaz działania gaśnicy przeciwpożarowej. W wyniku próby jej uruchomienia wyciekająca bokami piana oblała prezentera gaśnicy. Musztra pojedynczego żołnierza dostarczała nam uciechy, jaka może być udziałem modelki prezentującej na wybiegu kolekcje mody. Zajęcia z bronią strzelecką i strzelanie z ostrej amunicji były jedną wielką przyjemnością. Po trzech miesiącach szkolenia immatrykulacja w mundurach galowych. Duża uroczystość dla uczelni. Przyjechali rodzice. Otrzymałem indeks, po czym poszliśmy na kolację do Sali Malinowej w Hotelu Grand. Kiedy kolacja się skończyła, przyszedł moment pożegnania i wówczas zrozumiałem, że naprawdę opuściłem na zawsze dom. Miałem

siedemnaście lat.

Czułem się pokrzywdzony przez los przynajmniej przez pierwsze dwa lata studiów. Nie mogłem pogodzić się ze swoją wojskową sytuacją i nie umiałem docenić tego co w istocie dawało mi studiowanie w uczelni wojskowej. Była to uczelnia z tradycjami jeszcze przedwojennymi. Jej absolwenci podzielili los polskiej armii w wojnie obronnej 1939 roku, na zachodzie operując rannych pod ostrzałem w operacji „*Marker-Garden*” w Holandii, a na wschodzie byli mordowani przez Sowietów strzałem w tył głowy wraz z innymi polskimi oficerami. Poziom studiów medycznych jak sądzę był dobry. Z dzisiejszego ekonomicznego punktu widzenia na życie były to nie tylko studia za darmo, ale jeszcze otrzymywałem żołd, książki, umundurowanie, jedzenie. Na dodatek jeden miesiąc letni to był wypoczynek w dziewiczych lasach poligonów wojskowych, najczęściej w Drawsku Pomorskim. Do tego dwa tygodnie praktyki szpitalnej we wrześniu z pełnym zaopatrzeniem tzn. hotel, jedzenie, bezpłatny przejazd tam i z powrotem, praca na oddziałach szpitalnych i w laboratoriach. No i co ważne obowiązki wojskowe były w zasadzie iluzoryczne i zdrowe jak zdrowa była i jest poranna zaprawa fizyczna. Mieszkałem z trzema przemiłymi kolegami w zasadzie przez całe sześć lat. Stasiu Różalski i Marian Skrzynecki „z *tych Skrzyneckich*”. Obaj byli świetnymi studentami i kolegami. Stasiu uczył się bardzo solidnie, ale kiedy miał już dość i był zmęczony, a szczególnie po jakimś egzaminie szedł z kolegami na piwo i sobie tego piwa nie żałował, to prosił abym na niego czekał. Kiedy wracał

kładł się do łóżka nie zawsze do końca rozbierając się i spał długie godziny. Marian był niezwykle elegancki. Tej elegancji i utrzymywania munduru w najlepszym porządku nauczyłem się od niego. Kiedyś ta perfekcyjna elegancja umundurowania zaszkodziła mi trochę. Miałem mianowicie poprawkowe kolokwium z matematyki, co w przypadku studenta medycyny nie jest niczym dziwnym ani łatwym. To kolokwium przyjmowała Pani adiunkt, kobieta szczupła, w średnim wieku, z lekko pomarszczoną cerą i groźną miną mająca niezbitą pewność zgodną z rzeczywistością, że niewiele mamy do powiedzenia w tej dziedzinie. Odprasowałem swój mundur, wyczyściłem buty w sposób lustrzany i poszedłem. Pani „wyrachowana” na mój widok stężała i do mnie w te słowa; *„Widzę, że po kolokwium wybiera się Pan na randkę. Zobaczymy co Pan umie w takim razie”*. To był cios. Ubrałem się elegancko aby sprawić dobre wrażenie na egzaminatorce a wyszło inaczej. Nie mogłem tej randki potwierdzić ani zaprzeczyć bo by może wściekła się jeszcze bardziej, nie mogłem też powiedzieć, że ja tak zwykle dbam o mundur bo wściekłaby się, że to nie dla niej. Kolokwium było z przeszkodami, ale zdałem.

Wywiad z JM Rektorem Tadeuszem Brzezińskim

JR Gdyby można było cofnąć czas i na nowo miałby Pan Rektor przed sobą kadencję czy wyglądała ona by tak samo czy inaczej?

TB Ja sprawowałem funkcję rektorską w szczególnym okresie. Myślę, że gdybym znalazł się w analogicznej sytuacji postępowałbym tak samo.

JR To był szczególny okres stanu wojennego. Czy istniały wówczas jakieś zagrożenia dla uczelni?

TB Oczywiście, że istniały. Akademia była w tamtym okresie najmniej kochanym dzieckiem w Szczecinie. Prymat dzierżył powstały wówczas Uniwersytet Szczeciński. Nasza uczelnia była najmniejszą uczelnią jednowydziałową, politycznie nie współgrała z tamtymi czasami, a jednocześnie w sprawach rozwoju, inwestycji których potrzebowała, była zależna od ówczesnych władz. Taką szczególną sytuacją zagrożenia było nieszczęsne absolutorium 1983 roku, które ostatecznie się nie odbyło. Wojewódzkie władze partyjne, od których przecież wówczas wszystko zależało, zapowiedziały, że jeśli w absolutorium będzie uczestniczył jak w roku poprzedzającym arcybiskup Majdański, władze Szczecina będą bojkotowały uczelnię. Niestety studenci nie przyjęli mojej propozycji aby zorganizować absolutorium wyłącznie z udziałem ich i ich rodzin oraz nauczycieli akademickich, natomiast bez udziału zarówno przedstawiciela Kościoła, jak i władz świeckich. Absolutorium na tej zasadzie odbyło się dopiero rok później.

Były jeszcze inne zagrożenia. Wciąż wysuwano różne żądania odnośnie do zmian personalnych w kierownictwie uczelni i wydziału, ale udało mi się bez konsekwencji nie spełnić tych żądań.

JR Co było przyczyną, że władze nie chciały aby uczestniczył

biskup Majdański?

TB Przecież zdawały sobie sprawę, że Solidarność korzysta z oparcia w Kościele, że jest on podporą opozycji. A poza tym, wynikało to w dużej mierze z udziału biskupa w absolutorium 1982 roku. Po raz pierwszy, chyba od czasu utworzenia uczelni, w absolutorium uczestniczył przedstawiciel Kościoła. Cieszący się powszechnym szacunkiem i sympatią arcybiskup Majdański stał się centralną postacią uroczystości, był owacyjnie witany i żegnany, a wychodzące z uroczystości władze partyjne ledwo mogły przecisnąć się przez oblegający Go tłum absolwentów i ich rodzin.

Przy okazji uruchamiania szczecińskiego Hospicjum miałem okazję z księdzem biskupem na ten temat rozmawiać. Powiedział mi: proszę Pana, a ile ja miałem z tego powodu kłopotów.

JR Czasy były wyjątkowe. Z jednej strony komitet wojewódzki, z drugiej strony kościół, komitety solidarnościowe. To była trudna też sytuacja w szpitalu na Piotra Skargi.

TB Jeśli idzie o sytuację w szpitalu wojskowym na Piotra Skargi to władze wojskowe wykorzystały sytuację, że przeoczono termin wygasania umowy o działalności klinik Akademii w szpitalu i nie podpisano nowej. Wówczas usunięto kliniki położniczą i ginekologiczną. To nie była wina kolegów szczecińskich, to były decyzje warszawskie. Ale to wszystko działo się zanim ja zostałem rektorem.

JR W każdym razie uczelnia przetrwała stan wojenny.

TB Nie tylko przetrwała. Wobec spodziewanych wówczas

likwidacji małych, jednowydziałowych uczelni, udało się przekształcić Akademię w uczelnię dwuwydziałową. Udało się także, pozyskać środki inwestycyjne na budowę Zakładu Biochemii. Wprawdzie za mojej kadencji nie rozpoczęto jeszcze budowy, ale wprowadzono firmę budowlaną, która miała ją realizować. Tak, że nie tylko same straty wiążą się z tym okresem.

JR Czy udało się Panu zrealizować swoje zamierzenia w stosunku do uczelni?

TB Trzeba pamiętać, że funkcję rektora sprawowałem niecałe dwa lata. Profesor Januskiewicz zrezygnował w grudniu 1982 roku i wówczas przejąłem po nim funkcję. Myślę, że w sensie materialnym, można mówić tylko o tych dwu zrealizowanych zamierzeniach. Powstał wówczas Drugi Wydział Lekarski z Oddziałem Stomatologii i Studium Kształcenia Podyplomowego. Można spytać, dlaczego nie wydział stomatologii, skoro studiowali na nim tylko studenci tego kierunku? Otóż przeciw było Polskie Towarzystwo Stomatologiczne, które nie chciało odłączenia do wydziałów lekarskich, a także niektórzy przedstawiciele naszego środowiska, a tymczasem szło o szybkie pozbycie się charakteru uczelni jednowydziałowej. A co do budynku biochemii. Prace nad dokumentacją były prowadzone jeszcze za moich poprzedników. Kiedy je zakończono okazało się, że obiekt jest zaprojektowany na wyrost, na potrzeby wydziału farmacji, bądź analityki medycznej. Zastanawialiśmy się, czy wprowadzać zmiany do dokumentacji, czy przyjąć taką jaka jest. Wybraliśmy to drugie, inaczej środków nie udałoby się wówczas pozyskać. I wprawdzie

oddanie do użytku budynku miało miejsce dopiero po 11 latach, w roku 1995, to jednak wprowadzenie tej budowy do planu miało istotne znaczenie dla jej powstania. Natomiast to co najważniejsze, to fakt, że mimo tych ciężkich czasów ani jeden student, ani jeden pracownik z przyczyn politycznych nie został usunięty z uczelni. Owszem były trudności z zatrudnieniem nowych ale to już była sprawa zupełnie niezależna od władz uczelni.

JR Widział w zasadzie powinien być lekarsko-stomatologiczny ponieważ bez wsparcia lekarskiego stomatologia jest niepełna.

TB Oczywiście, że zawsze jest to jedna ze specjalności lekarskich i wiele katedr i zakładów jest wspólnych. W latach 40-ych były odrębne wydziały stomatologiczne, później zlikwidowano je włączając do wydziałów lekarskich jako oddziały. Dzisiaj znów stanowią wyodrębnione wydziały lekarsko-dentystyczne.

JR Co najbardziej utkwiło Panu Rektorowi z czasów Pana kadencji w pamięci?

TB Boże co mi utkwiło w pamięci? To co mi najbardziej utkwiło w pamięci to są dwie nieprzyjemne sprawy, których nie udało mi się pokonać, a właściwie to jedna. To słynne absolutorium z 83 roku, kiedy usiłowałem znaleźć wspólny język ze studentami i pozostałymi osobami z personelu nauczającego i to mi się nie udało. Ale o tym już mówiłem. Raczej utkwiły mi sprawy sprzed kadencji, kiedy jako pełnomocnik rektora do spraw młodzieży musiałem stawać na kolegiach orzekających w obronie studentów, albo kiedy na polecenie Rektora musiałem prowadzić z nimi nieprzyjemne dla nich i dla mnie

rozmowy. A z okresu kadencji, chyba to, że nie ze wszystkimi z Kolegów udawało mi się znaleźć wspólny język i zrozumienie. Nie łatwo być rektorem w takich czasach.

JR Nie wiem czy to ma związek z kadencją ale brał Pan duży udział w organizacji samorządu lekarskiego?

TB Owszem wypowiadałem się na te tematy, pisałem na temat tradycji samorządów, uczestniczyłem w pierwszym krajowym zjeździe jako delegat, ale kiedy ostatecznie samorząd powstawał to ja się już nie włączałem, jeśli nie liczyć udziału jako ekspert przy opracowaniu kodeksu etyki lekarskiej.

JR A siedziba samorządu skąd się wzięła?

TB A siedziba samorządu to już zupełnie inna historia. Jeszcze kiedy byłem komendantem szpitala wojskowego, a więc parę lat wcześniej, w budynku tym było wojskowe przedszkole, administrowane przez szpital. Podobno przy jakiejś okazji strajkowej obiecano, że budynek ten zostanie w przyszłości przekazany miastu. Kiedy przedszkole miało być przeniesione do innego budynku, zachęciłem zarząd Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, aby rozpoczął starania o budynek zanim zrobi to kto inny. Zostały one uwieńczone powodzeniem z tym, że wraz z towarzystwem znalazł się tam ośrodek doskonalenia kadr. Stopniowo, po kolejnych zmianach organizacyjnych znalazł tam siedzibę samorząd.

JR Trafił Pan do Szczecina z armii. Związał Pan swoje losy ze Szczecinem jest Pan darzony szacunkiem, chociaż przyszło Panu rządzić w trudnych czasach. Jakie to ma związki z etyką, osobistymi

cechami?

TB To kwesta osobistych poglądów na temat czym powinna być medycyna, jakie są zadania uczelni medycznej. Zawsze na pierwszym miejscu stawiałem problemy wychowawcze. W moim przekonaniu, uczelnie są po to aby kształcić i wychowywać lekarzy, leczyć chorych, prowadzić badania naukowe, a nie po to, żeby robić kariery naukowe, a zwłaszcza finansowe. Kariera naukowa powinna być wynikiem pracy, a nie jej celem.

JR Jakie jest miejsce etyki w medycynie?

TB To trudne pytanie. Z jednej strony te częste ataki na środowisko lekarskie nie zawsze są uzasadnione, a z drugiej - sam widzę, że ta medycyna dzisiejsza nie wiele ma wspólnego z takim jej pojmowaniem, jakiego mnie uczono. Oczywiście trudno porównywać w sensie merytorycznym medycynę sprzed lat przeszło pięćdziesięciu z dzisiejszą, ale jeśli idzie o stosunek lekarza do pacjenta nie powinien on ulec zmianie. Zastanawiałem się, czy mam rację, czy moje wymagania nie są zbyt wygórowane, ale przecież choć zmieniły się możliwości medycyny, nie zmieniły się oczekiwania pacjenta. Postęp techniczny, postęp nauki, wyparł prawie zupełnie wartości humanistyczne w medycynie. To znaczy nikt nie mówi, że one nie są potrzebne, jednocześnie są one spychane na margines. To wypieranie zaczyna się już w czasie studiów. Student teraz bardzo rzadko może zobaczyć lekarza w jego autentycznej pracy, kiedy pochyla się nad człowiekiem oczekującym pomocy. System kształcenia jest taki, że

każdy z asystentów coś umie najlepiej, w sumie jak student przychodzi na ćwiczenia to potrafi spotkać się każdego dnia z innym i właściwie widzi pracę lekarza w sytuacji wyrwanej z kontekstu. To uczy, ale nie wychowuje. Przez to zawód lekarza staje się jednym z wielu zawodów, w którym trzeba być tylko doskonałym w swojej specjalności. Jak to mi kiedyś powiedział jeden z lekarzy: najważniejsze, żebym dobrze leczył, a czy się będę uśmiechał do pacjenta to nie ma żadnego znaczenia. Jedno drugiego nie zastępuje, ani dobre serce nie zastępuje wiedzy ani najlepsza, najdoskonalsza wiedza nie zastępuje ludzkiego stosunku do pacjenta.

JR Ludzki stosunek do pacjenta wyraźnie poprawia wyniki leczenia

TB Oczywiście. Na festiwalu nauki zgłosiłem nieopatrznie taki temat „od empirii i magii do medycyny współczesnej”, i zastanawiałem się jak go zakończyć. Myślę, że będę się starał pokazać, że choć magia ma dziś inne znaczenie, to „magia medycyny” jako sposób oddziaływania lekarza na pacjenta, nie straciła wcale swego znaczenia. Teraz moje doświadczenie jako lekarza, ustępuje doświadczeniu w charakterze pacjenta i pozwala patrzeć na medycynę także z tej drugiej strony.

Nasz Tadeusz

Wywiad z Ewą Brzezińską i Witoldem Brzezińskim.

Wszystko co napisane zostanie o Tadeuszu nie ma właściwego

znaczenia dopóki nie powie się o Ewie Brzezińskiej, o jej uroku osobistym, urodzie, inteligentnej stanowczości, doskonałej czarnej herbacie jaką parzy i o przyjęciach jakie potrafi wyczarować, a potrafi. Po odejściu Tadeusza pytałem ją kilka razy czy chciałaby coś jeszcze o Tadeuszu napisać. Za każdym razem mówiła, że tak, że ciągle coś sobie uświadamia. Tak pewnie będzie to trwało i w niej i w nas.

JR. Ukazało i zapewne ukarzą się kolejne artykuły i wspomnienia o prof. Tadeuszu Brzezińskim jako o lekarzu, historyku i etyku medycyny, rektorze i nauczycielu akademickim. Ja chciałbym abyśmy opowiedzieli o Tadeuszu w sposób bardziej osobisty. Jakim był człowiekiem, tatą, mężem, jaki był jego stosunek do ludzi, jak ich zmieniał, jak ich wychowywał i kształtował. To tak samo ważne jak pisanie książek i artykułów, tak samo ważne jak bycie komendantem szpitala czy rektorem. Tworzył określony świat sobą i poprzez innych. Takie spojrzenie na Tadeusza jak na człowieka, na męża, na ojca, na mentora na przyjaciela chcemy opisać, naszego Tadeusza. Ewa jego żona, Witek syn ja jego wychowanek.

Tadeusz żył na przełomie epok politycznych. Niezależnie od tego jaka była epoka, jego spojrzenie na ludzi, medycynę i naukę był zawsze taki sam. Tak samo przyjazny, aktywny, twórczy i rozwojowy, niezależnie od okoliczności. Wykazał się charakterem w momentach przełomowych, wydobywał z życia to co dobre i wartościowe.

EB. Tadeusz był po prostu wierny swoim przekonaniom,

niezależnie od tego kto, gdzie lub jak. W naszym domu nie było ludzi, którzy powinni może być, zawsze byli Ci, których chciał widzieć, od podchorążych do okrzepłych już doktorów, Stasio, Rysio, Jacki, Wojtki.

Jeżeli mówisz o tych momentach przełomowych, to pamiętam jak Witek poszedł na studia i był na pierwszym roku, zaczęły się strajki. Wituś poszedł na strajk. Tadeusz nie próbował mu mówić, nie idź bo to może Tobie zaszkodzić.

WB. Co do strajku to nie próbował mnie przekonywać. Nie było żadnych rozmów w rodzaju zastanów się czy podobnych.

JR. Miał takie talenty, że nie musiał wspierać się innymi, mógł innych obdarzać swoją mądrością i wiedzą.

EB. Pamiętam takie spotkanie może dwa, może trzy lata temu, które zorganizował Andrzej Potemkowski i Rysio Wetożka. To było spotkanie neurologów wojskowych w restauracji Park. W pewnym momencie wszedł prezes Stowarzyszenia Absolwentów WAM Piotr Łuczak i zwraca się do Tadeusza. Chciałem Ci podziękować za to, że uczyłeś nas zachowywać się godnie w jakże często niegodnych sytuacjach. Jeżeli się publicznie od ucznia słyszy takie słowa to jest to bardzo wiele. Niejeden z profesorów chciałby takie słowa usłyszeć z ust wychowanka. Byli tam profesorowie Fryze, Nowacki, Ślusarek i wielu innych.

WB. Tak naprawdę to grono naszych najbliższych znajomych to są ludzie związani z WAM-em. To są ludzie, do których można wziąć słuchawkę, zadzwonić i powiedzieć potrzebuję pomocy i wiem, że

tam będzie na to odzew.

EB. To wynikało nie tylko ze specyfiki WAM-u. Tata miał tam szczególną pozycję tam i tutaj w PAM-e też. Pamiętam jak Tadeusz zdecydował się przerwać zajęcia z etyki. Przyszedł do domu i bardzo źle wyglądał. I jest telefon. Dzwoni ktoś, Tata nawet nie usłyszał nazwiska, tej kobiety, która mówi, Panie Profesorze mówili mi studenci, że Pan się źle czuje. Czy potrzebna jest jakaś pomoc bo ja mogę przyjechać? Nawet nie wiem kto to dzwonił. Tak chciał te zajęcia prowadzić a już nie mógł. Zajęcia były dla niego bardzo ważne. On ze śmiertelną powagą traktował wszystkich dla których coś szykował czy to byli uczniowie ze szkoły średniej, czy to byli studenci czy konferencja międzynarodowa. Tyle szacunku co on miał dla swoich słuchaczy i odbiorców. To go kosztowało mnóstwo pracy.

JR. Studenci lubili chodzić na jego wykłady, zarówno z powodu ich treści jak i jego osoby. To może już takie ostatnie wykłady o filozofii, o etyce medycyny. Wykłady humanistyczne. W tej chwili medycyna jest zdominowana nie tylko przez technologie ale także przez standardy, procedury i limity. Dzisiaj lekarz nie udziela sztuki medycznej ale ma obowiązek leczyć. Jeżeli pacjent wyzdrowieje to znaczy, że tak miało być, jeżeli nie lub pojawią się jakiegokolwiek powikłania to podejrzenia kierowane są na lekarza i kończy się to często rewanżem. Nikt nie pochwali lekarza jak się powiedzie leczenie, ale natychmiast zgani jak się nie uda. Lekarz patrząc na pacjenta zadaje sobie pytanie co on mi może zrobić, a nie jak ja mogę mu pomóc? Brak wzajemnego zaufania podważa dotychczasowe

zasady. Humanistyczne zasady znalazły się w trudnym położeniu. Wszystko zaczyna odwracać się do góry nogami i tym większych trzeba wysiłków i talentów aby zachować je w medycynie. Do tego dochodzą nowe osiągnięcia medycyny jeszcze bardziej komplikujące te zasady jak możliwość leczenia komórkami embrionalnymi, przeszczepy narządów, utrzymywanie przy życiu dzieci płodowych, ludzi przewlekle chorych. Tadeusz wiedział o co w tym chodzi ponieważ nie był teoretykiem medycyny ale również praktykiem. Stąd też wynikała siła jego przekazu. Jako pulmonolog wykonywał bronchoskopie twardym, optycznym narzędziem w kształcie rury, bez żadnej optyki. W niczym to nie przypominało współczesnych giętkich bronchofiberoskopów. Pacjent wyglądał jak śledź nabity na szpikulec do wędzenia. To nie było proste zadanie do wykonania. Miał doświadczenie praktyczne i wiedział co to znaczy zrobić coś przy pacjencie. Stąd też jego siła. Gdyby mówił tylko teoretycznie to nie miałyby to takiej wartości.

EB. Tadeusz pracował też popołudniami w szpitalu więziennym. Zaprzyjaźnił się ze swoimi pacjentami. On w tych więźniach jak opowiadał widział ludzi. Raz tylko badał pacjenta, który miał szaleńcze spojrzenie, takie że po grzbiecie chodziły mu ciarki. Jednego razu jak byliśmy w Warszawie podszedł do niego jakiś mężczyzna i mówi do Niego, dzień dobry Panie Tadeuszu, a to był więzień.

On prawie nigdy nie mówił o nikim źle. Nawet w stosunku do tych ludzi, którzy mu krzywdę zrobili.

JR. Mówił, że nie oczkuje od ludzi wiele, ale jak coś dobrego go spotka to się cieszy i jest wdzięczny. O ludziach nie mówił źle, ale oceniał i krytykował zdarzenia, decyzje. Co innego jest mówić źle o człowieku bo on jest niedobry, a co innego analizować sytuacje, decyzje etc.

EB. Ciężko się jednak jeszcze rozmawia. Akurat dzisiaj mija dwa miesiące od pogrzebu. On chciał być tak bardzo w porządku. Witek codziennie wychodził z listą poleceń, gdzie ma zadzwonić, co ma odwołać, co ma przełożyć.

JR. Zaskoczeniem dla wielu była śmierć Tadeusza. Pomimo, iż był bardzo chory nie dawał po sobie znać, że tak jest.

EB. Nie żalił się. Poza wąskim gronem przyjaciół lekarzy jak Stasiu Urbański, Rysiu Kowalewski, Andrzej Sikorski, prof. Jachowa, nikt nie wiedział jak bardzo był chory. Nikogo nie chciał obciążać swoją chorobą, swoimi problemami. Tadeusz tak niedawno mówił mi, że czuje się lepiej, czy to przez te kielki, które mu dawałam, czy to przez nasiona grejpfruta. Umiał szukać pozytywnych stron w życiu.

WB. Tato miał taką cechę, że cieszył się pracą. Jego radość życia polegała w dużej mierze na cieszeniu się pracą, którą wykonywał w zasadzie od rana do wieczora. Nie wiem co by było, gdyby mu tej pracy zabrakło. Jak ktoś się mnie pyta z czym mi się kojarzy dzieciństwo to zawsze odpowiadam, że z takim dźwiękiem, którego już nie ma, z dźwiękiem przesuwanej rolki maszyny i z dzwonkiem jak ta rolka dojeżdża do końca.

EB. Z drugiej strony miał taką cechę tworzenia i budowania

czegoś w sensie materialnym. Stąd jego działania w szpitalu na Piotra Skargi, w WAM-ie w PAM-e. Jak już gdzieś był to chciał coś robić, a nie tylko być. Natychmiast uruchamiał te swoje mechanizmy i myślał co by tu można było zrobić. Tak zorganizował muzeum historii medycyny w Łodzi, Szczecinie, tak rozbudowywał szpital na Piotra Skargi. Jak coś robił to wierzył w to. Jak coś robił to tylko dobrze. Miał dar współpracy z ludźmi. Potrafił z nich wydobyć wszystko i co najlepsze.

JR Zawsze miał młodzieńczą sylwetkę i ruchy energicznego młodzieńca. Jak rozmawiał z kimś to patrzył w oczy i tak lekko przekrzywiał głowę i skupiał się na rozmówcy. Umiał słuchać. Nie był gadułą. Ale jak już coś mówił to miał takie celne wypowiedzi i znał wierszyk na każdą okazję co bardzo podobało się wnuczce Jacusiowi.

JR Talentów miał wiele. Był doskonałym organizatorem, lekarzem i pisarzem. Osiągał sukcesy we wszystkich tych rodzajach działalności. Przy tym we wszystkim był humanistą i filozofem. Był wymagający dla siebie i innych. Doktoraty, które wychodziły spod jego ręki były cegiełkami historii medycyny, to wszystko są duże, poważne prace. Często ubolewał Nat tym, że publikacje w czasopiśmie takich jak Archiwum Historii i Filozofii Medycyny są tak marnie punktowane.

EB. Ale jaki on był emocjonalny, niemal choleryk. Ja nie wiem jak on panował nad emocjami. Choleryk nieprawdopodobny. Gdyby nie był choleryk to nie odszedłby z niektórych swoich stanowisk. A

tak to On mówił, to jest niezgodne z moimi przekonaniem, kartka papieru i już, sprawa załatwiona. Nie liczył się z konsekwencjami. Nie zastanawiał się co z tego będzie, jakie będą konsekwencje bo w tym momencie to było zgodne z jego przekonaniem. Uważał, że tak trzeba i sprawa załatwiona.

JR. Miał też inną cechę, mianowicie nie lubił za bardzo jeździć samochodem. Najgorzej Tadeuszowi szła jazda do tyłu. Strasznie się denerwował i parkowanie mu nie wychodziło.

EB. Nie przeszedł normalnego kursu. Chodził na zajęcia ze wamowcami a nie zawsze miał czas w nich uczestniczyć, miał przecież dużo obowiązków. Wrócił z egzaminu na prawo jazdy i ja go pytam, i co Tadeusz? No nic, jeden wystraszony czyli jak i trzech oficerów z WAM jego podwładnych. Ten egzamin zdał. Nie chciał jednak jeździć i był szczęśliwy jeżeli ktokolwiek chciał prowadzić samochód. Szukał wymówki, żeby nie prowadzić samochodu, a to, że deszcz pada, a to, że słońce za mocno świeci.

WB. Mama stresowała go strasznie. Kiedy wyjeżdżał z Tanowa to już zastanawiał się gdzie zaparkuje w Szczecinie. Nie nauczył się parkować. Parkowanie dla niego to był horror. To był wyczyn w jego wykonaniu, że on nauczył się jeździć samochodem. Tata nie miał żadnych zdolności manualnych. Nie umiał ani nic wkręcić, ani przykręcić.

EB. Ale bronchoskopie robił w szpitalu w Łagiewnikach. Profesor Szymański powiedział, że jakby miał nieć robioną bronchoskopię to poprosiłby Tadeusza.

WB. Pamiętam jak Tata opowiadał kiedy zaczynał pracę, chyba u profesora Ropka i miał zrobić nakłucie jamy opłucnej. Stał za pacjentem, wziął igłę i tak mu się ręka trzęsła, że nie mógł trafić w międzyżebrze. I ten profesor, który stał za nim wziął go za rękę i energicznie wkuł się w klatkę piersiową. W tym momencie pacjent odezwał się; o młoda, pewna ręka, nic nie bolało.

EB Nie miał zamiłowania do sportu. W piłkę nie grał, na rowerze nie jeździł. Jedynie spacerował.

WB. Natomiast to co zawdzięczam, to mając świadomość, że nie uprawiał żadnych sportów. Spacer był najbardziej wyczynowym sportem jaki uprawiał, ale dla odmiany mnie stworzył możliwości uprawiania stu różnych dziedzin sportowych. Nawet jak miałem jeździć konno to on się zapisał na kurs jazdy konnej w wieku niemal pięćdziesięciu lat. Myśmy razem na koniach jeździli. Tato tego kursu nie ukończył. Pod koniec tego kursu spadł z konia i już sobie dał spokój. Ale rzeczywiście i tenis, i narty, pod tym względem to ja miałem wszystko czego zapragnąłem. Tak jakby zdając sobie sprawę ze swojej ułomności sportowej chciał mi to zrekompensować.

EB Na rowerze próbowaliśmy Tatę nauczyć. Ale niestety nic z tego nie wyszło. Sportowym talentem nie był.

TB. Jak pojechaliśmy do WDW do Augustowa Mama namówiła Tatę, żeby wypożyczył łódkę, taką wiosłową. Wypłynęliśmy tą łódką z tej przystani, kręciliśmy się w kółko, bo okazało się, że Tata ma jedną rękę silniejszą od drugiej i pływaliśmy w kółko. I to by było pół biedy ale nie mogliśmy wrócić na tą przystań. Wreszcie kiedy

dopłynął w miarę blisko przyciągali nas tymi pagajami i jakoś przycumowaliśmy.

Ale jak siadał do maszyny, jak trzeba było coś napisać, powiedzieć to nie było problemu. To szło mu bez z łatwością. Kupował bardzo dużo książek, są wszędzie.

Stypendium w Los Angeles 1987

Alan Jobe sławny profesor neonatologii, znawca surfaktantu. Największą historię przeżyłem z nim w starym szpitalu marynarki wojennej USA z czasów II Wojny Światowej. Poznałem wówczas tajemnicę sukcesów naukowych zarówno od strony organizacyjno-finansowej jak i ofiary dla nauki, jaką ponoszą owce i jagniątko.

Allan był przystojnym profesorem uniwersytetu i jak na profesora przystało dbał o swój intelekt, trochę mniej o wygląd. Kiedyś przyszedł na seminarium. Spodnie miał szare z elano bawełny, wyprane i wyjęte z suszarki. To co mnie wówczas uderzyło, że nie prasowane. Najnormalniej w świecie pogniecione. A jak wygląda pognieciona elano bawełna to nie można sobie wyobrazić. To samo z koszulą. Patrząc wokół, nikt się nie dziwi, w ogóle nikt nie zauważa tych jego pogniecionych straszliwie ciuchów. Natomiast wszyscy słuchają tego co mówi. Nie tylko słuchają, ale dyskutują, pytają dlaczego dzieje się tak a nie inaczej. Najważniejsze jest „dlaczego?” a nie to, że tak jest. Jeszcze wrócę do tego pognieczonego ubrania. Sądziłem, że już bardziej „pognieczonego” nie zobaczę, ale myliłem się. Następnego dnia wykład miał jakiś młody cowboy z blond czupryną. To co zobaczyłem wprowadziło mnie w

osłupienie kompletne. Miał chabrowe popelinowe spodnie, chabrową koszulę z bawełny i chabrowy krawat. Wszystko prosto z pralki i suszarki w stanie pogniecenia nie do zniesienia. I znowu nikt nawet nie mrugnął okiem. Na sali był też Japończyk, który jak zauważyłem wcześniej był ubrany hiper super elegancko. Spodnie ze srebrzystego jedwabiu, w kant, z mankietem opływającym na skórzanych, błyszczących półbutach z miękkiej skóry. Koszula lekko pastelowa z jedwabiu, lekko załamująca światło w zależności jak padało i krawat z jedwabiu dobrany do reszty ze smakiem. Włosy kruczo czarne japońskie, błyszczące, elegancko podstrzyżone. Do tego dyskretny uśmiech podszyty tajemniczą filozofią Wschodu, co najmniej jak uśmiech Mony Lizy Leonarda da Vinci. Ale na niego też nikt nie zwracał uwagi. Na tych seminariach jest atmosfera „*ludzka*”. Przy wejściu stoi kawa i leżą ciastka, są też serwetki. Kto wchodzi bierze kubek kawy, ciastko, serwetkę i siada gdzie może, na krześle, na stole, na ziemi. W trakcie seminarium jeżeli ktoś jest śpiący to śpi, jeżeli ma coś do posłuchania to słucha, jeżeli do powiedzenia to mówi.

Allan tkwi we mnie do dzisiaj głęboko na różne sposoby. Kiedyś przeczytałem jego pracę o aerzoloterapii surfaktantem. Napisał w niej, że chociaż w trakcie rozpylania leku do płuc noworodka większość leku zostaje na ściankach urządzeń lub podlega utracie w ramieniu wydechowym to ta niewielka ilość, która dostaje się do płuc osiada wybiórczo tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, nie marnuje się przynajmniej w samych płucach. Oczywiście wielkość cząsteczki decyduje o tym jak daleko dotrze i czy dotrze do samych

pęcherzyków. Zmierzam do historii, dla której ważną osobą jest Szwed, Bengt Andreasson, z którym robiłem prace nad podawaniem surfaktantu do sztucznego płuca w formie aerozolu. Później oznaczano w laboratorium ilość substancji, jaka dotarła do sztucznego płuca. Wyszło mizernie bo tylko 10%. Teraz różne firmy światowe i tęgie głowy pracują nad tym jak podać w aerozolu lek skutecznie do płuc dziecka. Stosują przy tym różne technicznie zaawansowane rozwiązania. Zastanawiam się czy nie można podać surfaktantu w aerozolu dziecku do nosa, w dużym rozcieńczeniu, w długim czasie licząc na to, że jakaś jego ilość dostanie się jednak do płuc, chociażby 10 czy 15%. Przecież to i tak poprawi dynamikę jego płuc, uchroni być może jakąś liczbę dzieci przed intubacją.

Ile razy opowiadam tę historię dostaję dreszczy na myśl o jednej historii szczęśliwie zakończonej. Mieszkałem w San Pedro, w uroczym condominium. Jakies dziesięć metrów od domu miałem basen, jacuzzi. W lodówce banany, koniak, na zewnątrz niezawodne kalifornijskie słońce. Madonna śpiewała piosenkę „*La Isla Bonita*” czyli piękna wyspa w języku hiszpańskim. Śpiewa o pięknej wyspie San Pedro, która w istocie jest pięknem duszy ludzi Ameryki południowej. Piosenkę napisał autor tekstów i producent Patrick Leonard pierwotnie dla Michaela Jacksona, który ją odrzucił. Tego dnia pracowałem w klinice do lunchu, który był wyjątkowo smaczny. Była już godzina pierwsza w południe. W Polsce to zwykle czas zakończenia pracy szpitalnej. Wszyscy rozchodzą się do praktyk prywatnych. Pomyślałem sobie, że mógłbym pojechać do San Pedro,

popływać w basenie, zjeść banana, w Polsce to był zupełny rarytas, wypić kieliszek koniaku, poleżeć na słońcu. Już miałem się zbierać, ale pomyślałem sobie, że tyle było trudności do pokonania, żeby wyjechać do Kalifornii, tyle to kosztowało pieniędzy, że powinienem wykorzystać jak najlepiej ten czas, a wieczorem i tak pójde na basen z resztą atrakcji jak siedzenie w jacuzzi, picie wina i palenie papierosów i patrzenie w gwiazdy. Przemogłem senność, wstałem i poszedłem na oddział. Zorientowałem się, że jest jakieś przyjęcie, tylko nie wiedziałem z jakiej okazji. Nie bardzo wypadało mi się wycofać, pomyślałem więc, że złożę komuś życzenia, zjem trochę winogron i wypiję coca colę z lodem. Moją uwagę na wstępie zwróciła polska flaga na ścianie, obok niej amerykańska i napis „*Witać do Ameryka dr Jacek Rudnicki!*”. W tym momencie zdrętwiałem z przerażenia!!! Dotarło do mnie co by było gdybym wyszedł z kliniki w południe i pojechał do San Pedro. Nie doczekali by się na mnie z tym przyjęciem, z flagami, tortem zrobionym na zamówienie ze stosownym napisem. Na drugi dzień przyszedłbym do pracy nie wiedząc o co chodzi, dlaczego tak na mnie patrzą? Tam nikomu nawet na myśl nie przyjdzie aby wyjść z pracy w środku dnia. Opowiadaliby o tym zdarzeniu latami. Na szczęście uniknąłem nieszczęśliwej sytuacji.

Stefan i Wanda Wilk

Przemiała para, niezwykle oddana dla Polski. On ważna postać w fundacji CMCP (*Children Medical Care Program*). Ona w uniwersytecie kalifornijskim UCLA (*University of California in Los*

Angeles) utworzyła Polski Instytut Muzyczny. Wielokrotnie gościła Krzysztofa Pendereckiego, Krystiana Zimmermana i innych jak Henryk Górecki, którego III Symfonia zyskała sławę dorównującą przebojom muzyki popowej. Ich dom położony był na wzgórzach Hollywood z widokiem na metropolię i okalające pasma górskie. W ogrodzie był basen. W salonie fortepian. On starszy Pan zafascynowany komputerami, ona urocza Pani o ujmującej gościnności i obejściu. Ile Oni dobrego zrobili dla Polski w Ameryce trudno ocenić. W każdym razie Stefan dostał za to *Honoris causa* Akademii Medycznej w Poznaniu.

Moja Ameryka

„Być może istnieją czasy piękniejsze, ale te są nasze” Jean Paul Sartre. Kiedy wróciłem po trzech miesiącach ze stypendium w Los Angeles do PRL-u szarzyzna i nierówność chodników, niemożność rozwiązania wielu problemów przygnębiały mnie. Widoczny szczególnie bezpośrednio po powrocie dystans drażnił okropnie. Jedyne, co przychodziło mi na myśl w tej sytuacji to stworzenie własnej Ameryki w tym miejscu i w tych warunkach, w jakich się znajduję. Robiłem to i staram się robić do dzisiaj nie oglądając się na *„ciężkie czasy”* bo czasy zawsze są ciężkie, tylko niekiedy bardziej. Mój czas jako neonatologa przypadł na okres dość gwałtownego rozwoju samej dziedziny. W takiej sytuacji można było coś zrobić. Na dodatek mieliśmy i mamy sprzymierzeńca Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, którą dyryguje Jurek Owsiak i jego żona Lidia. Nie można przecenić ich wkładu w rozwój neonatologii. To co dali to

nie tylko ogromne pieniądze na zakup sprzętu. Słuchali z uwagą rad ludzi mądrych i zrealizowali programy takie jak nieinwazyjnej wentylacji noworodków, przesiewowego badania słuchu i inne. To przelożyło się na znaczne obniżenie umieralności okołoporodowej, na rozwój osobisty wielu neonatologów i na rozwój naukowy. Rozwój dziedziny odbył się także dzięki Grzegorzowi Bręborowiczowi i Januszowi Gadzinowskiemu, którzy wdrożyli program trzystopniowej opieki nad matką i dzieckiem, oraz wielu innym neonatologom, mądrym i konsekwentnym osobom.

Karmienie na 4 piersi

Mieliśmy na oddziale wcześniaka i jego młodą mamę, która dochodziła z domu. Uczyła się pielęgnacji, karmiła piersią, chociaż były z tym pewne problemy. Wpatrywała dnia wypisu swojego. W końcu dziecko osiągnęło dwa kilogramy masy ciała, wyglądało zdrowo i można je było wypisać do domu. Matka zgłosiła się po dziecko się ze swoją własną matką czyli babcią, która jak się okazało sama ma mleko w piersiach. W trakcie dyskusji o karmieniu w domu zapewniła, że problemu z karmieniem nie będzie ponieważ w każdej chwili wesprze swoją córkę jeżeli zajdzie taka potrzeba i dokarmi wnuczka.

Jest to jeden z przykładów pokoleniowej współpracy. Do podobnych można zaliczyć noszenie jaja płodowego córki przez jej matkę, co pozwala na posiadanie potomstwa w wieku w zasadzie poza

rozrodczym. Najpowszechniejszym przykładem takiej współpracy jest nieoceniona pomoc organizacyjna i finansowa w opiece sprawowanej przez babcię.

Cóż, że ze Szwecji

Stypendium Szwedzkiego Instytutu Naukowego zawdzięczam Bengtowi Andreassonowi. Sześć miesięcy jakie spędziłem w Malmö i Lünd ucywilizowały mnie w dużym stopniu. Musiałem doprowadzić do takiego stanu moją znajomość angielskiego, żebym mógł się bez przeszkód posługiwać. Wszyscy Szwedzi może z nielicznymi wyjątkami wśród starszego pokolenia mówią po angielsku. Szwedzi szybko zorientowali się że świat nie nauczy się ich języka. Chcąc mieć z nim kontakt nauczyli się języka świata. Są świetnie zorganizowani czego wyrazem jest brak ludzi śpieszących się. Zaraz po przyjeździe zauważyłem, że chodzę szybciej niż inni, zupełnie niepotrzebnie. Wszystko jest na czas i we właściwym miejscu „*fascina lente*”, śpiesz się powoli. „*I cóż, że ze Szwecji*” starał się powtórzyć zdrętwiałymi ustami po żonie podejrzany o opilstwo mąż. Ze Szwecji przywiozłem aparat do badania czynności elektrycznej mózgu (*Cerebral Function Moniotr - CFM*), dzięki czemu napisałem i skutecznie obroniłem habilitację. Pamiętam jak wiozłem ten aparat promem. Taka niewielka skrzyneczka, pierwsza w Polsce. Wiedziałem dokładnie, że to moja szansa na zdobycie habilitacji i zapewnienie sobie pozycji wśród samodzielnych pracowników nauki. W Polsce trudno jest napisać i przede wszystkim obronić habilitację. W Szwecji nie jest aż tak trudno zdobyć habilitację i zostać docentem,

za to bardzo trudno jest zostać profesorem. Trzeba mieć nie tylko osiągnięcia ale również stanowisko, czyli własną klinikę a tych jest ograniczona liczba. W USA liczy się tylko to co opublikowałeś, liczba zdobytych punktów za publikacje na Liście Filadelfijskiej i liczba cytowań. W Polsce zaczyna być podobnie.

Nils Svenningsen

To był szalenie inteligentny i subtelny neonatolog. Potrafił połączyć postęp technologiczny w medycynie z niezwykle łagodnym podejściem do noworodka. Myślał zarówno o tym aby noworodek był dostatecznie intensywnie leczony, ale dbał też o to aby nie sprawić mu bólu, nie wyrządzić szkody samym leczeniem i nie zaprzepaścić szans na dalszy rozwój. Był niezwykle odcytany i mądry. Niestety zmarł w młodym wieku na nieuleczalną chorobę. Bengt zabrał mnie na jego pogrzeb. Uroczystość odbyła się a Katedrze w Lünd, którą celebrował jego brat, ksiądz protestancki. Według dawnej legendy katedrę w Lund zbudował gigant. Założył się on z pewnym mnichem misjonarzem, iż zbuduje katedrę, ale po zakończeniu budowy mnich będzie musiał odgadnąć jego imię, w przeciwnym razie straci oczy. Mnich przyjął zakład i gigant zabrał się do pracy. Gdy kończył budowę katedry i miał kłaść ostatni kamień, zażądał wówczas od mnicha aby wyjawiał jego imię. Nagły głos dobiegający z głębi ziemi odpowiedział mnichowi imię giganta - Finn. Rozwścieczony olbrzym postanowił przy pomocy swej żony i córki zniszczyć

świątynię ale gdy chwycił rękami za filar, żeby potrząsnąć tylko co wzniesioną budowlą, został wraz z żoną i córką zaklęty w kamień i pozostał w kościele, gdzie do dziś podziwiają go zwiedzający. Katedra w Lund jest obecnie jedyną budowlą sakralną reprezentującą styl romański na terenie Szwecji, chociaż jej wygląd jest po części XIX-wieczną romańską stylizacją. Wieże katedry w Lund wznoszą się na wysokość 55 m. Zostały zbudowane podczas gruntownej przebudowy i restauracji prowadzonej przez Helgo Zettervalla, kiedy to wyburzono całkowicie oryginalne, średniowieczne wieże. Ze swymi namiotowymi dachami stanowią charakterystyczny element panoramy miasta i są doskonale widoczne z równiny, która je otacza. Najstarszy dzwon kościelny został o W portalu wejściowym umieszczonych jest dwoje drzwi z brązu, wykonanych przez Carla Johana Dyfvermana. Pokrywają je 24 reliefy z motywami zaczerpniętymi z Biblii, głównie ze Starego Testamentu. Ponad portalem znajduje się wykonany z betonu tympanon przedstawiający Jezusa Chrystusa, Kanuta IV Świętego oraz św. Wawrzyńca odlany w 1513. Wnętrze świątyni jest mroczne, ponieważ jej okna są niewielkie i jest ich mało. Do rozjaśnienia wnętrza poza nawą główną przyczynia się nieco bladoszara barwa kamieni i malowideł ściennych. W katedrze znajduje się stary zegar astronomiczny - *Horologium Mirabile Lundense*, pochodzący z XV w. Uległ on jednak z czasem zniszczeniu i został zdemontowany w 1837. W 1923 poddano go renowacji. Kiedy zegar wybija kuranty, słychać melodię niemieckiej kolędy *In dulci jubilo* z najmniejszych katedralnych organ; równocześnie przed

Maryją z Dzieciątkiem Jezus przesuwają się 6 ruchomych, drewnianych figurek, przedstawiających astrologów i ich pomocników. Zegar wybija kuranty codziennie 2 razy, o godz. 12.00 i o 15.00, natomiast w niedzielę pierwszy kurant ma miejsce o godz. 13.00, żeby nie zakłócać nabożeństwa. Ponad zegarem widać 2 rycerzy, którzy krzyżują miecze w takt wybijanych godzin. Zegar astronomiczny w górnej części pokazuje poza tym różne fazy księżyca i drogę słońca na tle znaków Zodiaku. Część dolną zegara stanowi kalendarz. Z jego pomocą można m.in. wyliczyć, kiedy przypadają kościelne święta ruchome i jaki dzień tygodnia wypada pod konkretną datą. Pośrodku kalendarza widnieje postać św. Wawrzyńca, patrona katedry a po jego bokach symbole czterech ewangelistów. Obecny kalendarz oblicza dni od 1923 do 2123 (dnia Sądu Ostatecznego według ówczesnych wyobrażeń), po czym trzeba będzie go przestawić na nowo, aby mógł dalej służyć

Po uroczystości pogrzebowej odbyło się przyjęcie w eleganckiej restauracji hotelowej. Wraz z upływem czasu ożywiały się wspomnienia o Sveningsenie, wraz z upływem czasu były coraz weselsze. Czasami słychać było śmiechy. To nie był przepojony smutkiem pogrzeb. Miał charakter w jakimś sensie pogodny. Nie było zwłok tylko urna z prochami, nie było głuchego uderzenia ziemi o wieko trumny, nie było wszechobecnego smutku. W sposób oczywisty nasz przyjaciel przeszedł do innego świata, za tymi którzy tam poszli i gdzie my wkrótce pójdziemy w myśl aforyzmu; „*Kim Ty jesteś, tym ja byłem. Kim jestem, Ty na pewno będziesz*”.

Congo Bongo Duodeni Maracas Papilla

To był zespół okazjonalno-artystyczny, koleżeńsko klubowy, lekko podekscytowany i jakby go tam jeszcze nie określić. „*Egzantema pustulosa, rabies, scabies dolorosa i ischiagia i causalgia, tańczą razem w rytm balanga. Laidy luetica, dans, dans, dans - Trans*”. Tego typu teksty do muzyki świata i rytmów południowych przyniosły nam lokalną sławę w studenckim klubie Trans. Większa sława w tej formacji nas nie czekała ze względu na skrajną trywialność naszej twórczości, ale jej walory towarzyskie zostały w pełni docenione. Jednym z członków tej formacji był Przyjaciół nas wszystkich dr Michał Szelański. Później odkryłem, że współpracował i przyjaźnił się z doskonałym muzykiem i kompozytorem Januszem Stroblem znany z Duetu Gitar Klasycznych Alber-Strobel. Duet został laureatem prestiżowego festiwalu „*Jazz nad Odrą*” we Wrocławiu. W latach 80. przez kilka lat Janusz Strobel koncertował solo poza granicami kraju. Po powrocie założył zespół „*Just quartet*”. Dwuletnią działalność grupy uwieczniła płyta nagrana dla Polish Jazz. Wkrótce stworzył z wybitnymi muzykami jazzowymi, kontrabasistą Mariuszem Bogdanowiczem i perkusistą Piotrem Biskupskim, nowy zespół - Janusz Strobel Trio. Działalność kompozytorska Janusza Strobla poza muzyką dla potrzeb filmu, teatru czy piosenkami do tekstów Magdy Czapińskiej, Jonasza Kofty, Jana Wołka, Wojciecha Młynarskiego, obejmuje głównie tworzenie muzyki na gitarę klasyczną solo i z towarzyszeniem orkiestry

symfonicznej. Janusz Strobel gra na gitarze, zbudowanej specjalnie dla niego przez znakomitego polskiego lutnika Bogusława Teryksa. Wieść niesie, że w którymś z minionych wcieleń Bogusław Teryks był kornikiem i to nie byle gdzie, bo w warsztacie Antonio Stradivariego. Urodził się w 1961 we Wrocławiu artysta lutnik, mieszkający na stałe w Niemczech, światowej klasy twórca gitar klasycznych. Miałem przyjemność spotkać go w Dominikowie. Niezwykle czuły i inteligentny gość. Zapytałem go dlaczego nie konstruuje się gitar większych niż te jakie są? Dokładnie mi odpowiedział, ale co już nie pamiętam.

Otóż Michał potrafi świetnie gwizdać melodie, z intensywną modulacją i gestykulacją całym ciałem. Nie wiem czy był zdolny do improwizacji, ale brzmiało to całkiem dobrze.

Płachta analogowa

W Szczecinie zbierałem dane na temat sygnału dopplerowskiego z tętnicy szyjnej i wraz z innymi wynikami nanosiłem ją do tabeli zbiorczej. Aby wszyscy pacjenci i ich wszystkie wyniki zmieściły się musiałem skleić płachtę papieru o wymiarach półtora na siedem metrów. Do równo wykreślonych rubryk wpisywałem maczkiem kolumny danych ilościowych i jakościowych. Zabrałem tę monstrualną bazę danych do Szwecji w nadziei przygotowania do publikacji. Kiedy pokazałem Bengtowi tę bazę, otworzył szeroko oczy, patrzył to na mnie, to na płachtę z podziwem. Potem poprosił kolegów, aby im ten analogowy Digital papierowy pokazać. To wszystko tak starannie wpisane w niezliczoną ilość rubryk w owym

czasie w skomputeryzowanej Szwecji było wpisywane do Excela lub innych programów statystycznych. Można było swobodnie operować danymi, grupować je, liczyć statystycznie i robić wykresy. Razem z tą swoją mega płachtą byłem widocznym dowodem na zacofanie cywilizacyjne. Szybko się jednak z tego zacofania podniosłem. Płachtę jeszcze mam i stanowi ona dzisiaj coś w rodzaju grafiki jako eksponatu sztuki nieużytkowej.

Fenomen Karela Marśala

To niezwykle miły, uczynny i mądry człowiek. Cztery uniwersytety szwedzkie ubiegały się o jego osobę na stanowisko kierownika kliniki. Z pochodzenia jest Czechem. W okresie Praskiej Wiosny w 1968 roku wyjechał z Czechosłowacji i osiadł w Szwecji. Jest bardzo pracowity. Dzień zaczyna przed ósmą rano a kończy o trzeciej, czwartej nad ranem. Śpi trzy godziny na dobę. e-maile wysyła zwykle między 2 a 4 rano. Stąd wiadomo, kiedy kończy pracę i idzie spać. Pytałem go jak to jest możliwe? Odpowiedział, że taki ma organizm. Wystarcza mu tyle snu. Jak Napoleonowi. Jest aktualnie profesorem położnictwa i ginekologii w Uniwersytecie w Lund. Jest przewodniczącym The World Health Organization Collaborating Centre for Development of Quality Indicators to Improve Perinatal Health Systems I wielu innych organizacji. Zawsze ma dla czas dla swoich współpracowników ale trzeba się z nim umówić i terminu dotrzymać, on dotrzyma go na pewno. Jest pełen pomysłów i bardzo

komunikatywny.

Z tym krótkim snem to nie jest łatwa historia. Pewne jest, że spać musimy, bez snu bowiem nie możemy żyć. Ale jak długo powinien on trwać? Wielu naukowców sądzi, że sypiamy więcej niż potrzeba i gdy dokładnie zbadana zostanie istota snu, będziemy mogli czas poświęcany na sen wydatnie skrócić i przeznaczyć go na jawę. Spójrzmy jednak na tę sprawę przez pryzmat dziejów ludzkości. Czy sypialiśmy kiedyś krócej? W minionych tysiącletniach człowiek żył zgodnie z rytmem obrotów ziemi, rytmem przyrody i do niej całkowicie się dostosowywał. W dzień pracował, w nocy spał. Spał więc też najczęściej tyle godzin, ile trwała noc. Światło elektryczne i inne wynalazki sprawiły, że rytm ten został zachwiany i staje się coraz bardziej nieregularny, a sam sen człowieka znacznie się skrócił. Nasunęło to naukowcom pytanie, czy sen nocny jest rzeczywiście niezbędny, czy może po prostu jest sprawą przyzwyczajenia. Ludzie sypiają na ogół pięć do ośmiu godzin na dobę. Niemowlęta śpią prawie przez cały dzień, budząc się jedynie w porach jedzenia. Dzieci do pierwszego roku życia śpią około 20 godzin na dobę, dzieci do drugiego roku życia potrzebują 15-18 godzin. Z wiekiem zapotrzebowanie na sen maleje. Młodzież w wieku szkolnym sypia około 10 godzin dziennie, dorośli 7-8 godzin. W tej ostatniej grupie występują duże różnice indywidualne. Wszystkie jednak wiadomości o ludziach, którzy podobno zadowalają się tylko krótkimi drzemkami lub zgoła mogą obyć się bez snu, nie zostały potwierdzone przez naukowców. W swoim czasie krążyły wieści, że ludy arktyczne latem

prawie nie sypiają. Wiadomości te okazały się nieprawdziwe. Ludność arktyczna sypia latem około 7 godzin na dobę i średnio o godzinę dłużej w miesiącach zimowych. Napoleon i Edison sypiali podobno tylko po 3 lub 4 godziny. Kiedy jednak Napoleon szczyił się tym, że wystarczy mu parogodzinny wypoczynek nocny, to pomijał milczeniem krótkie drzemki, które odbywał w ciągu dnia. Podobnie było z Edisonem. To prawda, że sypiał 2-3 godziny w nocy, ale równocześnie miał „nałogową” skłonność do ucinania sobie drzemki w ciągu dnia. Edison uważał, że długi sen jest niegodną spuścizną okresu życia jaskiniowego, i wierzył, że światło elektryczne zupełnie zrewolucjonizuje i zmieni nawyki w tym zakresie. Było w tym, co mówił, wiele racji, ale nie aż tak wiele, jak przypuszczał. Powieściopisarz Thomas Wolfe uważał, że sen okrada go z życia, i często pracował bez przerwy kilka dni i nocy, a potem spał 15 do 20 godzin bez przerwy. Niestety, należał do wyjątków większość ludzi musi spać co najmniej 7 godzin dziennie. Formuła ta wydaje się być związana z rytmem naszego organizmu, który trwa równe 24 godziny, sen zaś stanowi jeden z elementów tego rytmu. To tak, jakby w naszym organizmie znajdował się niewidzialny zegar, który odmierza czas na poszczególne czynności. Zresztą nie tylko my, śpimy, nie tylko nasz organizm poddaje się dobowemu rytmowi. Ja sądzę, że mniejsze znaczenie ma to czy ktoś śpi cztery czy osiem godzin a większe to jak wykorzystuje te pozostałe dwadzieścia czy szesnaście godzin.

Karel ma niezwykle uporządkowany dzień pracy, spotkania

odbywa ściśle według ustalonego kalendarium. W rozmowie jest otwarty, wypełniony nowymi pomysłami i wszystkich niezależnie od pozycji akademickiej traktuje z szacunkiem. Jego osiągnięcia w zakresie badań ultrasonograficznych i dopplerowskich u kobiet w ciąży są imponujące i mają duże znaczenie praktyczne. Jest gościnnym człowiekiem, zaprasza do swojego domu wraz z żoną nie tylko profesorów ale również stypendystów i tam w miłej atmosferze można miło porozmawiać i spróbować czeskiego *Pilsnera Urquell*.

Jak Dr Jędrak usnął na brzuchu pacjentki

Jest to opowieść o tym jak dr Andrzej Nienartowicz po dyżurze, nieprzespanej nocy i skutkach picia whisky usnął na brzuchu pacjentki. A było to tak. Jędrak był i jest bardzo uczynnym i niezwykle miłym kolegą. Szalenie aktywny, szybki w swoich działaniach sprawiał wrażenie pociągu bez hamulców. Każde spotkanie z nim to dodatkowo seria barwnych opowieści. Jedną z nich mówiła o tym jak będąc dzieckiem, jeździł na łyżwach wpadł przez przerębel pod lód. Z miłej zimowej zabawy sytuacja nagle zmieniła się w dramatyczne zagrożenie i zaczęła się walka o życie. Brakowało mu tchu, nie mógł znaleźć tego przerębla, w który wpadł i przesunął się gdzieś w bok. Sytuacja stawała się beznadziejna. W tej sytuacji nie pozostawało nic innego jak tylko spróbować sforsować pokrywę lodową od dołu. Zebrał wszystkie siły, wykonał pod wodą obrót

ustawiając się nogami do góry. Z całej siły zaczął łyżwami walić od spodu w pokrywą lodową. Wreszcie lód pękł i udało mu się w ostatniej chwili uwolnić z lodowej pułapki. Ta historia tak mnie zafascynowała, że do dzisiaj ją przeżywam. Na ile ta opowieść jest prawdziwa, nie ma znaczenia chociaż przypomina perturbacje Jamesa Bonda i jego partnerki w lodowym zamku. Dodatkowo sposób jaki Andrzej tę historię opowiadał był tak sugestywny że słuchacze czuli się tak jak by przeżywali to naprawdę. Natomiast prawdziwa jest bez wątpienia historia jak Dr Jędrak usnął na brzuchu pacjentki. Któregoś dnia przyszedł do pracy i zajął się pacjentkami, zabiegami, wypisami, studentami etc. Tego dnia miał dyżur, który zaczynał się o godzinie trzynastej i trwał przez całą noc do następnego dnia rano. Dyżury wówczas były wyczerpujące ponieważ odbywało się do trzydziestu porodów i nie było czasu na wypoczynek. Następnego dnia od rana jak zwykle praca. Kiedy po trzydziestu godzinach nieprzerwanych zajęć miał już iść do domu jeden z kolegów poprosił go o pomoc w tłumaczeniu tekstu angielskiego do pracy naukowej. Praca szła mu dość dobrze z początku, ale po jakimś czasie w wyniku zmęczenia dotychczasową nieprzerwaną, długotrwałą pracą zmęczył się. Ponieważ był w klinice towarzysko kolega beneficjent postawił przed nim szklaneczkę whisky, potem drugą. Nad ranem zmęczony tłumaczeniem i wszystkim innym organizm odmówił posłuszeństwa i Dr Jędrak na krótko zasnął. Rankiem powrócił do świata przytomnych, ale nie do końca jak się okazało. Profesor A. Cretti rozpoczął wizytę, która była długotrwała i dość wyczerpująca. Jednym

z jej elementów było pochylenie się na d pacjentką, uciśnięcie brzucha, obejrzenie krocza i badanie węchem w poszukiwaniu złowonnych zapachów. Przy kolejnej pacjentce Dr Jędrak pochylił się, ucisnął ręką brzuch, głowa mu opadła, oparł się czołem o pępek i zasnął. Nastąpiła zaskakująca cisza, Jędrak śpi na brzuchu, pacjentka znieruchomiała, profesor zeszywniał. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie Jędrak wrócił do przytomności, obudził się, podniósł głowę i wizyta potoczyła się dalej. Pacjentka trwała nadal w nieruchomym zdziwieniu.

Wszystko tylko nie profesorski koniak

Młody kolega, ginekolog w trakcie specjalizacji miał dyżur w klinice i szczęście zamierzone i zaplanowane, że tego dnia również miała dyżur jego urocza, powabna, nieobliczalnie i niebezpiecznie seksowna koleżanka. Kiedy nawał pracy minął znaleźli sobie schronienie w gabinecie profesora, który tego dnia wyjeżdżał na sympozjum. Gabinet profesora oferował przyjemne warunki, w barku znalazła się butelka koniaku. Dyżur zapowiadał się jak najbardziej atrakcyjnie. Koleżanka nie protestowała przeciwko otwarciu profesorskiej butelki. W trakcie miło toczącej się rozmowy, otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadł profesor, po tekst wykładu, którego zapomniał wziąć z biurka. Oceniał wzrokiem sytuację i koleżankę. Butelkę zamknął w swoim barku a koledze polecił zgłosić się do siebie po powrocie z sympozjum. Koleżance nie. Rozmowa była

krótka. Pan nie zrobi specjalizacji ani u mnie ani u nikogo w tym województwie. Musi Pan albo zmienić specjalizację albo województwo. Wniosek z tego taki, że można naruszyć gabinet profesorski i koleżankę. Natomiast koniakowi się profesorowi nie podpija! Nie wiemy również jak kolega argumentował swojej żonie decyzję o zmianie specjalizacji.

Niech się Pan nie podlizuje

W feudalnej hierarchii akademickiej zasłużoną i niekwestionowaną pozycję zajmuje w klinice jej kierownik w randze naukowej profesora medycyny. Kto chce przetrwać, musi się z nim liczyć i zaskarbić sobie jego uznanie i sympatię, ale bywa w życiu różnie. Pewnego dnia profesorowi zepsuł się fotel od ciągłego obracania się to w lewo, to w prawo, od wyginania się do tyłu, na boki i do przodu czego wymagała praca intelektualna jak i trzymanie pozy. W każdym razie fotel nie wytrzymał wysiłku pracy twórczej i popękał na różnych spawach. Trzeszczał i pisał niemiłosiernie a na dodatek groził wypadkiem przy pracy gdyby profesor w trakcie jakiejś ewolucji i ekwilibrystycznej ostatecznie dokonał jego destrukcji i fiknął koziołka. W takiej sytuacji sekretarka poprosiła ślusarza, który w obecności jego profesorskości zaczął oględziny fotela. Profesor zatroskany o swój fotel i związane z tym jego osobiste bezpieczeństwo zaczął wychwalać profesjonalizm fachowca. Ten przyjął te pochwały z godnością. Profesor jednak nie ustawał w swojej adoracji jego osoby. W końcu lekko zawstydzony a może znużony peanami ma swoją część odpowiedział „*niech się Pan nie podlizuje*”.

Morał z tej opowieści taki aby nie przesadzać z podlizywaniem, bo może być to źle przyjęte.

Dieta bliźniaków pięciomiesięcznych

Ojciec bliźniaków był moim kolegą jeszcze z czasów zawodowej służby wojskowej. Odznaczał się stanowczością, optymizmem, wojskową postawą oraz zdolnością improwizacji na polu walki, czyli w tym wypadku w domu. Podczas wizyty omawialiśmy stan zdrowia i rozwój ich pięciomiesięcznych bliźniaków. Kiedy zaczęliśmy mówić o żywieniu gospodarz zademonstrował jak jego synkowie radzą sobie z kabanosami. Rzeczywiście dobrze sobie radziły, ssały je energicznie, pędrakując po podłodze. Nie protestowałem widząc jak dumny jest ich ojciec.

Czarne godziny

Nikt, kto jest neonatologiem nie ma wątpliwości, że czarne godziny są częścią naszego życia. Mam ich w pamięci wiele, o niektórych wstydzę się pisać chociaż wyrozumiała natura wybaczyła mi moje błędy i dzieci przeżyły, na dodatek bez uszczerbku na zdrowiu. Było tak, że planowałem honorowe rozwiązanie ostateczne jak samobójstwo na jednej z południowych plaż Europy po wypiciu dużej ilości wina i dragów, bo nie wyobrażałem sobie jak mógłbym dalej żyć, gdyby coś złego się stało. To były najgorsze dni w moim życiu. Były ale minęły. Nie chcę aby wróciły.

Śmierć

Lekarz jest sługą życia, nie jest sługą śmierci. Zbliżający się do chorego lekarz powinien być kojarzony z kimś kto przyniesie ulgę w cierpieniu i doda otuchy. Śmierć jeżeli wygląda tak jak na obrazach Jacka Malczewskiego niesie obietnicę matczynej opieki i słodczy pięknej kochanki, na wieczność już bez ziemskich trosk. Jeżeli jedyną metodą poprawy jakości życia miałyby być zadanie śmierci to należy przyrzeć się bliżej naszej medycynie i zadać sobie pytanie czy naprawdę sztuka medyczna zdąża w dobrym kierunku? Sztuka oszłamia, unosi w górę, zmienia świat w inny niż postrzegany jest w rzeczywistości. A miłość do pacjenta i jego dobro? Czy można zabić człowieka z miłości do niego? Pamiętam takie sceny z filmów wojennych jak jeden z dwóch przyjaciół jest ciężko ranny. Nie może już uciekać ani walczyć. Tymczasem wróg zbliża się nieuchronnie. Nie chcąc wydać swojego przyjaciela na niełaskę wroga i męczarnie dobija go jednym strzałem aby więcej nie cierpiał. Dobijany patrzy mu z wdzięcznością w oczy. Personel medyczny nie ma prawa do zabijania, a wróg się nie zbliża do bram. Licencję na zabijanie ma James Bond, agent 007 Jego Królewskiej Mości, a i jemu przełożeni robią wymówki jak kogoś ukatrupi. W chwili zbliżającej się śmierci powinniśmy przy pacjencie być, podać kojący ból lek i do picia coś słodkiego i kompletnie niezdrowego czego tylko pragnie. Nie musimy stosować uporczywej terapii, która nie ma sensu bo przynosi tylko dodatkowe cierpienie a i tak nie pomoże pacjentowi. Nie musimy torturować intensywną do bólu terapią po to żeby żył jeszcze parę minut. Ale też nie musimy odbierać mu oddechu i nie żałować wody

bo nie jesteśmy na pustyni tylko w szpitalu. Przypomniała mi się taka historia z umierającym na raka przyjacielem. Przyszli do niego znajomi i zobaczyli jak pali papierosa. Po czym zrobili mu okropne wymówki, że pali tytoń a jest tak bardzo chory. W jednym momencie przypomnieli mu jak bardzo jest chory i odebrali mu jedną z ostatnich przyjemności w życiu dobiegającym końca.

Śmierć każdego człowieka, również noworodka jest nieodwołalną konsekwencją narodzin i życia. W jakimś sensie należy do życia, chociażby przez to, że stanowi jego kres. Nawet w przypadku maleńkiego wcześniaka śmierć może być bohaterska bo tak niejednokrotnie wygląda jego walka o życie. Może być spokojnie nieunikniona kiedy wiadomo, że wszystkie szanse już przepadły, że wszelkie siły życiowe są wyczerpane po wielomiesięcznej terapii, że przemierza on ostatnią drogę do innego świata. Może być dramatyczna, niespodziewana i gwałtowna jak w przypadku wylewu do nadnerczy lub sepsy. Ale wszystko co dzieje się wokół Niego powinno być nacechowane szacunkiem dla niego samego, dla życia i śmierci.

Miałem kiedyś dość szokującą historię z kobietą w ciąży. U jej płodu rozpoznano ultrasonograficznie poważną wadę mózgowia, *holopronencefalię*. Ta wada polega na wrodzonym braku tej części mózgu, która łączy lewą i prawą półkulą. Jej brak uniemożliwia komunikację i w konsekwencji powoduje ciężkie zaburzenia rozwoju. Poszedłem do matki porozmawiać z nią, zorientować się co wie na ten temat i czy ma jakieś pytania, może życzenia. Chciałem ją zapewnić,

że życiu dziecka nic nie grozi, że po porodzie będzie miała dziecko przy sobie, że w dalszej kolejności będzie badane, wykonamy ultrasonografię wszystkich narządów wewnętrznych i tak z pacjentką stoję i rozmawiam. Była jakaś nie swoja, nieufna, mało kontaktowa. Jej zachowanie złożyłem na karb zmartwienia wadą jej dziecka. Po porodzie wyjawiała mi, że sądziła, iż jestem z kostnicy bo byłem ubrany w ni to niebieski, ni to zielony garniturek. Była przekonana, że przyszedłem po jej dziecko z kostnicy. Z tego powodu bardzo rozweseliłem swoje groszkowe i seledynowe ubranka.

Radiowa Szkoła Matek

Zacząło się wszystko jak urodził się nasz syn Pawełek w tym samym czasie, co Jasiu redaktor Anna Koprowicz przemianowanej wkrótce z redaktor na redoktor. W jakiejś rozmowie postanowiliśmy, że zrobimy cztery audycje, po jednej na każdy kwartał życia niemowlęcia. Miały być tylko cztery i koniec. Nie wyobrażałem sobie, że można ich zrobić więcej. Okazało się, że zyskały dużą popularność. Było dużo telefonów od słuchaczy i znajomych. Audycja zyskała dużą sławę a My z nią. Później na skutek dążeń przedstawicieli innych dziedzin medycyny zamieniła się w audycje bardziej ogólnym charakterze. Ale w owym czasie w rankingach badania opinii publicznej była bardzo wysoko, chyba na pierwszym miejscu. To było duże wyzwanie ale i wielka radość. Czułem się dowartościowany. Czy jeszcze trwa aktualnie w zmienionej już postaci nie wiem? Ale był

okres, w którym miała swoje pięć minut a ja razem z nią.

Redaktor Anna Koprowicz ostatecznie o ile wiem obroniła pracę doktorską na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu. Wykonała rzetelną i bardzo pożyteczną pracę służącą ludziom w zachowaniu zdrowia. To pięknie pomyślana i zrealizowana dziennikarska praca o takim pozytywnym charakterze. Anna jest również honorową laureatką nagrody *Optimus Hominum* wśród tak wybitnych osobistości jak prof. J. Gadzinowski czy Jurek Owsiak, prof. Elżbieta Gajewska.

Nagroda za działalność humanitarną i charytatywną została ustanowiona w 1995 roku. Jej inicjatorem był Polski Komitet Pomocy Społecznej. Od 2000 roku nagroda nosi nazwę -"OPTIMUS HOMINUM". Celem Nagrody jest uhonorowanie osób i instytucji, które - różnymi sposobami - niosą pomoc osobom wymagającym wsparcia i opieki, swoim przykładem krzewią ideę bezinteresownej działalności na rzecz drugiego człowieka. Nagroda jest przyznawana przez Niezależny Komitet Nagrody w skład którego wchodzi: przedstawiciele organizacji charytatywnych, wybitni działacze społeczni, ludzie nauki, twórcy kultury, dziennikarze, przedstawiciele władz państwowych i samorządowych oraz reprezentanci Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej.

Szkoła Matek i Ojców

Może dwadzieścia lat temu chciałem sobie nieco ułatwić życie i zapraszałem w samo południe Mamy, które tego były wypisywane z dziećmi do domu na coś w rodzaju szkolenia o karmieniu noworodków, o szczepieniach, żółtaczce *etc.* W trakcie tych Mamy zadawały pytania co pozwoliło mi zrozumieć ich problemy. I tak urodziła się idea „*Szkoł Matek*”. Były one naturalną kontynuacją edukacji zdrowotnej prowadzonej w „*Szkołach Rodzenia*” przez położników, które w latach 50-tych zainicjował prof. Włodzimierz Fijałkowski. Wkrótce powstał program edukacyjny a nazwa zmieniała się na „*Szkołę Matek i Ojców*” ponieważ w tych latach gwałtownie wzrosła ich rola przy porodzie. Od kilkunastu lat ojcowie mogą być obecni przy porodzie. Początkowo musieli obowiązkowo uczestniczyć w programie edukacji przedporodowej, wspomnianej szkole rodzenia. Dzisiaj jest to ich niezbywalne prawo. Zachowują się różnie. A to bledną, a to płaczą, żałują, że nie wzięli aparatów fotograficznych, chociaż trzymają je w ręku itp. Od dawna było wiadomo, że z ojcami dzieją się różne rzeczy już okresie, kiedy żona jest w ciąży. Zostały one opisane jako zespół Couvade. Nie ma jednomyślności, czy objawy obserwowane u ojców takie jak bóle, depresja, zmiany diety czy zachowań seksualnych są pochodzenia psychosomatycznego czy mają biologiczne uwarunkowania. Termin Couvade pochodzi od francuskiego couver czyli dojrzewać w ukryciu, wysiedzieć. W średniowieczu Baskowie mieli zwyczaj, że w czasie porodu lub bezpośrednio po nim kładli się do łóżka, skarżyli się na bóle porodowe i w ten sposób jednoczyli się w bólu z żonami, które rodziły

dziecko. Mężczyźni odczuwali bóle żołądka, niestrawność, zmiany apetytu, masy ciała, biegunki, zaparcia, bóle głowy, nudności, wymioty, powiększenie piersi, bezsenność, przybierali na wadze do piętnastu kilogramów. Obserwowano u partnerów ciężarnych kobiet wzrost hormonów, prolaktyny, kortyzolu, estradiolu i testosteronu. W kulturach afrykańskich partnerzy ciężarnych kobiet byli zwalniani na pewien okres z obowiązków wojownika, ich zadaniem była opieka nad kobietą i dzieckiem, przyszłym wojownikiem i obrońcą, coś w rodzaju dzisiejszego urlopu tacierzyńskiego. To bardzo pozytywne takie docenienie roli i wrażliwości mężczyzny prokreacji.

Nie wszystko co dotyczy prokreacji wygląda jednak różowo. Dzieci rodzi się coraz mniej. Coraz więcej czasu zajmuje młodym ludziom dojście do stabilizacji społecznej. Edukacja, budowa domu, kredyty na ten dom, samochód i meble, doktorat etc. W równym stopniu dotyczy to kobiet. Stres, tabletki antykoncepcyjne, wreszcie wpływające lata i wiek kobiety mają swoje znaczenie. Czytając książkę Janusz Andermana „*Cały czas*” zorientowałem się, że mogę być nie na czasie. Młodzi ludzie mogą nie mieć czasu na macierzyństwo. Jedna z bohaterek powieści komentuje swoją zaawansowaną ciążę „*Widzisz - powiedziała, demonstrując brzuch - taki pech. Właśnie mamy poważną kampanię, a ja idę rodzić i cztery dni będę miała wyjęte z życiorysu. - A co robisz? - bez ciekawości zapytał A.Z. - No w agencji reklamowej pracuję. Kopirajterką jestem. Duża kasa.*” Znaki czasu są też takie, że młoda, ambitna, wykształcona, samodzielna biznes woman w dwie godziny po

porodzie lewą ręką karmi dziecko a prawą otwiera laptopa i pracuje. Dlaczego nie? Kobiety potrafią robić wiele rzeczy jednocześnie. Widziałem to w Bari we Włoszech. Mnóstwo tam skuterów kręcących się jak pszczoły po mieście we wszystkie strony. Prowadzi chłopach a z tyłu dziewczyna, która trzyma go nogami oplecionymi wokół tułowia, w lewej ręce ma papierosa, w prawej komórkę, z której smsuje, po drodze rozmawia z koleżanką w podobnej pozycja na sąsiednim skuterze, za chwilę w ręce z papierosem pojawia się puszcza coca-coli itd. Itp.

Wszystko musimy zmienić, również formy edukacji okołoporodowej. Trzeba być nowocześniejszym i tę edukację poporodową wprowadzać poprzez implantację chipów do mózgu razem z kwasem foliowym doustnie, która zapobiega wadom neurorozwojowym jak przepuklina przeponowa, chociaż jednocześnie może być przyczyną zwiększenia występowania raka jelita? Zatem chipy. Chipy, to jest to. A może edukacja okołoporodowa będzie przesyłana z serwerów przez mikrokomputery i wyświetlana na szkle okularów, aby niezapracowanym młodym ludziom nie zabierać czasu na chodzenie do szkół rodzenia? Taka będzie przyszłość. Póki co jeżeli toczą się wykłady w Szkole Matek i Ojców w Klinice Patologii Noworodka matki siedzą na zbolącej pupie lub stoją. W pierwszych dniach po porodzie bolą je nacięte i obrzmiałe, w stanie zapalnym krocza. Trzeba skonstruować specjalne siedziska z dziurą pośrodku aby nie uciskały siedzącej położnicy w bolące miejsce.

Jeszcze słowo o Prof. Włodzimierzu Fijałkowskim. Był

wybitnym lekarzem ginekologiem-położnikiem, szeroko znanym w całej Polsce, a także na świecie, jako twórca polskiego modelu Szkoły Rodzenia, promotor rodzicielstwa zgodnego z naturą, popularyzator wiedzy z zakresu naturalnego planowania rodziny i psychologii prenatalnej oraz wybitny obrońca życia, małżeństwa i rodziny. Urodził się 4 czerwca 1917 r. w Bobrownikach nad Wisłą. Rozpoczęte przed wojną studia medyczne kontynuował na tajnym nauczaniu, a zakończył w Edynburgu. Brał udział w kampanii wrześniowej jako lekarz oddziałów administracyjnych Sztabu Głównego. Za działalność w Ruchu Oporu został aresztowany i więziony w Radomiu, Birkenau i Wirtembergii. W latach 50. XX wieku zorganizował doświadczalny kurs profilaktyki porodowej, na którym kształtował się polski model Szkoły Rodzenia. Od roku 1983 przygotowaniem do porodu objął także ojców. Przez 40 lat działalności Szkoły Rodzenia skorzystało z niej około czterdzieści tysięcy. Jego działalność i związki z kościołem nie podobały się ówczesnym władzom, wskutek czego przez wiele lat nie mógł pracować w akademii medycznej. Główną przeszkodą w jego rozwoju zawodowym było wprowadzenie w 1956 r. ustawy „*O dopuszczalności przerywania ciąży*”. Profesor Fijałkowski nie zgadzał się na wykonywanie zabiegów aborcji i w konsekwencji musiał zrezygnować z pracy w przychodni. Uczelniana organizacja partyjna usiłowała zablokować jego przewód habilitacyjny. Jednak pracę „*Szkoła Rodzenia oparta na podstawach psychologicznych*” zatwierdziła Centralna Komisja Kwalifikacyjna. Partia dopięła jednak swego w inny sposób, i doprowadziła do zwolnienia z pracy w

akademii medycznej. Prof. Fijałkowski uczestniczył w pracach siedmiu towarzystw naukowych krajowych i międzynarodowych, m.in. Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego, Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, Międzynarodowego Towarzystwa Naukowego Psychologii Prenatalnej. Od maja 1994 r. był członkiem Papieskiej Akademii Życia (*Pro Vita*). Jego życiowym credo były słowa „*Płynę pod prąd*”. „*Płynę pod prąd, bo tylko tak mogę budować cywilizację życia. Nigdy nie zboczę z trasy, nie zgubię celu*” a „*Służba życiu jest moim powołaniem*”. Był odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, odznaką żołnierzy Armii Krajowej, medalem „Za zasługi dla miasta Łodzi”, papieskim odznaczeniem „*Pro Ecclesia Et Pontifice*” (grudzień 1990) i najwyższym odznaczeniem watykańskim, jakie może otrzymać osoba świecka nie będąca głową państwa Krzyżem Komandorskim Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego (1998). W głoszonym przez siebie tzw. Scalonym Programie Prokreacji Ekologicznej prof. Fijałkowski rozwinął postulaty dotyczące naturalnego planowania rodziny, promocji zdrowia rodzinnego i wychowania do życia w małżeństwie. Program ten opierał się na postulatcie promocji zdrowia wysuniętym przez Światową Organizację Zdrowia. Zakładał m.in. zharmonizowane dwurodzicielstwo jako jeden z punktów programu szkoły rodzenia.

Serce do gardła

Miałem i mam wewnętrzny uraz na punkcie działań ubocznych szczepień, na punkcie pomyłki dawkowania leków i ich działań ubocznych. Jednego razu zaszczepiłem dziecko w domu nowoczesną szczepionką, zupełnie niegroźną z teoretycznego punktu widzenia. Za godzinę Mama dziecka szczepionego dzwoni, że strasznie płacze, nie można go uspokoić. Serce podeszło mi do gardła. Wyobraziłem sobie najgorsze, wstrząs, zapalenie mózgu itp. Poprosiłem, żeby podać środek przeciwbólowy, przytulić i zadzwonić za pół godziny. Za pół godziny wszystko było już w najlepszym porządku, ale ja straciłem trochę życia. Podobną sytuację i to nie jeden raz miałem z dawkowaniem leków. Po wizycie u pacjenta, w trakcie jazdy samochodem zacząłem przypominać sobie dawki leków jakie proponowałem. Nagle włosy stanęły mi dęba, znowu serce w gardle, bo może pomyliłem dawkę? Nerwowo liczę jeszcze raz i jeszcze raz. W końcu stanąłem dzwonię i pytam szczegółowo jakie opakowanie kupili, jak rozcieńczyli i tym podobnie. Dawka okazała się dobra, ale ja znowu straciłem trochę życia.

Kiedy przepisuję recepty pomimo swoich trzydziestu pięciu lat pracy ciągle zaglądam do poradnika terapeutycznego. Panicznie boję się pomylić dawki leków, które przepisuję moim pacjentom. Chcąc pomóc można zaszkodzić. Taką historię zasłyszałem jak Pani z apteki zamiast Fenistilu wydała Fenactil. Niewielka różnica w nazwie, duża różnica w działaniu. Pierwszy jest niegroźnym lekiem przeciw alergicznym, drugi silnym lekiem uspokajającym. Dziecko utraciło przytomność, trafiło do szpitala i nie wiadomo jakie będą następstwa?

Pewnie nie jedno z nas ma trochę na sumieniu, ale często łaskawa natura wybacza nam błędy jak w tej anegdocie: Kiedy mocno zdziwiony lekarz mówi koledze, że *„w żaden sposób nie mogę zrozumieć jak ten pacjent wyzdrowiał pomimo leczenia”*.

Otwarcie „klapek”

Pisząc przeglądam kalendarz w poszukiwaniu myśli zapisanych. Całymi tygodniami nie ma nic. Dlaczego? Ano dlatego, że jestem zapracowany. Od rana do wieczora. Moje myśli i emocje są całe nakierowane na codzienną pracę. Już nie starcza sił *„na myślenie”*. Kiedy jadę na wakacje na wieś do Dominikowa przez pierwsze trzy dni jeszcze napiera na mnie rzeczywistość. Usiłuję gdzieś dzwonić, coś załatwić. Po tym czasie uspokajam się, otwierają mi się *„klapki”* i odzyskuję swobodę myślenia. To piękny stan takie otwarte klapki.

Tatoo

W pracy neonatologa rzeczą naturalną jest widok odsłoniętego brzucha, na który kładzie się dziecko po porodzie. Jest to miejsce intymne, na którym kobiety mają niekiedy swoje tajemne tatoo np. słonika, różę, węża. Ani róża, która ma kolce, ani wąż, który może ukąsić, a także w mitologii greckiej zaatakował Herkulesa w kołysce nie wydają się przyjazne dla noworodka, ale słonik z taką fajną trąbką? Czemu nie! Tatuaze miewają także ojcowie. Niekiedy są to jakieś damy półnagie będące echem przeszłości uczuciowej, a czasami różne wzory o wojowniczym, czy mistycznym charakterze, a to

znowu znaki więzienne, czy bardziej moderne ornamenty na podgolonej czaszce aby były widoczne.

Grażynka

Grażynka urodziła noworodka chorego na ospę wietrzną. Z tym jest mały kłopot dlatego, że z jednej strony matka chroni je przed zachorowaniem własnymi przeciwciałami, a z drugiej strony może dojść do zakażenia jeśli karmi piersią. Gdyby jako dziecko była zaszczepiona przeciwko ospie wietrznej aktualny problem nie istniał by. Zatem wszystkie młode mamy informuję, że o ile nie przechorowały ospy wietrznej mogą zaszczepić się przeciwko tej chorobie i ochronić w ten sposób swoje dziecko przed problemami z jakim zetknęła się Grażynka.

Wirusy w ogóle są niebezpieczne dla płodów szczególnie w pierwszych tygodniach kiedy kształtują się narządy wewnętrzne dziecka. Wirus taki mały a tak niebezpieczny jest dla człowieka. Nie jest nawet samodzielnie żyjącą komórką a potrafi zabić człowieka. Jednocześnie wirus oglądany pod mikroskopem elektronowym jest przepiękną geometryczną konstrukcją na granicy świata ożywionego i nieożywionego. A może by się tak z nim zaprzyjaźnić? Może mógłby posłużyć jako nośnik leków do chorych komórek organizmu?

Niezgodność to jeszcze nie konflikt

Przed erą globuliny anty-Rh konflikt serologiczny między płodem a matką był zjawiskiem częstym. Bywało że na dyżurze trzeba

było wykonać nawet u pięciu noworodków transfuzję wymienną krwi. W każdej kolejnej ciąży konflikt u uczulonej matki nasilał się. To była walka o życie. Przeciwciała anty Rh produkowane przez matkę Rh ujemną atakowały zaciekle krwinki czerwone jej własnego płodu niszcząc je skutecznie. Ciężka niedokrwistość i związane z tym niskie ciśnienie osmotyczne krwi były powodem ucieczki płynów z krwioobiegu do tkanek i ich narastającego obrzęku. Obrzęknięte było całe dziecko i wszystkie narządy wewnętrzne, które źle funkcjonowały. Serce źle pompowało krew, płuca nie były zdolne do prawidłowej wymiany dwutlenku węgla na tlen a nerki źle filtrowały i wydalaly mocz. Katastrofa metaboliczna. Do tego narastająca żółtaczka zagrażająca mózgowiu. Zastosowanie powszechne globuliny anty-Rh którą podaje się matką immunizowanym czynnikiem Rh spowodowało całkowite usunięcie tego problemu. Jeżeli dzisiaj mamy do czynienia z obrzękiem płodu jest to zwykle obrzęk nieimmunologiczny który nie ma nic wspólnego z tamtą historią. I tak jeden po drugim próbujemy rozwiązać problemy jakie stawia przed nami natura. A ma ona w tym względzie fantazję niezwykłą i umiejętności niezwykle. Uczymy się od natury, ale jej umiejętności wielu jeszcze nie posiadamy. Dla przykładu gekon, który utracił łapkę lub ogon nie musi martwić się, ponieważ i jedno i drugie wkrótce mu odrośnie. Gdybyśmy posiadli tę umiejętność była by to prawdziwa rewolucja w medycynie. Albo matka która potrafi utrzymać przy życiu swój płód z siniczą wadą serca, niedrożnym przewodem pokarmowym, z niedorozwojem nerek, rozszczepem

kręgosłupa, defektem metabolicznym, niedorozwiniętymi płucami. Gdybym potrafił to samo słowa moja nie znalazłyby granic.

Baby Mobile

Jeszcze w latach siedemdziesiątych w Polsce noworodki leżały w niemobilnych metalowych łóżkach za metalowymi szczeblami. Współczesne łóżeczka dla noworodków są ruchome, jeżdżą na kółkach, dzieci leżą w kokonach z przezroczystej pleksi. Zmieniły całkowicie sytuację matki i jej noworodka w oddziałach położniczych i noworodkowych. Matka może spokojnie ze swoim dzieckiem podróżować po korytarzu, podejść do oka, telefonu, komputera, lekarza, położnej będąc cały czas ze swoim dzieckiem. Pozwala to na zmniejszenie niepokoju, sprzyja tworzeniu więzi między matką a dzieckiem. Małą rzecz a tyle dobrego może.

High-Bio-Tech

Można już wybierać płeć przyszłego dziecka. Można włożyć do macicy zarodek hodowany *in vitro* płci męskiej lub żeńskiej. Można noworodkowi z bardzo chorymi płucami wyprowadzić krew z organizmu do sztucznego płuca (*ECMO - extra corporeal membrane oxygenation*) aby tam oczyścić ją ze zbędnych substancji, natlenić i ponownie wprowadzić do krwioobiegu. Można podać do płuc wyprodukowaną sztucznie substancję (*surfaktant*), który pomoże im pomimo niedojrzałej struktury otworzyć się jak żagle na wietrze i podjąć swoją zasadniczą funkcję, skuteczne oddychanie. Wyszukane

techniki wentylacji wysokimi częstotliwościami, tak wysokimi, że praca urządzenia jest niewidoczna dla ludzkiego oka. Klatka piersiowa jest tylko mniej lub bardziej uniesiona, ale samych cykli oddechowych nie widać. Mimo to w płucach ma miejsce wymiana gazów, unika się tym sposobem trwałego uszkodzenia płuc. Wentylacja nieinwazyjna, czyli taka, która nie wymaga wkładania rurki do tchawicy, odbywa się przez nos. Cena współczesnego inkubatora do intensywnej terapii jest równa cenie dobrego samochodu. Szklane domy Żeromskiego za sprawą nowoczesnych inkubatorów stały się rzeczywistością na oddziałach wcześniaków. Takiego *air condition* nie ma wiele urządzeń na świecie. Aby skutecznie ogrzać dziecko z masą ciała należy maksymalnie zwiększyć przewodnictwo ciepła a to udaje się przy wysokiej wilgotności powietrza. I taka tam jest jak na Florydzie. Do tego przez skórne monitorowanie gazów we krwi, monitorowanie nieinwazyjne funkcji mózgu i wiele innych osiągnięć. Najciekawsze jest to, że nie mamy pojęcia co jeszcze przed nami? Może sztuczna macica?

Największy nauczyciel to natura

Kiedy jesteśmy w kłopotcie podpatrujemy w jaki sposób radzi sobie z nim natura. Potrafi rozwiązywać wiele problemów, które dla nas są jeszcze zbyt trudne. Przed erą ultrasonografii rodziły się noworodki bez mózgu. Poród zwykle odbywał się w terminie i były to dzieci donoszone, z masą ciała niemal cztery kilogramy. Żyły kilka godzin po czym umierały cicho, bezradnie nie wydając żadnych głosów protestu, czy bólu. W jaki sposób możliwa była ich

egzystencja przez czterdzieści tygodni życia wewnątrzmacicznego? W jaki sposób były sterowane ich podstawowe funkcje życiowe, skoro nie miały mózgu? W brzuchu matki jest taki szpital jakiego my nie potrafimy zbudować. Tam też są wskazówki w jakim kierunku mamy iść. Przykład z gekonem, któremu odrasta utracony ogon mieści się w pojęciu medycyny regeneracyjnej ale daleko nam do tego aby proces ten odtworzyć. Znane jest w położnictwie problem przerwania splotu barkowego w czasie porodu który skutkować może niedowładem ręki na całe życie. To dramat dziecka, jego rodziców oraz lekarza który odebrał poród. Aktualnie podejmuje się operacje naprawcze w Paryżu i w Warszawie wykonywane przez A. Gilberta polegające na złączeniu koniec do końca zerwanych nerwów oraz sklejenia klejem biologicznym tak aby mogły się zrosnąć. Dziecko w tym celu przez trzy tygodnie jest unieruchomione i po tym czasie rozpoczyna się rehabilitacja. Można też zastosować komórki macierzyste do poprawy, regeneracji tkanki nerwowej. Jakże jednak daleko nam do umiejętności naturalnych gekona. Komórki macierzyste są obietnicą medycyny, jej kielichem Graala, z którego Chrystus pił wino, ale daleko nam do zrozumienia i praktycznego zastosowania ich możliwości. *To nie my stworzyliśmy Naturę ale Natura stworzyła nas.* Staramy się wykorzystać zdolności komórek macierzystych w ten sposób, że pobieramy przy porodzie wcześniaka krew pępowinową i nie zamrażamy jej, tylko podajemy wcześniakowi jego własną krew z komórkami macierzystymi, których jest około dziesięciu milionów w dziesięciu mililitrach. Mamy nadzieję, że mogą pomóc wcześniakowi

nareperować jelita, płuca, mózg? Oczywiście teraz jest moda na komórki macierzyste. Wszyscy je stosują i we wszystkich niemal chorobach. Przyszłość pokaże co one potrafią. Moda jest tak wielka, że w supermarkecie widziałem krem z roślinnymi komórkami macierzystymi.

Pomysły i abstrakcje

Pomysłem mającym cechy abstrakcji były narodziny dziecka hodowanego w słoju od stadium embriona. Ten słoć miał zastępować macicę, niedoścignioną konstrukcję i wzór dla położników i neonatologów. Słoć miał być czymś w rodzaju sztucznej macicy. Poród miał odbyć się przez „uroczyste zabicie słoja”. W zasadzie pierwsze takie pomysły były realizowane pod postacią wentylacji noworodka z użyciem z użyciem płynu, perfluorokarbonu, którym wypełniano płuca noworodka. Wentylacja płynowa nie daje takich urazów ciśnieniowych jak wentylacja powietrzem wtłaczanym pod ciśnieniem i przypomina sytuację, w której wody płodowe w macicy wypełniają płuca płodu. I chociaż nie odbywa się tam wentylacja zaspokajająca potrzeby płodu, ponieważ otrzymuje on tlen przez sznur pępowinowy z łożyska to jednak obserwuje się ruchy oddechowe, następuje w nich wymiana różnych substancji a sam płyn owodniowy w perfekcyjny sposób odżywia nabłonek oskrzeli płodu.

U dzieci płodowych i najmniejszych wcześniaków ogromnym i nierozwiązanym problemem jest pielęgnacji skóry, która jest cienka tak, że widać przez nią naczynia krwionośne, jest niezwykle wrażliwa na dotyk, urazy, zakażenie, niemal odrywa się pod plastrami

przytrzymującymi cewniki, rurki, czujniki temperatury, elektrody i inne urządzenia niezbędne do monitorowania stanu dziecka. W Szczecinie z racji być może bliskości morza używamy do pielęgnacji skóry tranu ryb w nadziei, że w sposób naturalny ochroni skórę dziecka przed wpływami nieprzyjaznego świata zewnętrznego. Ale tran nie zastąpi płynu owodniowego i jego własności ochronnych. Swoją drogą kosmetolodzy bardzo interesują się łożyskiem i tym co może ono dać do pielęgnacji cery. A tak w ogóle to trzeba by zanurzyć całego wcześniaka w sztucznym płynie owodniowym. Teoretycznie można zanurzyć dziecko w płynie, odżywiać go przez naczynia pępowinowe. Wyobrażalna jest sytuacja, w której płód jest zanurzony w sztucznej macicy i dojrzewa poza organizmem matki. Diabeł jest pogrzebany w szczegółach. Jak na bieżąco kontrolować skład takiego płynu? Jak dostarczyć te tysiące substratów w określonych ilościach i proporcjach? Jak określać zapotrzebowanie i skutki naszych działań? Natura zadziwia nas swoją doskonałością, chociaż jak wiemy doskonała nie jest bo i Jej zdarzają się nieudane przedsięwzięcia pod postacią chociażby wad wrodzonych.

Innym pomysłem jest dostarczanie w aerozolu surfaktantu tj. naturalnej substancji zmniejszającej napięcie powierzchniowe pęcherzyków płucnych przez co pozostają otwarte, wypełniają się powietrzem i zapewniają skuteczną wentylację i wymianę gazową. Badania jakie przeprowadziłem z Bengtem Andreassonem w Szwecji potwierdziły poprzednie doniesienia naukowe, że tylko 10% substancji dostaje się do płuc w postaci aerozolu, reszta skrapla się na

wyjściu, osiada na rurkach, łącznikach, a w przypadku wentylacji do nosowej na śluzówkach i w żołądku. Ale czy 10% to mało? Jeżeli uda się przez takie postępowanie uniknąć intubacji i sztucznej wentylacji, oraz jej powikłań w postaci chronicznej choroby płuc, dysplazji oskrzelowo płucnej, zakażenia, urazów mechanicznych, bólu?

Jednym ze zrealizowanych pomysłów z grupy abstrakcyjnych jest ECMO, sztuczne płuco zastępujące łożysko, które w łonie matki pełni rolę płuc. Sztuczna macica ciągle pozostaje tylko w sferze fantazji, ale nie raz fantazje stawały się rzeczywistością.

Media i bakterie?

Telefon z radia nie pozostawiał złudzeń. Szukają zarazy, współczesnej dżumy w Oddziale Noworodków. Zaprosiłem Panią redaktor do kliniki. Niech zobaczy jak wyglądają nasi pacjenci po 500-600-700 gram. Często są naszymi pacjentami jeszcze przed porodem jako płody w oddziale ciążowym. Leżą tygodniami z odchodzącymi wodami płodowymi. Później są leczone antybiotykami. Bakterie szybko uodparniają na antybiotyki i atakują wcześniaki które mają znacznie osłabioną odporność. Bakterie zmieniają się genetycznie, przekazują co dwadzieścia minut pożyteczne informacje nowym pokoleniom i innym gatunkom, co nie zdarza się człowiekowi i atakują znieścaka, podstępnie i bezwzględnie. Wytwarzają wokół siebie otoczkę chroniącą przed antybiotykami, wydzielają płyny rozpuszczające tkanki i w ten sposób torują sobie drogę do inwazji, rozmnażają się w postępie geometrycznym i bezwzględnie dążą do celu, które potrafią osiągnąć w kilka godzin. Wcześniak z masą ciała

ma dziewięćdziesiąt pięć mililitrów krwi. Bakteriom nie zajmuje dużo czasu zdobycie tego terytorium. Nawet najbardziej intensywne leczenie okazuje się nieskuteczne. Gniew rodziców kieruje się na personel medyczny, czego skutkiem są długotrwałe procesy prawne mające na celu „ściganie i ukaranie winnych”. Za oknem stoi samochód satelitarny znanej stacji telewizyjnej. Dwóch młodych chłopców co dwie godziny wdrapuje się z kamerą na Oddział Noworodków w poszukiwaniu ofiar kolonizacji bakterii. W końcu o drugiej nad ranem odjeżdżają. Jest tylko kwestią czasu kiedy doczekają się swojej sensacji. Gdybym umiał temu zaradzić.

Złamane udo

Mama dwójki dzieci zadzwoniła do nie z prośbą o wizytę do dwójki dzieci z infekcją. Trochę się spóźniłem z powodu przedłużających się wizyt, korków w centrum. Dzieci były już porządnie znudzone czekaniem na mnie i zaczęły bardziej energiczną zabawę. Polegała ona na tym, że jedno, to chore wchodziło na oparcie kanapy i skakało na to drugie zdrowe. Kiedy wchodziłem do pokoju zobaczyłem właśnie taki skok brata prosto na udo siostry. Krzyknęła z bólu. Nie wyglądało to najlepiej. Zacząłem badanie nie od gardła tylko od uda. Zrobił się obrzęk, było bolesne, a na dodatek kość udowa trochę zwichrowana w osi. Trzeba było zapomnieć o katarze, infekcji gardła, czy oskrzeli a zabrać się za leczenie złamanej nogi. Tata zawiózł córkę do szpitala gdzie rozpoznano złamanie. W związku z zamieszaniem z tym złamany udem zapomniałem zupełnie o tym dziecku, do którego byłem wezwany i w końcu go nie

zbadalem. W nocy odezwał się telefon, bo mój chory, niezbadany pacjent dostał gorączki. Wsiadłem w samochód i dokończyłem wizyty.

Wsparcie

Nocne telefony od lekarza dyżurnego z kliniki nie są może częste ale mają swój klimat i historię. Kiedy pierwsza próba rozwiązania problemu przez telefon nie udaje się trzeba wsiąść w samochód i jechać do kliniki. Pewnie, że lepiej byłoby zostać w domu, pić kawę, czytać książkę itp. Nocą ulice są puste. Miasto zasypia, śpi lub jeszcze nie obudziło się. Naprawdę świetnie jeździ się pustymi ulicami, bez korków. Gdybym nie zareagował na prośbę o pomoc i został w domu i tak nie mógłbym wypoczywać z powodu utraconego spokoju, a także wyrzutów sumienia, że nie pomogłem. Po drodze myślę jak ja pomogę, co można zrobić więcej? Na miejscu okazuje się zwykle, że zawsze można w czymś pomóc. Spojrzenie z zewnątrz zawsze jest nieco bardziej obiektywne, chłodne. Zawsze w zasadzie coś udaje się podpowiedzieć, wesprzeć w już podjętej decyzji, od czegoś odstąpić, coś zmienić. Kiedy wracam nad ranem do domu czuję zmęczenie, ale i satysfakcję, w każdym razie śpię ze spokojnym sumieniem, chociaż krócej.

Bezpieczeństwo

Czteroletni synek Erica Claptona wypadł przez okno z czwartego w hotelu. Powstała piosenka o tym tragicznym wydarzeniu „*Tears on the haven*”. Nie mogłem i do dzisiaj nie mogę jej słuchać

choć jest piękna. Nie jestem w stanie tego znieść emocjonalnie. Podobnie było z wygłaszaniem mojego doktoratu, szczególnie tej jego części, która mówiła o chorobie głodowej w Getcie Warszawskim. To było ponad moje siły. W końcu dałem sobie spokój kiedy kolejny raz łzy stanęły mi w oczach.

Nie tylko gwałtownie rozwijająca się posocznica spowodowana *Nisseria meningitis* czy *Haemophilus influenza* typu B są groźnymi wrogami dziecka. Takimi samymi wrogami są również „*Krecik*” do usuwania zanieczyszczeń w kanalizacji, wybielacze do plam, gorąca filiżanka kawy, pozostawione na wierzchu tabletki na nadciśnienie, czy małe przedmioty, w Kalifornii basen w ogrodzie. Wszystkie wymienione rzeczy mogą zagrozić życiu dziecka.

Rulid

W trzecią rocznicę urodzin odwiedził nas z rodzicami nasz pierwszy kangurowany w trakcie intensywnej terapii i sztucznej wentylacji pacjent. Urodził się z masą ciała poniżej jednego kilograma. Nie mógł sobie poradzić z oddechem dlatego trzeba było włożyć mu rurkę do tchawicy i sztucznie wentylować. Był na tej wentylacji na tyle dziarski, że najpierw Mama a później Tata bez żadnych komplikacji kładli go sobie na nagich piersiach, przytulali, mówili do niego, ogrzewali własnym ciałem. Świetnie się rozwijał pomimo, że należał do kategorii maciupkich wcześniaków poniżej tysiąc gram urodzeniowej masy ciała. Miał na sobie marynarskie ubranko. Rozmowa miała miły, towarzyski charakter. Mały zadarł nieco głowę do góry i zaczął sylabizować Ru, Ru, Rulid! Obejrzałem

się za siebie i zobaczyłem plakat reklamujący ten właśnie lek. Nasz Maciupek pomimo tego, że musiał walczyć o życie będąc skrajnie małym wcześniakiem po intensywnej terapii, w wieku trzech lat czytał.

Pierwszy dzień urlopu

Ta sytuacja powtarza się każdego pierwszego dnia letniego urlopu. Przyjeżdżam do Dominikowa i zaczynam chorować. Najpierw bóle brzucha, potem głowy. Objawy ustępują zwykle przed upływem drugiej doby, wówczas popadam w śpiączkę na następne dwa, trzy dni. Tak przemęczony organizm reaguje na gwałtowny spadek bodźców. Nie dziwię się, że ludzie dożywają emerytury by w niedługim czasie po prostu umrzeć w myśl powiedzenia „*emerycie bądź patriotą, nie żyj długo*”. Na tym nie koniec. Pierwszego dnia wydaje mi się, że wiele spraw nie cierpiących zwłoki wymaga załatwienia. Oczywiście przez telefon jest to w większości nierealne. Nie mniej podejmuję te beznadziejne próby przez pierwsze dwa dni nim ostatecznie moja komórka zapadnie w elektroniczny sen. Nim telefon popadnie w agonię zdąży jeszcze zadzwonić spanikowana adiunkt A.K. zestresowana nagłym przyływem odpowiedzialności i koniecznością podejmowania decyzji, a także „*słowami pocieszenia*” jakimi została przed chwilą „*namaszczona*” przez... i pyta czy mogę przyjechać natychmiast do kliniki? Basta! Oczywiście, że nie! Wyłączam telefon.

Jego serce

Dziecko urodziło się duże i piękne. Wyglądało na zdrowe. W rodzinie nie było problemów zdrowotnych ani wad wrodzonych w przeszłości. Karmiony piersią. Protegowany przez wielu znajomych ponieważ ojciec dziecka pracował w Polmozbycie. W tamtych czasach była to bardzo pożądana i atrakcyjna znajomość. Królestwo Fiatów nie miało końca a części zamienne i akcesoria były limitowane. Kupno jednej *sic!* lub dwóch opon wymagało napisania podania, które musiał pozytywnie zaopiniować dyrektor szpitala i dyrektor Polmozbytu. W każdym razie dziecko wyglądało na zdrowe i było karmione piersią. W jakieś trzy dni po wypisaniu ze szpitala i sześć dni po porodzie rodzice zamówili wizytę domową. Wizyta przebiegała w atmosferze niepokoju rodziców z powodu sinicy wokół ust przy karmieniu. Taki objaw jest dość powszechny u noworodków. Bierze się ona stąd, że w trakcie ssania pokarmu i napinania się w celu wypchnięcia gazów z jamy brzusznej gazów wzrasta ciśnienie w klatce piersiowej co utrudnia napływ krwi do przedsionków. W konsekwencji powstaje przekrwienie bierne objawiające się buraczkowo-śliwkowym zaczerwienieniem okolicy wokół ust i twarzy. Uspokajałem rodziców jak mogłem i zasugerowałem ewentualną konsultację kardiologa dziecięcego. Niestety scenariusz następnych kilku dni wyglądał jak najgorzej. Ta rzekomo fizjologiczna sinica zaczęła narastać i dołączyły się do tego objawy ze strony układu oddechowego i pokarmowego. Kardiolog rozpoznał w badaniu echokardiograficznym serce trójjamowe. Oznaczało to brak przegrody międzykomorowej. W tamtych czasach operacja odbudowy

przegrody była bardzo trudna a wyniki mało optymistyczne. Od tego czasu wiele się zmieniło. Przede wszystkim ma miejsce wszechobecność aparatów ultrasonograficznych i Dopplerowskich, którymi swobodnie posługują się położnicy, pediatrzy i neonatolodzy. Jest prawie niemożliwe aby nie rozpoznano wcześniej tak dużej wady serca. Na wszystkich oddziałach obecne są puls oksymetry czyli aparaty do pomiaru utlenowania krwi, które w przypadku wad wrodzonych serca może być upośledzone. Poprawiły też się techniki i wyniki operacji kardiochirurgicznych u noworodków. Sieć do wykrywania wad wrodzonych ma coraz mniejsze oczka i jest coraz bardziej efektywna. Tego typu wadę rozpoznaje się już u płodu.

Wszystko to nie przywróci to życia mojemu pacjentowi z przeszłości, ale kolejni rodzice nie będą przeżywali huśtawki uczuć zakończonych dramatem.

Jehowi

Z wyznawcami świadków Jehowy miałem problemy ale już ich nie mam. Od czasu jak zwlekałem ponad wszelką miarę z wykonaniem transfuzji wymiennej u donoszonego dziecka, które w konsekwencji miało ciężko uszkodzony mózg wiele się zmieniło. Po pierwsze w wyniku podawania globuliny anty Rh żółtaczką z powodu konfliktów serologicznych wymagających transfuzji wymiennej są rzadkością, po drugie w razie konieczności leczenia krwią istnieje możliwość czasowego ograniczenia praw rodzicielskich, zastosowania

niezbędnego leczenia a następnie odwołania tych praw i oddania rodzicom dziecka. Historia uszkodzonego dziecka była dramatyczna. To był konflikt serologiczny. Dziecko anemizowało się i narastała żółtaczka. Samo dziecko było duże, piękne, doskonale rozwinięte. W zasadzie wykonana na czas transfuzja wymienna krwi byłaby wystarczającym leczeniem. Pojawił się jednak problem natury wyznaniowej. Leczenie krwią nie wchodzi w rachubę. Rodzice nie chcieli o tym słyszeć. Młodzi, wykształceni, inteligentni, kulturalni, wszystko rozumieją, ale krew - nie. Wstrzymywałem się z zabiegiem do momentu, w którym dziecko zaczęło się odginać do tyłu - pojawiły się pierwsze objawy uszkodzenia neurologicznego. Dyrektor szpitala po zapoznaniu się z historią odrzekł krótko, proszę robić transfuzję na moją odpowiedzialność, zrobiłem było jednak już za późno, mózg był uszkodzony. Ciekawy jestem jak ma się dzisiaj to dziecko, czy chodzi, jaki ma intelekt? Co myślą jego rodzice o tamtych zdarzeniach i czy dzisiaj podjęliby taką samą decyzję?

Współcześni barbarzyńcy

Znajdujemy się w określonym punkcie historii rozwoju jako ludzkość. Ciągłe toczymy wojny, ciągle umierają ludzie z głodu, na raka i infekcje. Różnice naukowe i ekonomiczne a także kulturowe wydają się nie do zniwelowania. Pomimo skoku rozwojowego w technologiach jakiego dokonaliśmy w ostatnich dwóch stuleciach nadal jesteśmy społeczeństwem niedostatecznie rozwiniętym, które nie potrafi rozwiązać problemu wojen, okrucieństwa i przemocy a nawet głodu. Erich Fromm powiedział, że technologicznie jesteśmy

zaawansowani ale mentalnie tkwimy w epoce kamienia. Za następne dwieście lat będziemy lepsi? Czy w ogóle to możliwe? Wieloletnia wojna w byłej Jugosławii z ludobójstwem włącznie w dwudziestym wieku. Wyszadzane w powietrze autobusy z dziećmi w Irlandii w ramach wojny religijnej i narodowościowej. W Afryce Hutu zabijają maczetami Tutsi a liczba ofiar urasta do setek tysięcy. Dwie wojny domowe w XX wiecznej Europie z milionami ofiar. Dwadzieścia tysięcy strzałów w tył głowy w Katyniu. Sowieckie łagry z milionami ofiar i co najmniej tyloma sierotami.

Chodzi o to, że cała powłoka zewnętrzna współczesnego życia sprawia wrażenie, że jest pięknie, cudownie, że ludzie są przyjaźni i łagodni, życzliwi, a wystarczy jak w Nowym Orleanie huragan i zaczynają się gwałty, morderstwa, grabieże, pełna anarchia. Jesteśmy cywilizacją dopóki jest woda, jedzenie i policja.

A jednocześnie ratujemy z wielkim wysiłkiem słabych i bezbronnych jak maciupkie wcześniaki. Jedni ludzie poświęcają życie za innych, za idee?

Akt Krysi

Mąż Krysi był artystą malarzem. Jurek był dobrym artystą malarzem, ujmującym, miłym człowiekiem, lubił przyrodę i łowił ryby. Urodził im się syn Piotruś. Któregoś dnia zostałem poproszony na wizytę lekarską do domu. Piotruś miał jakiś niewielki problem medyczny i wymagał zbadania oraz opinii lekarskiej. Krysia posadziła

synka na kolanach i zacząłem go badać. Czułem się jednak cały czas jakoś nieswojo, nie bardzo mogłem się skoncentrować. Nie wiedziałem dlaczego? Skupiłem się jednak i kontynuowałem badanie. Kiedy Piotruś uniósł głowę by pokazać samodzielnie gardło dostrzegłem tuż nad Krysią, zawieszony na ścianie jej akt naturalnej wielkości namalowany przez Jurka. Przyczyna mojego braku koncentracji stała się jasna.

Wkrótce cała rodzina wyemigrowała do Nowego Jorku. Wszystko dobrze się układało z wyjątkiem łowienia ryb. Jurek żalił się, że do najbliższego łowiska ma cztery godziny samochodem.

Andrzej Bania

Jak tylko został docentem na Politechnice Szczecińskiej, z miejsca został dziekanem i głównym organizatorem krajowego zjazdu dotyczącego budowy dróg i mostów. Pierwszy problem pojawił się przy układaniu listy siedzących przy stole prezydialnym. Można zmieścić szesnastu, a uczestników zjazdu jest tysiąc i znaczna część z nich chciałaby siedzieć przy tym stole. Kogo przy nim nie zmieścisz, poczuje się urażony, a stół prezydialny nie może liczyć przecież tysiąca osób przy widowni w liczbie szesnastu.

Któregoś dnia na basenie odwrócił się do mnie plecami i zapytał co to za zmiana? Nie była to dobra zmiana. Andrzeja nie ma już wśród nas, ale jest w naszych wspomnieniach jako człowiek uśmiechnięty, uczynny i doskonały dydaktyk. To jemu udało się w sposób całkowicie dla mnie zrozumiały objaśnić mi naturę statystyki medycznej niezbędnej przy pisaniu artykułów naukowych.

Jak w Cyrku

Cedra mieszanka boksera z amstafem trzyma głowę kota dachowego Julka w swojej paszczy, ten się nie broni. Szczura Pimpusia traktuje jak własne dziecko i dostaje na jego widok laktacji. Jest często w ciąży urojonej. Karmi telefony, jeden nawet zjadła. Karmi wypchanego łośia znacznie większego od siebie. Ma obrzęknięte piersi, leci jej mleko, a do tego wszystkiego ma wyciek z pochwy, może ropny? Może mieć zapalenie ropne macicy. Trzeba poradzić się weterynarza, bo może być źle. Skończyło się wycięciem macicy, ale przyjaźń z kotem i szczurem trwa nadal.

Pawment Berlina

Pewna dziennikarka z Warszawy zapytała mojego brata ciotecznego Leszka Karwowskiego dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie jak widzi piękniejącą stolicę w wyniku ostatnich przemian a szczególnie Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście i wszystko inne. Leszek *enfant terrible* rodziny odpowiedział cyt. „*No cóż czy nas mieszkańców Szczecina, przedmieścia Berlina może cokolwiek tutaj zaskoczyć?*”. Patriotyczna krew dziennikarki zawrzała i pewnie na wspomnienie tej rozmowy wrze do dzisiaj. A Warszawa jest nie do poznania podobnie jak i Berlin. Obie stolice rozwijają się w tempie godnym podziwu tylko, że Berlin trochę szybciej.

Do Berlina jest 90 minut samochodem wygodną autostradą. Można rano wyjechać jak do pracy, spędzić cały dzień w klinice, zjeść

lunch, zrobić zakupy i wrócić wieczorem do domu. W ten sposób można odetchnąć europejskim powietrzem z nutką dederyzmu, modą na trabanty. To bardzo wzbogaca i kształci. Berlin jest szansą cywilizacyjną, jest wyciągiem do Europy. Niedocenianie tego faktu, ignorowanie go jest utraceniem szansy na rozwój, jest błędem. Gdziekolwiek lecimy samolotem, lecimy z Berlina. Autostradą przez Berliner ring jest nieco dalej ale znacznie krócej do Krakowa i Katowic. Otwarcie granic jest czymś naturalnym w Europie. Znacznie korzystniej jest je otworzyć niż kosztem setek tysięcy ofiar przesuwając raz w jedną raz w drugą stronę.

Eutanazja

W europejskim społeczeństwie obowiązuje myślenie skutkowo przyczynowe wywodzące się z filozofii greckiej. Aktualnie do szczególnego znaczenia podniesione zostały ekonomiczne aspekty procesu leczenia. Dotychczasowa opinia wywodząca się z okresu filozofii „*realnego socjalizmu*”, że „*życie ludzkie ma cenę*” straciła na znaczeniu. Na jej zastosowanie nie starcza pieniędzy nawet w najbogatszych krajach.

W Grecji noworodki z wadami zrzucano w przepaść z góry Tajgetos. W początkach XX wieku w Polsce akuszerka miała przygotowane wiadro z wodą aby w razie urodzenia się dziecka z ciężkimi wadami wrodzonymi zanurzyć go w wodzie zanim zacznie sam oddychać. Dzisiaj takie uczynki zostałyby potępione i osądzone

jako niezgodny z prawem. Problem braku pieniędzy na finansowanie procedur medycznych nasila się wraz z postępowaniem medycyny. Nowe, coraz bardziej skomplikowane procedury medyczne są coraz droższe. Przeżywają noworodki z coraz cięższą patologią ciążową, okołoporodową i okresu noworodkowego. Koszty leczenia rosną. W USA 57% kosztów leczenia noworodków zużywają te urodzone poniżej 37 tygodnia życia a stanowią tylko 9% populacji.

Stała, aktywna obecność rodziców w Oddziałach Intensywnej Terapii zmieniła dotychczasowy stosunek personelu medycznego do noworodków jak również okoliczności zgonu noworodka. W przeszłości rodzice byli informowani, że dziecko zmarło, ponieważ miało wady uniemożliwiające życie. W ich wyobraźni powstawał obraz ich dziecka, które przy najlepszych chęciach pielęgniarek i lekarzy nie było w stanie przeżyć i tak jest w zasadzie jest dla niego lepiej. Jest to sposób myślenia oderwany od realnego kontaktu z własnym dzieckiem, w jakiś sposób teoretyczny, oparty na wyobraźni, bez doświadczenia osobistego wynikającego z uczestnictwa w walce o życie własnego dziecka. Współcześnie rodzice biorą pełny udział w procesie diagnostycznym, leczniczym i są często obecni przy zgonie dziecka. wcześniak ze skrajnie małą masą ciała pozostaje w oddziale intensywnej terapii ponad trzy lub cztery miesiące jest zatem czas na powstanie związków emocjonalnych z własnym dzieckiem. Rodzice mają świadomość jego obecności jako żyjącego dziecka. Zatem życie wcześniaka z wadami letalnymi niezależnie od czasu trwania i ostatecznie zakończone zgonem jest takim samym życiem jak każde

inne, trwające dziesiątki lat. Informacje medyczne uzyskane w procesie diagnostycznym mają dla rodziców dziecka znaczenie prognostyczne co do planowania następnych ciąż.

Niekiedy pada pytanie czy warto je ratować? Wg Amerykańskiej Akademii Pediatrii resuscytacja poporodowa jest przeciwwskazana w przypadku chromosomalnych wad wrodzonych T18 i T16. Nie dają one żadnej nadziei na przeżycie. Problem w tym, że rzadko mamy do dyspozycji rozpoznanie prenatalne. Raz rozpoczęta resuscytacja, z reguły skuteczna ma swój dalszy ciąg i jest trudna do przerwania kiedy dziecko podejmuje funkcje życiowe.

Idea prawa naturalnego nie pozwala iść w rozumowaniu moralnym na żadne skróty. I tak można by powiedzieć, że ratowanie i podtrzymywanie życia noworodka z wadami wrodzonymi nie powinno mieć miejsca, bo jest to wbrew naturze. Prawa naturalne zmieniają się pod wpływem postępu biotechnologii. W medycynie często przy okazji omawiania choroby opisywany jest jej naturalny przebieg. Pozwala to uzmysłwić nam sobie rozmiar i skutki postępu.

Nie wiemy na pewno w momencie porodu jakie to są wady. Ratując życie uruchamiamy ciąg zdarzeń, który trudno później powstrzymać, bo stanowi to osobny problem prawny i moralny. Eutanazja czynna poza Holandią nie jest w Europie praktykowana. Eutanazja dobrowolna nie ma miejsca w neonatologii, ponieważ noworodek nie może świadomie pragnąć śmierci i wyrazić takiej woli. Kościół rzymskokatolicki w swojej Deklaracji o eutanazji definiuje eutanazję jako „*działanie lub powstrzymanie się od działania, które*

samo w sobie lub przez intencję powoduje śmierć”. Jednakże filozoficzna różnica zdań pojawia się wówczas, gdy trzeba ustalić, jakie działania lub zaniechania działań są równoznaczne z eutanazją. Ale przeczy się, jakoby lekarz, który powstrzymuje się od reanimowania poważnie upośledzonego noworodka, praktykował eutanazję. Nowe technologie medyczne pozwalają utrzymywać przy życiu pacjentów, którzy dziesięć lub dwadzieścia lat temu nie mieliby szans na przeżycie. W związku z tym odzywa pytanie czy lekarze zawsze powinni czynić wszystko, co możliwe, aby uratować życie pacjenta. Czy zawsze powinno się podejmować aktywne leczenie poważnie upośledzonych noworodków, których krótkie życie będzie wypełnione tylko nieustannym cierpieniem? Cierpieniem będzie wypełnione również życie ich rodziców. Jakie następstwa moralne, filozoficzne, osobowościowe dla personelu medycznego może mieć stosowanie eutanazji, ortotanazji, zaniechanie uporczywej terapii? Taki „*społeczny eksperyment*” aktywnej, dobrowolnej eutanazji przeprowadza się obecnie w Holandii. Jak dotąd nie ma dowodów na to, że akceptacja eutanazji pchnęła społeczeństwo holenderskie w dół równi pochyłej. „*Odstawienie respiratora powoduje śmierć pacjenta, podczas gdy niepodłączenie go może być poczytane za wyraz roztropności lekarza. Czy taka intuicja jest słuszna?*” (T.Beauchamp)

Rozważmy następujący *casus*, noworodek z dysplazją tanatoforyczną nie ma szans na wyleczenie i przeżycie. Jest podłączony do respiratora, otrzymuje środki wspierające pracę serca i krążenie krwi, odżywiany dożylnie, otrzymuje antybiotyki i szereg innych leków

wspierających czynności narządów i poprawiających metabolizm. W tej sytuacji możliwe jest nie podejmowanie reanimacji w razie ustania podstawowych funkcji życiowych, zaprzestanie stosowania dotychczasowych środków gdyż mają one charakter nadzwyczajny. Pierwsza decyzja jest znacznie łatwiejsza od drugiej. Brak nadziei na przeżycie uzasadnia nie podejmowanie reanimacji i w sposób ewidentny oszczędza dziecku cierpienie jak i rodzicom, w tym wypadku emocjonalnych. Decyzja druga o odłączeniu np. respiratora co spowodowałoby natychmiastowy zgon dziecka logicznie jest uzasadniona, ale z psychologicznego punktu widzenia wymaga decyzji „sędziego” i funkcji „kata” a tego nikt nie chciałby się podjąć. Niechęć do podejmowania takich decyzji wiąże się bowiem z przekonania, że osoba podejmująca taką decyzję staje się winna śmierci pacjenta i ma poczucie winy. Może też przyłgnąć do niej stygmat „anioła śmierci”. Może nie muszą prowadzić „agresywnej terapii” tylko „oszczędzającą” co oznacza w praktyce wentylację klasyczną, podaż płynów z elektrolitami i substancjami odżywczymi, środki krążeniowych i antybiotyków jeżeli są konieczne. Nie muszą stosować wyszukanych technik wentylacyjnych jak wentylacja oscylacyjna, czy sztucznego płuco-serca, dializy otrzewnowej. Powinni natomiast poświęcić więcej uwagi działaniom przeciwbólowym, zapewnieniu ciszy, spokoju np. przez ograniczenie liczby badań pracownianych, nakłuć naczyń krwionośnych do niezbędnego minimum, ograniczeniu światła, zapewnieniu rodzicom dziecka stałego dostępu do dziecka, posług religijnych jak chrzest.

Koniec życia i tak jest nieunikniony znaczenia zatem nabierają okoliczności śmierci a nie jej nieuniknioność.

Co dzieje się z osobowością lekarzy i pielęgniarek? Po przegranej walce o życie pacjenta zjawiskiem zwyczajnym są łzy, uczucie przygnębienia i poczucia winy personelu medycznego. Jakie są odczucia, przeżycia personelu medycznego po zastosowaniu procedury zaniechania leczenia, lub odłączenia żyjącego dziecka od respiratora? Jeżeli pominąć czysto emocjonalny punkt widzenia to rzeczywiście rozwój biotechnologii i medycyny w ogóle będzie wystawiał odporność psychiczną personelu medycznego na coraz większe próby. Należy te wyzwania podejmować, ale raczej na tak niż na nie jeżeli chodzi o podtrzymywanie życia. Oczywiście można w walce o dobro i życie przesadzić i wówczas uporczywa terapia staje się torturą. Sądzę, że dyskusja o uporczywej terapii ma sens do czasu, w którym będzie możliwa wymiana nie tylko narządów, ale i genów. Wówczas padnie pytanie o to kim jest nasz wyleczony albo inaczej przekonstruowany za pomocą chirurgii i inżynierii genetycznej i medycyny regeneracyjnej pacjent.

Ewa nie była guzem

Moi znajomi nie mogli mieć dziecka. Przeszli różne próby polegające na bolesnym przedmuchiowaniu jajowodów, stymulacji hormonalnej itp. W początku lat dziewięćdziesiątych nie była jeszcze dostępne zapłodnienie w probówce „*in vitro*”. Adoptowali

chłopczyka. Był wspaniały, słodki, był uśmiechem losu swoich przybranych rodziców. Na dodatek fizycznie był tak do nich podobny, że bez żadnego trudu mógł uchodzić za ich biologiczne dziecko. Mama drżała na samą myśl, że może mu się coś stać, więc mój dochód z wizyt prywatnych był w tym przypadku znaczny. Na nic zdawały się moje próby uspokajania sytuacji i bezpłatnych porad telefonicznych. Ostatecznie ja także mogłem się pomylić. W końcu sytuacja się uspokoiła i częstotliwość wizyt spadła. W jakiś czas później spotkałem Mamę swojego pacjenta. Wyglądała bardzo mizernie. Z jej twarzy wycierał bezgraniczny smutek. Wyjawiała mi, że ma w brzuchu guz i spodziewa się najgorszego. Idzie właśnie od onkologa do ginekologa na konsultację, Ginekolog zapytał czy nie jest przypadkiem w ciąży. To niemożliwe odrzekła, jestem przecież bezpłodna! Testy ciążowe i badanie USG mówiły jednak coś wręcz przeciwnego. Dr W.K. zorientował się, że to jest jednak ciąża i tym sposobem, wkrótce urodziła piękną córeczkę Ewę. Gdyby nie roztropność ginekologa i nowe metody diagnostyczne pewnie wycięto by jej guza i zostałaaby ofiarą pomyłki diagnostycznej jak często zdarzała się w takich sytuacjach przed erą testów ciążowych i USG. Jak widać z tego przykładu przedmuchiwanie jajników i inne techniki medyczne mają się nijak do psyche kobiety.

Przedszkole integracyjne

Zajęło mi dwa lata aby nie tylko zrozumieć ale i głęboko poczuć, że dzieci z problemami rozwojowymi są moimi partnerami a nawet nauczycielami. Ich przyjazny stosunek do świata uśmiech i łagodność

to cechy których powinniśmy się od nich uczyć. Chociaż nie zawsze było łatwo. Autystyczna Basia przestała krzyczeć przy badaniu dopiero po dwóch latach i obdarzyła mnie swoim uśmiechem. Te z T21 były te z XY lub XX bez żadnych kompleksów i odwrotnie.

Często rodzice pytali mnie czy mają oddać dziecko do przedszkola integracyjnego, czy może jakiegoś bardziej rozwojowego z językiem angielskim lub karate? Z początku trochę bez przekonania i trochę z obowiązku odpowiadałem, że lepiej do przedszkola integracyjnego. W dwa lata całkowicie zmieniłem zdanie.

Matki przyprowadzały swoje dzieci „*upośledzone*” do przedszkola, rozbierały je w szatni, odprowadzały do ich grupy, całowały i wychodziły z przedszkola „*na wolność*”. Stały jednak za drzwiami, kręciły się niepewnie, paliły papierosa, i za piętnaście minut wracały zobaczyć co dzieje się z ich dziećmi. Następnego dnia rytuał się powtarzał, tyle, że wytrzymywały poza przedszkolem trochę dłużej. W końcu po jakimś czasie były zdolne do tego, aby korzystać z wolnego czasu.

Któregoś lipcowego dnia w przedszkolu integracyjnym był festyn. Dzieci tańczyły, razem, wszystkie z uśmiechniętymi buziami. Rodzice siedzieli przy stołach, rozmawiali w ogrodzie. Nikogo już nic nie dziwiło, nikt nie czuł niepokoju, nikt nie miał poczucia krzywdy. Integracja dokonała się.

Kangaroo care

Kangurowanie przyjęło się do neonatologii z przyrody. Kangurują kangury, dydelfy, wombaty, miśki koala nahajowane

eukaliptusem i teraz ludzie. W 1978 roku w szpitalu San Juan de Dios w Bogocie z powodu braku personelu, sprzętu i zakażeń szpitalnych dzieci od 700 gram kładziono na piersiach matek. Dokarmiano je sokiem owoców guavy zmieszonym z mlekiem, później zupą. Wagę urodzeniową uzyskiwały w 36 dobie życia. Część z nich zmarła w pierwszych dniach ale znaczna część przeżyła.

Kangurowanie przyjęło się w neonatologii z natury. Kangurują kangury, dydelfy, wombaty i miśki koala należą do rzędu ssaków bezłożyskowych. Młode rodzą się w stanie embrionalnym. Dalszy rozwój przechodzą w torbie na brzuchu matki. Kangurowanie to bezpośredni kontakt skóra do skóry matki i dziecka. W czasie kangurowania odbywa się karmienie piersią w pozycji wertykalnej. Noworodki mogą być kangurowane tuż po porodzie i niezależnie od masy ciała. Zaczyna się już na sali porodowej. Może być kontynuowane w drodze na oddział położniczy. Zaś w oddziale rooming-in nieprzerwanie aż do dnia wyjścia do domu. Zarówno w szpitalu jak i w domu kangurować może na zmianę z Mamą Tata. Kangurowanie jest uniwersalne i jest dobre zarówno w krajach biednych jak i bogatych. W biednych zastępuje zbyt drogie inkubatory i jest szansą na przeżycie. W bogatych może ochronić „*maciupkie*” przed zbyt agresywnym leczeniem i dać im bliskość matki. W obu sytuacjach przyczynia się do lepszych więzi między matką i dzieckiem. Kangurowanie nie zawsze jest możliwe np. jeżeli wcześniak jest „*maciupek*” i waży 470 gram, jeżeli wymaga dużego wsparcia oddechowego, jeżeli mechanizmy kompensujące są

wyczerpane całkowicie. Wówczas będzie bardziej potrzebował „sztucznej nocy”, „dotyku miłości”, „sztucznej macicy”, kołysanki Mamy, „amfoteroterapii”, indywidualnej opieki. Nie da się też kangurować siedmioraczków, przynajmniej jednocześnie. *Swinth JY* poleca jednak kangurowanie w opiece nad trojaczkami i twierdzi, że dodaje rodzicom to pewności siebie.

Dombrowski MA twierdzi, że kangurowanie może pomóc rodzicom młodocianym w podjęciu odpowiedzialności za dzieci. Zawsze na myśl nasuwają się pytania: Czy nie oziębna? Czy nie spadnie im poziom tlenu? Czy nie będą miały bezdechów? Czy nie zwolni praca serca? Czy nie wzrośnie zapotrzebowanie na tlen? Czy nie dojdzie do zakażenia? Czy nie wzrośnie liczba uszkodzeń płuc, oczu? Te wszystkie pytania cisną się do myśli rodziców i personelu medycznego. Taki mały, a leży poza cieplarką i jeszcze jest wentylowany przez nos. Kangurująca matka blada, pełna napięcia. W takich sytuacjach nieoceniona jest pomoc pielęgniarki i położnej. Jej doświadczenie i stała obecność gwarantują powodzenie przedsięwzięcia. Noworodki kangurowane mają krótszy czas wentylacji, krótszy czas karmienia sondą, mniej retinopatii, mniej dysplazji oskrzelowo-płucnej, rzadziej pęknięcie płuca i krwawienia do mózgowia. Kangurowanie jest jedną z metod zwiększania produkcji mleka, powoduje wzrost zainteresowania karmienia piersią zarówno matek i personelu. Kangurowanie zwiększając karmienie piersią pośrednio zwiększa odporność immunologiczną dziecka ze względu na obecność przeciwciał odpornościowych w jej mleku.

W ostatnim trymestrze ciąży i po porodzie czynność przysadki u matki ulega wyhamowaniu. Stąd matki w okresie poporodowym mają depresję. Możliwe, że kangurowanie wyzwala mechanizmy stymulujące oś hormonalną zwalczającą depresję. Jednoczesne kangurowanie jest polecane matkom trojaczków co dodaje im pewności siebie, może pomóc młodocianym rodzicom w podjęciu odpowiedzialności za dzieci.

Jest pięć obszarów neurobehawioralnych. „*autonomiczny, motoryczny, postawy, interakcji, samoregulacji*”. Kangurowanie stabilizuje te zachowania podobnie jak akcję serca, oddech minimalizuje ruchy bezcelowe, poprawia samoregulację i jest polecane przez National Association of Neonatal Nurses' Infant and Family Centered Developmental Care Guidelines (*Ludington-Hoe SM*). Kangurowane noworodki mają lepszą regulację autonomiczną i rozwój psychomotoryczny wg. Bayley Mental and Psychomotor Developmental Index (*Als H*). Kangurowanie stało się w świecie integralną częścią opieki nad noworodkami z małą masą ciała poniżej tysiąc pięćset gram. Daje ekonomiczne, psychologiczne i psychobehawioralne korzyści dla matek i dzieci. Największą korzyścią i sukcesem kangurowania jest promocja karmienia piersią.

Kangurowanie również niepełnosprawne matki niepełnosprawne dzieci to ich być może najlepszy język porozumiewania się.

Woody Allen

W każdy wtorek gra na klarncie w big bandzie w jakiej restauracji w Nowym Yorku. Jest muzykiem jazzowym i gra w bandzie. Analogia jest taka, że w każdy poranek przez pół godziny gram na gitarze na antresoli w swoim studio, niedługo ale systematycznie. Tajemnica tkwi w systematyczności. Ma ona znaczenie nie tylko w muzyce. Ta systematyczność przynosi określone efekty, tyle, że powoli, niemal niezauważalnie, ale przynosi. Latami gromadzą się rysunki, teksty, piosenki, dobra materialne, wspomnienia. Czas ma swój skończony wymiar w naszym ziemskim życiu. Jeżeli chcielibyśmy nim manipulować to musielibyśmy wybrać się w podróż z szybkością światła a to na razie niemożliwe. Poza tym czas szybciej uciekałby na ziemi a nie nam w kosmosie. Zatem jedynym sposobem spowolnienia upływu czasu jest jego racjonalne wykorzystanie. Kiedy przekroczyłem magiczną barierę pięćdziesięciu lat życia zmieniłem myślenie w rodzaju „*Czego to ja jeszcze nie zrobię*” na „*Ile jeszcze uda mi się zrobić*”

Ale wracając do Woody Allena. Któregoś wtorku nie odebrał w Hollywood Oskara z powodu koncertu jaki co tydzień ma w klubie Carlyle ze swoją The Woody Allen New Orleans Jazz Band. I tu już analogii nie ma, nikt nie zaproponował mi Oskara, chociaż gitariadę powiatową w Grodzisku Mazowieckim wygrałem.

Parasole w San Francisco

Jacek Ż. „*został na zachodzie*” w latach osiemdziesiątych. W Europie zachodniej nie pozostał długo. Po kilku latach wylądował w USA, w Kalifornii a dokładnie w San Francisco. Został zatrudniony w

Toshibie, kupił Hondę CRX i ożenił się z przemiłą Polką. Utrzymywałem z nim kontakt, cieszyliśmy się jego sukcesami z małą nutką zazdrości przynajmniej z mojej strony. W trakcie mojego pobytu na stypendium w Los Angeles, Jacek przysłał mi pocztą bilet lotniczy i za niecałe dwie godziny lądowałem w San Francisco u przyjaciela. Jechałem tą Hondą CRX do jego domu podziwiając piękno miasta i majestat Golden Gate, którego budowa była niezwykle trudna i pochłonęła wiele ofiar. Most zaprojektował inż. Joseph Strauss. Choć dużą rolę odegrali inżynier Charles Ellis oraz projektant Leon Moissieff przy pomocy architekta-konsultanta Irvinga Morrowa, który wprowadził nieco detali w stylu art déco. W domu Jacka poznałem jego żonę o uśmiechu i osobowości tak miłej, że chyba nie potrafiłbym tego opisać. Na początek zjedliśmy bułkę paryską, szynkę gotowaną, winogrona, kawę i wino. Byłem już oszołomiony a to był dopiero początek wrażeń. W owym czasie w Polsce takie menu zdarzało się tylko w święta. Jacek zaprosił mnie do multikina nieznanego wówczas w Polsce, takiego z coca colą, prażoną kukurydzą na „*Robocop*”. Kino i film zrobiły na mnie kolosalne wrażenie. Później poszliśmy do wypożyczalni video gdzie Jacek wypożyczył kilka kaset video, głównie z filmami futurystycznymi. W nocy w towarzystwie kalifornijskiego wina, bułki paryskiej, szynki i winogron, którymi wciąż nie mogłem się nasycić oglądałem filmy aż do zaśnięcia. Następnego dnia pogoda jak zwykle była słoneczna jak w piosence „*It Never Rains in Southern California*”

Alberta Hammonda. Pojechaliśmy do City Hall gdzie Jacek miał

do załatwienia jakąś sprawę. Zdumiało mnie wówczas, że wcale nie stał w kolejce, tylko wziął numerki ze stelaża i spokojnie czekał na swoją kolej. Proste? No i teraz są te parasole! Czekałem na Jacka przed City Hall w kawiarni pod malowniczymi parasolami pijąc zimne, smaczne piwo. Łzy zakręciły mi się w oku bo nie miałem nadziei że kiedykolwiek podobnie może być w Polsce. Jak się okazało w trzynaście lat później, może. W każdy mieście, na każdym rogu są parasole i zimne piwo. Kupiłem też sobie Hondę Accord Coupe w wersji amerykańskiej fura taka, że Paweł nazwał ją „*Machina zagłady*” co przemieniliśmy na włoskie *macchina forca*, później roadstera Mazdę MX-5 zwaną *macchina magnifica*. Ale o samochodach to lepiej, żeby wypowiedział się prof. Ryszard Lauterbach z Krakowa, na pewno wie wiele więcej.

Józek L.

Czerwony domek w Lundzie i jak dwa razy chcieli go komuniści porwać, a teraz się do niego uśmiechają i jak pytałem go czy ktoś przypuszczał, że „*to wszystko się kiedyś zawali*”?

To nie są żarty. Józef L. jako działacz opozycji w stosunku do komunistów działał przeciwko ustrojowi socjalistycznemu. Za tę działalność chciały go tajne służby komunistyczne porwać ze Szwecji i jak się sądzi zabić. Nie udało im się dwa razy. Józek jest legendą opozycji, dzisiaj żyje między Lundem a Warszawą. Jest taki spokojny, przyjazny, filozoficzny, aż trudno uwierzyć, że jest taki silny, że był

aż tak „niebezpieczny” dla PRL-u. Józek ma syna, który nie interesował się w owym czasie książkami. Kiedy o nim mówił wspomniał; „czekam, aż chwyci go głód intelektualny”. Mam nadzieję, że chwycił. Józek działa na swoich rozmówców jak balsam, jest jak czarodziejka, która przynosi błogi spokój. Ponieważ był blisko tych wszystkich politycznych spraw, ponieważ był zbliżony do wielu znanych polityków światowych i filozofów zapytałem go kiedyś czy ktoś mógł wówczas przewidzieć, że komunizm „padnie” i to tak szybko. W moim przekonaniu miało to trwać około pięćdziesiąt lat. Komunizm padł w dziesięć od tego momentu. Józek powiedział, że rozmawiał z politykami dużego formatu, którzy przewidywali szybki rozpad bloku komunistycznego. Mogli to przewidywać, ponieważ ich wiedza co do stanu ekonomicznego, militarnego i psychologicznego „wspólnoty socjalistycznej” była ogromna. Ja nie miałem takiej wyobraźni, ale cieszę się, że mogę korzystać z efektów demokracji.

Czarodziejskie leki

Sól fizjologiczna też jest lekiem! I to jakim? Tylko należy ją w odpowiedni sposób zaproponować i zaaplikować. Takich czarodziejskich leków jest więcej. Należy do nich guma do żucia Mamba w przypadku zapalenia ucha środkowego. Aby otworzyć Trąbkę Eustachiusza, usunąć nadmiar gazów powstający w efekcie procesu zapalnego należy żuć gumę. W wyniku mechanizmu podobnego do ssania cukierków we wznoszącym się samolocie w podobny sposób można „odetkać” chore ucho, wypuścić do nosa nadmiar gazów i zmniejszyć ból. A jeżeli nie, to guma do żucia

znacznie zmniejszy cierpienia chorego dziecka bo jest słodka. W przypadku noworodków innym cudownym lekiem jest dwudziestosześcioprocentowa glukoza podana na język. Jej słodkość działa na noworodka niemal narkotycznie, w mózgu wydzielają się endorfiny, uspokaja się niemal natychmiast. Maść majerankowa i eukaliptusowa, oraz nadzieja przychodząca z pogodnym lekarzem, dodająca otuchy, znosząca ból. Taki wpływ lekarza na moje samopoczucie pamiętam kiedy cierpiałem z powodu szczepionki przeciw ospie prawdziwej. W 1964 roku byłem na kolonii letniej w Kamieńczyku koło Szklarskiej Poręby. W tym samym czasie we Wrocławiu wybuchła epidemia ospy prawdziwej (*Variola vera*). Wszyscy, którzy opuszczali teren objęty chorobą musieli być zaszczepieni przeciw tej chorobie, co i nie ominęło naszej kolonii. Nasz pociąg powracający do Warszawy zatrzymano i służby medyczne przystąpiły do szczepienia. Po zaszczepieniu wszystkich już bez przeszkód dotarliśmy do Warszawy. W następnych dniach w miejscu szczepienia pojawił się obrzęk, zaczerwienienie i ból. Drapiąc tę okolicę spowodowałem dodatkowe nasilenie i rozprzestrzenienie się objawów. Gorączkę miałem ogromną, a samopoczucie żadne. Rodzice wezwali lekarza. Czułem się okropnie i czekałem na niego z nadzieją, że mi pomoże. Jak przyszedł byłem pod wrażeniem. Był bardzo elegancko ubrany, miał krawat i sprawiał duże wrażenie. Coś na pewno mi zapisał, ale nie pamiętam już co. To był gorący lipiec, upał dodatkowo zwiększał moje cierpienia. Przyszła letnia noc. Nie mogłem sobie poradzić z gorączką i nie mogłem spać. Wziąłem

poduszkę i kołdrę i położyłem się na balkonie. Nocny chłód przyniósł mi ulgę i usnąłem. Obudziłem się rano już bez objawów, to był koniec mojej męki, gorączka nie powróciła. Co mi pomogło? Sen nocy letniej? Lekarz? Albo się po prostu skończyło? „Cudownie” działają herbatki Mamusi i Babci a to z malin, a to z miodu pod warunkiem, że dziecko nie ma uczulenia na alergeny z pyłków kwiatowych zawarte w miodzie. Miałem też pacjenta, który cierpiał z powodu gorączki reumatycznej. A to miał wysypki skórne w postaci czerwonych obrączek, a to miał zaburzenia rytmu serca, obrzęki stawów. W Szczecinie leczenie nie udawało się najlepiej, za to u Babci w zadymionym Zabrze wprost przeciwnie. W tamtych czasach kopalnie węgla kamiennego pracowały pełną parą. W powietrzu unosił się pył węglowy, widoczny gołym okiem. Osiadał grubą warstwą dosłownie na wszystkim. Za każdym razem kiedy mój reumatyczny pacjent jechał do Babci i Dziadka zdrowiał, znikaly wszelkie objawy i miał ogromny apetyt na babcine kurczaki. Kiedy wracał do Szczecina zaczynał chorować. Ten fenomen nie został wyjaśniony do dzisiaj i tak już pozostanie chociażby z tego powodu, że na Śląsku nie ma już tyle pyłu węglowego. Inny cudownym lekiem jest dotyk. Ból pod wpływem dotyku przechodzi „*jak ręką odjął*”.

Szaman

Zadziwiająco jak łatwo dzisiejsi lekarze rezygnują z możliwości oddziaływania na pacjenta np. metodami jakie daje dostęp do urządzeń typu high-tech. Na szyi słuchawki, w kieszeni młotek neurologiczny, latarka, kieszonkowa EKG z ciekłokrystalicznym

wyświetlaczem, miniaturowy pulsoksymetr mierzący poziom tlenu we krwi, elektroniczny termometr. Pacjent mówi „*mam coś z sercem*”, na to lekarz OK. już robię Panu EKG. Wyjmuje z kieszeni futerał taki sam w jakim mieści się pióro i długopis, z niego urządzenie o rozmiarach piętnaście na trzy centymetry z trzema elektrodami przypominającymi metalowe guziki. Nawilża je wodą, przykładą do klatki piersiowej i na wyświetlaczu ukazuje się zapis EKG. W innej sytuacji pacjentka skarży się na duszność. Wystarczy założyć na palec miniaturowy pulsoksymetr, który w kilka sekund pokaże, czy pacjent jest niedotleniony. Wielki wrażenie na pacjentach robi badanie ultrasonograficzne. Czasami mam wrażenie, że pacjenci są przekonani, iż można z tego badania dowiedzieć się niemal wszystkiego. Patrzą uważnie na wyraz mojej twarzy starając się wyczytać z niej to co wyczytam z ekranu monitora. Można z powodzeniem mieć przy sobie USG w palm topie. Cuda. A niedługo będzie jak możliwe odczytywanie danych przemiany metabolicznej przez skórę, małym urządzeniem. Lekarz wyposażony w takie urządzenia jak czarodziej wydobywa z kieszeni coraz to inne urządzenie niespodziankę. Wyglądają lepiej od afrykańskich szamanów. Nowe technologie medyczne pozwalają na stawianie coraz większej liczby rozpoznań. W zasadzie jest to zjawisko pozytywne, ale może też nieźle dołować pacjentów bombardowanych rewelacjami o swoim zdrowiu, a szczególnie o zagrożeniach. Może lepiej nie wiedzieć wszystkiego o sobie? Ostatnio rozmawiałem z profesorem genetyki, który przedstawił mi wizję taką. Już w niedalekiej

przyszłości, każdy będzie mógł oddać do badania dziesięć mililitrów krwi i otrzyma wynik po badaniu genów, z którego dowie się do jakich chorób ma predyspozycje, będzie mógł się odpowiednio zachować pro zdrowotnie. Nie chciałbym bym wiedzieć co mi grozi, nie wiem czy jestem na to przygotowany. Jakie mam ryzyko zachorowania na raka płuc, raka jelita grubego, białaczkę i cukrzycę i parę innych chorób. Może to być informacja użyteczna, ale nastroju to ona mi nie poprawi o ile nie pogorszy na zasadzie efektu „*nocebo*”.

„*Cuda zdarzają się w kinie i w medycynie*” to powiedzenie jak najbardziej prawdziwie odzwierciedla rzeczywistość. W kinie techniką cyfrową można wykreować wszystko, co tylko podpowie wyobraźnia. „*Takich potworów morskich jak w kinie nie ma w głębinie*”. Natomiast cuda w medycynie mają efekt zbawczy z powodu działania sił nadprzyrodzonych, supranaturalistycznych, nam nieznanych, na które nie mamy wpływu. Oszczędzę opisów uzdrowień z powodów pozamedycznych, których jest wiele. Świadczą one o słabości medycyny, o jej nikłości wobec sił przyrody, o wielkiej wierze i pokładanych nadziejach w siłach działającymi ponad nami. Pozostawiłem kiedyś noworodka w intensywnej terapii. Był wcześniakiem, miał problem z zakażeniem. Pojawiły się na skórze czerwone wybroczyny, zaczął się zespół wykrzepiania wewnątrznaczyniowego charakterystyczny dla sepsy. W tej chorobie kiedy wszystkie czynniki krzepnięcia zużyją się następuje faza krwawienia ze wszystkich narządów. Był intensywnie leczony, ale miałem wielkiej nadziei, że przeżyje. Nic jeszcze wówczas nie było

wiadomo nam na temat leków poprawiających mikrokrążenie jak pentoxyfillina, którą w tym celu zastosował prof. Ryszard Lauterbach z Krakowa, białka-C i wielu innych sposobów leczenia sepsy. A jednak dziecko przeżyło tak jakby jakaś trzecia siła mu pomogła. Dzisiaj to piękna panna i pewnie nie wie, że o niej teraz piszę.

Teatr

Czwarta nad ranem, jeszcze noc głęboka bo to listopad. Od kilku godzin mój pacjent ważący siedemset gram obudził we mnie nadzieję, którą za dnia straciłem niemal całkowicie. Z trudem udawało się utrzymać tlen na poziomie siedemdziesięciu procent, co stanowi mniej niż minimum potrzebne do przeżycia. Respirator wdmuchujący rytmicznie powietrze do płuc zawodził. Pulsoksymetr raz po raz sygnalizował czerwonym pulsującym światłem i dźwiękiem, że poziom tlenu i tętno zniżyły się do wartości krytycznych. I znowu, po raz kolejny trzeba było rozpocząć ręczną wentylację workiem Ambu. Powrót do wartości prawidłowych przychodził z trudem. Obok stała Matka dziecka. Niewysoka szatynka, z gładko zaczesanymi włosami i dużymi oczami. Patrzyła uważnie, nie mówiła wiele. Kiedy sygnały alarmu powtarzały się częściej jej oczy stawały się szkliste. Czasami wychodziła z sali, siadała na krześle przy stole i piła kawę ze srebrnego termosu. Ciągle nie umiałem znaleźć sposobu na ustabilizowanie mojego pacjenta. Rano był kardiolog z konsultacją i wykluczył wadę wrodzoną serca, przetrwałe krążenie płodowe i zapalenie mięśnia sercowego. Ciśnienie krwi było nieco za niskie, krążenie mózgowe krwi nadal nie było najlepsze ale poprawiło się

wyraźnie. W płucach pokazało się powietrze w przestrzeni śródmiąższowej, pojawiły się też pułapki powietrza. Zmieniłem antybiotyk. W klinice pojawił się ojciec dziecka. Niewysoki brunet, z krótko przyciętymi włosami. Miał łagodne spojrzenie, trochę pytające i pełne zaufania. Tacy rodzice wyzwalają najgłębsze pokłady odpowiedzialności, zmuszają do ekstremalnego wysiłku. W klinice przebywa zwykle dwadzieścia jeden noworodków. Oznacza to czterdzieści dwoje zainteresowanych nimi rodziców, oraz sto dwadzieścia osiem babć i dziadków co razem daje sto siedemdziesiąt osób, które obserwują uważnie spektakl jakim są narodziny dziecka a wielu przypadkach dramat walki o życie. To jest teatr życia. Teatr na serio. W tym przedstawieniu są prawdziwe sytuacje, prawdziwi aktorzy a scenariusz pisze życie.

Mój pacjent cały czas załamywał się. Traciłem wiarę, ale tą myślą nie podzieliłem się z rodzicami. Udawałem, że mam jeszcze nadzieję. W tym czasie gorączkowo myślałem jak obejść chorobę. Zacząłem wsłuchiwać się w rytm swojej ręki ściskającej worek Ambu a drugą synchronizować parametry respiratora aby pracował tak samo jak ręka. Podłączyłem respirator. Nic z tego znowu alarm. I tak wiele razy. Zmieniłem antybiotyk, podałem sterydy, aby zmniejszyć obrzęk. Zacząłem myśleć o nietypowym podaniu surfaktantu. Ale jak uniknąć tworzenia się pułapek powietrza w przestrzeni śródmiąższowej? Jak uzyskać stabilne i prawidłowe wysycenie tlenem krwi? Trzeba zwiększyć ciśnienie na szczycie wdechu. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć, nie widać poprawy. Trzydzieści, nic, trzydzieści pięć, nadal nie

ma efektu, zaraz pękną płuca. Płuca siedemset gramowego wcześniaka mogą tyle nie wytrzymać. Wtedy do tragedii już blisko nawet jeżeli założy się drenaż opłucnej. Wreszcie przy czterdziestu centymetrów słupa wody ciśnienia tlen zaczął trzymać swój poziom. Matka patrzy, na twarzy widać napięcie, czasami łzy. Pomyślałem, że zmniejszę ciśnienie końcowo rozkurczowe do zera. Co prawda płuca mogą się lekko zapadać, ale za to powietrze będzie wydostawać się z tych pułapek powietrznych. Mijają minuty, godziny, żadnych alarmów. Maciupek leży na brzuchu, jest różowy. I tak dzień po dniu, tydzień po tygodniu trwa spektakl. Zmieniają się warunki i zmieniają się widzowie, ale dramat ciągle ten sam. Czy aktor ma taką widownię latami, obserwującą w napięciu i z takim zaangażowaniem to co dzieje się na scenie „*theatrum medicum*”? Czy chcemy, czy nie chcemy jesteśmy aktorami w teatrze życia. Widzowie wpatrują się w nasze twarze wierząc, że „*nie gramy*”, że wyrażamy prawdę. Czy chcą abyśmy grali rolę optymistycznie, czy chcą abyśmy grali „*prawdę*”, której być może sami nie znamy.

Bywa, że zmieniają się wzajemne relacje między lekarzami a pacjentami i to my lekarze stajemy się statystami przedstawienia i ekspresji nieszczęścia lub radości życia.

Kominki

Chodzi mi o „*kominki*” mikrobiologiczne, radiologiczne, farmakologiczne, laboratoryjne, przy których gromadzą się specjaliści różnych dziedzin by porozmawiać o pacjentach. W szpitalu pracuje szereg osób o wielkiej wiedzy, każda z nieco innej specjalności. Ich

inna a szczegółowa wiedza może okazać się istotna dla losów pacjenta. Tych ludzi nazywa się klinicznymi mikrobiologami, farmakologami, radiologami itp. Aby w pełni wykorzystać ich wiedzę najlepiej jest zapoznać ich z klinicznymi problemami pacjenta, dobrze też, żeby zobaczyli go na własne oczy. Wówczas wyniki ich badań przyjmują „kliniczną postać” i inaczej, w bardziej „ludzki sposób” są interpretowane. Niezależnie też od interpretacji wyników pracownianych czy laboratoryjnych specjaliści „teoretyczni” posiadają wiedzę jakiej nie posiadamy my. Mikrobiolodzy hodując dziesiątki bakterii dziennie i oznaczając ich wrażliwość na antybiotyki potrafią nakierować na właściwe leczenie, wskazać właściwy lek często już we wczesnej fazie identyfikacji bakterii, jeszcze przed wykonaniem antybiogramu co zajmuje godziny i dni. A czas ma często zasadnicze znaczenie dla pacjenta zarówno co do wyleczenia jak i przeżycia. Wspólnie znacznie łatwiej wymyśleć coś sensownego dla pacjenta.

Fikołki

Jak felczer próbował nas upić spirytusem medycznym aby wyciągnąć informacje, czy ktoś nie chce zająć jego miejsca w ośrodku zdrowia. A miejsce jest rzeczywiście piękne. Na Pojezierzu Zachodniopomorskim znajduje się bez mała tysiąc jezior. Nie są zatłoczone jak jeziora mazurskie, chociaż nie mają ich sławy chociażby z tytułu kręcenia filmu Romana Polańskiego „*Nóż w wodzie*” czy wielu innych. Walory turystyczne Mazur to przede wszystkim ponad 3000 jezior, dziewicza przyroda, setki zabytków.

Atrakcją turystyczną są Pola Grunwaldzkie, na których w 1410 r. wojska polsko-litewskie pokonały Krzyżaków. Sieć kanałów wodnych łączących liczne jeziora jest atrakcją dla żeglarzy. W każdym razie chodziło o miejscowość Moryń położoną nad jeziorem. W miejscowym ośrodku zdrowia pracował felczer. W tamtym okresie służba zdrowia miała być dla każdego obywatela dostępna. Aby temu zadość uczynić kształcono kwalifikowanych pracowników służby zdrowia w przyspieszonym tempie trzech jeśli się nie mylę lat. W takiej niewielkiej miejscowości jak Moryń wiódł on bardzo dostatnie życie. Ośrodek zdrowia mieścił się w pięknym piętrowym domu nad jeziorem. Na dole była lecznica, piętro zajmował felczer z rodziną, miał też garaż, przydzielony samochód i jeszcze kilka pólcatów w różnych okolicznych przedsiębiorstwach i praktykę prywatną. To starczyło na dostatnie życie. Przyjazd na stałe lekarza byłby dużym zagrożeniem dla jego pozycji. Tymczasem zjechaliśmy tam ze studentami medycyny na obóz letni. Było nas kilku młodych lekarzy i miejscowy felczer widocznie zaczął się niepokoić o swoją posadę. Zaprosił nas do gabinetu i poczęstował herbatą z dodatkiem spirytusu. Kiedy upijaliśmy herbaty dolewał spirytusu zupełnie podobnie jak w chacie góralskiej, gdzie serwuje się herbatę góralską. Pytał nas o plany. Chyba się uspokoił po rozmowie. Każdy z nas miał bowiem inne plany niż przyjazd do Morynia. Specjalizacje, doktoraty, kariery kliniczne oraz poglądy, że tylko lekarz z długoletnią praktyką i dużym doświadczeniem mógłby poradzić sobie w takim miejscu gdzie trzeba umieć wszystko. Felczer sobie radził. Takiego przykładu ile trzeba

wiedzieć doświadczyłem szybko. Zaraz na początku przyszedł staruszek o dość czerstwym wyglądzie. Miał dolegliwości i dowiedział się, że przyjechali lekarze aż ze Szczecina. Nie miał pojęcia, że trafił na lekarza stażystę podyplomowego. W każdym razie przekonany o mojej dużej wiedzy zaczął opowiadać o swoich chorobach, a w jego dotychczasowym ponad osiemdziesięcioletnim życiu uzbierało się tego wiele. Część z nich nabył w czasie w pierwszej wojnie światowej gdzie służył w wojsku cesarza Monarchii Austro-Węgierskiej, część w drugiej wojnie światowej, resztę w wyniku ciężkiej pracy w polu. Było tego dużo. Uznałem, że powinienem tego wysłuchać bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. W trakcie opowieści dziadka o chorobach przeplatanymi opisami przypinania mu orderu przez samego cesarza Franciszka Józefa zapytał czy może zapalić. Pomyślałem, że w tym wieku to już nic mu nie zaszkodzi a jak lubi? Dziadek oczywiście poczęstował mnie, z szacunku zapaliłem. Był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Kiedy skończyliśmy rozmowę wyszedł dziarskim krokiem uśmiechając się. W zasadzie lekiem była rozmowa.

Ponieważ już od trzeciego roku studiów chciałem być pediatrą więc na tym obozie dostałem swoją „specjalizację” awansem i przyjmowałem jako lekarz dzieci. Matki przychodziły masowo do specjalisty ze Szczecina, zadawały mnóstwo pytań, na które w większości nie znałem odpowiedzi. Koszmar. Nie wiedziałem jaki znaleźć jakiś pewny punkt zaczepienia w poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania. W gabinecie stała waga dla niemowląt. Zacząłem dzieci

dokładnie ważyć i dyskutować na bazie faktu zasadniczego czy przybiera lub nie przybierania na masie ciała. To już było coś. Od tego czasu skrupulatnie ważę dzieci. Zupełnie niedawno jeden z kolegów powiedział mi żartobliwie, że ważę dzieci najlepiej w całym Szczecinie. Całkiem niezłe osiągnięcie jak na trzydzieści lat praktyki. Aha! Zapomniałbym wyjaśnić dlaczego zatytułowałem ten rozdział „*Fikołek*”. Otóż ta herbatka felczera jak i inne mieszanki zwane drinkami mają polską nazwę fikołek, która jak żadna inna nie odzwierciedla lepiej skutków picia etanolu.

Grzesia sweterek w serek

Po ukończeniu stażu podyplomowego trafiłem do 17 Batalionu Saperów 12 Dywizji Zmechanizowanej. Miałem do dyspozycji samochód sanitarny typu Lublin, starszy ode mnie, sanitariusza kierowcę i sanitariusza, szeregowego Grzesia M., w cywila pracownika Pogotowia Ratunkowego w jednym z miasteczek województwa zachodniopomorskiego. Grzesio M. był szczupłym blondynem o wesołym usposobieniu, żywym jak iskra, chętnym do pracy, czystym, dbałym o umundurowanie i swojego przełożonego, czyli Mnie. Palił papierosy, nie pił alkoholu, był punktualny, słowny, zaradny. Skarb. Nie miałem z nim żadnych kłopotów i mogłem mu w pełni zaufać. Doszło do tego, że miał *in blanco* przepustki. Mógł tym samym jechać do domu kiedy miał ochotę, wystarczyło, że porozumiał się ze mną telefonicznie i zapytał, czy może. Zarówno jemu jak i mnie służba w jednostce liniowej minęła dosyć szybko. On wrócił do pogotowia a ja zostałem przeniesiony do szpitala

wojskowego gdzie rozpocząłem specjalizację z pediatrii. Grzegorz M. był zawsze elegancki. Jak szedł na dyżur zakładał białą koszulę, krawat, sweterek w serek, wyprasowane spodnie, wyczyszczone buty, oraz złotą obrączkę i sygnet. Zwykle jeździł karetką z doktorem zmęczonym ciągłą pracą, niedogolonym i zaspanym. Zdarzało się więc najczęściej, że pacjenci zwracali się do Grzegorza M. *per* Panie Doktorze ignorując nie najlepiej wyglądającego lekarza. No cóż „*jak cię widzą, tak cię piszą*”, mówi przysłowie, ale jest też inne „*nie strój zdoła muzyka*” innymi słowy dobry muzyk zagra nawet na rozstrojonej gitarze, a takich pamiętam dwóch, Jacek Kaczmarski i Wołodia Wysocki.

Impossible nothing

Chodzę czasem do siłowni, ćwiczę w domu, lubię spacerować i pływanie. Staram się utrzymać swoje ciało i kondycję w formie. Lata robią swoje i trzeba trochę wysiłku aby to osiągnąć. Tam gdzie chodzę ćwiczę wisi na ścianie plakat z Muhammadem Ali, legendarnym bokserem wagi ciężkiej i napisem „*Impossible nothing*”. Osiągnął szczyty, ponieważ wierzył, że nic nie jest niemożliwe. Ta sentencja dotyczy każdej dziedziny życia, również położnictwa i neonatologii. Żeby spowodować aby szpital był przyjazny matce i dziecku nie wystarczy go odnowić, wymienić okna, kupić nowe sprzęty, urządzenia medyczne, ani ładne ubrania dla personelu. W sytuacji zagrożenia to akurat jest najmniej widoczne. To nie wystarczy.

Równie ważne jest to jak odnosimy się do pacjentów. Czy mamy z nimi kontakt i czy czują się bezpieczni. Ale i to może okazać się za mało. Trudno musimy być bardziej asertywni i okazywać więcej empatii, tyle, żeby starczyło.

Wczoraj badałem ultrasonograficznie mózgowie wcześniaka. Aparat Philips EnVisor podarowany przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy wygląda imponująco. Widać w czasie badania anatomię mózgowia, widać jak przez mózg przepływa krew, słysząc odgłos płynącego strumienia krwi i widać falę krwi przemierzającą, do tego w kolorze. Rozpoznanie brzmiało, krwawienie do komór mózgu trzeciego stopnia. Matka dziecka to drobna kobieta w wieku około czterdziestu lat, z małego miasteczka, wpatrzona w aparat i wsłuchana w to co mówię. Kiedy wspomniałem o krwawieniu trzeciego stopnia do komór mózgu w jej oczach pojawiły się łzy, a ręce zaczęły drżeć. Jak jej wytłumaczyć, że to coś jest, ale nie ma to znaczenia dla rozwoju dziecka? Jak jej powiedzieć, że to co mówię jest nieistotne chociaż jest? To po co o tym mówię? Dla niej szpital przyjazny dziecku, to taki, w którym płakać powinna tylko ze wzruszenia. Innymi słowy gdyby w tym szpitalu nie było tego aparatu ultrasonograficznego i nie zdiagnozowano by tym aparatem krwawienia trzeciego stopnia do komór mózgu to taki szpital byłby dla niej bardziej przyjazny. Klasyczny efekt nocebo. Dla tego, kto czyta ten tekst pewnie również niejasne jest, jak to możliwe, że jest krwawienie i to trzeciego stopnia a nic złego z tego nie wynika? Otóż po pierwsze nie jest to krwawienie do tkanki mózgowej i nie uszkadza

jej. To jest krwawienie ogranicza się do światła komór. Takie krwawienie nic nie psuje w mózgu, po prostu jest i znika jak siniak na przedramieniu po przypadkowym urazie. Owszem, może krwawić dalej, może poszerzać komory, może wiele rzeczy złych zrobić, ale niezwykle rzadko. Jednak nim to ulegnie wyjaśnieniu płyną łzy, nim ulegnie weryfikacji w czasie i przez kolejnych lekarzy, ręce i serce drżą z niepokoju. Kiedyś nauczony podobnym doświadczeniem badałem mózg dziecka i zobaczyłem krwawienie do komór mózgu drugiego stopnia, a więc nawet bez poszerzenia ich światła. Nie chciałem martwić Mamy i Babci tym rozpoznaniem, które nie miało w mojej opinii żadnego klinicznego znaczenia dla dziecka. Zataiłem tę wiadomość. Dziecko poszło do domu. Po paru dniach Babcia zadzwoniła do Mnie i z triumfalnym żalem oznajmiła, że dziecko było na kontroli u lekarza, ma rozpoznane krwawienie drugiego stopnia do komór mózgu i wymaga dalszych konsultacji. Pytała, też o przyczynę krwawienia w oddziale. Mogła podejrzewać, że nie wspomniałem o rozpoznaniu bo chciałem coś ukryć. O moim badaniu nawet nie wspomniała uznając Mnie widocznie za niegodnego zaufania ignoranta.

Zaraza

Dżuma. Obecnie przypuszcza się, że ogniskiem choroby była Azja Środkowa, gdzie epidemia dżumy wybuchła mniej więcej 20 lat wcześniej. Wraz z wyprawami kupieckimi, a także z

przemierzającymi świat armiami, choroba opanowała Azję Wschodnią i Południową. Następnie dotarła na Bliski Wschód i do Afryki Północnej. Dopiero stąd zawędrowała do Europy na statkach genueńczyków uciekających z Kaffy na Półwyspie Krymskim (genueńskiej faktorii handlowej) przed Tatarami. W 1346 r. oblegający ten port Tatarzy za pomocą katapult wrzucali za mury miasta zwłoki zmarłych na tę chorobę. Jest to jeden z pierwszych odnotowanych przypadków użycia broni biologicznej. Ponieważ ówczesne miasta europejskie warunkami higienicznymi nie różniły się od współczesnych slumsów, choroba rozprzestrzeniała się szybko, tym bardziej że nie zawsze nadążano z chowaniem zmarłych. Higiena, jaką znamy dzisiaj, nie mieściła się w pojęciach kulturowych tamtej epoki. Zaraza nie wybierała, umierali biedni i bogaci, starzy i młodzi. Gdy zawodziły wymyślne leki, kierowano modły do Boga, zwłaszcza za wstawiennictwem św. Rocha, patrona chorych na dżumę. Gdy i to nie pomagało, bogaci uciekali w inne rejony, roznosząc chorobę po nowych miastach, a biedni popadali w prostrację. Nieumiejętność rozróżnienia między rodzajami dżumy sprawiała, że nie można było przewidzieć, kto przeżyje, a kto umrze. Dżuma dymienicza dawała szansę przeżycia, dżuma płucna i posocznicowa były jednoznaczne z wyrokiem śmierci. Nikt jednak nie znał przyczyny choroby i powszechnie uważano ją za karę boską. Pandemia czarnej śmierci do końca 1348 roku rozszerzyła się na Hiszpanię, Francję i Anglię, w następnych latach opanowała większość Europy i wygasła około 1352 roku.

Choroba spustoszyła dzisiejszą Europę zachodnią, a głównie miasta portowe. W ten sposób dotarła do Gdańska i na Pomorze. Stosunkowo mniejszy zasięg miała w Europie Środkowej, w tym także w Polsce. W czasie czarnej śmierci zmarło wiele osobistości, m.in. ukochana Laura Petrarki. Opisowi czarnej śmierci poświęcone są pierwsze strony sławnego *Dekameronu* Giovanniego Boccaccio, który był świadkiem tych wydarzeń. Równie interesujący opis zarazy, choć z innej już epoki, można znaleźć w *Dżumie* Alberta Camusa.

W latach 40-tych XIX wieku gorączka połogowa, stała się prawdziwą epidemią w dużych szpitalach Europy. Pomiędzy rokiem 1841 a 1846 w Wiedniu zmarło podczas porodu niemalże dziesięć procent wszystkich młodych matek. Były nawet miesiące, w których umierało do trzydziści procent kobiet, często w wielkich bólach. Szczególnie obawiano się I Oddziału Wiedeńskiej Kliniki Położniczej, w którym kształcono studentów medycyny. Tutaj śmiertelność była ponad 3 razy większa, niż na oddziale miejskim, gdzie kształcono położne. Dopiero spostrzeżenia Ignacego Semmelweisa o przenoszeniu miazmatów jako przyczyny gorączki połogowej na brudnych rękach w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku przerwały ten łańcuch nieszczęść. Ale czy do końca? Nadal zakażenia szpitalne są przyczyną zgonów zarówno wcześniaków jak donoszonych noworodków. Rodzą się zdrowe a umierają, ponieważ zostały zakażone bakteriami szpitalnymi. Bakterie szpitalne są wprawnymi zabójcami. Kolejne ich pokolenia stają się odporne na antybiotyki. Robimy widocznie za mało aby uniknąć tragedii. Nikt na

świecie nie potrafi całkowicie uniknąć tego zjawiska. Pozostaje walka o to, aby zmniejszyć rozmiary porażki. „*Nie módlcie się o łatwe życie. Módlcie się, żebyście byli silniejszymi ludźmi.*”, powiedział J.F. Kennedy. Zakażenia szpitalne zwykle zaczynają się w piątek po południu. Objawy posocznicy, sepsy, zakażenia uogólnionego zaczynają się w sposób ledwo widoczny. Może je dostrzec tylko nauczony doświadczeniem klinicznym personel. Noworodek staje się nieco mniej aktywny, nie chce zjadać tyle mleka co dotychczas, jego skóra przybiera szarawy, woskowy odcień. Później zjawiska przybierają na sile a ich tempo przyspiesza gwałtownie. Zawsze zadziwiało mnie jak szybko od chwili dostrzeżenia pierwszych objawów zakażenia wcześniak może umrzeć, czasami w ciągu sześciu godzin. Na dodatek zakażenie szpitalne rozprzestrzenia się z dziecka na dziecko w tempie równie szybkim jak objawy zakażenia. Zaczynam czuć nie tylko ciężar odpowiedzialności i nie wiem jak temu zaradzić?

Okrutna Klebsiella

To była czwarta ciąża i pierwsza zakończona porodem dziecka. Było maciupkie i ważyło pięćset gram. Nie wymagało od nas wiele i rozwijało się w szybkim tempie. Rodzice byli pełni nadziei i po paru tygodniach więcej niż nadziei. Oczyma wyobraźni widzieli już dziecko w domu chociaż ważyło zaledwie tysiąc gram. Mama kangurowała, ssało z piersi dzielnie i przybierało na masie ciała. W

trzydziestej dobie życia było trochę markotne, nieco bledsze i mniej jadło. Lekarz zaordynował dwa antybiotyki podejrzewając rozwijające się zakażenie. Jednak stan dziecka nie poprawiał się. Wieczorem było już znacznie gorzej. Lekarz dyżurny wezwał mnie na konsultację. Malutka wyglądała źle i na dodatek miała zaburzenia oddechowe. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Podawanie kolejnych leków nie przynosiło efektu. Stan dziecka pogarszał się i w końcu mimo wszelkich wysiłków i wielokrotnych reanimacji zmarło o czwartej nad ranem. Położne płakały, rodzice byli zdruzgotani a ja wyczerpany. Następnego dnia do południa przyszły posiewy - bakteria *Klebsiella oxytoca* ESBL+ wytwarzająca enzymy rozkładające antybiotyki, niewrażliwa na Meronem, naszą jedyną do tego czasu skuteczną broń. To był początek dramatycznej walki o życie pozostałych dzieci zaatakowanych przez tę bakterię. Żadne z nich nie zmarło, tylko maciupka L. Ona była pierwsza. Ale wzięte od niej posiewy i wykonany antybiogram dał szansę na przeżycie innym dzieciom i szansa ta została wykorzystana.

Parada Maciupkich

W jednej z klinik noworodkowych na południu kraju, późną nocą położne pielęgnujące wcześniaki miały do wykonania jakiejś czynności pielęgnacyjnej przy najmniejszych dzieciach ważących po jednym kilogramie. Były takie malutkie, mieściły się w dłoniach. No to sobie pokazywały jak mieści się w dłoniach. Są takie małe, że mieszczą się w kieszeni fartucha. Można je tam włożyć, trzymając delikatnie za kark jak lwice trzymają swoje małe kiedy je przenoszą.

Jeżeli weźmie się je za rączkę to można z nim poprowadzić Poloneza. Są takie urocze, kochane, cudowne. Można im zrobić zdjęcie. I zrobiły i dały do wywołania i zbulwersowany fotograf zaniósł je do gazety. Obiegły całą Polskę. Domyślam się jak do tego doszło. Przez lata doskonalenia się w pracy i już w rutynowego utrzymywania przy życiu nawet siedemset gramowych wcześniaków przyzwyczały się do nich do tego stopnia, że uważały je za „*duże i silne*” dzieci i nie miały pojęcia jak odbierają to osoby postronne nie przyzwyczajone do widoku takich pacjentów. I zaczęły się oskarżenia o spowodowanie nieumyślne śmierci włącznie. To ciężki zarzut w ogóle i szczególnie przykry dla tego, kto zajmuje się czymś zupełnie przeciwnym tj. ratowaniem życia. Czyżby wszystko to w myśl powiedzenie, że przyzwyczajenie jest drugą naturą? Przestały widzieć rzeczywistość w sposób rzeczywisty? Powinny wyjść z siebie, stanąć obok i popatrzeć na swoją pracę z zewnątrz? Jak to robić na co dzień. Przecież każdemu to grozi. I prokuratorowi, który domaga się po wielu latach bez emocji surowych i coraz surowszych wyroków i rzeźnika, który bez emocji zabija zwierzęta i krytyka literatury, który wraz z biegiem lat nie widzi już wiele poza swoje racje wynikające z braku krytyki krytyków etc.

„*Te małe nas wykończą*” z której strony nie spojrzeć są od nas mądrzejsze, sprytniejsze i silniejsze. Mamy z nimi niewielkie szanse. Przypominają mądre, małe krasnale, które znamy z bajek. Pisanie o dzieciach płodowych, wcześniakach i donoszonych noworodkach jest takie samo jak pisanie o osobach dorosłych. Wszyscy rozumieją i

czują, tylko, że każdy na swój sposób. Musimy uczyć się rozumieć ich zachowania i język i oczywiście nie wkładać wczesniaków do kieszeni.

Zwierzenia

Pani Beta jest mamą mojego pacjenta. Zbadać go to nie łatwa rzecz. Przez pierwszych parę wizyt bawiłem się z nim jego zabawkami na podłodze, gilgotałem go i rozmawiałem o dźwigach, samochodach i Bobie Budowniczym. Muszę być na bieżąco w tym co oglądają i co jest czytane dzieciom. Inaczej czuję się jak „odłączony” i nie „kumam czaczy”. Pani Beata ma Brata, a Brat ma Żonę i miał Przyjaciółkę. Do niczego „nie doszło” ale się zakochał i miał wyrzuty sumienia wobec Żony więc jej się zwierzył. Żona mu wybaczyła ale on sobie nie. I cały czas martwi się czy Ona mu się nie zrewanżuje. Cierpi. Co jest w facetach, że muszą się pochwalić? Ona mu wybaczyła, on sobie nie!

Na nowotwór zmarł też ojciec dwóch pięknych, uroczych moich pacjentek. Chciał żyć. Chciał wierzyć, że wyzdrowieje. Nie wyzdrowiał. Kłopot brata Pani Beaty byłby dla niego radością zakazaną.

Inna Pani Beata, też Mama mojej pacjentki umarła na nowotwór. Mąż Pani Beaty jest listonoszem. Miły człowiek. Ile razy spotykam go przypadkiem, już nie przypadkiem rozmawiamy o zmarłej żonie na nowotwór. Nie może o niej zapomnieć. Ile jest w nas drugiego człowieka dowiadujemy się gdy go zabraknie. A może być dużo, bardzo dużo. Może być tak dużo, że nie mogą bez siebie żyć i wkrótce

umierają. Bywa, że odbierają sobie życie, dzień, rok po odejściu kochanej osoby. Myślę, że wiele osób zna takie sytuacje.

Życie akademickie

W roku 1975 rozpocząłem staż podyplomowy w szpitalu wojskowym na ul. Piotra Skargi w klinice położniczej PAM. Kierownikiem kliniki był profesor Zygmunt Kornacki człowiek o dużym intelekcie i temperamencie. W tym czasie tj. w latach siedemdziesiątych był już w klinice ultrasonograf, kardiolograf Helwett Packard, oraz aparat do gazometrii Riadiometer. To były absolutnie unikalne urządzenia w Polsce, które profesor zdobył od firm w wiadomy tylko sobie sposób. Niestety w owym czasie był już ciężko chory i wkrótce zmarł. Nie miałem więc okazji zobaczyć go na własne oczy. Jednak jego duch żył w klinice. Przekonałem się o tym kiedy przyniosłem na blok porodowy maszynę do pisania i zacząłem na niej stukać. Ja pipers, faja, stażysta, którego jedynym zadaniem powinno być stanie u boku rodzącej a wypisy powinienem „*trzaskać*” w zaciszu gabinetu lekarskiego a nie na sali porodowej. Jeden z adiunktów powiedział mi, że gdyby profesor tutaj był w szybkim tempie musiał bym porzucić maszynę do pisania i stanąć przy rodzącej. Prof. Kornacki wyprzedził wiele klinik położniczych w Polsce pod względem wyposażenia w sprzęt. Miał widocznie wielką osobowość skoro wspomnienie o nim jest we mnie ciągle żywe chociaż nie widziałem go na oczy.

Po profesorze Kornackim kierownikiem kliniki położniczej na Piotra Skargi został prof. Andrzej Cretti. Wysoki, bardzo prosto się

nosił. Cały był dystyngowany. Wyglądał dosyć groźnie ale w oczach miał taką łagodność a przy bliższym kontakcie bardzo przyjacielski. Miał bezstronny stosunek do rzeczy i ludzi. To powodowało, że był autorytetem w środowisku. Kiedy na posiedzeniu rady instytutu między profesorami wybuchał konflikt lub trudne dyskusje nie do rozwiązania oczy dyskutantów kierowały się na profesora. Zajmował zwykle wywarzone stanowisko i wszystko przycichało. Mieszkał samotnie całkowicie poświęcając się nauce. Sprzątała mu Pani Rysia i czasami robiła zakupy. Był bardzo wielkim ekspertem od Wiesiołka, wielonienasyconych kwasów tłuszczowych i wolnych rodników tlenowych. Ile razy wywołuję z pamięci profesora Crettiego widzę postać dystyngowaną, spokojną, niezależną z poczuciem własnej wartości i godności.

Imperium Poznań

To inny świat. Rozpoznawalny po przejechaniu jego granic. Porządek, bogactwo, tradycja, organizacja, historia. Oczywisty dowód na to, że jednak dużo zależy od nas samych, a nie wszystko od okoliczności. Czytelniejsza staje się również historia. Oczywiście Gniezno, środek Polski. Ale również zabór pruski, z którego wynieśli spore korzyści. Czego się nauczyli, dodali do polskiej kultury i korzystają z tego do dzisiaj. Dają również polskiej neonatologii.

Janusz w klatce Farady'a

Wyszedł z tej klatki i zaszedł bardzo daleko. W klatce Faraday'a

badał subtelności elektrycznej czynności serca u noworodków. Wyniki jego pracy pewnie znajdą zastosowanie kiedy w monitorach podstawowych czynności życiowych jak akcja serca, oddech pojawią się inteligentne programy analizujące wszystkie zmiany pracy serca i w sytuacjach zagrożenia będą o tym informować personel medyczny. To przyszłość. Kiedy ten czas nastąpi i czy nastąpi? Nie wiem, w każdym razie wyobraźnia została uruchomiona. To też ważna funkcja nauki. Rozpalanie wyobraźni. Bywa, że pomysły naukowców muszą poczekać na realizację, na czas praktycznego zastosowania z powodów technologicznych, intelektualnych, ekonomicznych czy zupełnie innych jak wzrost zapotrzebowania pewnej grupy pacjentów. Janusz był w wiele lat później już jako profesor kierownikiem wielkiego projektu naukowego mającego na celu ocenę działania sztucznego surfaktantu złączonego z białkiem B. W Polsce brało udział w tym badaniu 11 ośrodków. Byliśmy jednym z wielu krajów uczestniczącym w tym programie. Po kilku latach badań, kosztujących ponad 100 milionów dolarów ukazały się dwie publikacje a lek został zarejestrowany w USA i w Europie. Spotkał się też z krytyką. Ale kierunek jest właściwy. Jeżeli chcemy mieć dostatecznie dużo tego leku dla dzieci i dorosłych, jeżeli chcemy go stosować w aerozolu, w znacznie większych ilościach powinniśmy go syntetyzować. Pozyskiwanie go z płuc zwierząt jest kosztowne i coraz trudniejsze chociażby z powodu chorób odzwierzęcych jak choroba wściekłych krów, która u ludzi powoduje chorobę Kreuzfelda-Jacobsa. Janusz wraz z profesorem położnictwa Grzegorzem H.Bręborowiczem

wprowadzili w Polsce trójstopniowy program opieki perinatalnej. Proste rozwiązanie organizacyjne przynoszące ogromne korzyści zostało w Polsce zaimplantowane z Kanady. Idea polega na tym aby pacjentki z patologicznymi ciążami trafiały do ośrodków referencyjnych przygotowanych na rozwiązanie ich problemów i problemów ich płodów oraz noworodków. Ile z tym było problemów. Jednym z warunków wprowadzenia trójstopniowej opieki perinatalnej było podpisanie umów ze szpitalami, które miały te patologiczne ciążę przekazywać „wyżej” do ośrodków referencyjnych. Górę brały czasami ambicje podyktowane niezrozumieniem korzyści jakie z tego płyną dla wszystkich. W końcu powiodło się. W krótkim czasie umieralność okołoporodowa spadła z 16 do 7 promille. To był ogromny sukces. Tylko za sprawą zmiany organizacji opieki medycznej zamiast szesnastu, umierało siedem noworodków na tysiąc nowonarodzonych.

Pomnik Armii Poznań

Podjęli się zadania niemożliwego do wykonania i starali się je wypełnić. Wziąwszy pod uwagę mentalność poznaniaków to tak jakby zdecydowali się na atak samobójczy, w pełni świadomie.

Irena Twarowska

Klinika Neonatologii w Poznaniu stała się dzięki jej wysiłkom ośrodkiem jednym z najlepszych w Polsce, może najlepszym. Nawiązała kontakty z Children Medical Care Program w Los Angeles, z dr Stefanem Wilkiem. Na pewno wielką rolę odegrał w tych

kontaktach chirurg dziecięcy prof. Zygmunt Kaliciński. W każdym razie dzięki tej fundacji polska neonatologia wkroczyła na drogi światowe. Prof. Irena Twarowska była wyjątkowo oddana swojej pracy, do tego stopnia, że poświęcała czas rodzinny. Była przy tym niezwykle łagodna, miła i życzliwa. Była ciepłą osobą.

Okrągły stół

Nie ma biurka, tylko okrągły stół. Kto by do mnie wstąpił czy „mniejszy”, czy „większy” przy okrągłym stole jeden jest równy drugiemu. Mogą przy nim zasiąść do dyskusji więcej niż dwie osoby i wszystkie są egalite. Jego kształt, mam na myśli doskonałość i elegancję koła, łagodność krzywizn, symetrię i równowagę sprzyjają rozmowie, myśleniu, konstruowaniu pomysłów. Nie potrafi jednak ten stół zrobić coś z narastającą na nim górą korespondencji. Nieodmiennie, każdego dnia pojawia się porcja kopert, pism. „*Warto nauczyć się odróżniać to, co ważne, od tego, co pilne*” powiedział Golo Mann. Prawda, ale i tak trzeba wszystko przejrzeć by potem z tym coś sensownego zrobić.

Maciupkie coraz mniejsze

W domu pomocy społecznej przebywa Maciupiek z urodzeniową masą ciała 450 g. Ma na imię Patrycja. Jest w wieku 4 lat. Nie widzi. Kiedy przebywała w domu Mama przewijała ją, karmiła i wracała do zajęć domowych, których miała wiele. Patrycja nie rozróżniała dnia od nocy. Często spała w dzień a w nocy płakała. W domu opieki

mieszka na sali z dziesięcioma innymi osobami. W ciągu dnia słyszy gwar, głosy, jest ubierana, dotykana, karmiona. W nocy wszystko ucicha, wszyscy śpią. Jest maskotką całego domu. Czuje się szczęśliwa.

Ukazało się wiele artykułów o przeżyciu skrajnie małych wcześniaków. Przeżywają dzieci ważące ledwo ponad 200 gram. Podawane są informacje, że rozwijają się one dobrze w kolejnych latach. Są to jednak zdarzenia wyjątkowo rzadkie. W większości Płodowe Dzieci o masie ciała 400 do 500 gram w większej części nie przeżywają.

Madonna

Obraz matki karmiącej noworodka w klinice jest odzwierciedleniem Marii karmiącej synka Jezusa. Obraz ten jest głęboko zakorzeniony w świadomości religijnej i katolików. Jest to jeden z najpiękniejszych obrazów jakie można sobie wyobrazić i taki uduchowiony charakter.

DIC

To najczarniejszy scenariusz położnictwa XX wieku jaki znam. Młoda kobieta w wieku dwudziestu trzech lat po porodzie miała zakażenie i wskutek tego zaburzenia krzepnięcia krwi prowadzące do jej wykrzepiania w naczyniach. Po zużyciu czynników krzepnięcia, kiedy ich poziom osiągnął krytycznie niski stopień zaczęła gwałtownie krwawić ze wszystkich możliwych miejsc. Pomimo usunięcia macicy jako głównego źródła krwawienia, podawania

szeregu leków zmarła. Synek, którego urodziła ma na imię Krzyś, udało się go utrzymać przy życiu. Zrozpaczony Tata zrobił Krzysiewi zdjęcie i włożył do trumny Mamy, żeby za nim mniej tęskniła.

Pacjent to Twój wróg?

Potencjalnie każdy pacjent, któremu staram się pomóc może być przyczyną moich wielkich kłopotów. Jeżeli pomogę mu dojść do zdrowia będzie często żył w przekonaniu, że tak miało być, ale jeżeli umrze lub przeżyje z jakimś powikłaniem będzie na pewno szukał winy po stronie lekarza. Sporadycznie myślą pacjenci o „*swojej winie*”. To że urodziło im się dziecko o masie ciała 1000 gram z płodowym zespołem alkoholowym i płodowym zespołem nikotynowym, nie ma dla nich istotnego znaczenia. Nie ma znaczenia, że przeżyło po 3 miesiącach uporczywej walki o życie całego zespołu ludzi w tym Rodziców. Istotne jest to, że w 4 tygodnie po wypisaniu z kliniki odkleiły mu się siatkówki. Skutkiem tego był proces sądowy w wyniku, którego dwóch lekarzy ledwo uszło odpowiedzialności za odklejenie się tych siatkówek a rodzicom przyznano odszkodowanie. Lekarz ani nie wywołuje choroby, ani jej sam nie leczy. Jego rola polega na tym aby pomóc naturze. Jak zatem powinno być to wszystko zorganizowane aby pacjent miał świadomość co się dla niego robi, co w rzeczywistości mu się proponuje, jakie mogą być z tego korzyści, ile to kosztuje, jakie mogą wystąpić powikłania, a przede wszystkim czego mogą oczekiwać?

Nocny Teatr

Jak większość polskich rodzin wszyscy spotykamy się w domu każdego dnia późnym wieczorem, jemy jednocześnie obiad i kolację. W ciągu dnia dominuje praca i wiele innych zajęć. Późny wieczór zajmuje posiłek z chwilą dla dzieci. Kiedy już idą spać wyczerpani otwieramy butelkę wina aby przy jego pomocy wykrzesać z siebie resztki energii do dalszej pracy i o tym jest ta piosenka.

Wieczór już idzie, jeszcze jest czas.

Kieliszek wina przyda się nam,

Żeby odpędzić uparty stres.

Czymże po winie stres jest?

Po drugim łatwiej plany snuć,

Rachunki złapał śmiertelny skurcz.

Za drzwiami cicho stanęła noc,

Realny świat traci swą moc.

Już czas, już czas zacząć Teatr Nasz,

W świetle nocnych lamp.

Już czas, już czas, zacząć pierwszy akt.

Spektakl od lat ten sam.

I tak zaczynamy kolejną półprzespaną noc, przeplataną pieszczotami, planami, które w części pozostaną planami. Kiedy Małgosia zaczyna czytać w łóżku jak siadam przy komputerze w bibliotece na poddaszu i pracuję dopóki chęć przemożna snu mnie ogranie.

Za chwilę brzask, wstaje dzień.

Zaraz do łóżka położę się.

Morfeusz ciągnie powieki w dół,

Jeszcze obejmę Cię tylko w pół.

Za trzy godziny wstanie dzień,

Wypiję kawę jeszcze przez sen.

Odwiozę dzieci i Ciebie też.

Potem do pracy, bo życie tak chce.

Parabellum Dr MC

Dr Mieczysław Chruściel przeuroczy facet, ciepły, uśmiechnięty, niezwykle uzdolniony, tak bardzo, że namalował poczet rektorów Pomorskiej Akademii Medycznej jak również Uniwersytetu Szczecińskiego. Obrazy są hiperrealistyczne. Hiperrealizm lub fotorealizm to termin ten po raz pierwszy zastosował Daniel Abadie w odniesieniu do twórców amerykańskich odtwarzających na płótnach fotografię. Każdy z rektorów ma na swoim konterfekcie jakąś minkę typową dla siebie i Mieciu doskonale to wychwytał. Obrazy są bardzo kolorowe, nieco fantazyjnie staroświeckie i imponujące przez insygnia rektorskie, sygnet, berło i łańcuch z godłem państwowym. Strój Rektora składa się z togi w kolorze czerwonym oraz peleryny wykonanej z futra gronostajowego, uzupełniają go czerwony biret, i czerwone rękawiczki. Obrazy mają właściwość polegającą na tym, że przetrwają zarówno tych, których przedstawiają jak i ich twórcę. Z drugiej strony ich ogromną słabością jest to, że nigdy nie zastąpią

swoich pierwowzorów, nie podniosą na duchu mądrą radą, ciepłym gestem. Przy okazji pomyślałem, że malarstwo jest techniką historyczną utrwalania postaci. Współcześnie istnieją techniki pozwalające ożywić zmarłą postać ze zdjęć w trójwymiarowym obrazie holograficznym i jeszcze nadać im ruch co jest świetnie przedstawione w filmie Harry Potter według noweli J. K. Rowling. Można ożywić również Humphreya Bogarta, może pojawić przed naszymi oczyma, poruszać się, mówić. Nie można go tylko dotknąć, jest bowiem iluzją. Ciągle nie można ożywić człowieka jak zrobiła w swojej powieści Mary Shelley z Frankensteinem. Ta opowieść ma trochę podobieństwa z mitem greckim o Prometeuszu. Według mitów greckich Prometeusz ulepił człowieka z gliny pomieszanej ze łzami. Duszę zaś dał mu z boskiego ognia, którego parę iskier ukradł z rydwanu boga Heliosa. Człowiek Prometeusza był o wiele słabszy od tytanów, był trzy razy niższy, jego ciało ledwo się trzymało na wątłych nogach, a kruche paznokcie pękały pod choćby najmniejszym ciężarem. Jedyne jego postać różniąca się od innych zwierząt, była niczym żywy obraz bogów. Widząc to, Prometeusz przemycił ogień dla ludzi w kawałku drewna, z pozoru wilgotnym, ale w środku suchym. Tytan uczynił to, mimo iż wiedział, że było to wbrew woli Zeusa, który uważał ogień za przywilej bogów. Potem Prometeusz nauczył ludzi przetapiać metale, gotować jedzenie, uprawiać rolę, kuć zbroje, budować domy, czytać, pisać i ujarzmić siły przyrody. Zeusowi nie podobał się człowiek. Ciągle jeszcze mając w pamięci ostatnią walkę z gigantami, obawiał się wszystkiego, co pochodzi z ziemi. Możliwe, że z DNA będzie

można ożywić człowieka jak w filmie Stevena Spielberga „*Jurajski Park*” przywraca do życia się dinozaury. Czy jednak będą to te same osoby, czy będą miały ten sam intelekt, uczucia, czy pokochają nas a my ich? Czy stworzymy wieczne życie, nieśmiertelne? Czy jesteśmy przygotowani na wieczność?

Trochę odbiegłem od Miecia. Ale On taki jest, pobudza wyobraźnię, czasami w sposób tak subtelny, że dopiero po latach o tym się dowiadujemy. Skonstruował kiedyś z modeliny i próbówki szklanej pistolet Parabellum. Broń wyglądała absolutnie realnie, groźnie i imponująco. Był to amnioskop, przyrząd do obserwacji koloru i przejrzystości wód płodowych przez pochwę. Badanie wykonane takim amnioskopem Parabellum nie wyglądało inaczej jak przerażająco. I tak niezwykła konstrukcja pozostała w cieniu historii i tego zapisu. Poza tym Mieciu należy do niezbyt licznych panów noszących wiązaną własnoręcznie muszkę.

Kabaret Starszych Panów

W latach sześćdziesiątych dwóch dystyngowanych Panów, zwykle ubrani w smokingi lub fraki w „*Okienku z lufcikiem*”, czyli telewizji, jeden raz w tygodniu przedstawiali „*Kabaret Starszych Panów*”. Kultura podszyta subtelną ironią na rzeczywistość „*jak to długo tym premierem trzeba być?*” oraz apoteozą życia w jego subtelnej formie jak w piosence o herbacie „*nam jeszcze wolno*”... Miałem wówczas kilkanaście lat, ale już wtedy wydawał mi się tak bardzo dobry i ciepły ten świat Jeremiego Przybory, Jerzego Wąsowskiego, Kaliny Jędrusik, Edwarda Dziewońskiego i innych. Po

wielu latach już w wieku pięćdziesięciu prawie lat pisałem piosenkę o jesieni życia ponieważ „*Piosenka jest dobra na wszystko*”

*Lat nam nie przybywa wcale,
Starzejemy się dla innych.
Wciąż kochamy się w miłości,
Wciąż kochamy się w wolności.
Lustra nie są doskonałe,
Ty wyglądasz wciąż wspaniale.
Oczy Twoje roześmiane,
Twoje nogi wciąż wspaniale są.
To nie ważne co jest teraz wokół nas
W naszych sercach wiosna trwa
Bez znaczenia jest już zwykły czas
U nas nieustannie, maj
Z każdym latem, z każdą zimą,
Słońce dnia i księżyc nocy,
Wciąż dodają nam koloru,
Wciąż dodają wielkiej mocy.
Jak najlepsze włoskie wino
I stuletnia polska starka,
Dojrzewając wraz z latami,
Wciąż jesteśmy niedojrzali.
Spotykamy się czasami
By omówić trudne sprawy*

*Wspomnieć to co wspomnieć warto
Wspomnieć Tych co nam zabrakło
O pieniądzach nie mówimy
Czy je mamy, czy też nie
Jeśli mamy to je widać
Jeśli nie, to widać też
To nie ważne co jest teraz wokół nas..*

Piosenkę kończy się na muzykę i z tekstem z „*Starsi Panowie, starsi Panowie, starsi Panowie dwaj. Już szron na głowie, już nie to zdrowie, a w sercu ciągle maj*”.

Nie mogę siodać

W Poznaniu w klinice neonatologii pracował dr Marek Sioda, który szczególnie interesował się karmieniem piersią. Jeżeli był jakiś problem z laktacją wszyscy odsyłali Opotryebujzch do Niego. Jedna z koleżanek robiła wypis noworodka do domu. W tym czasie podeszła do niej pacjentka w położu i zaczyna mówić o swoich problemach z karmieniem piersią. Lekarka nie podnosząc głowy odpowiedziała „Jeżeli chce Pani porozmawiać o piersiach to dr Sioda”. Na to pacjentka „Dziękuję Pani doktor, ale nie mogę siodać bo boli mnie kroce”. Te historyjkę opowiadają w Poznaniu do dzisiaj i do dzisiaj temat karmienia piersią jest żywy, wiecznie żywy. Mleko matki istnieje odkąd istnieje ludzkość. Nawet zaawansowane biotechnologie nie pozwalają jeszcze wyprodukować mleka kobiecego i długo tak jeszcze pozostanie. Mija czas a mleko matki ukazuje coraz to nowe

tajemnice. Żywa tkanka zawierająca wszystko czego potrzebuje noworodek do życia i rozwoju. Mlekiem matek odżywia się schorowanych ciężko starców. Gdybym potrafił wyprodukować mleko matki, miałbym siedem sekretarek i nagrodę Nobla. Ale nie potrafię, nikt nie potrafi. W mleku matki są białe krwinki i hormony, czynniki wzrostu, geny, ludzkie białko i woda niezbędna do życia, naturalna słodycz matki i energia, źródło życia. Mało tego, skład mleka zmienia się wraz z potrzebami dziecka. Nie wiadomo ile jeszcze tajemnic odkryjemy w mleku matki.

Dottore Conditore

Mam pacjenta, którego Tata jest cukiernikiem. Cuda wypieka naprawdę. Sam wygląda jak prawdziwy cukiernik. Owal sylwetki, regularne i dobroduszne rysy twarzy z miłym, niemal słodkim uśmiechem świadczą o tym, że odżywia się słodko i energetycznie. Jego mały synek miał bardzo dużo zmian skórnych, które wyglądały okropnie. Najgorzej było na szyi, właściwie jej nie było jej widać z tego obrzęku, zmacerowana, jedna wielka, sącząca rana. Leczenie dawało krótkotrwałe efekty i zmiany uparcie wracały. Wszystkie konsultacje specjalistów od alergii i skóry kończyły się podobnie nieskutecznie. Pewnego razu synek zachorował na zapalenie oskrzeli, dość silnie. Wobec tego Tato podjął decyzję, żeby go nie kąpać dopóki nie wyzdrowieje aby nie dostał zapalenia płuc. Infekcja powoli ustępowała a z nią zmiany na skórze. Po tygodniu nie było śladu

zarówno po zapaleniu oskrzeli jak i po zmianach skórnych. Wszystko zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wystarczyło nie kąpać dziecka. Razem ze zniknięciem obrzęku pokazała się szyja, której wcześniej nie było, zgrabna, gładka szyja. I jak tu nie sparafrazować powiedzenia „*Częste mycie, skraca życie*”, na „*kto się rzadko myje, ma piękną szyję*”. Bez sensu? Tak, bo ile razy proponowałem innym pacjentom podobne postępowanie patrzyli na mnie dziwnie. Swoją drogą należy też mieć na uwadze, że kiedy organizm walczy z infekcją robi też porządki z innymi problemami.

Akcja porwanie

Trafiło oczywiście na dziecko lekarki i ojca prokuratora wojewódzkiego i niepewny stan polityczny kraju w czasach PRL-u. Tego dnia było dwadzieścia sześć wypisów. Kiedy przyszła kolej na dziecko lekarskie i przy okazji wnuczki wspomnianego prokuratora wojewódzkiego okazało się, że dziecka nie ma! Akt politycznej zemsty na prokuratorze? Porwanie dla okupu? To były gorące politycznie czasy KOR-u (Komitet Obrony Robotników) i Solidarności, gorące lata walki politycznej i atmosfera była napięta. Za niedługą chwilę całe województwo było zablokowane przez siły policyjne. Komendant szpitala silnie przejęty, żeby nie powiedzieć wstrząśnięty, ja również. Trudno, że protegowane, ale gdzie jest dziecko? Poszukiwania poszły w również w kierunku rodzin, które w tym dniu odbierały noworodki ze szpitala. Jedną z takich była niezamężna siedemnastolatka. Kiedy do jej domu przyjechała ekipa poszukiwawcza okazało się, że nawet nie zdążyła się zorientować, że

ma w domu nie swoje dziecko. Leżało spokojnie w łóżeczku, jeszcze „nie rozpakowane”. Cała historia skończyła się pomyślnie i bez konsekwencji. Na szczęście dla wszystkich. A konsekwencje mogły być niebagatelne.

Pierwszy stopień specjalizacji

Na pierwszy stopień specjalizacji z chorób dziecięcych pojechałem w zasadzie prosto z jednostki wojskowej, nie miałem szansy na trzymiesięczny kurs przygotowawczy w centralnym szpitalu klinicznym WAM na ul. Szaserów w Warszawie. Staże do specjalizacji odbyłem, ale to były zaledwie pojedyncze miesiące w różnych oddziałach i klinikach. Nie byłem należycie przygotowany. Nie rozumiałem dostatecznie dobrze tego co czytałem w książkach. Książki są grube i nie wiadomo co w nich jest naprawdę ważne. Często nie objaśniają mechanizmów chorób w sposób dostateczny. Zrozumiałem to parę lat później, przed egzaminem do drugiego stopnia specjalizacji. Wówczas zacząłem przygotowania od przeczytania podręcznika o charakterze podstawowym, patofizjologii Horsta. Po tym mogłem studiować księgę kliniczną. Przed obliczem komisji starałem się zrobić dobre wrażenie, ale najwyraźniej nie byłem dość przekonujący. Przewodniczący prof. Jan Baszczyński. W trakcie mojej odpowiedzi dotyczącej zespołu złego wchłaniania zapytał mnie o budowę dwucukrów, sacharozy, galaktozy i maltozy. Przebrnąłem sacharozę (fruktoza i glukoza) i Laktoza (galaktoza i

glukoza) ale maltozy (dwie glukozy) już nie. Twarz profesora J.B. przybrała okrutny, wyraz, po czym cicho powiedział „*Kolega tego nie wie?, Przecież my pytamy o to studentów!*”. To była miazdząca uwaga. Nabrałem poważnych wątpliwości, czy zdam ten egzamin. To byłaby dla mnie kraksa zawodowa i nie wiem czy nie osobista. Po zakończeniu odpowiedzi podziękowano mi i wyszedłem na korytarz w oczekiwaniu na wynik. Czułem, że jest źle, ponieważ dyskutowali ponad pół godziny. Wreszcie drzwi otworzyły się i zostałem poproszony do środka. Zdałem, ale kilka gorzkich uwag musiałem usłyszeć, co mi się należało. Wywarło to na mnie ogromne wrażenie. Kiedy za kilka lat przyjechałem na egzamin specjalistyczny drugiego stopnia do tego samego miejsca, a przewodniczącym komisji był ten sam profesor J.B. odczuwałem paniczny niepokój, momentami paraliżujący. Tym razem byłem przygotowany znacznie staranniej. Jak wspomniałem zacząłem naukę od przypomnienia sobie patofizjologii ogólnej, aby lepiej rozumieć to co czytam z pediatrii. Niezależnie od tego tym razem mogłem spędzić trzy miesiące w klinice wojskowej w Warszawie na kursie przygotowawczym a do tego pod okiem dr Jerzego Kansego. To było doprawdy szczęście z niebios. Był kierownikiem kliniki i mimo licznych obowiązków zajmował się nami codziennie. Na porannej odprawie omawiał problemy kliniczne, interpretował wyniki laboratoryjne, dyskutował ze wszystkimi zadając pytania „*jak i dlaczego*”? Znał wszystkie wyniki, wszystkich pacjentów na pamięć. Każdy wynik był interpretowany i zawsze padało sakramentalne pytanie „*dlaczego*”?

Zawsze trzeba było wiedzieć nie tylko, czy dobrze, czy źle, ale również „*dlaczego dobrze lub źle*”? Trzeba było rozumieć.

Dwa lub trzy razy w tygodniu prowadził z nami seminaria, na których systematycznie objaśniał cały materiał, tłumacząc dlaczego tak się dzieje. Dzięki jego wysiłkom zaczynałem rozumieć, a nie tylko umieć. To duży skarb taki nauczyciel. Nie mniej w miarę zbliżania się terminu egzaminu mój strach narastał. Ciągle miałem przed oczyma swój pierwszy egzamin. Kiedy kończyłem pracę w klinice jechałem kolejką podmiejską, dużą bombą PKP, w odróżnieniu od małej bomby WKD do Grodziska Mazowieckiego, gdzie mieszkałem u rodziców, jadłem obiad przygotowany przez mamę i siadałem do nauki. Około godziny siedemnastej szedłem na godzinny spacer, aby umysł odpoczął od nauki i ułożył jakoś ogromną ilość przyswajanych faktów. W czasie spaceru nachodziły mnie wątpliwości co do stanu mojego przygotowania i wyniku egzaminu. Któregoś wieczoru nawet zacząłem sobie układać scenariusz jak się zachowam, kiedy obleję egzamin, coś w rodzaju przepraszam, może w następnej sesji jeżeli Szanowna Komisja pozwoli itd. Dzień egzaminu w końcu nadszedł. Na początek specjalny adiunkt zawiózł mnie swoim Maluchem do cywilnego Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Kupiłem orzechowe ciasteczka, herbatę, kawę, cukier i cytryny. Miałem nadzieję, że ten kto będzie mnie nadzorował w czasie egzaminu testowego zajmie się ciasteczkami orzechowymi i ja będę mógł skorzystać ze ściągki. Jak się okazało byłem jedynym, który tego dnia zdawał taki egzamin. Jak tylko pracownicy CMKP dowiedzieli

się, że w obrębie obiektu znajdują się łakocie, kawa i herbata natychmiast pojawili w sali egzaminacyjnej. W konsekwencji zdawałem egzamin w towarzystwie chyba sześciu osób. Nie miałem, żadnych szans na ściąganie. Może to i dobrze bo skupiłem się na pytaniach i nie rozpraszałem w poszukiwaniu pomocy. Testy nie są moją ulubioną ani mocną stroną więc może tak było lepiej. O dziwo zdałem, nie wystrzałowem, ale zdałem. Na egzamin praktyczny i ustny poszedłem następnego dnia już z jakąś „zaliczką” w postaci zdanego egzaminu testowego. Stres jednak odczuwałem był ogromny. Byłem ordynatorem oddziału. Jakbym nie zdał, jak tu wrócić do kolegów i kierować oddziałem? Egzamin praktyczny był dla mnie niezbyt trudny ale bardzo smutny. Przydzielono mi do badania dziewczynkę ze świeżo rozpoznaną białaczką. Była cierpiąca a ja nie miałem sumienia jej męczyć. Ograniczyłem się do niezbędnego minimum. Było mi jej bardzo żal i byłem przygnębiony. Podarowałem jej swoją maskotkę, która jak dotąd przynosiła mi szczęście. Pał sześć egzamin. Jednak tym razem nie miałem najmniejszych trudności z jego zdaniem. Praca dr J.K. Nie poszła na marne, ani doświadczenie nabyte w klinikach, jak też moja praca. Kiedy dojechałem do domu, skuliłem się pod kocem i po raz pierwszy w życiu dostałem czegoś w rodzaju drgawek. Myślę, że to był napad *epi*, po trzech miesiącach narastającego stresu. Za trzecim razem przyjechałem zdawać egzamin już z neonatologii. Komisja była tradycyjnie w tym samym składzie. Przedstawicielem cywilnej służby zdrowia była profesor Krystyna Rowecka-Trzebicka, jej stryjem i ojcem chrzestnym był generał Grot dowódca Armii

Krajowej. W drodze do Warszawy na egzamin pomyślałem sobie, że nie byłem pytany z wad wrodzonych serca. Ponieważ profesor J.B. zapisywał pytania z poprzednich egzaminów podejrzewałem, że mogę takie pytanie dostać. „*Dużą bombą*” jedzie się na Dworzec Wschodni pięćdziesiąt minut. Miałem przy sobie Neonatologię Little Brown i czas aby ugruntować wiedzę na temat wrodzonych wad serca. Strzał był celny, jedno z pytań dotyczyło tego tematu. Ale to nie był koniec mojego fartu. W tym czasie pracowałem nad krążeniem obwodowym we wstrząsie u noworodków. Wymyśliłem Indeks Perfuzji Obwodowej. Miał on charakter kliniczny i obejmował takie objawy jak czas powrotu ukrwienia, kolor skóry, jej temperatura etc. Jedno z pytań dotyczyło oceny stanu noworodka po porodzie. Ponieważ neonatologia była wówczas młodą dziedziną, nawet doświadczeni pediatrzy mogli nie znać wszystkich tajemnic neonatologii. Skala Apgar była standardem, potem skala Vidyasagara, Silvermana i wreszcie zacząłem o tym swoim indeksie perfuzji obwodowej. Kątem oka zauważyłem, że profesor K.R. zaczyna notować. Poczuję się znacznie lepiej. Wiedziałem, że będzie dobrze a nawet bardzo dobrze.

Warszawa da się lubić

W latach 1977 do 1985 pisałem doktorat o zdrowotności dzieci warszawskich w latach okupacji hitlerowskiej. Praca głównie odbywała się w archiwach. Najwięcej czasu spędziłem w Archiwum Państwowym m.st. Warszawy, na Starówce. Wnętrza były przytulne, wzdłuż ścian leciwe przeszklone drewniane witryny, za którymi poustawiane były jeszcze starsze księgi, rękopisy, mapy itp. Stoły i

krzesła drewniane jak sądzę przedwojenne. Cisza. Azyl od współczesności. Za ścianami archiwum toczy się życie, które prędzej lub później przeniesie się na zawsze do cichych wnętrz archiwum, w postaci dokumentów, rękopisów, pamiętników. Będzie w ciszy oczekiwać na kogoś takiego jak Ja, a Mnie już nie będzie. I tak jak Ja zachwyci go przywrócona na chwilę do życia przedwojenną, powojenną Warszawa, ożywi wspomnienia. Wyraźny dowód na istnienie podróży w czasie. Z kart archiwalnych mówią ludzie, których już nie. Nie ma ich, nie ma ich radości, ani ich kłopotów. A to oznaczało tylko jedno. W jakimś czasie, bliżej nie określonym, ale pewnym nie będzie ani mnie, ani moich kłopotów, których w zasadzie nie miałem. Nawet polski socjalizm nie dotyczył mnie w większym stopniu poza ogólnym wrażeniem szarości, nicości i...braku reklam, których w przedwojennych materiałach było bez liku! Były wszędzie, nawet w dokumentach urzędowych w charakterze zakładek. A to jakaś prywatna apteka, a to jakiś lek nowy, transport czegoś tam, kolorowe rysunki, Nazwisko & Syn. Co jest u licha myślałem sobie, był prywatny świat? Moje myśli biegły dalej. Przez całe stulecia Polacy studiowali we Francji, Anglii, Włoszech. Granice były otwarte. Mogli poznawać kulturę innych narodów i było ich na to stać? Mogli wyjeżdżać za granicę? Jak to się ma do naszej wolności, do naszych zarobków? Tak powoli wkradały się wątpliwości co do oceny rzeczywistości PRL-u w zaciszu archiwum, w którym przemawiała historia nie pilnowana przez służby najwłaściwsze, najlepszego z ustrojów politycznych, któremu przeszkadzał jedynie człowiek.

Jednak Warszawa się zmieniała jak wszystko wokół. Pałac Kultury widomy znak minionej epoki wpływów sowieckich na Polskę niemal zniknął wśród otaczających wieżowców. Widać jak bogata jest Warszawa. Drogie samochody na ulicach, piękne Panie w pięknych strojach, eleganckie restauracje i eleganccy Panowie palący cygara. Wszędzie tłumy i przepych. Stare, przedwojenne kamienice, hotele odrestaurowane i w pełnej krasie. W dzielnicy żydowskiej echa dawnych czasów, małe sklepiki, żydowskie restauracje. Warszawa da się lubić.

Pomorzany

Od 1994 roku pracuję w klinicznym szpitalu na Pomorzanach. Aktualny budynek położnictwa, ginekologii i neonatologii to piękny przykład niemieckiej architektury XIX wieku. Kto pomalował cegłę czerwoną farbą? Kto zamurował wspaniała przestronną windę blachą, zamykając wolną przestrzeń, widok pracujących urządzeń sterujących pracą windy? Dla równowagi dobudowano jedną windę w stylu tamtej epoki, to jest OK. Odbudowano metaloplastyczne wejście do budynku. Wymieniono cały dach. Na parterze położono trwałą z piaskowca posadzkę, to też jest OK. Wymieniono wszystkie instalacje. Wnętrza są nowoczesne, przestronne, utrzymane w czystości i estetyce XXI wieku. Sufity korytarzy są nieco obniżone bo tam znajdują się instalacje elektryczne, media etc. Niestety w tej kubaturze nie jest łatwo ani tanio wybudować dwuosobowe pokoje z łazienkami, to wymaga całkowitej przebudowy wnętrza i instalacji, niezwykle kosztownej. Dyrektor szpitala jak samotny Mohikanin z

pieniędzy oszczędzonych na pacjentach usiłuje remontować kliniki. Jakiś absurd. Na to aby szpitale pracowały w warunkach w jakich powinny potrzebne są pieniądze inwestycyjne. Tak zrobił IM Rektor Wiechowski. Wziął pożyczkę z banku na przebudowę kliniki kardiochirurgii. Wiedział, że tylko w ten sposób może zbudować nowoczesną klinikę, odpowiadającą standardom, i że taka klinika przyniesie zyski gwarantujące spłatę kredytu. *„Budowę szpitala pomorzańskiego rozpoczęto w roku 1869...Autorami projektu byli szczecińscy architekci Schimiden i Grefins. Oficjalne otwarcie szpitala nastąpiło w roku 1879. Szpital liczył 353 łóżek. Pierwszym jego dyrektorem został znany szczeciński chirurg dr Georg Wagner. Zrezygnował z funkcji z powodu braku akceptacji przez władze jego działalności inwestycyjnej. Kolejnymi dyrektorami szpitala byli dr A.W. Schultz (1856-1901) oraz prof. Karl August Schuchardt (1856-1901), znany w całych Niemczech chirurg. Właśnie jemu szpital zawdzięcza swój rozwój. Wprowadzenie nowoczesnych metod leczenia, zmiany organizacyjne, budowa nowych oddziałów, powstanie nowej pracowni Rtg spowodowało, że szpital stał się nie tylko szpitalem wiodącym w mieście, ale w całym regionie Pomorza Zachodniego. W latach 1904-1906 zbudowano kolejne pawilony szpitala tzw. „budynek dla bogatych mieszczan” (obecnie klinika Położnictwa i Ginekologii)”* za dr Jerzym Romanowskim. Teraz sprawy poszły dalej, do cyfrowej pracowni rtg dołączyła korporacja prywatna z wielorzędowym, nowoczesnym rezonansem magnetycznym. Krok po kroku rozwijamy się. Szpital jest w

równowadze finansowej co nie jest częste w polskiej rzeczywistości. Wiele szpitali w tym w zachodniopomorskim było już siedzibą syndyka. Zostały przejęte przez prywatnych właścicieli, a personel pracując walczył o własne miejsca pracy. I udało się.

Sztuczna macica

W końcu dojdzie do tego, że płód będzie rozwijał się w sztucznej macicy a rodzice będą obserwowali jego rozwój z zewnątrz. Nie będzie to takie samo macierzyństwo jak w przypadku ciąży naturalnej. Jednak emocje matki i ojca mogą być podobne lub nawet silniejsze. Jan Nowicki powiedział kiedyś *„Oddał bym pięć lub dziesięć lat swojego życia aby móc urodzić dziecko”*. W tej sytuacji kiedy ciąża byłaby rozwijała się poza organizmem człowieka jest to szansa dla mężczyzn.

Koleżanki i koledzy z pracy

Agnieszka jest już docentem. Jedna Beata wygrała konkurs na stanowisko ordynatora oddziału neonatologii w Warszawie, druga Beata jest zaawansowana w habilitacji, naprawdę obie mają wiele sukcesów życiowych w każdej dziedzinie. Mówiąc o nich i o pozostałych koleżankach, Ania, Basia (*Barbarella*), Isia, mógłbym powiedzieć, że nim zdążę cokolwiek pomyśleć już jest zrobione. Nie muszę *„rządzić”* w klinice, ani *„walczyć”*. Jakoś tak stało się, że wyzwalają w sobie moje koleżanki niespożyte pokłady energii,

solidarności, wiedzy i serca do pracy. Jakies tam spięcia się zdarzają, ale raczej humorystyczne. I zwykle powodowane wpływami „miazmatów tellurgiczno-kosmicznych” w występujących przeważnie cyklicznie. W dyskusji nie bronimy swoich racji dziecka. To naczelna zasada, która pozwala unikać błędów i odnosić sukcesy i zachować satysfakcję. Praca lekarzy nie miałaby oczywiście szans powodzenia gdyby nie ogromne wsparcie ze strony oddziałowej Ani, Teresy, położnych, sanitariuszek i oczywiście rejestratorek medycznych Ewy i Mimi. Nawet nie wiem jak miałbym opisać ogrom pracy przez nie wykonywanych, ale mogę powiedzieć, że wykonują ją w sposób skrajnie zaangażowany a do tego z uśmiechem. Jeżeli płaczą to tylko po stracie dziecka, którego nie udało się utrzymać przy życiu. Podobnie myślę o administracji szpitala, którego praca ma ogromny wpływ na funkcjonowanie kliniki a często nie jest doceniana.

Eksperyment medyczny na dziecku

Historia cywilizacji człowieka liczy kilka tysięcy lat, może znacznie dłużej ale zadziwiające jest to, że prawa dziecka zostały zdefiniowane dopiero w 1964 roku. Co prawda jeszcze przed II Wojną Światową dr Janusz Korczak upominał się o prawa dziecka, które opisał w formie literackiej w „*Królu Maciusiu Pierwszym*” a zastosował w praktycznym życiu społeczności „*Domu Sierot*”.

Zalecenia dla lekarzy prowadzących badania biomedyczne na ludziach zostały ustalone w Deklaracji Helsińskiej przez *18 World Medical Assambley (Helsinki 1964)* poprawiane w 1975 roku w Tokio, w 1983 roku w Wenecji oraz w 1989 roku w Hongkongu. W

przypadku osób nieletnich, zgodę na udział w badaniu należy uzyskać od opiekuna, przedstawiciela prawnego, zgodnie z obowiązującymi w danym kraju przepisami. Jeżeli uzyskanie zgody nie jest możliwe np. dziecko jest upośledzone fizycznie lub psychicznie, zgodę pacjenta zastępuje zgoda najbliższych odpowiedzialnych za niego osób. Jeżeli osoba nieletnia jest zdolna do wyrażenia zgody, ta powinna być uzyskana dodatkowo, niezależnie od akceptacji jej przedstawiciela prawnego, niezależnie od wieku o ile potrafi zrozumieć istotę badania. Przeprowadzanie eksperymentów biomedycznych na osobach upośledzonych fizycznie i psychicznie powinno być przeprowadzone tylko wówczas jeżeli stanowi jedyną drogę ratowania życia i zdrowia i nie może być wykonana na osobach dorosłych. Oczywiście obowiązuje zasada, że jeżeli badanie może być przeprowadzone na osobach dorosłych to nie powinny być wykonywane na dzieciach. Co mówią przepisy prawne w Polsce? Ustawa z 5 grudnia 1996 o zawodach lekarza i lekarza dentysty (*Dz.U. 2002 roku Nr 21, poz.204 z późniejszymi zmianami.*) *Rozdział 4. Eksperyment medyczny. Art. 25*

§2. Udział małoletniego w eksperymencie medycznym jest dopuszczalny tylko za pisemną zgodą jego przedstawiciela ustawowego. Jeżeli małoletni ukończył 16 lat lub nie ukończył 16 lat i jest w stanie z rozeznanem wypowiedzieć opinię w sprawie swego uczestnictwa w eksperymencie, konieczna jest jego pisemna zgoda.

§3. Udział małoletniego w eksperymencie badawczym jest dopuszczalny, jeżeli spodziewane korzyści mają bezpośrednie znaczenie dla zdrowia małoletniego, a ryzyko jest niewielkie i nie

pozostaje w dysproporcji do możliwych pozytywnych rezultatów. Eksperyment badawczy z udziałem małoletniego nie jest dopuszczalny, gdy istnieje możliwość przeprowadzenia takiego eksperymentu o porównywalnej efektywności z udziałem osoby posiadającej pełną zdolność do czynności prawnych. Sytuacja w świetle szczegółowych przepisów prawnych jest jednak daleko bardziej skomplikowana co wynika z komentarza prawnika. *„Na użytek ustawy z 5 grudnia 1996 r. o zawodach lekarza i lekarza dentystry (tekst jednolity Dz.U. 02.21.204) przeprowadzona została granica na poziomie 16 roku życia, od którego to momentu wymagana jest zgoda małoletniego (jeszcze) pacjenta na udział w eksperymencie medycznym, ale także na zabieg operacyjny albo zastosowanie metody leczenia lub diagnostyki stwarzającej podwyższone ryzyko dla pacjenta (vide art. 25 i 31). Także szesnastoletnim pacjentom lekarze mają obowiązek udzielać informacji o ich stanie zdrowia, rozpoznaniu i podejmowanym leczeniu (art. 31 ust. 1)*

Dodatkowo, w dyspozycji art. 25 ust. 2 wymienionej wyżej ustawy wskazane zostało, iż zgoda na udział w eksperymencie medycznym winna być uzyskana na piśmie również od osoby, która lat 16 nie ukończyła, ale jest w stanie z rozeznaniem wypowiedzieć opinię w sprawie swego uczestnictwa w eksperymencie. Z uwagi na fakt, iż w treści powołanego już art. 25, ustawodawca odwołuje się do pojęcia zdolności do czynności prawnych, w procesie ustalania posiadania przez małoletniego predyspozycji do wypowiedzenia opinii, przydatnym może być przyjęte przez ustawę kodeks cywilny

rozgraniczenie z uwagi wiek, na tego pojęcia. Zdolność do czynności prawnych to możliwość nabywania praw i obowiązków z zakresu prawa cywilnego we własnym imieniu (własnym działaniem). Zgodnie z treścią art. 12 ustawy z 23 kwietnia 1964r. (Dz.U. 64.16.93) nie mają zdolności do czynności prawnych osoby, które nie ukończyły lat trzynastu oraz osoby ubezwłasnowolnione całkowicie. Z kolei art. 15 kc stanowi, iż ograniczoną zdolność do czynności prawnych mają małoletni, którzy ukończyli lat 13 oraz osoby ubezwłasnowolnione częściowo. Do ważności czynności prawnej, przez którą osoba ograniczona w zdolności do czynności prawnych zaciąga zobowiązanie lub rozporządza prawem, potrzebna jest zgoda jej przedstawiciela ustawowego (art. 17 kc). Można w tym miejscu zauważyć analogię do regulacji ustawy z 5 grudnia 1996r., która obok zgody małoletniego (tam gdzie jest ona przewidziana) wymaga również zgody jego przedstawiciela ustawowego. Także kodeks rodzinny i opiekuńczy (ustawa z 25 lutego 1964 r. Dz.U. 64.09.59) wskazuje na potrzebę uzyskania zgody trzynastoletniego dziecka na zmianę nazwiska oraz przysposobienie, zrównując ją ze stanowiskiem strony lub uczestnika postępowania. Moim zdaniem, kwestia uzyskania świadomej zgody dziecka na udział w eksperymencie, jak wymaga tego przede wszystkim ustawa zasadnicza w art, 39, wymyka się jakimkolwiek ramom prawnym. Wszelkie bowiem granice wieku przyjęte, na użytek uregulowania stanów prawnych, są umowne i brak jest możliwości przyporządkowania np. osiągnięciu lat 13 czy 16 zdolności do wyrażenia opinii (na jakikolwiek temat), zwłaszcza zaś

ważkiej kwestii udziału w eksperymencie medycznym. Czy jakkolwiek granicą może być też zdolność wyrażenia zgody na piśmie, a więc umiejętność pisania i czytania? Przeprowadzanie eksperymentów medycznych na ludziach, nawet w warunkach i celach precyzyjnie wskazanych przez ustawę, pozostaje nadal przede wszystkim kwestią niezwykle delikatną, przez co wymagającą mocno zindywidualizowanego podejścia do każdego przypadku.”

Istnieją jeszcze inne zawilości prawne uzyskiwania świadomej zgody na przeprowadzenie eksperymentu medycznego opisane przez prof. A. Zolla

„Ustawa o zawodzie lekarza w sposób wyjątkowo skomplikowany i wewnętrznie niespójny określiła warunki dopuszczalności eksperymentu medycznego, szczególnie warunków udzielenia zgody przez osobę poddaną eksperymentowi. Niektóre z rozwiązań przyjętych w tej ustawie nie są zgodne z art. 39 Konstytucji. Trudno bowiem uznać za zgodny z warunkiem dobrowolności wyrażonej zgody osoby poddanej eksperymentowi medycznemu przepis umożliwiający przeprowadzenie eksperymentu w oparciu o zgodę wyrażoną przez sąd opiekuńczy, gdy zgody takiej odmawia przedstawiciel ustawowy osoby mającej być poddaną eksperymentowi (zob. art. 25 ust. 6-8). Wydaje mi się, że sąd opiekuńczy, do którego wpłynąłby taki wniosek, powinien zwrócić się - po myśli art. 193 Konstytucji - o zbadanie zgodności z Konstytucją tych przepisów.”
(Prof. Andrzej Zoll. Czasopismo Prawa Karnego i Nauk Penalnych 1997/2/97). Aż trudno uwierzyć, że po uchwaleniu Deklaracji

Helsińskiej w 1964 nadal przeprowadzano eksperymenty medyczne na dzieciach bez uzyskania ich zgody jak i zgody ich opiekunów. *Eric M. Melsin* napisał, że ochrona dzieci przed eksperymentami medycznymi jest ważną częścią historii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Może z tego względu, że pomimo postanowień Deklaracji Helsińskiej z 1964 roku zdarzyło się w tym kraju kilka nieetycznych, szkodliwych biomedycznych eksperymentów na dzieciach. *Henry Beecher* w artykule z 1966 roku w *New England Journal of Medicine* opisał aż 22 eksperymenty naukowe, do których wciągnięte były dzieci, bez uzyskania od nich zgody. W jednym z nich w roku 1950 i w 1960 *Willowbrook z State School in Massachusetts* prowadził eksperymenty na dzieciach z upośledzeniem umysłowym, które żyły w niehigienicznych warunkach polegające na ekspozycji na zapalenie wątroby, w intencji poznania jak ta choroba się rozprzestrzenia i jak można jej zapobiegać. Badanie *Willowbrooka* zostały zdefiniowane jako etyczne w owym czasie lecz ta ocena próby czasu nie przeszła.

W 1995 raport *Komitetu Doradczego na Eksperymentami z Promieniowaniem u Ludzi (Advisory Committee on Human Radiation Experiments - ACHRE)* ujawnił dane o badaniach z dziećmi przeprowadzonych w latach 1944-1974 kontrowersyjnych etycznie. *ARCHE* raportowała badania sponsorowane przez rząd USA w *Fernald School in Massachusetts* o podawaniu żywności z zawartością radioaktywną (owsianka) aby określić efekt jonizacji i radiacji na organizm. Dużą rolę w ograniczeniu nieetycznych przeprowadzanych eksperymentów medycznych odegrał Senator

Edward Kennedy kiedy był prezydentem szereg eksperymentów medycznych na ludziach tego rodzaju zostało wstrzymanych. Następnie skutkowało to narodowym aktem prawnym w 1974 roku ustanawiającym pierwsze (założeniem pierwszej komisji bioetycznej w USA *The National Commission for the Protection of Human Subjects of Biomedical and Behavioral Research*). Ta komisja napisała szereg wpływowych raportów, które dostarczyły pierwszych aplikacji moralności, filozofii problemów opieki medycznej w USA. (*Eric M. Meslin Ph.D. Of clones, stem cells, and children: Issues and challenges in Human research ethics. Journal of Women's health & gender-based medicine. Volume 9, Number 8, 2000. Mary Ann Liebert, Inc.*). Jeżeli jest to możliwe eksperyment medyczny powinien być przeprowadzony w pierwszym etapie na osobach dorosłych, a dopiero w następnym etapie na dziecku. Jeszcze etyczniej jest aby Ci, którzy wymyślili jakąś idee, koncepcje czy teorię sami poddali się jej ewentualnym skutkom. Takich przykładów jest w historii medycyny wiele i są one zaprzeczeniem eksperymentów przeprowadzanych na dzieciach bez ich woli i wiedzy. W roku 1976 Ryszard Gryglewski odkrył w londyńskiej pracowni Johna Vane'a prostacyklinę, krótko żyjący hormon naczyniowy. Wkrótce Amerykanin Joseph Fried zsyntetyzował ten hormon a prof. Andrzej Szczeklik wraz z R. Gryglewskim przywieźli go do Krakowa i rozpoczęli z nim eksperymenty na kotach. Ponieważ działał to przeliczyli dawkę na dorosłego człowieka i rozpoczęli eksperymenty na sobie. Cyt. „*Ryszard Gryglewski już po pierwszych minutach wlewu dożylnego*

prostacykliny stracił na dobre przytomność. Prostacyklina silnie rozszerzyła jego naczynia krwionośne i obniżyła ciśnienie krwi do wartości nieoznaczalnych. Minęła długa chwila, nim udało się nam przywrócić go o zmysłów. (śmialiśmy się potem, że naprawdę odkrywczy wniosek z naszych eksperymentów brzmiał: kilogram kota to nie to samo co kilogram człowieka). Mną z kolei podczas wlewu prostacykliny zaczęły trząść gorączkowe dreszcze, a temperatura przekroczyła 41 st. C. Powód był prosty. Podczas rozpuszczania - mimo użycia filtrów mikrobiologicznych - prostacyklina uległa zanieczyszczeniu bakteriami” (Andrzej Szczeklik. Katharsis. O uzdrowicielskiej mocy natury i sztuki. Wydawnictwo Znak. Kraków 2004. s.59-60). Eksperyment medyczny na dzieciach głuchoniemych wymaga również uzyskania świadomej zgody. Jej uzyskanie jest trudne bowiem możliwe albo w języku migowym, albo pisanym. Zgoda musi być uzyskana w sposób nie budzący wątpliwości, że dziecko ją zrozumiało. Oczywiście zgoda powinna być świadoma w pełnym znaczeniu tego słowa. Pacjent powinien być tak objaśniony aby rozumiał istotę eksperymentu i wszelkie związane z nim okoliczności. W przeciwnym razie przepadnie zaufanie do lekarzy a nawet zrodzi się nieufność. „Eksperymentator nie może ograniczyć się do zdawkowych informacji o swych planach, lecz przedstawić osobie doświadczalnej wszystko co wie na temat eksperymentu, w szczególności to, co może dotyczyć tej osoby. Powinien więc wyjaśnić cel i istotę doświadczenia. Zakres informacji będzie uzależniony tu od roli, jaką pełni w eksperymencie dana osoba i tak w przypadku

uczestników eksperymentów leczniczych winni oni dowiedzieć się o konieczności zastosowania nowatorskiej kuracji i przeprowadzonych dotąd już badaniach laboratoryjnych (w szczególności na organizmach żywych) oraz o ich wynikach. Następnie eksperymentator powinien zaprezentować projekt harmonogramu dalszych badań, opisać ich przebieg z uwzględnieniem roli danego uczestnika. Wskazać na planowany czas zakończenia badań i korzyści, jakim ma służyć to postępowanie.” (Kubiak Rafał. Prawo i Medycyna 2000/8/44. Zgoda uczestnika eksperymentu cz. I)

Informacja kierowana do uczestnika badania, powinna być dla niego zrozumiała. Eksperymentator winien uwzględnić poziom inteligencji osoby badanej, stopień wykształcenia (zawłaszcza w dziedzinie, w której ma być prowadzone doświadczenie), jej stan fizyczny i psychiczny, możliwości percepcyjne itd. Nie ważne zatem jest ile dziecko ma lat, ale ile i jak rozumie. Może dziecko nie rozumie jak dorosły, ale cierpi jak dorosły. Odpowiedzialność za poddawanego eksperymentowi człowieka (dziecka) musi zawsze pozostawać w rękach posiadającego odpowiednie kwalifikacje lekarza, nigdy zaś samego badanego, pomimo jego uprzedniej zgody.

Dominikana w Dominikowie

Tu napisałem pierwszą wersję habilitacji, przełamując zasadnicze bariery, przeszkody i przyszedł taki moment, że uwierzyłem, że jest zakończenie jest realne. Pogoda była wówczas ładna, ale zmienna. Pięknie grzało słońeczko a za chwilę nachodziły chmurki i robiło się trochę zimniej. Kiedy świeciło słońeczko

wygrzewałem się na leżaku i opalałem. Kiedy chmurki zasłaniały słońce, zakładałem szlafrok, siadałem w kącie koło okna na taras i pisałem, pokrzepiając się winem. Tak trwało przez kilka tygodni. Praca wyraźnie posuwała się do przodu. Te chwile odpoczynku na słońcu pozwalały na uwolnienie myśli od przymusu pisania i wymyślanie koncepcji na rozwiązywanie trudności jakie się pojawiały w trakcie. Na jakimś etapie tej pracy wiedziałem już, że przekroczyłem punkt krytyczny, co w moim pojęciu oznaczało, że ma ona sens, że ją skończę z powodzeniem. To jest zawsze bardzo miłe i satysfakcjonujące. Każda podjęta praca ma taki punkt krytyczny.

Lato w tym roku jest piękne i upalne. Pogoda w Dominikowie jak na Dominikanie. Książka na leżaku, albo hamaku, kąpiel w jeziorze i piwo pod parasolami nad jeziorem lub dobre włoskie białe wino lekko musujące i tak wiele razy dziennie. Naprawdę luksus. Dominikowo jak Dominikana albo lepsze.

Nie wiem jaki jest klimat na Dominikanie, ale zapewne gorący. W Dominikowie są cztery pory roku. Jest piękna, kontynentalna zima, wiosna i cudowna jesień, a także jak na Dominikanie tropikalne lato. W tym roku już od sześciu tygodni jest upalnie. Temperatury sięgają czterdziestu stopni Celsjusza. W południe unikamy słońca i mamy sjęstę a wieczory spędzamy w kawiarni u Wojtka przy zimnym piwku pitym w smukłych szklaneczkach z wytrawianymi napisami i kolorowymi logo LECH Na świat patrzymy przez satelitarną TV. Aż trudno uwierzyć, co się dzieje na tym pięknym świecie.

W Dominikowie miała miejsce historia z żółwiem o imieniu

Tuptuś. Paweł zaraz po Świętej Komunii kupił żółwia. Żeby ten żółw miał gdzie mieszkać przeznaczył pieniądze jakie otrzymał z okazji konfirmacji na budowę oczka wodnego dla swojego skorupiastego przyjaciela. Następnie pomagał z całych sił w budowie oczka. Wykopaliśmy dół, ułożyliśmy na dnie siatkę i wyłożyliśmy ją cementem, na to położyliśmy folię, a brzegi obłożyliśmy kamieniami polnymi. Na dno woziliśmy taczka piasek z jeziora i trzciny. Po napełnieniu wodą i zapaleniu lampionów wokół całość wyglądała imponująco. Tuptuś zamieszkał w swojej rezydencji. Wkrótce okazało się, że oprócz radości jaką czerpał z zamieszkania w swoim królestwie miał jeszcze plany podróźnicze i wszelkimi siłami starał się wydostać ze swojej fortecy wspinając się po tych kamieniach. W kolejnych dniach dokładaliśmy jeszcze tych kamienie wokół oczka, żeby nie uciekł. Ale stało się, któregoś dnia oczko było puste. Szukaliśmy go wszędzie. Paweł był bardzo zasmucony. Udało się znaleźć go jakieś dwie działki dalej. Długo nie trwało jak Tuptuś uciekł drugi raz i to dość skutecznie, nie znaleźliśmy go tym razem. Rozpacz była czarna. Małgosia i Paweł nie dali za wygraną i rozwiesili na wsi zdjęcia Tuptusia z prośbą o jakąkolwiek informację o zaginionym zwierzaku. Za dwa dni odezwał się sąsiad z Dominikowa, który ma domek a obok dwa stawy tuż nad strumieniem jakieś 500 metrów od naszego domu. Twierdził, że w jego stawie zagnieździł się żółw, żywi się małymi rybkami i świetnie się czuje. Jedyne niebezpieczeństwem mogą być dla niego wydry. Rzeczywiście Tuptuś był w stawie. Staw był niewielki jakieś 10 na 10 metrów otoczony krzewami olszyny, głęboki

na dwa metry. Nie dał się złapać. Wypływał na powierzchnię jakby chciał się przywitać, ale złapać się nie dał. Minęło lato i jesień, pokazywał się coraz rzadziej. Wreszcie przyszła zima. Staw pokrył się lodem. Wiosną myśleliśmy, że jest już po Tuptusiu, ale wypłynął. Natychmiast dokupiliśmy mu dwie żółwice i wpuściliśmy do stawu. Jedna zdechła a Tuptuś z partnerką zniknęli. Nie wiemy dziś dzisiaj, czy zjadły ich wydry, czy powędrowały do odległego o kilometr dużego leśnego stawu jak żółwie w Dolinie Renu. W każdym razie wiemy już, że żółw w polskich warunkach żółw może przetrwać zimę.

Doświadczenie

Wystarczy pięć lat nauki aby wiedzieć kiedy leczyć, ale potrzeba dwadzieścia lat aby wiedzieć kiedy nie leczyć. Każdy lek oprócz tego, że ma działanie pozytywne potrafi również zaszkodzić, wywołać działania uboczne. Działania niepożądane potrafią się nawet kumulować, potęgować. Leki powszechnie stosowane jak Luminal czyli Gardenal (*fenobarbital*) potrafi wywołać duże działania uboczne szczególnie u bardzo małych dzieci. Krople z atropiny stosowane przez okulistów u wcześniaków z retinopatią mogą doprowadzić do poważnych zaburzeń funkcjonowania przewodu pokarmowego. Trzeba pokory i cierpliwości aby umieć zastosować w leczeniu tylko te leki i w takich dawkach aby pomogły, a nie zaszkodziły. Wspomniany fenobarbital jest uznawany za lek bezpieczny, ale u noworodków, a szczególnie ze skrajną masą ciała poniżej jednego kilograma, stosunkowo często może dojść do jego kumulacji w organizmie i wystąpienia objawów zatrucia. Pojawiają się zaburzenia

świadomości do śpiączki włącznie albo drgawki. Obserwuje się zwolnienie i spływanie oddechu, tachykardię, spadek ciśnienia tętniczego, co łącznie prowadzi do zapaści i niedotlenienia mózgu. Postępuje uszkodzenie naczyń włosowatych i upośledzenie funkcji nerek. Objawy ze strony przewodu pokarmowego mogą być wynikiem zmniejszenia napięcia ścian żołądka, zwolnienia perystaltyki jelit i następowego opóźnionego opróżniania żołądka. Ustaje perystaltyka jelit. Występują zaburzenia termoregulacji, na skórze pojawiają się pęcherze. Śmierć następuje w wyniku porażenia ośrodka oddechowego i naczynioruchowego. Dlatego trzeba u takich dzieci kontrolować poziom leku we krwi pamiętając o zasadzie „*Primum non nocere*” przypisywane Hipokratesowi, choć wielu za jej twórcę uznaje też Imhotepa.

Męstwo Kobiet

Pacjentka w ciąży z niewydolnością nerek jest dializowana codziennie, aby utrzymać poziom mocznika poniżej 80 mg%, co jest i tak dwa razy więcej powyżej normy. Ryzykuje życie, aby utrzymać ciążę. Jest bohaterką. Znane są też przypadki ciężarnych chorych na raka, które nie bacząc na ryzyko rozwoju choroby nie rezygnują z ofiarowania życia dziecku.

Cud

„*Cuda zdarzają się w kinie i w medycynie*” mówi powiedzenie. W kinie to się zgodzę. RoboCopa z filmu science fiction produkcji amerykańskiej w reżyserii Paula Verhoevena, powstałego na

podstawie scenariusza Edwarda Neumeiera i Michaela Minera mogli „naprawić” chociaż wyglądał jakby nadawał się wyłącznie na złom. Na prezydenta Ronalda Regana dnia 30 marca 1981 roku zaledwie 69 dni po rozpoczęciu pierwszej kadencji miał miejsce zamach. Kiedy Reagan opuszczał Hotel Hilton w Waszyngtonie został postrzelony przez Johna Hinckleya Juniora. Oprócz prezydenta ranny został jego rzecznik James Brady, agent United States Secret Service oraz policjant z dystryktu Kolumbii. Chirurdzy poddali Reagana operacji, aby usunąć kulę, która o kilka centymetrów ominęła jego serce. Chwilę przed zapadnięciem w narkozę wypowiedział do chirurgów następujące zdanie „*Mam nadzieję, że wszyscy jesteście republikanami*” na co jedna z osób obecnych na sali operacyjnej odpowiedziała „*Myślę, Panie prezydencie, że w tej chwili wszyscy jesteśmy republikanami*”. Rzecznik James Brady był najciężej ranny, ponieważ kula przeszła jego czaszkę i nigdy nie odzyskał pełni zdrowia. Warto zauważyć, że Reagan był orędownikiem wolnego dostępu do broni w USA. Prezydent, zapytany niemal dwa lata później o to, czy zamachu można byłoby uniknąć dzięki większym ograniczeniom w dostępie do broni? Ronald Reagan był pierwszym Prezydentem USA który przeżył zamach, mimo iż został trafiony pociskiem. Papieża Jana Pawła II też „naprawili” lekarze po strzałach jakie do niego oddał Ali Agca.

W medycynie zdarzają się nieoczekiwane cudowne ozdrowienia.

Różnica polega na tym, że cuda w kinie są zrozumiałe a w

medycynie niezrozumiałe. Cuda w medycynie zdarzają się jedynie gdy przyzwala na to i dokonuje ich natura. My lekarze jesteśmy w większości jedynie świadkami tych wydarzeń. W przypadku cudownych uzdrowień w chrześcijaństwie rolę sprawczą spełnia Pan Bóg. Niektórzy pacjenci pomimo największych wysiłków personelu medycznego umierają a inni z taką samą chorobą leczeni w podobny sposób przeżywają co świadczy o tym jak mała jest nasza wiedza o chorobach ludzi. Są noworodki, które z niezwykłym uporem wbrew największym przeciwnościom przeżywają i są takie, które niespodziewanie umierają. Wiele bym dał żeby to zrozumieć. Odnoszę wrażenie, że istnieje jakaś siła sprawcza, która pozwala przeżyć lub nie. Pamiętać też musimy o tym, że każde przeżycie odbywa się kosztem świata otaczającego. Jeżeli zwalczamy sepię silnymi antybiotykami zabijamy bakterie, w ich miejsce pojawiają się grzyby równie niebezpieczne.

„Małe” mnie wykończą

Już kilka razy chciałem zrezygnować z zawodu lekarza i jak dr Jurek Koralewski doktor zostać nie doktorem tylko redaktorem. We wszystkich przypadkach powodem rezygnacji miały być niepowodzenia, a właściwie porażki, z którymi nie mogłem się pogodzić. Także strach przed odpowiedzialnością karną za coś co mógłbym źle zrobić, szczególnie teraz kiedy pacjenci coraz częściej przyjmują postawę represyjną wobec służby zdrowia. Krzysztof Komeda doktor był muzykiem, Stanisław Lem doktor był pisarzem. Takich przykładów jest więcej. Mało tego, teraz kiedy jestem po

habilitacji właściwie mógłbym zrezygnować z medycyny klinicznej na rzecz historii medycyny, etyki medycznej, edukacji zdrowotnej itd. Itp. Co takiego trzyma mnie w klinice? Poczucie misji i satysfakcja z uratowania życia i zdrowia innego człowieka? Realizacja idei naukowych takich jak leczenie krwią pępowinową wcześniaków w celu zmniejszenia powikłań wcześniactwa, konstrukcja aparatu do monitorowania funkcji mózgu, satysfakcja osobista, dobre zarobki? Tak już jest, że jedni są lekarzami chociaż momentami mają tego całkowicie dość i są tacy którzy nie są lekarzami a bardzo chcieliby nimi być.

Sen to zdrowie

Prof. Michał Troszyński zajmuje się danymi epidemiologicznymi z zakresu położnictwa i neonatologii. Robi to od lat niezwykle skrupulatnie a wyniki jego pracy dają nam pojęcie o tym jak dobrze i źle pracujemy. Jest człowiekiem niezwykle miłym i życzliwym. Cechę ma taką, że jak tylko może gdzieś „zmrzążyć oko” to robi to. Potrafi przysnąć w dowolnej sytuacji i w dobrowolnym czasie. Pewnie dzięki temu zachowuje tak świetną kondycję.

Z Kamilem Durczokiem

Nie jest łatwo rozmawiać lekarzowi z pacjentem, który przeżył chorobę nowotworową, ciężkie chwile niepewności, strachu, cierpienia i walki o życie. Ile trzeba empatii i pokory, żeby taka rozmowa miała sens. Zdarzyło mi się rozmawiać z matką, która urodziła noworodka z wadą chromosomalną rzutującą na całe jego

życie i życie jego rodziny. Nie wiedziałem jak mogę ją pocieszyć, dodać otuchy, tym bardziej, że matka dziecka w przeszłości sama przeszła chorobę nowotworową. Czułem się mały, zagubiony i niekompetentny. W tej sytuacji skoncentrowałem się na dziecku w sensie czysto medycznym. Po jakimś czasie zorientowałem się, że to matka dziecka dodaje mi otuchy i optymizmu. Instykt podpowiadał jej, że tego potrzebuję? Podobnie miała się sytuacja kiedy miałem przeprowadzić wywiad z Kamilem Durczokiem. W trakcie powitania spojrzał mi głęboko, uważnie i wesoło w oczy. Dodał mi tym odwagi do rozmowy z nim. Długo się do tej rozmowy przygotowywałem wyszukując w Internecie informacje o nim, o jego życiu zawodowym. Przygotowałem sobie te informacje i pytania, które chciałem zadać. Oczywiście chciałem w ten sposób uniknąć pytań w rodzaju; co Pana skłoniło do napisania tej książki? Chciałem w jakiś sposób zmniejszyć napięcie już na początku rozmowy. Chciałem w jakiś sposób zmniejszyć grozę pojęcia ciężkiej choroby jaką jest nowotwór. Zwróciłem się do niego z pytaniem czy pamięta, że już raz zachorował na ciężką chorobę? Spojrzał na mnie zdziwiony, świnka? Nie. Przypomniałem mu jak w trakcie Studenckich Praktyk Robotniczych zajrzał zupełnie przypadkiem do studenckiego radia „Egida”. No i wciągnęło go. *„Jak usiadłem w radio na podłodze, to siedziałem tak przez 3 godziny. Byłem urzeczony i zapadłem na ciężką chorobę zwaną radiem”*. To pytanie chyba rozładowało wstępne napięcie bo niespodziewanie wstał, zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Za jego przykładem zrobiłem to samo, a w następnej chwili

marynarkę ściągnął Piotr Mucharski. Rozległy się brawa i dyskusja potoczyła się bez przeszkód.

Nowotwory w krajach rozwiniętych stanowią po chorobach układu krążenia, drugą w kolejności przyczynę zgonów. W Polsce na nowotwory złośliwe co roku umiera ponad 45 000 mężczyzn i niemal 35 000 kobiet. Notuje się niestety, coraz wyższy coroczny przyrost liczby zgonów z powodu nowotworów u kobiet. Jest zatem o czym mówić i jest dużo do zrobienia również w profilaktyce. A tu osoba tak znana w kraju, medialna może zrobić naprawdę dużo. Kamil Durczok brał udział w „*Ekumenicznych Szczyrkowskich Spotkaniach z Ewangelią i znanymi Polakami*”. Tam X. Jan Bryt powiedział „*Kiedyś słyszałem opowieść o człowieku, który zobaczył na swojej drodze biedną, wygłodzoną i chorą dziewczynkę. Gdy zaczął modlić się za nią, prosząc Boga o pomoc, Najwyższy odpowiedział mu - Już jej pomogłem - stworzyłem Ciebie i posłałem Cię do niej.*” To jest rola każdego z nas. Kiedy u Ronalda Regana w trakcie rutynowych badań wykryto zmianę nowotworową w jelicie i wykonano z powodzeniem zabieg operacyjny zabieg jej usunięcia miało to na pewno znaczny wpływ edukacyjny na świadomość ludzi przez fakt, że był to prezydent Stanów Zjednoczonych, który wykonywał badania przesiewowe, nie taił choroby i dał przykład, że można ją zwalczyć. Kamil Durczok napisał „*To pokazuje również na jakim etapie publicznej dyskusji o nowotworach znajdujemy się w Polsce...Tam (w USA) dwie trzecie zostaje wyleczonych, u nas jedna trzecia*” Profesor Bogusław Maciejewski lekarz Kamila „*Zbyt wielkie jest zniwo*

choroby nowotworowej w Polsce, byśmy mogli pozwolić sobie na milczenie... to jest miejsce dla działań systemowych. Te jednak w moim przekonaniu mogą nastąpić jedynie pod naciskiem mediów”.

Przypomina mi się w tym momencie historia „Rodzić po ludzku” Gazety Wyborczej. Bez wsparcia mediów Polki do dzisiaj rodziłyby jak w XIX wieku. Bez wsparcia mediów profilaktyka chorób nowotworowych będzie w stagnacji. Kamil Durczok ma tę świadomość dlatego zrobił początek. „Opowiada szczerze i przejmująco o swojej chorobie. Przełamuje tabu jakim jest choroba nowotworowa mówiąc o niej publicznie. Przełamuje stereotyp o bezradności medycyny wobec choroby nowotworowej. Rozmowa toczyła się również wokół problemów wewnątrz rodziny. Żona bała się, że nie podejmie walki z chorobą a syn nie mógł pogodzić się z wyglądem ojca przyjmującego cytostatyki. Przemógł się jednak i przytulił. „Wiesz, tato, muszę się do ciebie przyzwyczaić”. Moje pediatryczne serce kompletnie się rozpuściło. Żona powiedziała „Największy stres przeżywałam, kiedy myślałam o dziecku. Jak je wtajemniczyć w śmierć? Jak je wtajemniczyć w śmierć najbliższego człowieka? Jednak kiedy pokonał Pan chorobę, pokonaliście chorobę wspólnym wysiłkiem nadal tkwi w niej niepokój „Wiem, że wygrana z nowotworem jest warunkowa. Powoduje to straszny stres i uczucie ostrożności - nie potrafię podejmować teraz ważnych decyzji, jakbym się bała tego, co mnie w życiu czeka. Racjonalnie wiem, że to głupota, ale nowotwór koduje w nas jakąś niepewność jutra, trudno usuwalną.”

W sali Anny Jagiellonki były osoby, które walczą z

nowotworem, oraz takie, które straciły bliskich z tego powodu. Osoby te zadawały pytania, w oczach miały łzy, szukały wsparcia i same udzielały go innym. Taka solidarność w obliczu nieszczęścia to przeciwieństwo obojętności wobec siebie w dobrobycie. Powiedział Pan kiedyś pytany o marzenia „*A na moje marzenia brakłoby miejsca*” Czy nadal tak jest? Nie do końca, taka choroba zmienia człowieka.

Marta i Paweł

Paweł jest w klasie sportowej i gra w piłkę ręczną. Sam doszedł to tego, że dostał się do klasy sportowej i utrzymał się w niej. Jest bardzo ambitny. W ostatnim turnieju wybił sobie palec, stłukł łokieć i chce grać nadal. Ale to chyba niemożliwe, kontuzje są zbyt poważne. Chce być kucharzem. Przed tą piłką ręczną grał w tenisa. Szło mu dość dobrze, grał bardzo ambitnie, jak nie wygrał turnieju to z wielką siłą potrafił cisnąć rakietą o ziemię. Jednego razu grał w finale jakiegoś turnieju a było to latem, miało to o tyle znaczenie, że w tamtym czasie reagował silnym skurczem oskrzeli na wszystko co unosiło się w powietrzu. Grał z widocznym wysiłkiem oddechowym. Mnie się łzy do oczu cisnęły jak patrzyłem na jego mękę. Ale wygrał. Byłem bardzo wzruszony, uświadomiłem sobie, jak wielki ma charakter. Od tego czasu minęło wiele lat, dzisiaj zdaje maturę, jest kochanym synkiem. Maturę zdał o własnych siłach, bez korepetycji.

Marta ma silny charakter, dała sobie radę z klanem nauczycieli

w liceum, zawistnych, małomiasteczkowych, zasklepionych w kokonie nienawiści za to, że pół roku uczyła się w liceum w Saarlandzie. Studiowała projektowanie ubiorów w Krakowskich Szkołach Artystycznych. W dzień projektuje, w nocy baluje i chłonie natchnienie do twórczości. Tak trwa do dzisiaj, co nie przeszkadza jej w realizacji ambitnych projektów. W Krakowie, jako pracę dyplomową zaprojektowała stroje dla ojców z przeróżnymi kieszeniami na Pampersy, butelki itp. Później studiowała w Danii w Herning. też projektowanie ubioru. Wyjechała na praktykę na Malte, gdzie miała praktykę. Zaprojektowała stroje dla personelu SPA, wystawiono je w Londynie i w Dubaju. Marta kompletnie się w tej Malcie zadłużyła i póki co nie chce z niej wracać. Jest bardzo kochaną córeczką o radosnym usposobieniu.

Jak z tego widać żadne z dzieci nie wybrało zawodu architekta jak moja żona Małgosia ani lekarza, co jakoś dziwnie mnie nie dołuje, a z drugiej strony wyobrażam sobie, że mógłbym być kreatorem mody oraz maturzystą, bo to piękny wiek. Urok i piękno młodości polega na jej bajecznej naiwności, która życie czyni obiecującą bajką.

Nikt Wielki

„Lepiej być wielkim nikim, niż nikim wielkim”. Jest wielu lekarzy bez tytułów i stanowisk, którzy potrafią robić takie operacje i badania jakie dla wielu ich utytułowanych kolegów pozostają tylko w sferze marzeń. Jeżdżą starymi samochodami, nie mają doktoratów, gabinetów ani stanowisk. Mają natomiast swoją sławę wśród pacjentów i środowiska medycznego. Nie lubią pisać artykułów

naukowych. To wielka wada w życiu akademickim. Bez dorobku naukowego drzwi do kariery akademickiej pozostają zamknięte. Ale pacjentowi jest to obojętne. W sytuacji zagrożenia zdrowia a tym bardziej życia chciałby znaleźć się w rękach najlepszego lekarza.

Noworodki i politycy

„Żadna reforma nie przeciwstawi się skurczom macicy”. Rola państwowotwórcza noworodków została w historii doceniona niejednokrotnie. Otto von Bismarck kanclerz Niemiec, Adolf Hitler Führer Rzeszy Niemieckiej robili wszystko, aby rodziło się jak najwięcej dzieci, aby rosła siła biologiczna narodu i mogła, jako taka realizować cele nadrzędne a według Adolfa nawet wyższe.

To tylko kwestia czasu kiedy starzejące się społeczeństwa oddadzą naturalnie miejsca pracy narodom o większym wigorze do prokreacji. Ambicją polityków powinna być niska umieralność noworodków i niemowląt i jest, ponieważ stanowi w polityce wykładnik dobrostanu społecznego.

Gorzej już jest z polityką wspierającą samotne matki i wielodzietne rodziny, bo to są ogromne koszty.

Całkiem źle z finansowaniem szczepionek a-cellularnych dla dzieci w Polsce. Jesteśmy ostatnim krajem, który używa szczepionek pełno komórkowych a szczepienia są niepełne, brak w nich pneumokoków i meningokoków.

Orphan Europe Academy

Organizacja założona w 2000 roku z misją organizowania

kursów w celu edukacji profesjonalnej służby zdrowia prowadzonej jest przez naukowców, znawców diagnostyki i leczenia pacjentów dotkniętych rzadkimi chorobami. Jeden z takich kursów miał miejsce w dniach 27-30 kwietnia 2005 roku w Paryżu i dotyczył rozwoju mózgu noworodka. „*Developing Brain Course*” został zorganizowany przez francuski lokalny komitet Orphan Europe Academy we współpracy z Robert Debré Children Hospital w Paryżu i Karolinska Institute ze Sztokholmu. Liderami kursu byli Profesorowie Philippe Evard i Hugo Lagercrantz. Obaj są współautorami wydanej niedawno monografii „*The newborn brain*” neuroscience and clinical applications, Cambridge University Press 2002. Wykładowcami byli specjaliści zajmujący się mózgiem i dziedzinami pokrewnymi z Francji, Anglii, Szwecji, Włoch, Belgii i USA. Przekazali oni wiedzę, którą naprawdę niełatwo byłoby zebrać w inny sposób. Do tego należy dodać dyskusje, które zawsze rozbudzają wyobraźnię i rodzą nowe idee. Niektóre pomysły mogłem omówić z „*wielkimi*” na miejscu. Jednym z wydarzeń kursu była wycieczka do szpitala dziecięcego im. Roberta Debré, bardzo pouczająca. Zwiedziłem laboratorium naukowe neurologii dziecięcej. Pracuje tam czterdzieści dziewięć osób personelu w kilkudziesięciu pomieszczeniach w otoczeniu nieskończonej liczby urządzeń do pracy naukowej. Nie robią nic innego tylko zajmują się mózgiem noworodka, w końcu coś wymyślą. To zupełnie inny świat jeżeli chodzi o warunki do tworzenia nauki. Jediną pocięgą może być to, że my aplikujemy do praktyki klinicznej to co oni wynajdą. Ale też nie budzi zdziwienia fakt, że

rzadko publikujemy w czasopiśmie z Impact Factor powyżej sześć punktów. Tak przy okazji zakończył się właśnie w naszej klinice program naukowy prowadzony i finansowany przez firmę Discovery Lab. trzeciej fazy badań klinicznych mający na celu sprawdzenie skuteczności i bezpieczeństwa sztucznego surfaktantu z białkiem B w leczeniu zespołu zaburzeń oddechowych u wcześniaków. Po trzech latach badań w 80 ośrodkach w Europie i Ameryce Południowej, które kosztowały znacznie powyżej 100 mln \$ USA ukazała się publikacja w „*Pediatrics*” potwierdzająca nadzieje na jego zastosowanie kliniczne. Nie mamy takich pieniędzy, ale nie powinniśmy tracić nadziei, zawsze jest coś do dopowiedzenia, zawsze można znaleźć „niszę” i dołączyć swoją „cegielkę” do gmachu nauki. Wyraźnie widać, że Europa staje się jednym krajem. Nie tylko ja ze Szczecina przestałem się pytać siebie skąd właściwie jestem i gdzie jest mój dom? Na Pomorzu czy na Mazowszu, skąd pochodzi moja rodzina? Jestem z Europy. Te same uczucia ma wielu Francuzów i Niemców ze swojego pogranicza. Podobne doznania mają Szwedzi, którzy bronili się przed połączeniem z kontynentem. W końcu wybudowali most i tunel z Malmö do Kopenhagi. Przerwali tabu izolacji podobnie jak Anglicy i Francuzi przez budowę tunelu pod kanałem La Manche.

Paryż jest paryski. Jest gwarno, kawiarnie otwarte na chodniki, niemal wchodzące na ulice otwarte nawet o pierwszej w nocy. Tłumy, słysząc różne języki i widząc stroje pochodzące z różnych kultur, ludzi o różnym kolorze skóry, to naprawdę jest warte podziwu. Widziałem też kolejkę ludzi stojących po bilety do teatru. Przy okazji gmach

opery na Placu Bastylli jest ogromny. Nie wiem czy nie tak duży jak trzy lub cztery Galaxy szczecińskie razem. Ogromne Centrum Kongresowe, nam przydałoby się chociaż małe w Szczecinie. W zasadzie to oglądałem Paryż z małymi wyjątkami z okna autobusu, bo prawie cały czas wypełniły nam wykłady i dyskusje przerywane kawą, ciastkami i owocami. Jak zwykle po powrocie napisałem piosenkę o Paryżu, ale o piosenkach się nie pisze tylko się ich słucha, zapraszam zatem www.youtube.com i dalej proszę wpisać w wyszukiwarke Jacek Rudnicki.

Progresja

Jest na co dzień mało widoczna, ale w większych odcinkach czasowych ją widać. A to wykonywane są badania emisji otoakustycznej, a to powstała poradnia okulistyczna dla wcześniaków, a to zakupiono laser do operacji okulistycznych u dzieci lub zaczęliśmy zamykać przewody tętnicze Botalla u wcześniaków, wykonywać operacje neurochirurgiczne. Pojawiły się w klinice nowe urządzenia do wentylacji przez nos, wentylatory oscylacyjne. Skonstruowaliśmy się nowoczesne, cyfrowe eeg z kamerą video, zapisem pulsu i poziomu tlenu we krwi, aparat do analizy parametrów biochemicznych z kropli krwi. Te zakupy to kwestia ostatniego roku. Czekamy na elektrodę Clarka do przezskórnego pomiaru tlenu i dwutlenku węgla. Ten i kolejne lata progresji zmieniają obraz neonatologii, niepostrzeżenie ale tylko na krótki dystans. Niektóre

urządzenia odstawiamy, są wysłużone, nie spełniają współczesnych wymogów i trafią do muzeum historii medycyny.

Terapia

Kiedy rodzi się wcześniak taki nie za duży, co oznacza przy naszym przyzwyczajeniu do takich sytuacji nie więcej niż tysiąc gram rozpoczyna się trzy miesięczna batalia o jego życie i dobrą przyszłość. Tyle przeciętnie trwa pobyt takiego giganta, elefanta nim osiągnie odpowiednią dojrzałość i masę ciała aby rodzice mogli zabrać go do domu. Już na samym wstępie po porodzie zwykle wymaga wsparcia oddechowego. Od lat temu celowi służy NeoPuff z podwójnym systemem zastawek zabezpieczających płuca przed mechanicznym urazem, lub jeszcze gdzieś tam worek samorozprężalny Ambu. Napływa do niego mieszanka powietrza i tlenu. W myśl instrukcji w zależności od sposobu ściskania tego worka dwoma, trzema lub czterema palcami można uzyskać ciśnienia w masce oddechowej odpowiednio dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia centymetrów słupa wody. Takie ciśnienia gwarantują wcześniakowi bezpieczeństwo a głównie to aby nie doszło do uszkodzenia delikatnych struktur płuc już na początku co może też mieć negatywne konsekwencje na przyszłość. Pomyślałem, że uciskanie worka jednym czy czterema palcami to jedno a dynamika uciskania to drugie. Co będzie, jeżeli całą dłońią ucisnąć gwałtownie? Nie dawało mi to spokoju więc wywierciłem dziurkę w korpusie urządzenia tuż przy masce,

podłączyłem wężyk i manometr od pomiaru ciśnienia krwi. Moje obawy potwierdziły się. W trakcie energicznej wentylacji wskazówka osiągała sześćdziesiąt centymetrów słupa wody, trzy razy więcej niż ciśnienia oczekiwane. To bez wątpienia może uszkodzić już płuca noworodka. Konsekwencje tego to dłuższa wentylacja, zwłóknienie płuc zwane dysplazją oskrzelowo-płucną. Ostatecznie sprawę załatwiło kupno urządzenia do wentylacji NeoPuff, które posiada dwie zastawki dla bezpieczeństwa skutecznie zabezpieczające płuca przed nadmierną energią i zaangażowaniem osoby resuscytującej.

Raz na 30 tysięcy

Wszystko zaczęło się normalnie. Poród w terminie, obecny przy porodzie mąż. Urodziło się dziecko donoszone, zupełnie prawidłowo zbudowane, ładne, różowe i bezpośrednio przystawione do piersi zaczęło ssać. To było już drugie dziecko w rodzinie zupełnie zdrowe. Wydawało się, że za dwa dni wyjdą do domu. Jednak po kilku godzinach zaczęło się dziać coś niedobrego. Dziecko zrobiło się szare, zaczęło szybciej oddychać. Lekarz dyżurny zaczął przeprowadzać badania laboratoryjne aby znaleźć przyczynę pogorszenia się stanu dziecka. Zadzwoił też do mnie abym przyjechał na dyżur, zrobił badania ultrasonograficzne narządów wewnętrznych i pomógł w postawieniu diagnozy. Nie muszę chyba zaznaczać, że działo się to z soboty na niedzielę, bo większość z tego co złe i zagraża życiu noworodków dzieje się z soboty na niedzielę. Zamówiłem taksówkę i

za pół godziny byłem na miejscu. Nic nie układało się według utartych schematów. Nie było cech zakażenia w wskaźniki laboratoryjne nie potwierdzały infekcji. W badaniu radiologicznym płuc nie było cech patologicznych a dziecko oddychało szybko i wyeliminowało prawie całkowicie dwutlenek węgla z krwi. Poziom cukru był prawidłowy. Inne badania biochemiczne również. Stan dziecka pogarszał się a przyczyna nie była znana. Narządy wewnętrzne w badaniu usg były prawidłowe. Obawiając się galaktozemii, czyli nietolerancji enzymatycznej cukru w mleku matki dziecko nie było karmione. Odżywiano je dożylnie. Rozwinęła się znaczna kwasica metaboliczna niezależna od układu oddechowego. Leczenie w tej sytuacji było wyłącznie objawowe. Do rana jednak nic się nie poprawiło a sytuacja wręcz pogorszyła się. Poziom dwutlenku węgla tak dalece uległ obniżeniu, że dziecko straciło w tej sytuacji powód do oddychania ponieważ dwutlenek węgla w pierwszym rzędzie stymuluje oddech. Kiedy jest niski oddech ustaje. Musieliśmy więc dziecko zaintubować i włączyć sztuczne wspomaganie oddechu. Zaczęliśmy też szukać pomocy u kogoś kto zna się na problemach metabolicznych. Taką osobą jest profesor Marysia Gizewska. Znalazła czas i przyjechała do kliniki. Jej konsultacja był niezbędna wobec komplikacji problemu. Niezbędna okazała się pomoc specjalistów od chorób metabolicznych z Warszawy, z Instytutu Matki i Dziecka oraz Centrum Zdrowia Dziecka. Krew i mocz w zamrożonych pojemnikach dzięki staraniom rodziców dotarła tam już w poniedziałek rano. Była nadzieja, że jeżeli zostanie zidentyfikowany błąd metaboliczny będzie

można zastosować dietę z wyłączeniem nietolerowanych substancji i opanować sytuację. Oczekiwanie na wyniki trwało kilka godzin. W tym czasie stan dziecka pogarszał się. Dodatkowe konsultacje w tym radiologa klinicznego, kardiologa nie pomogły dziecku, bo nie mogły. Wyniki jakie przysły z Warszawy potwierdzały najgorsze obawy, że mamy do czynienia z wrodzoną kwasicą metaboliczną na poziomie subkomórkowym taką, której nie potrafimy leczyć. W międzyczasie próbowaliśmy zorganizować transport do Centrum Zdrowia Dziecka, głównie w celach diagnostycznych, ale stan dziecka tak pogarszał się tak, że tego transportu nie doczekał. Jeszcze próbowaliśmy heroicznych wysiłków poprawy pracy serca, które ledwo kurczyło się ale bez powodzenia. Zmarło. Odłączyliśmy wszystkie dreny, cewniki, rurkę intubacyjną, Po śmierci dziecka Matka wzięła je na ręce, usiadła obok męża i tak siedzieli żegnając się z synem.

Palazzo de la Ragioni

Nauka łaciny w liceum bardzo okazała się przydatna. Jechaliśmy z Małgosią na zjazd naukowy w Bergamo. Wszystko miało odbyć się w Palazzo de la Ragioni. Pomyślałem sobie, że bez problemu znajdziemy pałac, podobnie jak w Szczecinie Zamek Książąt Pomorskich. Okazało się, że jest inaczej. W Bergamo, dość dużej metropolii, prawie na każdej ulicy był jakiś pałac. Pełno pięknych, okazałych, starych budynków. Nie było mowy o szukaniu bez mapy. Wjechałem na stację benzynową Idę do sklepu z gazetami itp. I pytam

o mapę Bergamo. Mówię, że szukam Plazzo de la Ragione. Sprzedawczyni wyszła na zewnątrz i woła kogoś z warsztatu samochodowego obok, ten idzie z policjantem, dołączył ktoś ze stacji benzynowej. W ciągu paru minut zebrało się wokół mnie pięć osób. Trochę zmartwiłem się tym policjantem bo zaparkowałem na ulicy i nie byłem pewien czy nie było tam zakazu. Ale zaczęli rozmawiać ze sobą dość ożywnie. W końcu zwrócił się do mnie policjant. *Que machina?* Pokazuję gdzie machina. Policjant mówi dalej. *Avanti. Doppel saturatore. Sinistra. La curva. La Porta. Citta Alta. Pallazo de la Ragione. Dziękuję. Gracia. Thank You.* Dobrze jednak, że miałem łacinę w liceum i anatomii prawidłowej uczyli nas również po łacinie.

Quadriplets

Poród czworaczków jest rzadkością statystyczną i wynosi 1 na 12 milionów porodów. Urodziły się takie u nas z masą ciała od półtora do dwóch kilogramów. Spowodowały najazd przedstawicieli z mediów, firm Niedługo potem w Poznaniu urodziły się pięcioraczki a w USA siedmioraczki. Rodzice tych siedmioraczków spotkali się z wielką pomocą społeczną do tego stopnia że przez ich dom przewinęło się stu wolontariuszy w wyniku czego zupełnie zatracili prywatność. Ostatnio powstał termin Epidemia ciąż wielopłodowych wynikająca między innymi ze stosowania środków regulujących płodność jak i zapłodnień *in vitro*. Nie było by w tym nic złego gdyby nie fakt że ciążę te wiążą się ze znacznie większym ryzykiem dla matki i dzieci. Wkrótce przebiły nas pięcioraczki urodzone w

Poznaniu.

Sukcesy medycyny

Doraźne sukcesy medycyny są potencjalnie przyszłymi klęskami ludzkości i niezwykle trudnym wyzwaniem na teraz i na przyszłość. Przeżywają i mają dzieci ludzie, którzy w warunkach naturalnych umierają. Ich dzieci często obciążone są chorobami rodziców a ich dzieci też. Najbardziej jaskrawym przykładem jest cukrzyca. W XIX wieku kiedy nie znano jeszcze insuliny leczono ją dietą Allena, o której mówiło się, że jest zbyt uboga aby przeżyć i zbyt obfita aby umrzeć. W tamtych czasach kobiety chore na cukrzycę w większości nie były zdolne do rodzenia dzieci. Sytuację diametralnie zmieniło odkrycie insuliny w 1922 przez Fredericka Bantinga i jego asystenta Charlesa Besta. Kobiety chore na cukrzycę dotychczas bez szans na prokreację zaczęły zachodzić w ciążę i rodzić. Noworodki z Mam chorych na cukrzycę mają wiele problemów zdrowotnych już od urodzenia. Po porodzie często mają ciężką hipoglikemię. Ich trzustki są nastawione od urodzenia na nadmierną produkcję insuliny ponieważ w brzuchu Mamy musiały borykać się z napływającym w nadmiarze przez pępowinę cukrem. Po porodzie ten nadmiar insuliny powodował u nich gwałtowny spadek poziomu cukru we krwi. Miewają drgawki. A to nie koniec problemów. Otłuszczone serce i płuca mogą być niewydolne. Obciążone genetycznie cukrzycą czekają kiedy same zachorują oni sami a później ich dzieci. Czy tak będzie? Czy uda się zmodyfikować gen odpowiedzialny za rozwój cukrzycy? Czy ten problem rozwiąże ostatecznie medycyna? Może przeszczepy

wysepek Langerhansa. Takie operacje wykonuje się również w Polsce. To nie koniec tego zjawiska rodzą kobiety po przeszczepie serca, wątroby, po wyleczonych nowotworach, chorobach metabolicznych. Wszystkie one mają szansę na posiadanie dzieci i radość wynikającą z macierzyństwa. Tylko musimy zatrzymać jakoś ten proces przekazywania informacji genetycznej.

Dzieci opuszczone

Jest ich około 1,5% co oznacza, że na każde 200 nowonarodzonych 3 dzieci matka, czy rodzice pozostawiają w szpitalu. Powody są różne, a to brak pieniędzy na ich utrzymanie, a to młodociana, której rodzice nie chcą w domu, a to nieślubne dziecko, a to atrakcyjna praca na promie do Szwecji. Ale bywają i inne powody dla których dziecko pozostaje samo. Matka dwojga dzieci zachorowała na raka skóry. Walczyła z chorobą cztery lata. Teraz umiera, czuje, że przegrała tę walkę. Szuka rodzin zastępczych dla swoich dzieci w mediach. Obiecała im, że nie trafią do domu dziecka. Zgłosiło ponad sto rodzin z Polski i innych krajów.

Etyka

Na okładce popiersie Hipokratesa, który pomimo upływu 2,5 tysięcy lat ciągle spogląda na czytelnika z wzrokiem bardziej pytającym, niż wyjaśniającym. Z filozoficznego i etycznego punktu widzenia niczym od nas się nie różnił grecki mędrzec. Leczył jak my współcześni według aktualnej wiedzy, sumienia i swoich możliwości.

Może w pewnym sensie był nawet w lepszej sytuacji od nam współczesnych ponieważ nie musiał borykać się z problemem limitu pacjentów narzuconym przez Kasę Chorych. Nie musiał strajkować jak niemieccy lekarze przy załamującej się ekonomii służby zdrowia pod hasłem „*Kaine medizine zwite klasse*”. Nie dysponował ultrasonografią trójwymiarową, techniką dopplerowską, dyfuzyjnym rezonansem magnetycznym, biochemicznymi metodami diagnostycznymi i EEG więc leczył człowieka z jego problemami emocjonalnymi, psychicznymi, społecznymi, rodzinnymi i oczywiście medycznymi. Jako lekarz był postrzegany podobnie jak dzisiaj widzą nas nasi pacjenci a jego wiedzę uważali za jak najbardziej nowoczesną. Hipokrates nie mógł być skuteczniejszym lekarzem w znaczeniu ściśle medycznym od nam współczesnych, ale pod względem zasad etycznego postępowania mógł nas nawet wyprzedzać! Żył w czasach gdy Protagoras z Abdery wyrażał sceptycyzm co do możliwości formułowania bezwzględnie prawdziwych sądów o rzeczywistości i słuszności moralnej. Od tamtych czasów nic się nie zmieniło, etyka nadal nie ma zdolności ścisłego definiowania dobra i zła, jej istotą nadal pozostaje ciągła dyskusja, ścieranie się różnych poglądów na temat tego samego, a „*jedynie słuszna droga postępowania*” kojarzy nam się nadal źle. „Etyka lekarska” prof. Tadeusza Brzezińskiego jest taką dyskusją. Już we wstępie jest przedstawione stanowisko „*określonych środowisk*” jakoby lekarze nie byli w stanie odpowiednio przygotowywać studentów z zakresu zagadnień etycznych w przeciwieństwie jak

rozumiem do profesjonalnych etyków. A przecież całą istotą etyki jest uwzględnianie poglądów innych więc skąd ta chęć wyłączności? Książka ta stanowi doskonałą podstawę do dyskusji o etyce lekarskiej. Jeszcze dodam bo nie mogę się opanować. To lekarze mają za sobą nieprzespane noce gdy dręczy ich jakiś problem dotyczący pacjenta lub co gorsza sumienie. Etycy śpią, problem teoretyczny poczeka do jutra. To lekarze ze zdumieniem zaczynają rozumieć, że coś zrozumieli po 20 latach praktyki. Etycy uważają, że wiedzą lepiej, teoretycznie tak.

Autor będący również lekarzem ale i historykiem medycyny w rozdziale drugim pisze o początkach etyki lekarskiej w Polsce. Pierwszym lekarzem, który poruszał zagadnienia etyczne był w naszym kraju Sebastian Petrycy (1554-1626), który cyt. *„Odrzucał możliwość uprawiania zawodu tylko dla pieniędzy lub sławy... z drugiej strony i społeczeństwu stawiał wymagania poszanowania lekarza i traktowania go godnie.”* Ta prawda nie zmienia swojego znaczenia do dzisiaj a my możemy być dumni, że etyka lekarska w Polsce liczy sobie już 500 lat. Można to nazwać już tradycją. Te tradycję podtrzymuje i rozwija ta książka.

Bardzo interesujący jest rozdział 10 *„Etyka badań naukowych”*. Omawia w nim autor definicję i pozycję „uczonego” o wybitnym zasobie wiedzy i pasji badawczej i „naukowca” - człowieka, który profesjonalnie uprawia naukę. Z latami również naukowiec stanie się uczonym, co zapewne w pierwszym rzędzie ma miejsce w odniesieniu do młodych kolegów będących na studiach doktoranckich. Są

naprawdę w tyle zaszczytnej co trudnej sytuacji. Omawia też *autor* „wizję uczonego jako Fausta, dokonującego cudów, aby zatrzymać czas biologiczny, ustępuje niekiedy wizji uczonego jako Frankensteina.” W każdym z nas jest coś z dr Jackyl i Mr Hyde, to też jest istotą etyki lekarskiej, ciągły wybór między dobrem i złem.

Jakie są osiągnięcia etyki teoretycznej i stosowanej przez tysiąclecia? Czy są jakiegokolwiek? Wg Vrenona J. Bourke „*od czasów pierwszych filozofów greckich etyka zawsze była metodyczną refleksją nad dobrem i złem tych ludzkich działań, za które człowiek jest w jakimś stopniu odpowiedzialny*”. Rozwój etyki nie rozwiązał wielu problemów gnębiących ludzkość. Kultura wielu narodów liczy najmniej 5 tysięcy lat i nadal jedynym sposobem rozwiązywania konfliktów między nimi pozostaje wojna w swojej najbardziej okrutnej formie nie oszczędzającej dzieci, ich matek, ojców i wszystkiego co kochają. Czyżby etyka ogólna była tylko nauką teoretyczną niemal w całości? A jak jest z etyką lekarską? Otóż temu między innymi służy ta książka. Służy też temu abyśmy czytając ją uświadamiali sobie na ile jesteśmy etyczni? Etyka ogólna oderwana od medycyny jest dla nauką teoretyczną. „Etyka lekarska” prof. T. Brzezińskiego jest natomiast etyką praktyczną zarówno dla lekarza, studenta i pacjenta. Lekarz znajdzie w tej książce swoje obowiązki, pacjent swoje prawa a student to co go aktualnie interesuje.

Ta książka w sposób wyraźny świadczy o tym, iż jako stan lekarski podnosimy ciężar cywilizacyjny naszego zawodu a tak naprawdę sztuki leczenia. Dlaczego medycynie polskiej tak bardzo

potrzebna jest ta książka? Jest potrzebna ponieważ w chwili nieszczęścia jakim jest zagrożenie życia lub zdrowia pacjenta lub kogoś najbliższego przestajemy być zwykłymi ludźmi. Stajemy się dla pacjentów niepodważalnymi autorytetami co widać w ich oczach pełnych nadziei i niepodważalnego zaufania.

Cuda, cuda, cuda

W jednym z oddziałów położniczych natknąłem się na tablicę w rodzaju zabrania się pacjentkom wychodzenia poza oddział, zabrania się opuszczania sali w godzinach od siódmej do piętnastej, zabrania się odwiedzin przed godziną piętnastą i po godzinie dziewiętnastej. Tablica miała z dwadzieścia lat, kiedyś była biała, teraz szaro brudna, napisy złowrogie czerwone i na dodatek z jakimiś zbędnymi ozdobnikami w postaci trójkątów jak znaki ostrzegawcze, które niczego nie umilały a wręcz przeciwnie. Sam oddział położniczy przypominał jakiś lazaret wojskowy z zamierzchłej przeszłości. Okropne. Pacjentek jednaście w jednej sali a w niej jedna umywalka. Gdzieś pośrodku oceanu zimna i obojętności musi być łazienka dla wszystkich, bo ta *najbliższa „tylko dla personelu”*. Żadnego krzeselka dla ojca, żadnego fotela do kangurowania. Tylko zimna przestrzeń, jawna dyskryminacja cudu narodzin, wszystko by zabić czar Matki, Dziecka i Ojca. Gdzie są rycerze walczący o szczęście swoich dzieci i swoich Dam Serca, czyżby leżeli na oddziałach kardiologii, chirurgii czy ortopedii świetnie wyposażonych i wyremontowanych? Cud się

jednak zdarzył, dzisiaj ten oddział wygląda zupełnie inaczej, naprawdę pięknie. Nawet nie będę opisywał bo nie wiem czy mi się uda jest tak pięknie.

Nie poznasz mnie na ulicy

Jak wyjdzie ze szpitala, zrobi oko, napuszy włosy lub uczesze je w kok, założy małą czarną z rozcięciem, szpileczki, luźny sweterek bawełniany, oko Ci Doktorze zbieleje na jej widok i nie zorientujesz się, że masz przed sobą wczorajszą położnicę, zmartwioną z zespołem baby blues w całej postawie, w szpitalnej koszuli, chodzącą niezdarnie z powodu bólu krocza i piersi. I wyobraź sobie wówczas, że należy jej się taka sama atencja jak po wypisaniu ze szpitala, gdy wychodzi na spacer z dzieckiem, zrobi oko napuszy włosy lub uczesze je w kok, założy małą czarną...

NBA Neonatologiczna Brygada Antyterrorystyczna

W 2004 roku w Hotelu SAS Radisson odbyły się Szczecińskie Spotkania Neonatologiczne. Uczestnikami sympozjum byli specjalista krajowy ds. neonatologii prof. Ewa Helwich, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego prof. Jerzy Szczapa oraz prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Ryszard Lauterbach, rektor AM w Poznaniu prof. Grzegorz Bręborowicz, nasz szczeciński przyjaciel Prof. Mieczysław Walczak oraz neonatolodzy z regionu zachodniopomorskiego i całego kraju.

W części rozrywkowej odbył się bal przebierańców oraz koncert

„Sklepu z Ptasimi Piórami”. Dwie koleżanki dr E. Budny i K. Łazaronek przebrały się z wszelkimi szykanami za siły specjalne. Miały na sobie pełne umundurowanie z kominiarkami i uzbrojone, każda trzymała w ręku Kałasznikowa. Wyglądały groźnie. W drodze na XI piętro do windy wsiadło czterech Arabów, gości hotelowych zupełnie nie przygotowanych na takie spotkanie a było to w jakiś niedługi czas po ataku Al-Kaidy na dwie wieże WTC w Nowym Yorku. Na szczęście zachowali spokój.

Jutro

Natrafiłem na pytanie zadane, jakie zadał M. Stroud. *„Jeśli wiedzielibyśmy, że życie ma skończyć się jutro, czy nadal marnowalibyśmy dzisiejszy dzień...?”* na kłótnie, upieraniu się wiedząc, że nie mamy racji, szukaniu rewanzu, który i tak nas nie zadowoli itp.? Jak wykorzystalibyśmy ostatnie godziny jakie nam zostały? Ile i jakie rzeczy robimy, na które szkoda czasu, które w tej perspektywie są bezcelowe i nie mają już znaczenia. Jeśli życie miałoby się skończyć jutro to dzisiaj należałoby powiedzieć, *„Przepraszam”* i *„Kocham Cię”*.

Pan Sznurwadło

Dziecko demonstrowało wyraźne cechy ciężkiego upośledzenia umysłowego. W badaniach mózgu za pomocą rezonansu magnetycznego widoczne były duże zaniki tkanki mózgowej. Perspektywy na jakikolwiek rozwój intelektualny w zasadzie żadne.

Ojciec dziecka zapytał mnie czy można poświęcić życie komuś, kto umie tylko zawiązać sznurowadła?

Osoba publiczna

Dziecko urodziło się z wyraźnymi cechami choroby trisomii 21, choroby opisanej przez lekarza Johna Langdona Downa, w 1866 roku. W 1959 roku Jérôme Lejeune odkrył, że u podstaw zespołu wad wrodzonych leży trisomia 21. chromosomu.. Matka nie chciała uwierzyć w rozpoznanie. Szukała potwierdzenia lub wykluczenia u różnych specjalistów. Przeprowadziliśmy badania chromosomalne, które potwierdziły rozpoznanie kliniczne. W obliczu tej sytuacji rodzice zostawili dziecko w szpitalu uzasadniając je *„Pan chyba rozumie. Ja jestem osobą publiczną i nie mogę wziąć takiego dziecka do domu”*.

Może dla Pana Sznurowało i Osoby publicznej pomocne byłoby powiedzenie Petera Lipperta *„Życia nie można wybrać, ale można z niego coś zrobić”*. A można w takiej sytuacji.

Drogi porodu

Pacjentka przebywająca na oddziale ciążowym została zakwalifikowana do cięcia cesarskiego. Przygotowania do zabiegu trwały kilkanaście minut. Wreszcie zabieg się zaczął. Otwarto jamę brzuszną, macicę i okazało się, że dziecka nie ma w środku. Nastąpiła konsternacja. Gdzie jest dziecko? Wreszcie jeden z kolegów krzyknął

„*Niech ktoś zajrzy pod serwetę*”. Jego podejrzenia były słuszne. W trakcie operacji dziecko urodziło się drogami natury. Nie mam pojęcia co wpisali do dokumentacji jeżeli chodzi o sposób porodu. Cięcie cesarskie czy poród drogami natury?

Innym znowu razem pacjentka przebywająca na oddziale patologii ciąży urodziła dziecko pod kołdrą i nikt tego nie zauważył. Jeszcze inna Pani urodziła na korytarzu w drodze do toalety. Jak widać z powyższych zdarzeń natura ciągle potrafi przechytrzyć i zaskoczyć nawet najznamienitszych specjalistów w tym wypadku położnictwa i ginekologii i nie tylko ich.

Zespół nagłej śmierci łóżeczkowej

Jak powiedzieć matce, że jej zdrowe, donoszone dziecko nie żyje, podczas gdy ona czeka na to kiedy podadzą je do piersi? To była sytuacja okropna. W zwykły letni dzień przyszedłem do pracy. Poranne wiadomości zawsze mają w sobie coś nieoczekiwanego, zawsze jest jakaś doza niepewności, że coś złego mogło się przydarzyć, ale to co usłyszałem tego ranka było jednym z najgorszych. Zdrowe, donoszone dziecko, po porodzie fizjologicznym, karmione piersią zmarło w łóżeczku. Nagle! Pielęgniarka chciała je przewinąć i zobaczyła, że jest martwe. Wszystko wyglądało na nagłą śmierć łóżeczkową. SIDS „*sudden infant death syndrome*” dotyczy donoszonych, zdrowych dzieci, które umierają zwykle w nocy, podczas snu, bez żadnych objawów

przepowiadających w pełni zdrowia. Musiałem pójść do matki dziecka i powiedzieć jej, że nie żyje i nie wiemy dlaczego? Nie wiemy jak to się stało? To był jeden z najgorszych dni w moim zawodowym życiu. Musiałem być zwiastunem najgorszej wiadomości niczym mitologiczny śnieżnobiały kruk. Ten kruk, Lykios był niegdyś młodzieńcem, który wraz z całą rodziną stracił życie służąc Apollinowi. Po śmierci został przywrócony do życia w postaci ptaka i przynosił bogu wieści ze świata. Kiedy Koronis (*gr. wrona*), córka Flegiasa, ostatnia kochanka boga słońca zdradziła go ze śmiertelnikiem Alkioneusem, kruk zdradził to Apollinowi, ten zabiwszy niewierną kochankę przeklął kruka i odtąd roznosi on tylko złe wieści. Złe wieści istnieją czy tego chcemy, czy nie.

Brygada specjalna

Na izbie przyjęć zaczął dziwnie i nieco agresywnie zachowywać się mężczyzna. Ochrona przy pomocy skuła go w kajdanki. Po bliższym rozeznaniu sytuacji okazało się, że człowiek jest chory na padaczkę i miał właśnie atak. Przeżywał silnie narodziny swojego dziecka i przekroczył próg wrażliwości mózgu na wyładowania patologiczne.

Innym razem odwiedzający wykazywał oznaki słabości podobne do upojenia alkoholowego. O mało nie wyprowadzono go z tego powodu z budynku szpitala. Ktoś przytomny zainteresował się nim nieco skrupulatniej i wówczas okazało się że jest chory na cukrzycę. Całe szczęście, bo mógłby wyzionąć ducha pod okiem personelu medycznego.

Poród „fizjologiczny”

Mówi się i nie bez racji, że w wielu przypadkach cięcia cesarskie są wykonywane niepotrzebnie, że poród mógł odbyć się siłami natury. W wielu ośrodkach położniczych odsetek cięć cesarskich stanowi ponad pięćdziesiąt procent porodów. W klinikach prywatnych dochodzi do dziewięćdziesięciu procent. Jest prawie niemożliwe, żeby ponad połowa matek nie była w stanie urodzić siłami natury. Nie jest możliwe, żeby natura była tak niedoskonała. Oczywiście liczba zgonów wewnątrzmacicznych jest minimalna, ale dzieje się tak między innymi z powodu tak dużej liczby porodów operacyjnych. Wielkie nadzieje pokładano w badaniu kardiotokograficznym polegającym na zapisie czynności serca płodu i skurczów macicy. Badanie to jednak przyniosło głównie zwiększenie odsetka cięć cesarskich z powodu większej wykrywalności prawdziwych oraz rzekomych zagrożeń życia płodu. Ten szaleńczy niemal wzrost liczby cięć cesarskich może być powstrzymany przez nowe metody diagnostyczne jak ta polegająca na badaniu kardiotokograficznym w połączeniu z zapisem elektrokardiograficznym serca płodu. Jeżeli płód jest niedotleniony w zapisie elektrycznej funkcji jego serca pojawiają się zmiany typowe dla zawału mięśnia sercowego pod postacią uniesienia zapisu w odcinku końcowym. To badanie pozwala na odejście od zamiaru wykonania operacji wydobycia płodu, jeżeli zapis elektrokardiograficzny jest prawidłowy. Do tego można jeszcze dodać badanie krwi pobranej ze skóry głowy (*skalpu*) płodu w celu oceny równowagi kwasowo zasadowej. Wszystkie te badania w połączeniu z

doświadczeniem położniczym lekarza wydają się tworzyć duży margines bezpieczeństwa i pewnej przewidywalności przebiegu wypadków. Jak jednak wiemy zjawiska biologiczne są często nieprzewidywalne. Tak było z ciężarną, która przybyła na salę porodową w terminie porodu i miała urodzić fizjologicznie, siłami natury. Na początku wszystko układało się prawidłowo. Kiedy nasiliły się skurcze, brzuch nagle uwypuklił się z prawej strony zupełnie niesymetrycznie i pojawiły się dramatyczne zaburzenia tętna płodu. Zdarzenia zaczęły się toczyć szybko. Zwołano zespół operacyjny. W ciągu minut, może trzech a może pięciu rozpoczęto operację i bardzo szybko wydobyto dziecko prawie martwe. Resuscytacja udała się i dziecko przeżyło. Okazało się, że w trakcie skurczu mięsień macicy pękł i dziecko „urodziło się” do jamy brzusznej. Od śmierci dzieliło je kilka minut. Gdyby nie cięcie cesarskie wykonane w wyczynowym tempie nie przeżyłoby dziecko, ani matka.

Ten wysoki odsetek cięć cesarskich jest obecnie krytykowany. Jednak większość procesów prawnych wobec położników toczy się z powodu niewykonania cięcia cesarskiego lub nawet, że wykonano je zbyt późno. Nie znam przypadku oskarżenia z tytułu wykonania tej operacji. Zatem trudno będzie pogodzić dążenia do naturalnego porodu z obawą o odpowiedzialność prawną z tytułu niewykonania operacji.

Bobby MacFerlin

Sławny muzyk jazzowy znany również ze światowego hitu „*Don't worry be happy*” przyjechał do Szczecina. Nie wiem, kto nas

akurat wybrał, ale mieliśmy z nim grać. Ma taki zwyczaj, że gra z miejscowymi muzykami. Z początku nie doceniłem tego faktu. Ale uświadomili mi to znajomi, oraz plakaty w całym mieście. Najważniejszy koncert roku. Boby MacFerin i jego goście, w tym „Sklep z Ptasimi Piórami”! Taki koncert jest jednoznaczny z tym, że będzie ponad tysiąc widzów na dziedzińcu zamkowym. Wielu z nich zobaczy „Sklep...” po raz pierwszy, a wielu upewni się, że zespół jeszcze żyje. Poza tym lipiec, lato, zamek książąt Pomorskich. Czy można sobie wyobrazić lepsze warunki do koncertu? Nie, a jednak stało się. Powietrze było wilgotne i gorące. Nadciągały chmury. Wojtek Bartz nasz przyjaciel i dawny członek zespołu zakomunikował, że satelitarne prognozy pogody zapowiadają burze dokładnie z chwilą rozpoczęcia koncertu. Dziedziniec zamku jest nie zadaszony więc pozostają parasole i krużganki wokół dziedzińca. Akustycy obsługujący imprezę zaczęli zabezpieczać co się dało plastikowymi workami. Jednak nigdy nie ma gwarancji, że nie nastąpi jakaś katastrofa. Zaczęło padać, ale nie rozpętała się burza. My zaczęliśmy koncert. Boby zdecydował, że zagramy trzy utwory a czwarty razem. Ma ujmującą osobowość pogodnego Jamajczyka. Dredy raz rozpuszczone, to znowu spięte, jeansy, podkoszulka granatowa, zielony sweter, sandały. Ma szczupłe dłonie, przyjazny uśmiech i jest gwiazdą. Onieśmieleni nie byliśmy w stanie nic zaproponować czekając na jego życzenia. Dodatkowo w zespole panowała od jakiegoś czasu nieco ciężka atmosfera. Chodziło o to, żeby grać równo ale, żeby się bujało, żeby nie wychylać ale, żeby była

ekspresja, co jest trudne do pogodzenia. Rysio na tej zasadzie sam wyeliminował swój najlepszy kawałek do słów Basi Stenki „*Jej sweter*” w świetnej latynoskiej konwencji. Ciągnął do „*krainy łagodności*” do „*poezji śpiewanej*”. Na tej zasadzie ja już dawno zapomniałem co to jest dać coś z siebie ekspresyjnego a jedyną rzeczą o jakiej myślałem, to żeby grać nie za głośno, śpiewać tak, żeby nie było mnie słyszeć i nie grać solówek i najlepiej nie być co się zresztą wkrótce stało. Z tymi solówkami to rzeczywiście trudna sprawa. Rwę się do nich a jednocześnie często bywam po prostu nie przygotowany. Zresztą jest to jedna z wielu rzeczy, na które nie mam wystarczająco czasu. Bardzo zazdroszczę Robercikowi Jarzębskiemu, że potrafi się ograniczyć, skupić na jednej rzeczy, graniu. Ja mam w tym zakresie „*większe*” wymagania od życia. Chciałbym wszystko, chciałbym w niemal w każdej dziedzinie być dobrym, a to się nie da. Trudno, taki mam charakter i ponoszę tego konsekwencje, dola idola. W każdym razie nie było takiej możliwości abym śmiało zaproponować Bobiemu cokolwiek z wyjątkiem dyspozycji swojej osoby i to się zemściło. Zagraliśmy świetnie, ale sami. W czwartym numerze sytuację uratowali Jarzębina i Groszek dając popis dialogu gitary, bębna i głosu Bobiego. Oni to zrobili, my nie. Paraliż inwencji. To przechyliło szalę mojego myślenia o zespole. W konsekwencji będę bardziej aktywny aż do tego stopnia, żeby przygotować własny kawałek koncertu. To będzie samodzielne i zrobione z pomocą współczesnej elektroniki, loopów, sampli, komputera, karty muzycznej i programu muzycznego z użyciem głosu, jako instrumentu. Stało się tak ponieważ poprawność

muzyczna nie może przeważać nad swobodą i ekspresją twórczą. Ale wracając do koncertu z Bobym, efekt był taki, że publiczność była zachwycona, recenzje fatalne. Ewa Podgajny napisała nawet, że nie byliśmy dla gwiazdy partnerami, że jedyne co mu pozostało to wysłuchać nas. Masakra, po trzydziestu bez mała latach na scenie nie umiemy nawiązać „rozmowy muzycznej” na scenie z innym muzykiem, Nie mamy umiejętności konwersacji, nie znamy języka uniwersalnego muzyki. Nawet jeżeli recenzja była tendencyjna, niekompetentna, złośliwa to zawiera ziarno prawdy. I ja muszę z tym coś zrobić.

Jacek Kaczmarski

W latach osiemdziesiątych spotkałem go w „Kontrastach”. Byłem pod wielkim wrażeniem jego przedstawień w formie piosenek do obrazów., czy tego jak śpiewał „Mury” Lluisa Llacha. On te swoje „Mury” chrypiał i szorstko grał na gitarze, podobnie jak V. Wysocki, którą na dodatek trzymał w odwrotnej pozycji. Wszystko to robiło wielkie wrażenie, ale też było smutne, nawet trochę przytłaczające. Dotykał ważnych jeżeli nie najważniejszych spraw historii Polski i Polaków w obu przypadkach tej strony tragicznej. Po koncercie zapytałem Go dlaczego pisze o królach i wielkich wydarzeniach? „*Bo to jest ważne*”, odpowiedział. Pytałem go o to ponieważ w przeważającej większości zajęty byłem sobą, problemami osobistymi. Mój horyzont społeczny i historyczny był mocno zawężony. Co prawda stryj Witold, który służył w armii Andersa nieco mnie oświecił ale w tym czasie ta wiedza tkwiła w spokojnych i cichych

regionach mojej świadomości. W tym klubie, w którym rozmawiałem z Jackiem Kaczmarem kupiłem pierwsze książki historyczne z drugiego obiegu, a było to kiedy miałem dwadzieścia pięć lat! Pierwsza była o Katyniu. Miałem w pamięci pewne uwagi na ten temat stryja Witolda i wykład jakiegoś pułkownika w stopniu naukowym profesora z Akademii Sztabu Generalnego z Warszawy. Na ten wykład przyprowadzono setki żołnierzy służby zasadniczej i zawodowej. Ten „*naukowiec*” zaś tłumaczył nam jak to Niemcy wymordowali strzałem w tył głowy prawie dwadzieścia tysięcy polskich oficerów. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć jaką trzeba być osobą, żeby tak kłamać będąc zawodowym historykiem. Ale tak robił i na dodatek nieudolnie, nie wiem czy ktoś mu wierzył, może? I teraz wiem, że to co mówił Jacek Kaczmarek było prawdą, bo osoba wykładowcy, świadomego kłamcy pozostała najzwyczajniej nikim w historii, którą teraz znam. Z kolei są osoby, które w historii odgrywają ogromną rolę. Zatem może wyjściem byłaby forma poematu epickiego?

Krzysztof Dębski

Grał w zespole „*String Connection*”, jazzowym bandzie. Wymiatali pięknie, profesjonalnie i bardzo energicznie i z finezją. Nie wiem dlaczego zatem nic nie pamiętam z ich twórczości. Nie wiem dlaczego nie zyskali sławy międzynarodowej. Nasze tradycje jazzowe za sprawą Krzysztofa Komedy, Michała Urbaniaka i wielu innych mogły stanowić podstawę takiego sukcesu. Krzysztof bez wątpienia jest gwiazdą. Jego zdolności muzyczne pozwalają mu komponować

muzykę poważną, jak również przeboje dla koneserów jazzu jaki Opola czy Sopotu. Jest duszą każdego towarzystwa, opowiada ze swadą i barwnie. Dzięki niemu zaistniałem jako autor słów do jego muzyki w filmie Juliusza Machulskiego „V.I.P.”. Jest sławny, bogaty, zdobył w muzyce wszystko i jeszcze wiele zapewne zdobędzie. *Od roku 1988 poświęca się pracy kompozytora i aranżera. Jego twórczość jest bardzo indywidualnym melanżem wpływów, tendencji i postaw występujących w szeroko pojętej muzyce współczesnej. W ostatnich latach skomponował ponad pięćdziesiąt utworów symfonicznych i kameralnych m.in.: operę, 4 oratoria, utwory religijne, 11 koncertów instrumentalnych. Jest laureatem wielu konkursów kompozytorskich, m.in.: konkursu z okazji 25-lecia Festiwalu „Poznańska Wiosna Muzyczna”, nagrody Kanadyjskiej Akademii Filmowej „Genie Award ‘88”, nagrody premiera za Twórczość dla Dzieci. W 2010 został uhonorowany Orderem Ecce Homo, polskim odznaczeniem kościelnym nadanym przez Kapitułę Orderu Ecce Homo za opisywanie życia muzyką, muzyczny retusz na obrazie kraju i świata, piękne kształtowanie codziennej rzeczywistości przez dobroć, ład i harmonię. Kompozytor, m.in. muzyki współczesnej i muzyki filmowej, skrzypek jazzowy i dyrygent. Lider zespołu jazzowego* *String* *Connection.*
(http://pl.wikipedia.org/wiki/Krzesimir_D)

Ma taką przypadłość albo afekt że jak widzi Stinga albo słyszy jego muzykę zaczyna się strasznie denerwować i okropnie krytykuje to co słyszy. No jakąś słabość musi mieć.

W Spale po 25 latach

Było to w Spale, w Ośrodku Olimpijskim. Dotarłem tam z Rzeszowa gdzie odbywał się ogólnopolski zjazd pediatrów. Kiedy przyjechałem trwał jeszcze pokaz przeźroczy z czasów WAM-owskich. Byłem na tych przeźroczach ponieważ zwykle przygotowywałem z Czarneckim, Osmanem i innymi przedstawienie artystyczne na koniec obozu. Miało ono miejsce zawsze 22 lipca w święto socjalistycznego PRL-u, dzień ogłoszenia Manifestu Lipcowego, który mówił, że wszyscy są *egalite*. W praktyce wyszło, że wszyscy są równi, niektórzy równiejsi, a wszystko jest równo szare. Ubrany byłem jak to zwykle robi się na sympozjum, dość oficjalnie. W moim przypadku to jeansy, czarna marynarka, niebieska koszula i muszka, we wzory, kolorowa, ręcznie wiązana. To ważne, żeby była ręcznie wiązana, ponieważ inaczej przypominałaby „*śledzia na gumkę*”, czyli krawat zawiązany fabrycznie. Makabra taki krawat. Czy wygląd ma znaczenie? Jakiegokolwiek? Z drugiej strony „*brak wyglądu zewnętrznego*” jak mawiał kpt. Maluchnik dowódca naszej kompanii w WAM jest czymś smutnym, pozbawionym stylu, bezgranicznie beznadziejnym. Gorsza jest od tego tylko głupota. A wyroki losu? One przyjdą bez wątpienia bez względu na to czy jesteśmy dobrze ubrani, czy nie. Więc dlaczego nie mielibyśmy dbać o nasz wygląd? Poza tym odrobina elegancji i próżności nikomu nic złego nie zrobi. W kilka lat później pojawiłem się na podobnym zjeździe koleżeńskim, a było to w Ciechocinku pojawiłem się w błękitnym komplecie lewisów, ale prawdziwy podziw wzbudziły

długie włosy, do połowy pleców. To było urzeczywistnienie marzeń kiedy byliśmy studentami WAM. Wielu kolegów nie poznawałem. Dopiero kiedy zaczęli mówić poznawałem ich po głosie, głos się nie zmienia. Mieszkałem w jeden pokój ze Stasiem Różalskim, podobnie jak w czasie studiów. Czas cofnął się niemal o trzydzieści lat.

CCFM - Color Cerebral Function Monitor

To urządzenie do monitorowania funkcji mózgu noworodków. Powstało dzięki mojej współpracy ze Zbyszkiem Niedbalskim, Pawłem Niedbalskim, Markiem Niedbalskim i Pawłem Ogniewskim z Firmy ELMIKO w Milanówku. Idee monitorowania EEG i tworzenia wielogodzinnych trendów już miały swoje realizacje. My zachowaliśmy się jak Japończycy i wzbogaciliśmy dotychczasowe osiągnięcia dodając do nich funkcję zapisu tętna i wysycenia krwi tlenem i funkcję koloru w zależności od charakteru zapisu. W konsekwencji urządzenie umożliwia wielogodzinny zapis czynności mózgu z uwzględnieniem czynności oddechu i serca. Wprowadziliśmy algorytmy oceniające w szczególności zapis eeg w tym transformację Fouriera umożliwiającą porównanie napięcia poszczególnych fal do ich częstotliwości, a także kamerę video rejestrującą zachowanie się dziecka co pozwala korelować to z zapisem eeg i pozostałymi. Urządzenie pracuje już w sześciu klinikach neonatologicznych w Polsce. Jestem z tego urządzenia bardzo dumny.

Karmienie

Oczywiście chodzi o karmienie piersią. Wydawałoby się takie oczywiste, że karmienie mlekiem matki jest w naturalny sposób najlepsze. Ale w historii ludzkości nie było to takie oczywiste. Za czasów Mozarta karmiono dzieci wodą z gotowanych zbóż. W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia mieszanki w proszku z mleka krowiego uważane były za lepsze od mleka matki, bo dzieci szybciej przybierały na masie ciała. Firma Scientific Milk Adaptation (SMA) wysłała duży transport krowiego mleka w proszku dzieciom w Afryce. Dzieci oczywiście były najedzone ale w krótkim czasie zaczęły umierać z powodu zakażeń bowiem mleko w proszku nie zapewniało im ochrony przed zakażeniami jak ma to miejsce w przypadku karmienia mlekiem matki. Mijają lata a nie przestaje nas zdumiewać jak niewiarygodnie genialną jest kompozycja mleka kobiecego. Oczywiście jeżeli chodzi o Mozarta możemy mniemać, że to niekoniecznie prawda. Z takim geniuszem, jakim był Mozart trzeba się urodzić i żadne mleko krowie na świecie tego talentu mu nie odbierze. Z tym mlekiem matki jest jeszcze taka historia ciekawa jak poszukiwanie pokarmu od matek dla ciężko chorych osób w podeszłym wieku, które nie mogą spożywać nic innego z wyjątkiem mleka kobiecego.

Gdyby ktokolwiek posiadał umiejętność produkcji mleka kobiecego byłby już Noblistą miałby siedem sekretarek, „collosalne” konto w banku.

Habilitacja

Pisanie habilitacji to było niezapomniane przeżycie w każdą stronę. Huśtawka uczuć, diabelski młyn w wesołym miasteczku. Kładłem się spać z wyrzutami sumienia, że za mało zrobiłem i budziłem się z wyrzutami sumienia, że śpię a powinienem pracować. Podtrzymywałem się na duchu i na ciele różnymi sposobami. Czerwone wino, posiłek w środku nocy, desperacka chwila snu, z której okropnie trudno było powrócić do rzeczywistości. Pamiętam moment przełomowy który miał miejsce w Dominikowie w wiejskim drewnianym domku z tarasem. A było to tak. Pogoda jak to w Polsce w kratkę, raz słońce a raz chmury. Wszystkie materiały i komputer stały w domku letniskowym. Jak były chmury na niebie to siedziałem przy komputerze i redagowałem tekst jak pojawiło się słońce natychmiast usadawiałem się na tarasie, opalałem się i myślałem jak zinterpretować dane, fakty i pokonać takie czy inne trudności. Któregoś dnia poczułem że udało mi się przekroczyć ostatni punkt krytyczny i nadzieja na zakończenie pracy jest realna, chociaż daleka do tego była jeszcze droga. Mojemu mentorowi przynosiłem do oceny kolejne rozdziały, ale końca męki twórczej nie było widać. Sądziłem, że to co napisałem jest już dobre, a za każdym razem okazywało się, że jeszcze nie. Zły byłem na tę sytuację ale musiałem przyznać mojemu mentorowi prof. R.Cz.. rację. Dzięki tej skrupulatnej pracy całość była precyzyjna i logiczna. Tak trwało miesiącami. Wiedziałem, że przyjdzie taki dzień, w którym dobrnę do końca. Ale

każdy kolejny nie był jeszcze tym dniem. Nie traciłem nadziei i w myśl Augustyna z Hippony „*Dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą*”, walczyłem. W końcu po poprawkach redakcyjnych i wydawniczych praca została wydrukowana. Obroniłem ją na Radzie Wydziału całość dokumentów wysłałem do Warszawy. W pół roku później siedziałem na posiedzeniu Komisji Bioetycznej gdy na horyzoncie pojawił się JM Rektor z okularami na końcu nosa, na samym końcu nosa. Przeszedł się tam i z powrotem po czym wszedł na posiedzenie przepaszając, że przerywa ale z wiadomością do docenta Rudnickiego i gratulacjami. Yahoo!!!

Janusz Korczak

Powiedział kiedyś „*Nie wolno zostawiać świata, jakim jest*”. Czasy były w Europie za jego życia złe. W zasadzie z każdego konta kontynentu wiało nacjonalizmem a z niektórych jego części skrajną jego postacią jak faszyzm czy stalinizm. Wspólna ojczyzna jaką dzisiaj jest Europa stała na krawędzi katastrofy, która wkrótce się dokonała. Jej efektem było dwadzieścia milionów ofiar oraz zbrodnie masowe, z którymi nie można się pogodzić. Są dziełem człowieka. Korczak przeciwstawił się temu i ostatecznym czynem potwierdził swoją godność i miłość do dzieci. Znany jako pedagog i twórca systemu pedagogicznego był z zawodu lekarzem. Miał ogromne osiągnięcia w dziedzinie edukacji zdrowia, rozwoju dzieci. W wieku 14 lat, kiedy nie przyjęto mu nowelki do druku powiedział: cyt. *”I tak nie będę literatem, tylko lekarzem. Literatura to słowa, medycyna to czyny”* Został pisarzem, pedagogiem, w dopiero jak sądzę w trzeciej

kolejności lekarzem a także królem dzieci, herosem i legendą dla wszystkich walczących o lepszy świat. Walczył chociaż wojny nie lubił. „*Wojna jeśli już... ją sądzić - jest wojną kolonialną, o jarmarczne budy dla łódzkich i moskiewskich perkali*” pisał o wojnie rosyjsko-japońskiej. Po ukończeniu studiów lekarskich jeździł za granicę po „*światło i wiedzę*”, Pisał „*siłę chcenia, ból niewiedzy, rozkosz poszukiwań dał mi Paryż. Technikę uproszczeń, wynalazczość szczegółów wyniosłem z Berlina*”. W Warszawie stał się modny z racji swojej działalności pisarskiej „*za dzienne konsultacje u bogatych, na bogatych ulicach kazałem sobie płacić po trzy i pięć rubli. Bezczelność, tyle ile Anders, więcej od Kramsztyka, Bączkiewicza - profesorskie honorarium*”. Irytowały go wizyty u zdrowych dzieci w bogatych domach. Pytany o to co teraz pisze odpowiadał - *recepty tylko!* Od dzieci chorych fizycznie odciągnął go problem dzieci zdrowych ale pozbawionych opieki. Wówczas rzucił szpital na rzecz sierocińca. Za jego postawę i działalność Betty Jean Lifton nazwała go „*Królem dzieci*”. „*Korczak był gorąco współczującym lekarzem, niezwykle uzdolnionym pedagogiem, wspaniałym pisarzem. Każdy z wymienionych zawodów jest z osobna posłannictwem*” pisał prof. J. Bogusz. Zainteresowania medyczne Korczaka dotyczyły moczenie nocnego, rozwoju psychicznego i somatycznego, karmienia piersią. Był aktywny w prowadzeniu edukacji zdrowotnej tak modnej dzisiaj. Prowadził audycje radiowe „*Stary Doktor*”. Korczak mówił o potrzebie utworzenia Deklaracji Praw Dziecka na długo przedtem zanim powstał taki dokument. A powstał on dopiero na mocy

Konwencji Genewskiej 1948 i Deklaracji Praw Dziecka ONZ w roku 1959. Kiedy przechodził ostatni most w drodze ku zagładzie, a może nieśmiertelności, jest takie zdjęcie, na którym dzieci uśmiechają się a On już nie. „*Jest taka cierpienia granica, za którą się uśmiech pogodny zaczyna*” pisał Czesław Miłosz. Co dał medycynie-pediatrici? Holistyczną pediatrię. Etyczne podejście do praw dziecka w medycynie. Trendy sekularne w pediatrii. Edukację zdrowotną w pediatrii

Legendę lekarza przyjaciela dzieci, legendę zachowania człowieczeństwa w czasach nieludzkich.

Drescher

Jego żona Zula była przemiłą kobietą, o wielkim uroku osobistym. Rozsiewała wokół siebie przyjazny spokój, chociaż jej sposób rozmowy czy snucia opowieści był pełen energii. On profesor medycyny, chirurg dziecięcy, wychowawca wielu młodych lekarzy, powstaniec warszawski. Człowiek o przyjaznym stosunku do życia i ludzi. Wakacje spędzał pod namiotem w kontakcie z przyrodą. Miał poczucie humoru i dystans do siebie. Któregoś dnia na biurku pojawiła ankieta przygotowana przez administrację uczelni dotycząca rozwoju naukowego. Przeczytał i napisał „ja się już zwijam a nie rozwijam”. Kiedy odeszli z tego świata, ktoś kupił ich dom i w sypialni od frontu po niewielkiej przebudowie zrobił kwaciarnię. Ta piękna, romantyczna historia opisana jest w piosence „*Był sobie dom*”.

Był sobie dom, wokół drzewa i klomb

Krzewy i kwiaty, alejki, rabaty. Ona i On

Duży pies, mały kot

A wszystko to otaczał płot

Był sobie dom, schody, podcień i drzwi

Malutki hall, kuchnia i stół

Na lewo sypialnia z widokiem na front

Na krzewy i kwiaty, alejki, rabaty

Rano wstawanie, ciepłe śniadanie

Spacer, po pracy sprzątanie i pranie

Praca w ogrodzie, wśród

Krzewów i kwiatów, alejek, rabatów

Nocą się kładli, w sypialni od frontu

Snuli swe plany od lata do lata

Niepostrzeżenie się postarzeli

I we wszechświecie cichutko zniknęli

Ktoś kupił dom, z sypialnią na front

Gdzie rozmawiali i snuli plany

Wkrótce zrobili z sypialni kwiaciarnię

I sprzedawali kwiaty, na rabaty

Epitafium

Mojej znajomej zmarł syn w wieku trzydziestu dwóch lat. Był realizatorem dźwięku. Jego matka poprosiła mnie o zgodę na umieszczenie na nagrobku syna cytatu z mojej piosenki o Johnie Lennonie „*Ty nie możesz do nas przyjść, ale my do Ciebie, tak*”. Byłem zaskoczony, czułem coś w rodzaju pokory i zażenowania, ale nie mogłem odmówić. Swoją drogą „*tam*” pójdziemy, już niezłe spotkanie towarzyskie można by zorganizować z Tymy, którzy tam są.

Dziadek?

W neonatologii trzeba być naprawdę ostrożnym. Zdarzyła mi się może dwa razy sytuacja kiedy do gabinetu wchodzi młoda kobieta z dzieckiem i mężczyzna wyglądający na dziadka. Zgodnie z takim przekonaniem uprzejmie poprosiłem aby mama z dzieckiem usiadła tu, a dziadka proszę o zajęcie tamtego miejsca. Gość wyostrzył rysy twarzy i mówi; „*Ja nie jestem dziadkiem, jestem ojcem*”. Staralem się być dalej bardzo uprzejmy, ale wiedziałem, że to na nic. Od czasu tych pomyłek jestem bardzo ostrożny. Ale zdarzają mi się nadal kosmiczne i to seryjne niewypały towarzyskie. Na jakimś sympozjum spotkałem tuż koło recepcji hotelowej przemiłą Panią Profesor (PP) z walizką koło nogi a obok niej równie miłą młodą lekarzkę, którą widziałem w trakcie wystąpienia na jednej z sesji. Pomyślałem sobie, że to zapewne córka PP. Z uprzejmym uśmiechem zbliżyłem się i powiedziałem „*Czy to Pani Córka? Miała doskonale wystąpienie*”, na

co PP „*Czy ja wyglądam na taką córkę?*”. Chcąc ratować sytuację dodałem „*Może pomogę przenieść walizkę do samochodu?*”, z urzekającym uśmiechem odparła „*Dam sobie radę sama*”, widząc, że sytuacja pogarsza się zapytałem „*Czy przyjedzie Pani do nas na symposium?*” odpowiedź była druzgocąca „*Nie przypominam sobie aby ktoś mnie zaprosił!*”. Dałem za wygraną, nie zaryzykowałem dalszej konwersacji w obawie przed pogarszaniem już i tak złej sytuacji. Na szczęście wszystko okazało się na tyle nieistotne, że w żadnym wypadku nie popsuło miłych do dzisiaj kontaktów. Mam nadzieję, że tak pozostanie. Są w życiu takie dni, że lepiej zamilknąć, niczego starać się nie poprawiać, schować do swojej skorupki i przetrwać.

Nauka

„*Nauka nie jest jeszcze odkryciem, ale mu sprzyja*”. Nie pamiętam kto jest autorem tego aforyzmu.

Sting

Dziadek Stinga, Joe grywał na akordeonie. Z typową dla siebie autoironią często powtarzał, że „*gentelman to osobnik, który umie grać na akordeonie - lecz nie grywa*”. Może dlatego gram na gitarze. Jest taki film dokumentalny jak Sting przygotowuje się do koncertu w Paryżu. W tym czasie rodzi jego żona. Sting jest przy porodzie i przecina pępowinę. W czasie gdy to oglądałem na naszych

porodówkach panował rytuał, podczas, którego ojciec był nieobecny. Z książki Stinga „The Broken Music. Memory Sting”. Ayahuaska: cyt. *„Poczucie bezgranicznej łączności, zawieszenia w pogodnym bezkresnym oceanie uczuć, którego doprawdy nie potrafię opisać, nie przywołując słowa miłość”...”miłością tchną...także nieożywione, otaczające...kamienie, wszystko co daje i przyjmuje, odbija i pochłania, stawia opór i ustępuje...Można ją odtrącać i jej nie zauważać, nawet ją wypaczać, a mimo to nie znika, lecz jedynie przybiera inne kształty, aż jesteśmy gotowi do uznania jej tajemnicy i potęgi... Gdyby nie pianino, w którym znalazłem ujście dla agresji, zostałbym może młodocianym przestępcą, rozbijającym przystanki autobusowe, kradnącym chłam u Woolwortha i dokonującym innych drobnych przestępstw”* mówił Sting. Miałem to samo, gdyby nie fortepian na którym grałem w chwilach zwątpienia i tęsknoty za domem może nigdy bym nie skończył Wojskowej Akademii Medycznej. To granie wyraźnie mi pomagało w opanowaniu emocji i tak jest do dzisiaj. Muzyka nie jest zatem wyłącznie kategorią estetyczną jest także kategorią psychologiczną i w moim przypadku, kiedy mam największe jak mi się wydaje kłopoty, kiedy staję na scenie i zaczynam koncert na ten czas odchodzą w niebyt. Po prostu znikają, nie ma ich.

Kraków prastary

Co takiego króluje w Krakowie? W Krakowie króluje pod

nieobecność królów „*myśl*”. Myślenie jest rzeczą piękną, pisanie praktyczną. Myśl powinna być zdefiniowana i zapisana. Papier przetrwa i pozwoli innym zweryfikować swoje myśli i wzbogacić je. W Krakowie jest myśl oparta na historycznej przeszłości. Myśl niby jest niematerialna a tworzy „*atmosferę*”. Materialna jest wówczas, gdy jest zapisana na papierze. Zatem piszę...Bardzo mi się spodobał pomysł o ziejącym smoku wawelskim, który ziejże ogniem po napisaniu SMS-a. Okazało się, że smok jest przeciążony pracą i aktualnie zionie tradycyjnie co trzy minuty. Kraków niby stary ale kompletnie współczesny, w dziedzinie medycyny utrzymuje się na niezwykle wysokim poziomie chociażby przez to że potrafi współpracować z najlepszymi ośrodkami w świecie, potrafi znaleźć wsparcie od gigantów finansowych na budowę szpitala dla dzieci, potrafi łączyć we wspólnych wysiłkach specjalistów różnych dziedzin. To w Krakowie powstał „*Przystępny kurs statystyki*” A. Stanisza w oparciu o program „*Statistica*”, który nawet takiemu „*geniuszowi matematycznemu jak ja*” pozwala wyciągać wnioski naukowe matematycznie uzasadnione. Nie będę jednak rozwodził się o tym pięknym i czarownym mieście, na pewno lepiej zrobią to inni. Tyle można o Krakowie napisać, chociażby ta historia z antykwariatem, w którym są piękne stare książki w tym o chorobach dziecięcych z odręcznymi zapiskami prof. Mieczysława J. Michałowicza i innych. Otóż dużo jest urokliwych antykwariatów w Krakowie starym, ale są też jak najbardziej współczesne, w Internecie.

Biegły

Położnicy z małego miasta mieli prawdziwego pecha. Nie mogli odesłać pacjentki w trzydziesty trzecim tygodniu ciąży do oddziału referencyjnego z powodu remontu. Zaczęła rodzić. Tuż przed porodem mieli u innej pacjentki cięcie cesarskie, do którego przyjechał ordynator. Po zabiegu pojechał do domu a lekarz dyżurny zmęczony położył się spać. Poród dalej toczył się siłami natury. Widocznie tych sił natury było według lekarza dyżurnego za mało bo zlecił położnej podłączenie kroplówki nasilającej skurcze macicy. Od tego momentu poród potoczył się błyskawicznie. wcześniak urodził się według oceny neonatologa w stanie dobrym. Jednak w drugiej dobie życia znalazł się na oddziale intensywnej terapii w Koszalinie w stanie ciężkim. Okazało się, że ma krwawienie do komór mózgu i rozległe zaniki mózgowia. Aktualnie ma rozpoznaną padaczkę i zespół Westa. Cały problem polega na tym, że położnika nie było przy porodzie. To wszystko mogło się zdarzyć, ale powinien w przypadku powikłań okołoporodowych być obecny lekarz, a nie był obecny, spał. Nie wszystko co złe spotkało dziecko miało związek z nasilonym oxytocyną porodem. Ale nie był przy tym porodzie lekarz. Obecność lekarza jest warunkiem podstawowym powodzenia. Zeznawałem jako biegły w obecności ojca dziecka i lekarza. Z jednej strony nie można ponad miarę pogrążyć lekarza a z drugiej strony nie należy pozbawiać dziecka i rodziców sprawiedliwości. Mają w domu ciężko chore dziecko, którego przyszłość nie jest optymistyczna. Ojcu trudno przyjąć, że nie za wszystko ponosi winę lekarz, a lekarzowi trudno się pogodzić z tym, że swoją nieobecnością zapewne zaprzepścił szansę

na lepsze zakończenie porodu. Ojcu trudno pogodzić się z padaczką u swojego dziecka, lekarzowi z koniecznością obcowania z poczuciem winy, odpowiedzialności a obu z brakiem radości życia. Rodzice mogli cieszyć się szczęściem z powodu narodzin swojego kochanego, zdrowego dziecka, lekarz mógłby radować się swoim życiem, ale przede wszystkim powinien wstać.

Jeszcze Paryż

Na głównych ulicach Paryża życie toczy się całą dobę. Otwarte są sklepy i kawiarnie, ludzie rozmawiają, dziewczyny całują się z chłopakami. Ciągły taniec życia, święto istnienia, jakby w obawie przed jego końcem. Bliski końca czas widziałem w Zermatt w Szwajcarii i w Malmö w Szwecji. Na głównym deptaku Zermatt widziałem doskonale utrzymanych w górskim klimacie Szwajcarów w bardzo zaawansowanym wieku, przystojnych świetnie ubranych, zadumanych, dostojnie spacerujących uliczkami uroczej, górskiej miejscowości, pośród kawiarni wypełnionych turystami z całego świata. Widziałem Szwedów przywożonych do kliniki samochodami przez siedemdziesięcioletnie dzieci strofowane przez niemal stuletnich rodziców, że coś robią za mało lub zbyt energicznie. I to nie prawda, że Szwedzi umierają stojąc, oni jeżdżą na wózkach po niezwykle równych podjazdach, są pełni energii i w centrum zainteresowania rodziny i społeczeństwa.

Mój Przyjaciel Położnik

Czy to możliwe aby położnik był przyjacielem neonatologa?

Trwa przecież między nimi odwieczna wojna. O co? Przecież noworodek jest wspólnym pacjentem tak jak i wspólnym celem jest jego dobro. Przy dzisiejszych możliwościach diagnostycznych położnicy bardzo dużo wiedzą o płodzie, późniejszym noworodku, wiedzą na przykład czy ma wrodzoną wadę serca, nerek, kośćca, głowy a także czy ma drożny przełyk. Wiedzą czy jest zakażony czy ma wrodzone wady genetyczne, metaboliczne, jak jest dojrzały i czy rozwija się prawidłowo do czasu ciąży. Mogą go też leczyć w brzuchu matki. Profesor Krzysztof Preis z Gdańska jako pierwszy w Polsce po rozpoznaniu przepukliny przepony u płodu, uspił ciężarną otworzył brzuch, przeciął macicę, wyjął płód, we współpracy z chirurgami dziecięcymi otworzył mu brzuch wstawił łąkę do dziurawej przepony, włożył go z powrotem do macicy, wszystko pozaszywał po czym matka kontynuowała ciążę. W ten sposób dostają się do klatki piersiowej przez dziurę w przeponie.. uchronił dziecko od ciężkiego niedorozwoju płuc spowodowanego uciskiem jelit, które prze To bez wątplenia wyczyn. Historii takich jak ta jest wiele jak chociażby zakładanie zastawek u płodów zapobiegających wodogłowi i uszkodzeniu mózgu przez lekarzy z Centrum Matki Polki w Łodzi. Z kolei gwałtowny rozwój neonatologii w odstępnych dwudziestu latach uwolnił położników od konieczności utrzymywania ciąży z wielkim ryzykiem dla matki i dziecka. Mogą zakończyć ją wcześniej ufając że neonatolodzy utrzymają przy życiu małego wcześniaka a matce ujmą ryzyka utrzymywania ciąży.

Pewnego razu zauważyłem na korytarzu jak położnik poklepując

matkę po plecach powiedział: „*Niech się Pani nie martwi. Wyleczymy dziecko i pójdzie Pani do domu*”. Albo odwieczna wojna trwa chociażby o ocenę w skali Apgar. Inaczej widzi to położnik a inaczej neonatolog. Na szczęście obowiązkowym stało się badanie równowagi kwasowo zasadowej krwi pępowinowej po porodzie. Przeprowadzenie tego badania leży w interesie położnika, weryfikuje ono bowiem ocenę w skali Apgar.

Profesor Andrzej Torbé jest bardzo dobrym położnikiem. Spokojny, może nawet bardzo spokojny, ale to dodaje jego pacjentkom dużo emocjonalnej równowagi. Ma krótko przyszywaną brodę i jest ogólnie dystyngowany, w zachowaniu przypomina miśka pandę. Umie słuchać, ma przyjazny uśmiech. Lubię z nim prze bywać, ponieważ jego bezkresny spokój wpływa kojąco na moja choleryczną naturę. Jest jednym z niewielu położników, który w myśl starej zasady medycznej „*trzeba pięć lat doświadczenie żeby wiedzieć kiedy wykonać cięcie cesarskie, ale aż dwadzieścia pięć lat doświadczenia kiedy nie należy go wykonywać*”. Cięcie cesarskie jest rozległym zabiegiem chirurgicznym który może skończyć się najcięższymi powikłaniami do zgonu młodej matki włącznie. O takim ryzyku z reguły się nie myśli, ponieważ priorytetem jest zwykle ratowanie życia dziecka. Skutki prawne tych okoliczności dotyczą zwykle nie wykonania cięcia cesarskiego lub wykonania w niewłaściwym czasie. Niezwykle rzadkie są sytuacje w których lekarz oskarżony jest o niepotrzebne wykonanie cięcia cesarskiego. Ta odpowiedzialność prawna paraliżuje lekarzy w związku z czym liczba cięć cesarskich z

roku na rok wzrasta w wielu ekskluzywnych prywatnych klinikach dochodzi do dziewięćdziesięciu procent. Życzę Andrzejowi, żeby jego głęboka troska o pacjentki pozyskała życzliwość nieprzewidywalnej do końca natury człowieka.

Pitaval

W tych szpitalach i środowiskach gdzie dyskutuje się o popełnionych błędach popełnia się ich mniej. Tam gdzie okrywa się popełnione błędy milczeniem popełnia się ich więcej. Ile odwagi trzeba mieć, ile poczucia wartości własnej, godności, pokory i odpowiedzialności żeby przyznać się do błędu? Procesy przeciwko lekarzom toczą się w dziesiątkach tysięcy spraw. Nie znam natomiast procesu przeciwko choremu człowiekowi który zostałby oskarżony o narażenie na utratę zdrowia i życia samego siebie z tytułu palenia papierosów, picia alkoholu, złego odżywiania, niezdrowego stylu życia, istotnych czynników decydują o zdrowiu. Jeżeli lekarz i pacjent mają być partnerami powinni wspólnym wysiłkiem w pełni odpowiedzialnie dążyć do sukcesu. Jak ma pracować lekarz z postawionymi mu zarzutami przez wiele miesięcy lub lat toczących się dochodzeń, jak ma w takiej sytuacji z pełnym oddaniem dla pacjenta i miłością do zawodu pracować z pełnym poświęceniem skoro umysł i ciało ma sparaliżowane przed odpowiedzialnością prawną, która często nosi znamiona rewanżu „za wszystko” pacjentów. Jest to sprawa która powinna być dyskutowana w

szerszym zakresie i w szerszym gronie i nie tylko o odpowiedzialności lekarza i praw pacjentów ale również odpowiedzialności pacjentów. Przykre jest to co tutaj wypisuję, ponieważ najlepsze uczucia lekarza do pacjenta powoli zmieniają się w zupełnie inne w rodzaju co ten pacjent może mi zrobić? A myślenie kierkuje się nie na to jak mu pomóc lecz jak uniknąć wpadki i oskarżenia. Nigdy nie rozmawiałem o tym z Naszym Tadeuszem, bo już pewnie sam temat sprawiłby mu ogromną przykrość Dobrze by było żeby cała ta sprawa poszła w najlepszym kierunku zmiany zachowań pacjentów sprzyjających zachowaniu ich w dobrym zdrowiu.

Martwy nie do końca

W czasach kiedy nie było intensywnej terapii noworodka stwierdzony zgon nie zawsze był rzeczywistym kresem życia. Wcześnieiki mają zdolność czegoś w rodzaju hibernacji jak sen zimowy niedźwiedzi. Sprawiają wrażenie martwych a w rzeczywistości korzystają z ukrytych zapasów węglowodanów, tłuszczu i zbierają siły po czym ożywają, na krótko ale jednak ożywają. Czasami w dwie, czasami w trzy lub cztery godziny po rzekomym zgonie. Wcześnieiki po zgonie układa się w wacie, owija szarym papierem i przykleja kartkę z nazwiskiem, datą porodu i zgonu. Kiedy ożywają na przykład w prosektorium zaczyna się horror. Trzeba je wydobyć z opakowania, ogrzać, podać leki podtrzymujące krążenie. Ktoś odkrył, że dziecko żyje, ktoś zbyt wcześnie doszedł do wniosku, że dziecko jest martwe. Winien? Rozpoczyna się dochodzenie prokuratorskie, pada oskarżenie o nieumyślne

spowodowanie śmierci. Muszą wypowiedzieć się eksperci, biegli sądowi. W końcu wiadomo, że nikt nie popełnił błędu, a już na pewno świadomie. Po prostu metabolizm małych wcześniaków jest zupełnie inny niż osób dorosłych. Co przeżywają rodzice w takiej sytuacji? Współcześnie nim wcześniak nie wygra walki o życie jest leczony w oddziale intensywnej terapii do wyczerpania wszelkich rezerw biologicznych. Czasami rodzą się wątpliwości, czy nie jest to aby uporczywa terapia, która przynosi dziecku cierpienie bez nadziei na przeżycie. Czy nie jest to sztuka dla sztuki, żeby pokazać, że walczy się do końca? Jeżeli ten koniec nadejdzie trzeba go pożegnać. Pożegnanie jest tak samo ważne jak oficjalna ceremonia pogrzebowa. Kiedy dziecko zgaśnie, właśnie zgaśnie, zaśnie, nie umrze, zaśnie, odłączamy wszystkie elektrody, cewniki, urządzenia. Wygaszamy niepotrzebne światła. Matka siada w fotelu i bierze dziecko w ramiona, przytula. Trzeba ją zostawić w spokoju, samą z jej dzieckiem. Jeżeli są jednością biologiczną, a przecież są należy mieć świadomość, że ona w jakiś stopniu również odchodzi, w jakiejś części umiera. Zajęło mi to wiele lat zanim pogodziłem się z tym że nie każde życie można uratować i objawiła mi się koncepcja która mówi, że każde życie trwające kilka dni, tygodni, miesięcy jest w istocie całym życiem tyle że krótszym.

Mleko w płucach

To dziecko przeżyło trzy miesiące intensywnej terapii i wszystkie choroby jakie można znaleźć w spisie treści podręcznika neonatologii. Któregoś dnia po karmieniu pokarm cofnął się do

przełyku, w tym momencie dziecko wzięło głęboki oddech i zaciągnęło dużą pokarmu do płuc. Enzymy zawarte w mleku zaczęły swoją destrukcyjną działalność. Nie pomogło odessanie mleka z oskrzeli, płukanie oskrzeli roztworem soli fizjologicznej i surfaktantu, wentylacja, inhalacje, fizjoterapia, a nawet wentylacja wysokimi częstotliwościami. Zmarło. Rodzice procesowali się przez trzy instancje. Nic nie mogło utulić ich żalu, podobnie jak i naszego.

Innym razem wcześniak nagle zmarł. Nie pomogła reanimacja, leki, nic. Tego dnia badałem to dziecko i zwiększyłem mu ilość pokarmu podawanego sondą do żołądka. Nabrałem podejrzeń, że może zleciłem zbyt dużą ilość pokarmu, co spowodowało cofnięcie się pokarmu i zalenie płuc mlekiem matki i w konsekwencji zgon. Na sekcję szedłem z ciężkim sercem na ramieniu. Jednak w oskrzelach nie było mleka, były czyste. Natomiast nadnercza, tam gdzie produkowane są hormony stresowe, podtrzymujące życie były ogromne wylewy krwi. Nadnercza były zniszczone, w strzępach, wyglądały jak duże wiśnie i nie produkowały hormonów życia. Stąd taki nagły zgon. Zadzwoiłem do rodziców. Ale strach pamiętam do dzisiaj. To zresztą dosyć charakterystyczne, że pamiętam przegrane walki, o sukcesach szybko zapominam, najczęściej przypominają mi je Ci co przeżyli lub ich najbliżsi.

Domięśniowo zamiast śródskórnio

Położna pomyliła drogi podania szczepionki. Gruźlicę podała do mięśnia a wirusowe zapalenie wątroby typu B śródskórnio. Musieliśmy o tym powiedzieć rodzicom. To zdarzyło się pierwszy raz

i nie miałem doświadczenia, nie wiedziałem jakie mogą być konsekwencje. Wszyscy wiedzą jak długo po szczepieniu gruźlicy na lewym ramieniu utrzymuje się zaczerwienie, obrzęk, w końcu buduje się ropień. Trwa to miesiącami aby zagoić się z pozostawieniem blizny. Wyobraziłem sobie, że cały ten proces będzie miał miejsce w udzie dziecka, w pobliżu kości udowej. Czy dojdzie do przewlekłego zapalenia kości udowej, czy nie ulegnie zniszczeniu, czy będzie prawidłowo rosła na długość? Te cholerne strzykawki, takie podobne. Szczepienie wykonywane jest jednocześnie ze szczepieniem przeciw wirusowemu zapaleniu wątroby, szczepionką z zabitych wirusów którą można wstrzyknąć wszędzie. Nie daje odczynu zapalnego, nic nie może się stać. Taka pomyłka. Techniczny błąd. A skutki mogły być katastrofalne w postaci kalectwa. Nie pozostało nic innego jak powiadomić specjalistę regionalnego do spraw szczepień i poprosić o radę jak zapobiec ewentualnym powikłaniom. Wreszcie trzeba poprosić rodziców dziecka i powiedzieć im o pomyłce i całej sytuacji, umówić na badania kontrolne. Chociażby usg okolicy, w którą głęboko podano szczepionkę przeciwgruźliczą aby zobaczyć czy nie robi się ropień. Przyjęli to spokojnie, chociaż byli zatroskani. Pytali o różne szczegóły. Nam spadło trochę napięcie i poczucie winy kiedy powiedzieliśmy im o tym. Teraz czekały nas długie tygodnie oczekiwania na ewentualne skutki, które na szczęście nie nastąpiły. Położna musiała ponieść konsekwencje. Nie były zbyt dotkliwe, bo głównie dotknęły ją wyrzuty sumienia i przeżywała to okropnie. Wszystko skończyło się dobrze. Niepotrzebne zdarzenie.

Zmarła po podaniu Xylocainy

Młoda kobieta po cięciu cesarskim leżała w sali pooperacyjnej na połogu. Lekarz zlecił dożylną kroplówkę z pięcioprocentowej glukozy. Położna pomyłkowo podłączyła butelkę z roztworem *xylocainy*. Za pół godziny kobieta już nie żyła. Miała dwadzieścia dwa lata. Nie zdążyła zobaczyć swojego dziecka. Niewyobrażalny dramat. Niewyobrażalny ponieważ nikt nie oprócz umierającej młodej matki i jej najbliższych nie jest w stanie tego pojąć. Właśnie pojąć, a nie zrozumieć. Zrozumieć, a pojąć to zupełnie co innego. Ja też tego nie pojąłem, ale pamiętam to co wówczas się stało przez ostatnie trzydzieści lat. Jak mogło do czegoś takiego dojść? Patrząc na to z perspektywy lat, mogło. Trzeba zacząć od tego, że w tamtych latach liczba porodów była co najmniej dwukrotnie większa. Obowiązywały ostre dyżury co powodowało kumulację liczby porodów od trzydziestu dziennie. Kobiety rodziły w windzie i na korytarzu. W klinice było wówczas około stu kobiet. Na oddziale położowym siedemdziesiąt matek po porodach i dwie położne. Ogromna liczba zaleceń lekarskich szczególnie dla tych po cięciu cesarskim. Płyny do dożylnych kroplówek były produkowane w aptece szpitalnej. Taka manufaktura. Nie było wówczas technik poligraficznych z komputerami, kolorowymi drukarkami, różnokolorowym papierem. Na butelki naklejano etykiety klejem roślinnym, ręcznie. Wszystkie wyglądały tak samo. Były białe, z czarnym napisem. Były bardzo podobne do siebie. Trzeba było skupić się, aby odczytać, czy to glukoza, czy *xylocaina*, czy roztwór elektrolitów. Rzędami ustawione

były w jednej szafie, łatwo było przy niewielkim przesunięciu, aby się pomieszały. W sumie jednakowej wielkości, jednakowego kształtu, z bliźniaczo podobnymi napisami. W takich warunkach było tylko kwestią czasu, kiedy taka pomyłka, tragiczna w skutkach miała nastąpić. Ślepy los wybrał ofiarę. Tego dnia był ostry dyżur. Odbyło się dwadzieścia kilka porodów, w tym pięć przez cięcie cesarskie. Las kroplówek. Położna w pośpiechu chwyciła kilka butelek płynów infuzyjnych. Jedna z nich była dziesięcioprocentowym roztworem xylokainy, środka znieczulającego, który powoduje zwolnienie i wreszcie ustanie pracy serca. Pacjentka poczuła się słabo, coraz słabiej. Płyn, który miał być pięcioprocentowym roztworem glukozy szybko leciał do żyły. Nie było wówczas pomp infuzyjnych precyzyjnie dawkujących lek. Wszystko zależało do blaszki zaginanej na przezroczystym wężyku doprowadzającym płyn do żyły. W każdej chwili, przez przypadkowe dotknięcie, potrącenie blokująca blaszka mogła odgiąć się i płyn szybkim strumieniem wpływał do układu krwionośnego. Wkrótce zaczęła tracić przytomność. Zaczął się ruch, anestezjolog i lekarze dyżurni próbowali ją ratować ale było już zbyt późno. Pomimo akcji ratunkowej zmarła. Nikt i nic nie mogło utulić żalu. Dochodzenie prokuratorskie, rozprawa sądowa, ukaranie winnych. Wyciąganie wniosków. Było wszystko, tylko nie było już zmarłej Matki. Ojciec samotnie odebrał dziecko z kliniki. W owych czasach nie istniały standardy i procedury. Dopuszczalne było aby jedna pielęgniarka miała pod opieką kilkadziesiąt położnic, żeby płyny do infuzji były pakowane w bliźniaczo podobne butelki i

oklejane podobnymi etykietami. To się zmieniło.

Zorientowałem się, że piszę o tragicznych zdarzeniach, niezwykle przygnębiających. Może nie powinienem, może ta książka powinna być bardziej optymistyczna, radosna jak narodziny zdrowego dziecka? Z drugiej strony to okazja aby coś poprawić, poprawić przyszłość już teraz, od zaraz.

Retinopatia

Ocalić życie małemu wcześniakowi to jedno, a zachować jakość życia tak aby widział, słyszał, czuł, rozumiał, chodził, to drugie. Czasami ceną za przeżycie jest choroba oczu prowadząca do ślepoty, nieraz całkowitej, szczególnie kiedy dziecko jest skrajnie niedojrzałe, urodzone niemal w połowie ciąży. Nawet przy najlepszym postępowaniu z dzieckiem może ono stracić wzrok. Oko takiego wcześniaka jest bardzo niedojrzałe. Naczynia krwionośne są w załążku. Dopiero zaczynają tworzyć wokół oka sieć naczyń, która zaczyna je odżywiać. Rozwój naczyń wokół oka odbywa się w zupełnie innych warunkach w brzuchu matki i zupełnie innych w warunkach zewnątrzmacicznych. Nie potrafimy jeszcze powtórzyć tego procesu, który ma miejsce w macicy Matki. Nie potrafimy zbudować takiego „szpitala” jakim jest macica. Rodzice nie mają takiej wiedzy. Raczej myślą w ten sposób, że jeżeli dziecko tak małeńkie przeżyje to dzięki opatrności i w pewnym stopniu mają rację. Jeżeli dziecko umrze raczej doszukują się przyczyny w postępowaniu lekarskim. Kiedy dziecko żyje, ale nie widzi przeżywają wielką rozpacz i zawód. Mają często w takich sytuacjach

podejrzenia, że coś zostało zrobione nie tak jak należy. Nie myślą o tym, że urodzenie dziecka w dwudziestym czwartym tygodniu ciąży naraża je na wielkie ryzyko wszelkich powikłań, w tym ślepoty. Sprawa trafia do sądu. Wypowiadają się biegli. Wystarczy, że stwierdzą, iż można było dziecko zbadać dzień wcześniej i zaczyna się kolejny dramat, dramat lekarzy winnych tej sytuacji. Dochodzenie, oskarżenie, rozprawa. To wszystko trwa miesiącami. W tym czasie lekarz, lub lekarze oskarżeni z tytułu zarzutu ciężkiego uszkodzenia ciała nie mogą normalnie funkcjonować, a muszą bo pracują. Wreszcie wyrok. Lekarz winien. Szpital ma wypłacić sporą sumę pieniędzy. W tym czasie Rodzice szukają pomocy w różnych ośrodkach na całym świecie. Operacja kosztuje dziesiątki tysięcy dolarów, przynosi efekty mniejsze lub większe. Konsultant krajowy zaostrza kryteria diagnostyczne i procedury lecznicze. Jerzy Owsiak z Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy kupuje laserową aparaturę do operacyjnego leczenia oczu dla klinik w całym kraju. Wyniki są coraz lepsze, niewidzących dzieci coraz mniej, przeżywają coraz mniejsze. Stopień trudności wzrasta. I wszystko zaczyna się od nowa. Może kiedy stworzymy procedury, standardy, spisane na piśmie, kontrolowane, zbierzemy doświadczenia może wszystko się ułoży lepiej. Ale nie jestem pewien. W krajach silnie rozwiniętych jak w USA ani liczba poszkodowanych, ani liczba procesów nie zmniejsza się. Jest to w jakimś sensie cena za utrzymanie przy życiu skrajnie małych wcześniaków, które są coraz mniejsze, stawiają coraz większe wymagania. Oczywiście rośnie też wiedza i doświadczenie w leczeniu

z retinopatii wcześniaków. Oprócz przyklejania siatkówki laserem do dna oka próbujemy podawać wcześniakom ich własną krew pępowiną z dużą ilością które mają czarny pas we wszystkim i potrafią nareperować wszystko. Próbujemy, podajemy hormony nadnerczowe w celu zwalczania niektórych powikłań wcześniactwa i przy okazji widzimy poprawę w leczeniu retinopatii, myślimy o podawaniu leków (*Avastin*) hamujących rozwój kłębiących się naczyń pod siatkówką. Są to w części metody eksperymentalne ale w obliczu ślepoty podjęcie ryzyka jest jak najbardziej uzasadnione. To, że Steve Wonder jest niewidomy wcale nie oznacza że nie chciałby widzieć pomimo tego, że jest geniuszem muzycznym. Wcześniaka, który utraci wzrok dotyczy ta sama sentencja.

Zgon wewnątrzmaciczny

Jedną z większych porażek położników jest zgon wewnątrzmaciczny noworodka. Nie płodu, ale właśnie noworodka wewnątrz brzucha matki. Zwykle odbywa się to w takich okolicznościach, że ciężarna leży w oddziale ciążowym z donoszoną ciążą i czeka na poród, który może odbyć się w każdej chwili. Raz dziennie ma robioną kardiokografię czyli jednoczesny pomiar uderzeń serca płodu i skurczów macicy, a co trzy godziny położna słucha tętna płodu. Niezależnie od tych pomiarów Matka liczy ruchy płodu. Wykonuje się też inne badania, w kierunku zakażenia, zaburzeń metabolizmu itp. Pomimo tych działań zdarzają się sytuacje tragiczne, w których w jednym z kolejnych tego dnia pomiarów tętna płodu już się nie wysłuchuje. Bez ostrzeżenia, bez przepowiadających

nieszczęście objawów. Zwykle w takich sytuacjach kiedy położna nie słyszy tętna już nic nie da się zrobić. Nie pomoże szybkie cięcie cesarskie, bo dziecko jest już martwe. Jeżeli słyhać pojedyncze uderzenia serca płodu, natychmiastowy poród operacyjny pozwala wydobyć jeszcze żywe dziecko, ale zwykle z nieodwracalnie i ciężko uszkodzonym mózgiem. Czy w erze tak zaawansowanych technologii, kiedy w czasie rzeczywistym, nieprzerwanie przez dni, tygodnie i miesiące monitoruje się za pomocą satelitów i systemu GPS (Global Positioning System) położenie samochodu, pojedynczego człowieka, nie można monitorować w podobny sposób tętna donoszonego płodu ważącego trzy i pół kilograma w brzuchu matki?

Maciupkie

W TV był program dla Dzieci i występowała postać Maciupiek jak sądzę z bajki Jansson Tove „*Kto Pocieszy Maciupka*”. To odpowiednia nazwa dla dzieci ze skrajnie małą masą ciała. Niektórzy mówią „*Maluczki*” co w oczywisty sposób nie jest odpowiednie.

W dniu otwarcia kliniki po remoncie pierwszym urodzonym był właśnie Maciupiek. Ja byłem nowym ordynatorem, o którym lekarze i pielęgniarki wiedzieli niewiele. Maciupiek stał się moim egzaminem ordynatorskim. Wszyscy patrzyli co i jak zrobię. Od tego zależało życie Maciupka i mój autorytet na najbliższe lata. Okazało się że po porodzie wymaga intubacji czyli włożenia rurki o średnicy dwa i pół milimetra do tchawicy. Wejście do tchawicy jest głęboko ukryte za nasadą języka i podniebieniem miękkim żeby je uwidocznic trzeba włożyć głęboko łyżkę laryngoskopu podnosząc do góry język,

następnie odróżnić wejście od przetyku od wejścia do krtani co nie jest takie łatwe i wsunąć rurkę intubacyjną na określoną głębokość. Czasami udaje mi się to za drugim, trzecim razem, ale wówczas zrobiłem to już za pierwszym. Wtłaczane do płuc powietrze uniosło klatkę piersiową dziecko wyraźnie zaróżowiło się. Poczulem ulgę. Myślę że koleżanki z pracy też, ponieważ wiedziały od tego momentu, że mogą liczyć nie tylko na moje słowa ale i na realną czynną pomoc. W tamtych czasach taka umiejętność nie była powszechna wśród neonatologów. W razie potrzeby często wzywano anestezjologów co opóźniało ratunek a i nie wszyscy anestezjolodzy byli wprawni we wkładaniu rurki intubacyjnej do tchawicy u tak małych pacjentów. Podłączyliśmy dziecko respiratora. Dziecko zaróżowiło się co oznaczało, że jest zaintubowane prawidłowo. Włożyliśmy go do cieplarki, która jak się okazało nie była w stanie zapewnić tak małemu dziecku właściwej temperatury ciała. Do tego potrzebne są bardziej zaawansowane urządzenia, które potrafią wytworzyć dużą wilgotność gwarantującą dobre przewodnictwo ciepła. Na szczęście mieliśmy taki inkubator. Po trzech miesiącach walki o życie i różnych przeszkodach wypisaliśmy dziecko ze szpitala w doskonałym stanie. Niestety przyszło później. Po pierwszym szczepieniu rozwój uległ zahamowaniu. Powodem było najprawdopodobniej użycie standardowej w owym czasie szczepionki krztuścowej, która nie była właściwa dla tak małych dzieci. Era szczepionek bezkomórkowych przyszła później. Nowe generacje szczepionek pojawiły się już wkrótce.

Mąż

Młoda kobieta szukała kandydata na męża, który potrafiłby coś szczególnego, coś czego nie potrafią inni. Udało jej się to. Po pewnym czasie jednak doznała zawodu gdy zorientowała się, że on potrafi to „*coś szczególnego*”, natomiast nie potrafi robić tego co robią wszyscy na co dzień.

Lepiej zatem aby kandydat na męża potrafił robić to co robią wszyscy, co jest potrzebne na co dzień, a jeżeli dodatkowo potrafi coś jeszcze wyjątkowego od święta to jeszcze lepiej!

Ojcowie

Pewnego dnia zjawił się przed okienkiem elegancko ubrany Pan „*pod dobrą datą*” i rzekł: „*Bardzo proszę, żeby Państwo wypisali moją żonę i dziecko bo zostanę alkoholikiem*”. W trosce o jego zdrowie udzieliłem mu wyczerpujących informacji a następnego dnia odebrał dziecko, żonę i wypis do domu.

Tęsknota

Jedna Mama miała kłopoty z dzieckiem, które chorowało na alergię. Zauważyła, że jeżeli wyjeżdża z nim jego Babci, na południe Polski objawy alergii ustępują. Sama jednak pracowała. W tej sytuacji postanowiła wysłać swoje dziecko na jakiś czas do Babci. U dziecka objawy alergii jak zwykle ustąpiły, ale u Matki pojawiła się tęsknota za dzieckiem i przybrała rozmiary nie do zaakceptowania. Cały urlop już wykorzystała, nie widząc w tej sytuacji żadnego rozsądnego rozwiązania oparzyła sobie rękę, poszła do chirurga, otrzymała pomoc

i zwolnienie lekarskie. Teraz mogła pojechać do swojego dziecka i ukończyć tęsknotę. Jestem pewny, że sama tęsknota za dzieckiem powinna być wystarczającym powodem do zwolnienia lekarskiego.

Doktor Golba

Jest to historia jak patriota z powodów politycznych potraktowany został jak przestępca. A było to tak. Władze socjalistycznej Polski wytoczyły mu proces o to, że przed wojną przygotowywał atak na Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich przez to, że pracował w Warszawie u prof. Ludwika Hirszfelda na florą bakteryjną w ogórkach kiszonych. Dostał osiem lat więzienia. Siedział sześć, do roku 1956. Ja rozumiem obawy panów komunistów przyjaciół ZSRR, w końcu ogórki kiszone mogą być uważane za produkt strategiczny przy dużym spożyciu etanolu.

Dr Golba był szefem służby zdrowia 1 Polskiej Brygady Spadochronowej, która walczyła pod Arnhem Driel w Holandii w operacji Market-Garden, która miała otworzyć aliantom drogę do Berlina i pozwoliłaby na wcześniejsze skończenie wojny. Ta operacja wojskowa została sfilmowana w obrazie „*One Bridge too far*” z Genem Hackmanem, który grał generała Sosabowskiego.

Pisząc monografię o dr ppłk. Janie Golbie prowadziłem korespondencję z uczestnikami tamtej bitwy, które poruszyły mnie do głębi cyt. „*Przypominam sobie drobny epizod - pisze kapelan brygady-ksiądz Franciszek Mientki - Było to o ile się nie mylę, w*

trzecim dniu walki, wieczorem. Ogień na szkołę nieco osłabł i dr Golba stał z kilkoma sanitariuszami koło budynku. Nadbiegł wtedy żołnierz i zameldował doktorowi, że pluton łączności i zaopatrzenia, mający swe stanowiska w odległości może 200 metrów, został silnie ostrzelany z moździerzy i dział. Są zabici i ranni. Na to dr Golba: - No, chłopcy, bierzcie nosze i po rannych. Droga do plutonu znajdowała się pod silnym ogniem karabinów maszynowych i moździerzy. Mimo zmroku zauważyłem, że żołnierze zaczęli się nieco cofać. Mogłoby dojść do wydania formalnego rozkazu, a może i do sytuacji dramatycznej, więc zwróciłem się do dr Golby, Panie doktorze bierzmy nosze i idźmy też, możemy tam być potrzebni. Doktor chwycił nosze i ruszyliśmy pierwsi, a sanitariusze bez dalszego rozkazu pobiegli z noszami za nami. Na miejscu było trzech zabitych i siedmiu ciężko rannych. Doktor przystąpił do segregacji. Tym którzy krwawili założył natychmiast opatrunki i sanitariusze odnosili ich do szpitala. Droga nie była łatwa. Kilkakrotnie kładliśmy się z rannym w rowie, by przepuścić serie z karabinów maszynowych lub przeczekać wybuch z pocisków moździerzowych. W pewnej chwili ktoś z nas zaczął nucić:

„Do tańca grają nam, armaty, stali szczęk

Śmierć kosi niby łan, lecz...”

Obaj buchnęliśmy śmiechem. Wszystko się zgadzało-tylko ostatni niedośpiewany wers nie zgadzał się z prawdą. Udział Polaków w operacji „Market - Garden” okupiony został ciężkimi stratami.

Wyniosły one 23% stanu brygady. W liczbach bezwzględnych wyniosło to: 66 zabitych, 159 rannych i 179 zaginionych.”

Szósty

Badalem chłopca i rozpoznałem zapalenie uszu. Mama zgodziła się z rozpoznaniem. Pan jest już szóstym lekarzem, który bada mojego Karolka powiedziała na koniec. Nie mam nic przeciwko temu, że rodzice chodzą do kolejnych lekarzy ze swoim dzieckiem. Nie dziwi mnie że chcą mieć pewność co do właściwego rozpoznania i leczenia, i chociaż realizacja takiej liczby wizyt wymaga dużo czasu a często i pieniędzy świadczy to o trosce rodziców o swoje dziecko. Z tego powodu kiedy nie ma pewności co dziecku dolega pozostają dwa wyjścia. Wyjście pierwsze to skierować dziecko do chirurga, chirurg zbada dziecko też nie będzie wiedział co mu dolega ale na pewno coś mu zrobi, drugie wyjście mniej humorystyczne w myśl zasady „*najlepsze badanie na świecie, czyli badanie kontrolne*”. Na drugi dzień albo choroba ujawni swoją prawdziwą postać, albo zniknie wskutek samowyleczenia które jest zjawiskiem powszechnym.

Niech się Pani uśmiecha

„Ja jestem drugi dzień po porodzie. Brzuch mam duży. Usta mam suche. Boli mnie krocze. Martwię się czy z dzieckiem jest wszystko dobrze, czy wystarczy mi dla niego mleka z piersi. A gość z gazety mówi Niech się Pani uśmiecha”. Ja go rozumiem, chciał mieć zdjęcie uśmiechniętej młodej mamy z noworodkiem w lokalnej

gazecie. On nie bardzo rozumiał jak się ta młoda mama czuje po porodzie. Zrozumiałby gdyby „*brzuch miał duży, usta suche, obolałe krocze, martwił się o dziecko, czy wystarczy mu dla niego mleka z piersi*”.

Dzieci płodowe połączyć z maciupkami

W ostatnich latach uwaga neonatologów skupia się na dzieciach płodowych tj. wcześniakach urodzonych poniżej 23 tygodnia ciąży z masą ciała 401 do 500 g, u których podejmowane są czynności resuscytacyjne po porodzie. Liczba dzieci płodowych nie przekracza 0.25% ogółu urodzeń. Stanowi jednak znacznie większy problem medyczny, etyczny, rodzinny, ekonomiczny i społeczny. Powstaje pytanie czy dziecko płodowe jest zdolne do życia i dalszego prawidłowego rozwoju i czy powinny być podjęte wobec niego czynności resuscytacyjne i dalsze intensywne leczenie?

Kwestia semantycznego terminu „*dziecko*” rozstrzygnięta została w ustawie o rzeczniku praw dziecka. Zgodnie z art. 2 ust. 1 tej ustawy „*dzieckiem jest każda istota ludzka od poczęcia do osiągnięcia pełnoletności*”. M. Żelichowski twierdzi, iż w konsekwencji, w procesie leczenia lekarze zobowiązani są respektować prawa pacjenta nie tylko względem dzieci narodzonych, lecz także nienarodzonych.

W świetle takiej interpretacji praw płodu i noworodka nie ma między nimi różnicy poza tą, że pierwsze znajduje się w brzuchu matki a drugie w inkubatorze. W obu przypadkach ich życie jest

wspierane i chronione przez matkę i personel medyczny.

W myśl tej ustawy każde nowonarodzone dziecko „*od poczęcia*” jest istotą ludzką nawet jeżeli waży 400 g lub mniej. Zatem należy jej zapewnić to co jest potrzebne do życia, bo jest pełnowartościowym życiem z wszelkimi rozpoznawalnymi jego cechami.

Okres rozwoju płodowego rozpoczyna się w dziewiątym tygodniu od poczęcia i trwa aż do narodzin dziecka. W tygodniach od siedemnastego do dwudziestego słyszalne są uderzenia serca dziecka nie narodzonego. Dziecięce rysy twarzy pojawiają się około 24 tygodnia od momentu zapłodnienia. Następuje otwarcie szpary powiekowej; zaczynają rosnać brwi i rzęsy. W płucach obecne są już pęcherzyki płucne. W mózgowiu rozpoczyna się proces mielinizacji. Matka czuje coraz silniejsze ruchy płodu. Moment urodzenia dziecka jest pewnym zaskoczeniem dla personelu medycznego, ale dla matki fakt posiadania dziecka i bycia matką jest od wielu tygodni w pełni akceptowany. Oczekuje pełnego respektowania tego faktu.

Zasady deontologii lekarskiej w podejmowaniu decyzji o leczeniu dziecka płodowego opierają się na pisanych i nie pisanych podstawach etyki, rozumianej przez personel medyczny i społeczeństwo w myśl zasad deontologii lekarskiej Naczelnej Izby Lekarskiej z roku 1935. W naszej klinice taką zasadą jest rozpoczęcie resuscytacji dziecka bez względu na wiek ciążowy jeżeli wykazuje oznaki życia.

Jeżeli dalszy rozwój dzieci płodowych jest zły to rodzi się

pytanie czy należy podejmować czynności resuscytacyjne i intensywne leczenie wobec dziecka płodowego, które nie daje dużych nadziei na przeżycie i prawidłowy rozwój? Nikt nie neguje „*bycia osobą*” umierającemu dorosłemu człowiekowi, nawet jeżeli nie ma świadomości, jest niedołączny czy też w inny sposób upośledzony i nie daje dużych nadziei na przeżycie. Tego rodzaju przypadki ukazują, że również i istnienia dorosłe mogą nie objawiać pewnych cech osoby, ale to przecież nie odbiera im ich statusu osoby. Bycie osobą wynika bowiem z faktu istnienia ludzkiego a nie tylko rozumienia rzeczywistości w sensie rozumienia zdarzeń czy czucia bólu.

Współcześnie umierają w zasadzie tylko dzieci z ciężkimi wadami wrodzonymi oraz dzieci płodowe urodzone poniżej 22 tygodnia ciąży z masą ciała poniżej 500 gram i nieliczne wcześniaki ze skrajnie małą masą ciała. Do utrzymania tych dzieci przy życiu i zapewnienia im prawidłowego rozwoju potrzeba nowych technologii medycznych, jak zastosowania czynników wzrostu (Epidermal growth factor-EGF, Neuronal growth factor-NGF) i innych hormonów („*życie na dopingu*”), komórek niezróżnicowanych wielopotencjalnych (*stem cell*) oraz swoistych wektorów ukierunkowujących ich różnicowanie i usadowienie w uszkodzonych narządach, autohemotransfuzji krwi pępowinowej, nowych technik ochrony skóry, nowych technik wentylacyjnych dla płuc we wczesnej fazie rozwoju, w których nie ma jeszcze pęcherzyków płucnych a działanie surfaktantu stoi pod znakiem zapytania, wszelkich sposobów protekcji mózgu w fazie gwałtownego rozwoju ilościowego i

jakościowego. Dla utrzymania dzieci płodowych przy życiu jak i zapewnienia im dalszego prawidłowego rozwoju potrzebny jest skok jakościowy w neonatologii.

To co dzisiaj jest niemożliwe za dwadzieścia lat będzie możliwe i powszechnie stosowane jeżeli będziemy podejmowali próby i wykorzystywali nowe możliwości wynikające z postępu nauk. Tym sposobem to co dzisiaj jest próbą ratowania życia graniczącą z eksperymentem medycznym w przyszłości będzie rutynowym postępowaniem.

Dzieci mają prawo do szczególnej troski z medycznego, etycznego i prawnego punktu widzenia i pomocy mając na uwadze, że potrzeba otoczenia dziecka szczególną troską została wyrażona w Genewskiej Deklaracji Praw Dziecka z 1924 r. oraz Deklaracji Praw Dziecka przyjętej przez Zgromadzenie Ogólne 20 listopada 1959 r. i uznanej w Ogólnej Deklaracji Praw Człowieka. [4] Opieka nad nimi jest również nadzieją dla przyszłości.

Uczucia personelu

Bardzo dużo zajmuje nam rozważanie problemów medycznych dotyczących noworodków. Wiele mówimy o etyce w neonatologii, czyli o sensie terapii, w tym resuscytacji tak małych dzieci, o roli rodziców dzieci chorych na krawędzi życia i o tym jak wesprzeć ich emocjonalnie. To wszystko jest potrzebne i jak najbardziej ważne. Trzeba jak sądzę też mówić o problemach emocjonalnych personelu medycznego, położnych, pielęgniarek, lekarzy, salowych. Oni też mają zespół wypalenia pracą, depresje spowodowane przeżyciami w

pracy. Ilu z nas chciało rezygnować z zawodu lekarza, neonatologa, pozycji ordynatora, pielęgniarki oddziałowej, epidemiologa szpitalnego?

Słyszałem taka anegdotę w myśl której sumienny lekarz powinien odejść wraz ze swoim pierwszym utraconym pacjentem. I po sprawie.

Język medyczny język ludzki

„U Pani dziecka występuje agrawacja obstypacji na tle neurogennym przy obecności konstytucji pyknicznej i patopatii perystaltyki ileum na tle neurogennym przy konsystencji stolca modo durum”.

Czyli, nie mam zielonego pojęcia dlaczego Pani dziecko ma zatwardzenie w związku z czym nie wiem jak mu pomóc ale jakieś wrażenie na Pani muszę zrobić.

Dillingen

W Dillingen, w południowo zachodniej części Niemiec mieszka małżeństwo lekarskie Kasia i Lucjan Kowalczykowie. W owym czasie krążył w Niemczech dowcip o polskich złodziejach samochodów. Dotyczył on reklamy biura podróży, która brzmiała *„Przyjeżdżaj do Polski. Twój samochód już tam jest”*. W rozmowie podczas lunchu jeden z kolegów Kasi, niemiecki lekarz napomknął, że on do Polski nie pojedzie ani na pierogi, ani na tanie zakupy, ani w ogóle ponieważ tam kradną samochody. Kasia wykazała się refleksem i odpowiedziała *„I owszem kradną, ale tylko Mercedesy klasy S więc Tobie kradzież*

samochodu nie grozi”. Na szczęście ten okres kradzieży aut minął. W Polsce coraz więcej osób kupuje nowe samochody dobrej klasy. Minęła też plaga kradzieży lusterek bocznych, lamp samochodowych.

Amerykańska nostryfikacja

Słyszałem opowieści o pewnym lekarzy szwedzkim, który kolekcjonował nostryfikacje dyplomu lekarskiego, miał ich kilkadziesiąt. Nie wiem jak to zrobił, ale widziałem na własne oczy jak zrobił to dr M.K. mój sąsiad. Zrobił to tak, że od zakończenia studiów pracował w szpitalu klinicznym, robił specjalizację i doktorat jednocześnie i przygotowywał się do egzaminu nostryfikacyjnego w Ambasadzie Amerykańskiej. Całymi godzinami, dniami, miesiącami i latami leżał na dywanie i uczył się z amerykańskich podręczników. W tym czasie jego rodzinie było bardzo ciężko w podstawowych sprawach, ale swego dopiął. Pracuje w USA, tyle, że nie mam z nim kontaktu, utraciłem fajnego sąsiada, a dobry sąsiad to bardzo miła historia. Przeciętnie zdolny lekarz musi poświęcić osiem godzin dziennie na naukę przez okres dwóch lat aby przygotować się dostatecznie do amerykańskiego egzaminu nostryfikacyjnego. To dużo czasu, ogromne wyrzeczenie się „*normalnego*” życia, pomijanie szans jakie pojawiają się na miejscu. Przebywając w USA, Szwecji czy Niemczech wielokrotnie rozmyślałem nad tym aby zostać „*na zachodzie*” i wieść „*normalne*” życie. Ale zawsze w takich razach wszystko zaczynało mi się udawać, tak wiele rzeczy miałem do stracenia w Polsce i tak wiele przeszkód do pokonania za granicą, że w końcu nigdy nie decydowałem się na takie ostateczne kroki.

NATO

W Szczecinie pojawiły się wojska NATO. Stacjonują w Barracks. Są wśród nich Niemcy, Duńczycy i Polacy. Niemki rodzą w Niemczech, Dunki w Polsce, zapewne ze względu na odległość. One nas czegoś nauczyły. Zaprosiłem je do kliniki kiedy jeszcze były w ciąży. Chciałem je zapoznać z miejscem i ludźmi wśród, których będą rodziły i jednocześnie pokazać z jak najlepszej strony klinikę. W trakcie „wycieczki” zorientowałem się, że kilka rzeczy trzeba poprawić. Nie do przyjęcia był słoik z płynem dezynfekującym, a w nim maszynka do golenia. Wyglądało to jak u fryzjera w latach sześćdziesiątych. Zasłoniłem własnym ciałem nim zdążyły się zorientować o co chodzi i jeszcze tego samego dnia miejsce słoika zajęły maszynki jednorazowego użytku do golenia. Kiedy wchodziliśmy do łazienki natknąłem się na stolik plastikowy ze słojami na dobowe zbiórki moczu oklejone różowymi przemoczonymi plastrami. Znowu zasłoniłem własnym ciałem, chociaż nie wiem czy skutecznie. Od tego czasu toczyła się przez około dwa lata moja prywatna walka o to aby słoje do dobowej zbiórki moczu nie stały w łazience, gdzie powinna panować krystaliczna czystość i nie powinno być niczego co kojarzyłoby się z organoleptycznymi nieczystościami. Walkę tę ostatecznie przegrałem. Dunki rodziły w naszej klinice. Były bardzo naturalne w zachowaniu i otwarte w kontaktach. Od tego czasu pod ich między innymi wpływem zaczęliśmy wypisywać pacjentki do domu w drugiej dobie po porodzie.

Leczyłem dwie dziewczynki niemieckiej rodziny Elizabeth i

Victoria von Sivers. Zrobiły na mnie wrażenie trzy rzeczy. Niezwykła skromność i przyjazny stosunek Państwa von Sivers, urok dziewczynek, które pozwalały bez płaczu robić zastrzyki ze szczepionkami i modele samolotów myśliwskich z I Wojny Światowej, a szczególnie trójpłatowego samolotu asa niemieckiego lotnictwa w kolorze czerwonym. Ojciec dziewczynek był w stopniu podoficera. To malutkie von przed nazwiskiem wskazywało na szlacheckie pochodzenie. Rodzina skoligacona z von Manfred von Richthofen „*czerwonym królem przestworzy*”. W czasach I Wojny Światowej, gdy dwadzieścia trafień wystarczyło do osiągnięcia statusu legendy, on miał ich na koncie blisko osiemdziesiąt. Swój pierwszy lot kończy awaryjnym lądowaniem i rozbiciem samolotu. Pod koniec wojny jego zapał bojowy znacznie zmalął. „*Po każdej walce powietrznej jestem w fatalnym nastroju. Wiem, że wojna nie jest tym, za co ją uważają cywile: hurra i naprzód! Jest czymś bardzo poważnym i bardzo ponurym*” zanotował w swoim dzienniku. 21 kwietnia 1918r. wyleciał z misją bojową nad terytorium wroga. Najprawdopodobniej poleciał dalej i przemieszczał się na niższej wysokości niż przewidywały to jego rozkazy. Zginął od pojedynczego strzału, oddanego z ziemi. Jego ciało zostało skremowane przez wojska brytyjskie z zachowaniem pełnych wojskowych honorów.

Studenci

To co w nich urzeka to entuzjazm właściwy młodości. Musimy traktować ich jednak poważnie. Już wkrótce od tego czego ich nauczymy może zależeć nasze życie. Mają w sobie oprócz poczucia

obowiązku jak również ogromne pragnienie szczęścia. Na praktykę wakacyjną lekarską zgłosił się student po trzecim roku i z miejsca poprosił abym podpisał mu indeks bo chce jechać ze swoją dziewczyną nad morze z namiotem. Już pomijając to, że mogłem mu zrozumieć wielką chęć tego wyjazdu z dziewczyną pod namiot, to nie mogłem zaakceptować tego, że nie chce skorzystać nic z tego co chciałbym mu przekazać z mojego doświadczenia lekarskiego. Tyle rzeczy nie jest opisanych w książkach. Albo są opisane w taki sposób, że trudno zorientować się, które są naprawdę ważne. Relacje mistrz i uczeń ciągle jest niezastąpiona. Bezpośredni przekaz tego czego sam doświadczyłem jest najlepszą formą nauki. Nie jeden raz zapłaciłem własną skórą, o skórze pacjenta nie wspomnę za brak doświadczenia. Wówczas przyszło mi do głowy, że być może w przypadku jakiegoś splotu okoliczności to właśnie od niego będzie zależało zdrowie a może i życie mojej wnuczki lub wnuka, których jeszcze nie mam. Ale przecież będę miał, jak sądzę. Chciałbym aby były bezpieczne kiedy znajdą się pod jego opieką. A tak może się zdarzyć. Nie podpisałem.

Proces o zaprzeczenie macierzyństwa

Jak sądziłem dotychczas możliwe są tylko procesy o zaprzeczenie ojcostwa, ale o zaprzeczenie macierzyństwa? Niewiarygodne, a jednak. Jedna Pani wyjechała do Niemiec i tam urodziła dziecko dla innej kobiety na jej dokumenty. Ta inna kobieta po jakimś czasie i z jakichś powodów chciała zrezygnować z tego dziecka ale musiała w sądzie zaprzeczyć swojemu macierzyństwu. Taka sprawa musi mieć epilog w sądzie i miała. Odbył się proces o

zaprzeczenie macierzyństwa.

Wytrwałość

Kardynał Stefan Wyszyński powiedział „*Najważniejsze jest zwycięstwo w małym, w czymś niesłychanie małym - nad sobą*”. Oczywiście dopiero znaczna liczba takich zwycięstw pozwala na osiągnięcie sukcesu, na pełne ukształtowanie osobowości, ale zawsze zaczyna się od tego pojedynczego, pierwszego zwycięstwa. To nie jest łatwe ani proste. Szczególnie, żeby wiedzieć jakim chciałoby się być w życiu osobistym, społecznym, zawodowym, artystycznym, naukowym. W moim życiu naukowym zanim odniosę to zwycięstwo muszę usiąść, usiąść i rozpocząć pracę. Dalej już toczy się samo, aż do momentu, w którym Morfeusz ciągnie powieki w dół.

Prezent z zaświatów

Pawełek miał już kilkanaście lat jak go poznałem. Był częściowo sparaliżowany, miał sporo ruchów mimowolnych. Nie chodził i nie mówił. Ale jego Mama doskonale wiedziała co chce powiedzieć. Rozumiała doskonale jego życzenia nie mówiąc o nastrojach. Miał zdeformowaną klatkę piersiową i utrudnioną w związku z tym wentylację. Trzeba było go oklepywać, inhalować, zmienić pozycję, żeby ewakuować wydzielinę z oskrzeli. Miał trudności z koordynacją odruchu połykania i oddychania co stało się groźnym, że się udusi w trakcie jedzenia. Ojca Pawełka nigdy nie widziałem. Natomiast jego

fanami byli Dziadek i Babcia. Pawełek uśmiechał się w sposób całkowicie rozbrajający. Emanowała z niego ufność, dobroć i szczęście. Był szczęściem swojej Mamy i Dziadków. Kiedy był chory odwiedzałem go, badałem i starałem się leczyć. Zwykle udawało się. Kiedy kończyła się wizyta i wychodziłem od Pawełka z domu czułem się jakoś optymistycznie, lepiej, spokojniej i radośniej. Zawsze bałem się, że Pawełek zakrztusi się podczas jedzenia i dojdzie do poważnych powikłań płucnych. Tak się kiedyś stało. Pawełek trafił do szpitala i zmarł z powodu zachłystowego zapalenia płuc. Po jakimś czasie od jego śmierci pojawiła się jego Mama i przyniosła mi prezenty, kawę i czekoladki z alkoholem, takie jakie lubił Pawełek. To od Niego powiedziała. Do zobaczenia Pawełka, pomyślałem, tam.

Andrzejek

Andrzejka kochali wszyscy. Pomimo, że nie mówił, nie chodził i ciężko oddychał, uśmiechał się tak wesoło jak nikt kogo znałem. Był pięknym chłopczykiem, któremu już na starcie życia, tuż przed porodem stało się nieszczęście, odkleiło się łożysko. Przeżył, ale mózg został w jakiejś części bezpowrotnie zniszczony. Był po prostu kochany i słodki. A jego całkowita bezbronność budziła najtkliwsze uczucia. Byłem dwa, może trzy razy w domu jego rodziców z powodu Andrzejka. Później kontakt się urwał na kilka lat. Kiedyś odebrałem telefon z prośbą o wizytę domową. Kiedy dojechałem na miejsce przypomniałem sobie Andrzejka. Jednak powodem mojej wizyty był nowonarodzone dziecko jego siostry. Przez czas rozmowy i badania rozglądałem się w poszukiwaniu Andrzejka. Nie było go. Kiedy

wychodziłem jego Matka zapytała, „szuka Pan Andrzejka”? Jego już nie ma. Ogarnął mnie smutek. Nie mogłem o Nim myśleć jak o kimś nieżyjącym. Poprosiłem jego Mamę „*Kiedy będzie Pani na grobie Andrzejka proszę Go pozdrowić ode mnie, kochałem Go*”. Mama odpowiedziała „*wszyscy Go kochali*”.

Kryvan i Matterhorn

Obie góry są majestatycznie piękne. Mieszkałem u stóp jednej i drugiej. Obie widziałem w pełnym słońcu, w welonie z chmur, w czerwieni zachodzącego słońca, z warkoczem, w sukni. Piękne i potężne, obojętne na to co dzieje się wokół. Pięknie trwają, smagane wiatrem, kąpane w słońcu, niewrażliwe na przeraźliwy mróz, wiatr i noc. W ciągu dnia zmieniały swoje sukienki wiele razy, przebierały się w różne sukienki, chmurki, zmieniały fryzury jak modelki w czasie pokazu mody. Człowiek mimo swojej potęgi technologicznej i osiągnięć artystycznych nie byłoby w stanie zbudować takiej scenerii i dać tak pięknego spektaklu, ale może go oglądać.

Wielki Polsat

Rozmowa z szefowa Fundacji Polsat była dla mnie bez wątplenia dużym przeżyciem. To bardzo miła i dystyngowana osoba a jednocześnie miła i bezpośrednia.

Fundacja Polsat bardzo pomaga dzieciom. Pani Żak-Solorz, ileż Oni dali polskim dzieciom? Chodzi przecież nie tylko o pieniądze. To

jest realizacja idei pomocy innym.

Dzięki Pani Żak-Solorz poznałem red. Iwonę Mackiewicz-Malita. Bardzo miła, o sportowej sylwetce. Tańczyła zawodowo Rock and Rolla. Pomogła mi zrealizować program edukacyjny w Polsce. W Warszawie w związku z nagrywaniem „*Szkoły Mate i Ojców*” byłem dwa razy. Akurat lipiec i ogromny upał, gorące słońce rozgrzało wszystko i wszystkich. Z Dominikowa do Stargardu Szczecińskiego autem, a dalej już Inter City. Makabra! Nowe wagony z klimatyzacją, która kompletnie nie działa a okna z zamiaru konstruktora nie otwierają się. Ja w koszuli po szyję i zawiązanej muszce do programu. Wszystko kręciliśmy w szpitalu na Karowej u prof. Kasi Kornackiej, instynktownie, z aranżowanymi w chwili i na miejscu sytuacjami. Po wszystkim, po kilku godzinach pracy byłem wykończony ale i usatysfakcjonowany, że zrobiliśmy to, że materiał jest nagrany. Wieczorem telefon od red. IMM, że przejrzała materiał i wydaje jej się dobry. Ulga. Nie był to stracony czas.

Pierwszy Surfaktant

Z dr Jackiem Patalanem nieśliśmy ostrożnie ampułkę surfaktantu wartą tyle ile obaj zarabialiśmy w trzy miesiące. Ostrożność podyktowana była napisem na ulotce informacyjnej, żeby nie wstrząsać. Kiedy już byliśmy oswojeni z tym lekiem nie musieliśmy już czynić takich ceregieli, a nawet mieszałyśmy go z wodą, solą fizjologiczną i eksperymentowaliśmy z aerzoloterapią.

Drugi surfaktant

Dziadkowie rolnicy wzięli pożyczkę z banku aby kupić wnuczce ampułkę surfaktantu. Wnuczek nie przeżył. Surfaktant kosztował kilkanaście tysięcy złotych.

Trzeci surfaktant

Uczymy się podawać surfaktant w aerozolu, przez nos. Nie trzeba dziecku wkładać rurki do oskrzeli co zawsze jest poważną interwencją z możliwymi konsekwencjami w postaci przebicia tchawicy w wyniku czego powietrze dostaje się do przestrzeni okalającej serce, uciska płuca i wymaga rozległej operacji naprawczej. Próby takiego nieinwazyjnego podania leku już były podejmowane, ale my mamy swój plan. Podamy lek w dużym rozcieńczeniu, tuż przy nosie dziecka, tak aby jak najwięcej substancji dostało się do płuc. Rurka doprowadzająca będzie skierowana pod odpowiednim kątem również w tym samym celu. Straty leku i tak będą duże, ale to początek. Nowe pomysły pojawią się kiedy praktycznie zaczniemy to stosować. Mały krok do przodu. Ale jak to w nauce, w medycynie bywa suma małych kroków składa się na postęp rzeczywisty. Nie jest to łatwe. Amerykanie próbują coś na kształt małych silniczków odrzutowych nadających skuteczną prędkość początkową aerozolowi. Czy się uda?

Czwarty surfaktant

Zwykle nie podaje się czwartej dawki. Jeżeli trzy będą nieskuteczne to dlaczego czwarta dawka miałaby pomóc? To był duży wcześniak. Rodzice bardzo zaangażowani, kochający i bardzo chcieli tego dziecka. Szło jak po grudzie. Leczenie sobie a pacjent sobie. Płuca za nic nie chciały się skutecznie wentylować. Nie mieliśmy ani wentylacji oscylacyjnej, ani urządzenia do podawania tlenu azotu. Wentylacja oscylacyjna mogła zapewnić dziecku wymianę gazową bez używania dużych ciśnień, a tlenek azotu mógłby skutecznie rozszerzyć naczynia krwionośne w płucach i uruchomić skutecznie krążenie krwi wokół pęcherzyków płucnych. Czwarta dawka surfaktantu była więc aktem rozpacz i niemocy. Nie pomogła. Dziecko zmarło. Już nigdy nie widziałem jego rodziców ponownie i nie wiem jakie są ich dalsze losy. Ale przypomina mi się ta historia ilekroć patrzę na radio, które przynieśli aby ich dziecko mogło słuchać muzyki przyniesionej z domu. Coraz ciężiej i bardziej świadomie znoszę porażki.

Wielcy łagodni

„Człowiek łagodny i obcym uprzejmy dowodzi, że jest obywatelem świata” Francis Bacon. Kto zna swoją wartość, jest łagodny w obejściu. Kto wyznaje zasadę, że sukces jest konsekwencją pracy a nie celem, jest spokojny. Wszystko przyjdzie, wszystko można osiągnąć konsekwentnym dążeniem. Do wielkich łagodnych zaliczam wielu przyjaciół, których nazwisk nie wymienię tylko dlatego, że boję się kogoś pominąć.

Małe, Wielkie wcześniaki

Johannes Kepler urodzony w 1571 roku żył 59 lat. Jego IQ szacowano na 160 punktów. Urodził się w siódmym miesiącu ciąży i był słabego zdrowia na ciele i na umyśle. Wyzdrowiał i został sławnym matematykiem i astronomem.

Isaak Newton brytyjski astronom urodzony w 1624 roku żył 85 lat. Jego IQ szacowano na 170 punktów. Przy porodzie ważył 1400 gram. Żył ale miał zaburzenia oddechowe. Myślano, że umrze. Jednak przeżył i został jednym z największych geniuszy nauki na świecie.

Francois Marie Arovet De Voltaire urodził się w 1694 roku. Żył 84 lata. Jego IQ szacowano na 180 punktów. Był tak chory po porodzie, że natychmiast go ochrzczono. Nie gwarantowano mu przeżycia. Miał nie przeżyć godziny.

Samuel Johnson Wolfgan Gothe. IQ 200. Żył 75 lat. Thomas Hardy urodzony w 1840 roku. Żył lat 88.

Pablo Picasso był reanimowany po porodzie.

Franklin Delano Roosevelt urodzony z masą ciała dwa kilogramy był reanimowany, miał zespół zaburzeń oddechowych.

Anna Pawłowa primadonna była wcześniakiem. Słaba po porodzie, została otulona w wełnę.

Wolfgang Amadeusz Mozart nie był karmiony piersią tylko wywarem z pszenicy co obala fakt, że najlepszym pokarmem dla noworodka jest mleko jego matki.

Wielcy z zaburzeniami rozwoju

Robert Schumann 1810-1856 rozpoznanie, mental disorders.

Gorge Bernard Shaw 1856-1950 learning disability.

Sokrates 470-399 przed narodzeniem Chrystusa chorował na epilepsję.

Sting urodzony w 1957, mental disorders.

Czajkowski Piotr 1840-1893 był epileptykiem.

Juliusz Verne 1828-1905 learning disability.

Bruce Willis urodzony w 1955 roku speech impairment.

Steve Wonder urodzony w 1950 roku niewidomy.

Podobnie Ray Charles.

Neil Young urodzony w 1945 roku chory na epilepsję.

Tę listę można ciągnąć jeszcze długo. Ale już to wystarczy aby nie brać zbyt serio proroczych prognoz niektórych lekarzy w rodzaju „*będzie się źle rozwijał*”. Natura ma wielkie możliwości naprawiania szkód, a niektóre z nich są dla nas ciągle tajemnicą.

Mniejsze od najmniejszych

Na piętnastym międzynarodowym sympozjum intensywnej terapii noworodka w San Remo, mieście festiwali i kąpielisk na Rivierze Włoskiej przedstawiono raport o dzieciach urodzonych z masą ciała poniżej pięćset gram. Najmniejsza na tej liście jest dziewczynka z masą ciała dwieście osiemdziesiąt gram, długości dwadzieścia pięć centymetrów, urodzona przez trzydziestosześcioletnią matkę w dwudziestym szóstym tygodniu

cięży cięciem cesarskim w Loyola University Medical Center, Illinois USA. Jajczkowanie w okresie poczęcia było indukowane lekami, a nasienie męża wprowadzono bezpośrednio do macicy. W dziesiątym tygodniu ciąży stwierdzono ciążę trojaczą. Ze względu na złą prognozę takiej ciąży, za zgodą matki zredukowano liczę płodów do jednego. Po porodzie dziecko otworzyło oczy i krzyczało. Jednak ze względu na inne okoliczności, jak mała masa ciała, słabe mięśnie oddechowe przez pierwsze sześćdziesiąt pięć dni stosowano wsparcie oddechowe przy pomocy respiratora. Karmiona była dwoma cewnikami umieszczonymi w żołądku i naczyniu krwionośnym. Dziewczynka chorowała na infekcję grzybiczą, poddana była operacji siatkówki oka. Wypisano ją do domu w czterdziestym czwartym tygodniu życia z masą ciała tysiąc dziewięćset gramów i długości czterdzieści jeden centymetrów. W końcu pierwszego roku życia osiągnęła wagę czterech kilogramów trzystu dziewięćdziesięciu gram i długość sześćdziesiąt jeden centymetrów. W końcu drugiego roku życia osiągnęła masę pięciu kilogramów i sześćuset siedemdziesięciu pięciu gram przy długości siedemdziesiąt jeden centymetrów. Rozwijała się prawidłowo zarówno ruchowo jak i psychicznie. Inną „rekordzistką” była trzystu dziewięćdziesięciogramowa dziewczynka urodzona w dwudziestym piątym tygodniu ciąży w Children’s Hospittal w Aram (Szwajcaria). Po dwóch latach życia jej rozwój był również prawidłowy.

Te najmniejsze mogą być skrajnie niedojrzałe i trochę bardziej dojrzałe jak w przypadku bliźniaków w brzuchu matki urodzonych w

29 tygodniu ciąży z których jeden ma masę ciała 900 g a drugi 450 g. Ten większy „objadał” tego mniejszego w brzuchu matki. Mniejszy wgląda jak krasnal, ma pociągłą, wysuszoną twarz starca, pomarszczoną. Trochę szokujące. Przydomek „Krasnal” wziął się też z powodu czapki, która jest dla niego za duża i opada mu na oczy uwydatniając haczykowaty nos. Na dodatek jest strasznie szczupły. Zrobiłem zdjęcia, na których pod pachą trzyma długopis niewiele mniejszy od niego.

Jest taka piękna i dynamiczna piosenka Aerosmith „On the edge” w jakimś stopniu oddająca emocje towarzyszące walce o przetrwanie o macierzyństwo i ojcostwo w przypadku narodzin takich maciupkich „na krawędzi życia”.

Monika

No Monika to naprawdę duża dama. Zdolna i pracowita i piękna. Uratowała wzrok wielu noworodkom. Działa już nasze centrum regionalne leczenia retinopatii. Wszyscy się przyzwyczaili i wszystko działa coraz lepiej i sprawniej. Monika ma mocny charakter i jest wytrwała. Ostatnio jak zwykle byłem z wcześniakiem przy operacji. Był słaby ten wcześniak. Co dostał trochę gazu znieczulającego to zwalniało mu serce i spadał poziom tlenu we krwi. A zmiany w oczach miał tak duże, że była to operacja naprawdę ratująca wzrok. Dr Ania Wolak starała się jak mogła ale była bliska przerwania znieczulenia. Sytuacja stawała się beznadziejna. Wówczas powiedziałem, że nie mamy nic do stracenia. Będzie ślepe jeżeli nie skończymy operacji i zaproponowałem znieczulenie dożylnie, może

nie tak skuteczne jak wziewne ale chodzi o całe życie. Ania i Monika podchwyciły propozycję i w niecałe dwadzieścia minut było po operacji. Ból dziecka musiałem uciszyć w swoim sumieniu. Siatkówki przykleiły się znakomicie. Monika mówi, że duża w tym moja zasługa. Miło mi, że chociaż tyle mogłem pomóc. Monika już obroniła kolokwium habilitacyjne. Czeka ją kariera naukowa i akademicka. Ratuje wzrok coraz mniejszym wcześniakom. Wszystko jej się uda czego jej życzę.

Najmłodsze i najstarsze Matki

Najstarsza bodajże w wieku 65 lat zapłodniona *in vitro* jajczkiem swojej córki i plemnikiem swojego partnera. Najmłodsze mają po 13 lat, może niecałe! W obu przypadkach sytuacja nie jest najlepsza, nie jest naturalna. Starsza Pani świetnie wygląda z tym dzieckiem. Oczywiście rozumiem, że może z jakiś powodów chcieć dziecka, ale musi mieć świadomość, że osieroci je prawie jeżeli umrze w wieku 75 lat. Jak trzynastoletnie dziecko poradzi sobie z wychowaniem dziecka? Nie wiem. Cechą ludzkości jest dążenie i przekraczanie nie takich barier. Jak już zapracowane skrajnie młode kobiety i całkowicie zajęte własną karierą przestaną rodzić może zbudujemy sztuczne macice i założymy plantację płodów. W każdym razie nad sztuczną macicą prace trwają.

Co mogą przekrobać studenci?

Oj mogą, mogą! Wszystko zaczęło się o piątej po południu. Zadzwoniła sekretarka JM Rektora. Otrzymałem propozycję funkcji rzecznika ds. dyscyplinarnych studentów. Nie chciałem odmówić. Rektorowi się nie odmawia. W kilka dni później byłem w budynku rektoratu na egzaminie doktorskim. Tuż przed jego rozpoczęciem poprosił mnie do siebie jeden z kierowników zakładu PAM. Miał problem ze studentką, która przedstawiła zaświadczenie o niemożności odbycia zajęć. Zaświadczenie jak zaświadczenie. Normalny druk, czerwona pieczętka, podpis niebieski, dane personalne studentki się zgadzają jak i data. Tylko, że doktor, który wystawił to zwolnienie już od kilku lat nie żył. Na dodatek był znajomym kierownika zakładu, do którego trawiło to zwolnienie. Okazało się, że na czarnym rynku można kupić wszelkie druki zaświadczeń lekarskich kopiowane laserowymi drukarkami, na kolorowo, które wyglądają jak oryginały. Ta studentka dysponowała drukami od trzech lekarzy. Wybrała dla siebie niefortunnie tego, który zmarł. Musiała oczywiście przejść całą procedurę dochodzenia i w uczelni i w prokuraturze. Napłakała się strasznie. Straciła też chłopaka, który podsunął jej pomysł posłużenia się sfalszowanym zaświadczeniem. I po co to wszystko? Mogła przyjść i umówić się na następny termin.

Inny student „*strzelił z byka*” kolegę a po tym „*kropnął go z Baśki*” za to, że upomniał się o krzesło dla koleżanki. Trzeba było przesłuchać całą niemal grupę studencką. Trwało to długo. Przy okazji tych przesłuchań mogłem poznać tajemnice grupy studenckiej, jej

polaryzacje a także poglądy, sposób wysławiania się młodych ludzi na ten sam temat. Naprawdę nic nie musi być takie jakie się wydaje na pierwszy rzut oka. Czego tam nie było w tych zeznaniach. Momentami wydawało się, że to nie On walnął Kolegę, ale Kolega walnął jego! Na dodatek wszystko poszło do prokuratury z urzędu. Student zdaje końcowe egzaminy, za kilka dni będzie lekarzem. Na dodatek chce pracować na uczelni! A w papierach może mieć, że jest karany! Po co mu to było?

Kolejna gwiazda chciała ukraść test z angielskiego. A nie musiała tego robić bo bez problemu zdałaby go samodzielnie. Napłakała się, nie przespała iluś tam nocy. Po co to Jej było?

Na szczęście nikt nie wyleciał ze studiów. Było i skończyło się bez większych ofiar. Ale wiem, że mamy już dwoje następnych. Jeszcze tylko nie wiem co przeskrobali? Może wywalili lodówkę z czwartego piętra, mieli szczęście, że nikomu na głowę nie spadła.

Szkoła Zdrowia

Dzisiaj miałem wykład otwarty w Zamku X. Pomorskich „*Muzyka a Medycyna*”, a Maestro Ryszard Dziubak dał wspaniały koncert muzyki afro i kubańskiej na cztery dżemby, dwa konga i parę dodatkowych ciekawych instrumentów perkusyjnych. Grał Piotruś, Edyta, Berenika, Paulina i Rysiu Dziubak. Przed koncertem poinformowaliśmy widzów, około stu studentów uniwersytetu trzeciego wieku, że jeżeli dla kogoś będzie zbyt głośno, lub nie będzie mu się podobało nie będzie urazy jeżeli opuści salę Anny Jagiellonki. Nie wyszedł nikt, natomiast „*wyszedł z siebie*” Maestro. To był

piękny, przemyślany, niezwykle muzyczny, wręcz melodyjny koncert na instrumenty perkusyjne, Znacznie różnił się od koncertów na bębnach jakie dotychczas słyszałem. Wszyscy byli urzeczeni, czuli się znacznie lepiej. Rytm pobudził w nich siły witalne. A o to chodziło!

„Złoto” został Tata

Zima chociaż to rzadkość w Polsce to piękna. Od kilkunastu dni pada śnieg, mróz umiarkowany, biało, wszędzie biało. W styczniowy, weekend w Teatrze Starym w Krakowie miało odbyć się wydarzenie naukowo artystyczne w wykonaniu Rysia Lauterbacha profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i Janusza Benedykta Książyka profesora Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie a także X i Y w przedstawieniu Niebieska Sukienka. Zima stwarza problemy komunikacyjne. Nie miałem ochoty spędzić dziesięć godzin w pociągu, zapewne spóźnić się na spektakl i wracać kolejne dziesięć godzin do Szczecina. Pomyślałem sobie, że polecę samolotem, chociaż jest to drogo. Poza tym miałem nadzieję wrócić do domu wczesnym popołudniem i spędzić go z Małgosią, Pawłem, Zwierzętami, w Domu. Tak przy okazji coraz więcej wyrazów chcę zaczynać dużą literą, coraz więcej osób, zwierząt, rzeczy i wydarzeń ma dla mnie wartość większą niż dotychczas. Ale wracam do tego samolotu. Wieczorem poszliśmy z Małgosią do gabinetu, wypiliśmy po piwku, spakowałem się i położyłem spać. Zadzwoił budzik w Małgosi telefonie. Zerwałem się na równe nogi, założyłem szlafrok, kożuch i poszedłem z Cedrą na spacer. Kiedy wróciłem Małgosia nie mogła powstrzymać śmiechu. Ona też wstała, zrobiła kawę i zaczęła

odgrzewać dla Cedry jedzenie. Spojrzała na zegar, była godzina pierwsza czterdzieści, środek nocy. To nie był budzik tylko sms od Marty, że Czesio Złotnik został ojcem. Wiadomość jak na bardziej radosna, warta jakiejś celebracji, może niekoniecznie w postaci spaceru w mroźną noc. Co było zrobić, wypłem kawę i na powrót położyłem się spać, aby o szóstej rano wstać i o porannym prysznicu pojechać na lotnisko w Goleniowie. Małgosia nie mogła jednak od razu przedłużyć snu w sobotni poranek ponieważ Cedra nocny spacer zaliczyła do wczorajszych i energicznie domagała się porannej zaprawy łącznie z ciepłym posiłkiem. Dopiero po tym Małgosia mogła zrealizować marzenie o przedłużonym śnie sobotnim. Do Krakowa z międzylądowaniem w Warszawie dotarłem z dwugodzinnym opóźnieniem ale i tak miałem czas aby się wykąpać, ubrać smoking i bez pośpiechu zdążyć do teatru na imprezę. Po drodze idąc ulicą św. Tomasza mijalem antykwariat jak z filmu Hary Potter. Drewniane odrzwia i okiennice, do połowy niemal spuszczone stalowa roleta a wewnątrz książki i ryciny, kontuar całkowicie założony książkami, które przeglądał w wielkim skupieniu, odcięty od świata księgarz w fartuchu z czarnego gładko lśniącego i błyszczącego materiału z jakiego szyte były szkolne mundurki. Był niewysoki, o dużej głowie, niewielkiej łysinie, w okularach i wzroku utkwionym w otwartej książce. Cofnąłem się by uważniej przyjrzeć się temu. Nie podniósł wzroku, czytał. Czas i słowa jak zaklęte trwały nieruchomo. Poszedłem dalej. Kiedy w kilka godzin później wracałem do hotelu antykwariat wypełniony ciemnością spał, sprawiał wrażenie grobowca

jakiegoś, ale przecież życie z niego nie uszło całkiem i pewnie w poniedziałek ożyje. Wieczór w teatrze dał mi pojęcie o tym czym sztuka może być i o tym, że medycyna bez historii i filozofii jest niemiedycyną. Warto było przyjechać, żeby sobie to uświadomić. Spektakl teatralny nie odbył się albo odbył, nie wiem bo do 10 wieczorem pociąg z aktorką jeszcze nie dotarł. Wracalem, padał deszcz, niewiele mi przeszkadzał, w drodze powrotnej rzuciłem ukradkiem spojrzenie na śpiący antykwariat, taki tam spokój był, którego nie ma we mnie. W pokoju hotelowym szybko usnąłem. Rano śniadanie i rozmowa z koleżanką z Poznania, która cieszy się aktualnie miłością na odległość po własnym rozwodzie z mężczyzną na odległość. Na lotnisko dotarłem znacznie przed czasem. Samolot opóźnił się na początek piętnaście minut, później kolejne trzydzieści, a kiedy poprosili nas na pokład to musieliśmy go wkrótce opuścić, ponieważ zepsuł się rozrusznik jednego silnika. Dalej potoczyło się standardowo, przebudowane bilety na dzień następny, hotel i wszystko od nowa. Hotel był w Tyńcu. Piękne opactwo benedyktynów, spotkanie z Filipińczykiem z Chicago, zupa z dzika, ryba dorada, piwo, PC...

Opowieść Wigilijna

Urodziłem się w Wigilię, w samą gwiazdkę, w dzień czuwania poprzedzający Boże Narodzenie. Do terminu porodu było jeszcze daleko, chyba dwanaście tygodni, ale z bliżej nie znanych mi

powodów odeszły wody płodowe i czułem, że kończy się bezpowrotnie mój dobrobyt. W brzuchu Mamy było tak cicho, wygodnie, miękko, ciepło, mogłem spać do woli, nie czułem w ogóle głodu. Życie nie wymagało ode mnie żadnego wysiłku. Wszystko wokół mnie było przyjazne i bezpieczne. Czasami mój dom wraz ze mną zaczynał się kołysać. Bardzo mi się to podobało. Często słuchałem muzyki dobiegającej z oddali. Bardzo lubiłem „My Funny Valentine” Lorenza Harta i Richarda Rodgersa w wykonaniu Chet Bakera. Grał na trąbce w taki sposób, że słychać było jego oddech wraz z dźwiękiem instrumentu. Śpiewał bardzo nastrojowo, potrafił trzymać frazę w nieskończoność i zakończyć ją w najbardziej odpowiednim momencie. Na dwa tygodnie przed porodem Frank Sinatra niemal bez przerwy śpiewał nastrojową „*White Christmas*” i tym swoim matowym głosem śpiewał *Im dreaming of a white Christmas* po czym odzywały się dzwoneczki. Ta piosenka też mi się podobała. Pomyślałem wówczas, że po tamtej stronie brzucha musi być fajnie. A w brzuchu robiło się coraz ciaśniej. *Via* moja Mama dostałem hormony, sterydy nadnerczowe, żeby szybciej dojrzewały moje płuca i były gotowe do podjęcia samodzielnego oddechu kiedy się urodzę. Wkrótce pojawiły się objawy infekcji, która zagrażała nie tylko mnie ale i mojej Mamie. Lekarze postanowili zakończyć ciążę i na kolejny dzień wyznaczili elektywne cięcie cesarskie. Moja ostatnia noc w brzuchu Mamy nie należała do spokojnych. Martwiłem się o nią, sam też nie czułem się najlepiej, czułem kompletny brak siły, serce biło mi szybko i niespokojnie. Byłem ciekawy świata

zewnątrznego a jednocześnie obawiałem się tego co tam nastąpi. Nie byłem pewny czy sobie poradzę. Nie byłem zbyt duży ani silny. Dobrze, że nie mieszkałem dwa i pół tysiąca lat temu w greckim Peloponezie, w pobliżu pasma górskiego Pamon i Tajget wysokiego na ponad 2 400 m nad poziom morza. Jak pokazali w filmie „Trzystu Spartan” Zacka Snydera za sam fakt, że jestem taki maciupki mogliby mnie spuścić ze skały na sam dół. Następnego dnia o dziewiątej rano rozpoczęło się cięcie cesarskie. Zorientowałem się po tym jak intensywne światło rozjaśniło półmrok wokół mnie. Warstwa po warstwie położnicy zbliżali się do mnie. Robiło się coraz głośniejsze i coraz jaśniejsze. Wreszcie przecięli ostatnią powłokę i oślepiło mnie światło. Ktoś chwycił mnie za głowę, wykonał mną parę ruchów wahadłowych i wyciągnął na brzuch Mamy. W chwilę później poczułem przenikliwie zimno na plecach, głowie i nogach. Trwało to na szczęście krótko, położna okryła mnie ciepłą chustą i osuszyła i położyła w inkubatorze otwartym. To było dobre, poczułem się jak na gorącej, słonecznej plaży w Santa Monica w Kaliforni. Ale nie wszystko było takie piękne. Miałem problem z oddychaniem. Ktoś to zauważył i zaczęło się odsysanie przez nos. Mało przyjemne, szczególnie kiedy sonda dochodzi do gardła. Wtedy nie wiadomo co robić oddychać, czy wymiotować? Zacząłem krzyczeć i zaraz dali spokój sobie z tym odsysaniem. W chwilę po tym dostałem ciepłutki, miękki ręcznik. To było coś, naprawdę. Chwilę po tym wylądowałem na piersiach Mamy. Całowała mnie, śmiała się i płakała i wciąż powtarzała Kochany mój Syneczku, mój Ty Kochany Syneczku.

Bardzo się wzruszyłem. Długo to nie trwało i wkrótce jechałem w inkubatorze transportowym na oddział intensywnej terapii noworodków. Na miejscu zaczęło się od założenia dojścia dożylnego. Przyjemne to nie było. Jeszcze jedno nakłucie żyły, posiew krwi i kilka innych badań. Po tym na chwilę zapanował względny spokój. Chciałem odpocząć ale nie mogłem, byłem zbyt podekscytowany nową sytuacją. Cały czas był przy mnie Tato. Słyszałem jego głos. Wreszcie zmęczony zasnąłem. Wkrótce jednak obudziłem się i poczułem, że jest mi duszno. Słyszałem, że w badaniu gazometrycznym krwi mam kwasicę oddechową, za duży poziom dwutlenku węgla, do tego jeszcze wysiłek oddechowy i potrzebne mi będzie wsparcie oddechowe. Na początek założyli mi do nosa dwie rurki i zastosowali wentylację przez nos. Zaleta była taka, że nie musieli mi wkładać rurki do tchawicy. Niestety ten mało inwazyjny sposób sztucznego oddychania nie był zbyt przyjemny przez to, że miałem ciągle podrażniony nos a w konsekwencji okazał się mało skuteczny. Poza tym na zdjęciu radiologicznym płuc pojawiły się objawy zespołu zaburzeń oddechowych. Głównym powodem powstania tej choroby jest brak substancji rozprężającej płuca, surfaktantu. Można go podać tylko przez rurkę dotchawiczą bezpośrednio do płuc. Zatem sprawa zastosowania respiratora została przesądzona. Przed intubacją dostałem dożylnie leki znieczulające. Ale i tak intubacja nie była bezbolesna. Najgorsze jednak było podanie surfaktantu do płuc. Myślałem, że się utopię, zalało mi płuca całkiem. Jednak w około pięć minut później mój oddech stał się

znacznie lżejszy. Trochę kłóciłem się z respiratorem. Na szczęście była to inteligentna maszyna, która potrafiła dostosować się do mojego rytmu oddychania. Wszystko było widać na ekranie komputera, mój oddech, pracę respiratora i efekty naszych wspólnych wysiłków. Jakoś nam razem szło. Jednak Mój zespół zaburzeń oddychania nie dawał za wygraną i musiałem dostać surfaktant jeszcze raz. Później było już coraz lepiej i lepiej. Ciągle jednak nie mogłem oddychać samodzielnie. Któregoś dnia lekarz i pielęgniarka zaczęli rozmawiać o tym, że Mama mogłaby już mnie kangurować. W przyrodzie kangury, miśki coala, dydelfy i wombaty rodzą dzieci w stanie embrionalnym, wkładają je do torby i tam odbywa się ich dalszy rozwój. Dla mnie to było dopiero przeżycie. Leżałem w cieplarni, unieruchomiony przez igły, cewniki, elektrody i rurkę tkwiącą w mojej tchawicy. Kilka razy dziennie położne przekładały mnie z pleców na brzuch, puszczały mi muzykę z płyt CD. Mama lub Tata wkładali ręce do inkubatora, głaskali mnie i masowali. Nie było ogólnie źle. Ale tego dnia położna otworzyła klapę inkubatora i zaczęła wyciągać mnie na zewnątrz. Nie wiedziałem do czego zmierza. Bałem się utraty mojego bezpiecznego gniazda i bałem się otwartej przestrzeni poza inkubatorem, która była jak przepaść. Ale położna bezpiecznie i wprawnie przeniosła mnie na piersi Mamy i przykryła kołdrą. Byłem oszołomiony. Było tak miękko, Mama pachniała znajomo, było ciepło, a na dodatek bardzo przyjemnie kiedy zaczęła głaskać mnie po plecach. Miałem ochotę ssać jej pierś ale jak to zrobić skoro mam w ustach trzymilimetrowej średnicy rurkę. Ale i

tak było odjazdowo, wkrótce zapadłem w sen. Spałem głęboko i czułem się całkiem bezpieczny. Byłem też szczęśliwy. I tak było już codziennie. Wkrótce kangurował mnie także Tata, chociaż czułem, że nie przyszło mu to łatwo. Oddychałem coraz lepiej ale ciągle potrzebowałem pomocy respiratora i dodatkowej porcji tlenu. Szczególnie gdy męczyłem się przy karmieniu. W drugim tygodniu zacząłem mieć kłopoty ze wzrokiem. Po kolejnych konsultacjach okulistycznych zapadła decyzja, że konieczna jest operacja polegająca na przyłożeniu siatkówki do dna oka za pomocą lasera. W czasie operacji wszyscy założyli okulary chroniące przed skoncentrowaną wiązką światła a mnie rozszerzyli na maksa powieki i źrenice. Zanim zaczęła się operacja otrzymałem należytą dawkę gazu znieczulającego i nie czułem specjalnie bólu w czasie zabiegu. Poczułem go za to po operacji. Oczy piekły mnie okropnie, były znacznie obrzęknięte i obolałe. Położne próbowały zmniejszyć ból kładąc na powieki okłady z wilgotnych gazików, ale to przynosiło częściową ulgę, więc dodatkowo trzeba było stosować lek znieczulający, dożylnie. Najgorsza była pierwsza doba, w kolejnych ból już mi tak nie dokuczał a tydzień później wszystko powtórzyło się jeszcze raz i ponownie za dwa tygodnie. Wszystko udało się znakomicie i wiedzę. Widzę Pani nachylające się nade mną, Rodziców, kolorowe światełka migające na urządzeniach monitorach i niebieską przestrzeń nad moją głową gdy robią mi „sztuczną noc” w inkubatorze. Z otoczeniem porozumiewałem się mową ciała i tym co w moim imieniu pisały położne,

np.

„*Śpię proszę nie przeszkadzać*”. Nadal jednak nie mogłem uwolnić się do respiratora. Nie miałem tyle siły aby oddychać samodzielnie. Okazało się, że mam problem nie tylko z niedojrzałymi i chorymi płucami ale także z sercem. U Mamy w brzuchu krew omijała płuca, które w tym czasie odpoczywały i dojrzewały. Krew zaopatrywała się w tlen w łożysku, omijała płuca przez przewód tętniczy Botalla, płynęła do aorty i stamtąd do mózgu, nerek i innych narządów. Po przedwczesnym porodzie ten przewód rodem z życia płodowego nie zamknął się i zaczęły się problemy. Krew z aorty płynęła przez ten przewód i dosłownie zalewała płuca. Utleniona krew, która opuściła płuca zamiast płynąć aortą na obwód do mózgu przez to nieszczęsne otwarte krążenie płodowe znowu wpływała do płuc. Błędne koło. Był konsultant kardiolog, zrobił mi echokardiografię i badanie dopplerowskie. Zaproponował farmakologiczne zamknięcie krążenia płodowego. Neonatolodzy próbowali tej sztuki trzykrotnie, ale efekt nie był zadowalający i zapadła decyzja o kardiochirurgicznej operacji zamknięcia przetrwałego przewodu tętniczego Botalla. Wystraszyłem się tej operacji mocno. Ale perspektywa nieskończonej wentylacji mechanicznej i możliwych jej powikłań jak zwłóknienie płuc przeważyły. Rodzice myśleli podobnie jak ja i podpisali świadomą zgodę na zabieg, ale też byli bardzo wystraszeni. Samej operacji z powodu znieczulenia ogólnego nie pamiętam. Ale to co było później pamiętam aż za dobrze. Czułem się okropnie. Wszystko, mnie bolało! W klatce piersiowej miałem gruby dren, miałem obrzęki, bolał mnie brzuch. Nie mogłem jeść, nie mogłem pić, ani oddychać. Czułem się

fatalnie przez kilka dni. Potem było coraz lepiej, ale ciągle nie potrafiłem sam oddychać. Musiało minąć jeszcze dwa tygodnie zanim stało się to możliwe. Ten dzień dobrze pamiętam. Czułem od kilku dni, że oddech mam głębszy, lżejszy. Potrzebowałem coraz mniej tlenu i coraz mniej sztucznych oddechów z respiratora. W końcu było ich dziesięć na minutę. I nagle nastąpiła cisza. Słyszałem tylko szum powietrza, oddychałem sam, minutę, pół godziny, godzinę. Badania gazometryczne były prawidłowe. Nie gromadziłem dwutlenku węgla, nie było żadnej kwasicy oddechowej. Ciśnienie parcjalne tlenu we krwi było w normie, pulsoksymetr pokazywał 96% tlenu we krwi. W końcu dostałem iniekcję dożylną sterydów i po pół godzinie lekarz wyciągnął mi rurkę intubacyjną z tchawicy. Ale uczucie. Taki swobodny oddech. Myślałem, że najgorsze mam za sobą, jedna w kilka dni później źle się czułem. Nie mogłem jeść. Czułem ogólną słabość i brak siły. Bolała nie głowa, było mi zimno i miałem dreszcze. Znowu gorzej oddychałem. Pobrali mi krew na posiew i badania w kierunku infekcji. Strasznie urosło mi wskaźniki infekcji, białko C-reaktywne, spadły płytki krwi, pojawiło się dużo granulocytów. Dostałem dożylnie antybiotyk i na drugi dzień było już lepiej, ale słyszałem, że to była sepsa. Tak jak szybko się rozwijała, tak szybko po podaniu leków odeszła. Wystarczyło kilkanaście godzin bym poczuł się lepiej. Miałem szczęście, że podali właściwy antybiotyk. Wiem, że prowadzą dokładne badania bakteriologiczne pacjentów, sprzętu, personelu co pozwala podejmować właściwe decyzje terapeutyczne. W końcu przyszła Wielkanoc, Pascha,

Niedziela Wielkanocna, najstarsze i najważniejsze święto chrześcijańskie upamiętniające zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Nastąpiła pierwsza niedziela po pierwszej wiosennej pełni Księżyca. Tego dnia Rodzice zabrali mnie do domu. Ważyłem już dwa kilogramy, potrafiłem sam oddychać i ssać. Wywalczyłem swoją szansę na życie, że tyle osób mi w tym pomogło. Jak powiedział Horatius „*Niczego natura nie daje ludziom bez wielkiego z ich strony trudu*”.

Couvade

Likurgeon był spartańskim hoplitą. Od siódmego roku życia ćwiczył w agoge umiejętności wojownika. Jego żona Mesenaea była piękną kobietą, o mocnej budowie, oczach głębokich jak morze jońskie. Zajęła swoją miłością całe serce Likurgeona. Mesenaea i Likurgeon gospodarowali i w swoim kleroj, które otrzymali od króla wraz z helotami. W zamian Likurgeon miał być w stałym pogotowiu bojowym. Mesenaea zaszła w ciążę. Pierwsze objawy jakie się pojawiły zaniepokoiły mocno Likurgeona.

Camelot Vogt jak każdego ranka wyruszył do pracy w swoim Bank of New York Mellon przy Barclay Street na Manhattanie. Nie miał daleko, mieszkał przy Bay Ridge Av i dojeżdżał linią R metra od strony południowej. To imię Camelot było powodem do dumy gdyż było wspomnieniem zamku Camelot i rycerzy okrągłego stołu. Czasami imię było przedmiotem żartów kolegów w rodzaju”*Came-a-*

lot trouble and sandwiches for everybody". Chciałby być rycerzem jak legendarny król Arthur, ale jak tu być rycerzem pracując w banku? Przeważnie motywował klientów standardowymi tekstami w rodzaju; „*We focus on you priorities*”, lub, „*We offer expertise, speed and ease of set up..auction or offer special agency services you May require*” etc. Gość słuchał i te generalia pasowały mu do wszystkiego w jego życiu, interesach, przyszłości i teraźniejszości. Jak być rycerzem w takiej sytuacji kiedy jest się obowiązkowo ubranym w szary garnitur, niebieską koszulę, wytonowany jedwabny krawat, czarne pantofle, czarne skarpetki, płaszcz w kolorze stalowym, w jednym ręku trzymając czarną skórzana teczkę, a w drugim obowiązkowego *New York Times*. Włosy krótko przystrzyżone, wzrok pełen empatii dla rozdrażnionych klientów, ostatnio coraz bardziej ponieważ na rynku zaczął szaleć kryzys.

U Likurgeona wraz z cięża Mesaenaei pojawiły się wymioty, łaknienie do jednych pokarmów a niechęć do innych. Kiedy jadł z Mesenaeą posiłki zaczął zachowywać się podobnie do żony. Smakowały mu pikantne, mocno przyprawione a do innych czuł wyraźną niechęć. Raz czy drugi uważnie przyjrzał się swojej skórze napiętej na rozległych, twardych mięśniach. Przystrajał się w paciorki, kolorowe szaty. Pomimo codziennych ćwiczeń wojownika lekko przytył. Jednocześnie ogarnął go niepokój o losy rodziny. Ciągłe toczyły się wojny. Co prawda czuł w sobie siłę i pewność nieustraszonego wojownika wspieraną obecnością innych Spartan tworzących falangę w czasie walki. Kiedy jednak myślał o Rodzinie

tej pewności siebie zaczynało mu brakować. Co będzie jeżeli zginie w wojnie, kto zapewni opiekę i bezpieczeństwo Meseaenie i ich dziecku? Zaczął gromadzić zapasy suszonych owoców i mięsa.

W Nowym Yorku kryzys na rynku bankowym zaczął się znacznie wcześniej ale teraz objawił się z całą siłą. Nieograniczona konsumpcja doprowadziła do zadłużenia obywateli, instytucji i państwa. Banki dawały kredyty nawet bezrobotnym, którzy ich oczywiście nie mogli spłacić. Spekulacje na rynku kredytów hipotecznych w USA stały się powszechne. Amerykańskie banki zaczęły udzielać kredytów hipotecznych na znacznie łagodniejszych zasadach niż w przeszłości, zwiększając udzielane sumy oraz wymagając mniejszych zabezpieczeń. Zaczęły emitować obligacje używając tych kredytów hipotecznych jako zastawu zakładając, że te kredyty zostaną spłacone. W pewnym jednak momencie okazało się, że liczba złych kredytów zaczęła gwałtownie rosnąć, na co niemały wpływ miało także pęknięcie bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości w USA oraz dramatyczny spadek wartości mieszkań i domów. Osoby, które znalazły się w kłopotach finansowych i nie były w stanie spłacić zadłużenia hipotecznego starały się pozbyć swoich domów aby zwrócić bankom pieniądze, jednak przez gwałtowną utratę ich wartości pieniądze jakie właściciele otrzymywali za te domy starczały na pokrycie tylko części zadłużenia. W związku z tym załamał się nie tylko rynek kredytów hipotecznych, ale także banki oraz fundusze inwestycyjne znalazły się w kłopotach, gdyż zainwestowały spore pieniądze w obligacje, których zabezpieczeniem

były właśnie kredyty hipoteczne. Ponieważ większość operacji na rynkach finansowych obecnie polega na transferach kapitału a nie na inwestowaniu w np. nowe miejsca pracy czy technologie skutki zaczęli odczuwać wszyscy. Dopiero wpompowanie 700 miliardów dolarów podatników w system bankowy zahamował katastrofę, ale Camelot stracił pracę jak wielu innych.

Kiedy Meseanea urodziła córkę zadrżał czy aby nie będzie kaleka i czy gremium starców nie podejmie decyzji o porzuceniu dziecka w górach. Tak się jednak nie stało. Wkrótce Sparta została zagrożona. U jej wrót stanęli Persowie. Był rok 480 r. p.n.e. Na podbój Grecji wyruszył następca Dariusza I, Kserkses. Droga na południe kraju wiodła przez Termopile, wąski na zaledwie 40 metrów przesmyk lądu, wciśnięty między góry a brzeg morza. Tam przygotowali się do obrony greccy wojownicy, pod wodzą króla Sparty, Leonidas. Miejsce było dobrze wybrane, na ograniczonej przestrzeni napastnicy nie mogli wykorzystać przewagi liczebnej. Znalazł się jednak wśród Greków zdrajca, który przeprowadził oddziały perskie na tyły obrońców. Wówczas armia grecka, wzięta w dwa ognie, wycofała się na południe. Na placu boju pozostało 300 Spartan, wśród nich Likurgeon. Prawa jego kraju i honor wojownika zabraniały mu ucieczki. Rozpoczęła się nierówna walka. Gdy obrońcom połamały się włócznie i miecze, bronili się gołymi rękami. Polegli wszyscy. Likurgeon walczył do końca w obronie dużej ojczyzny, i Sparty i w obronie małej ojczyzny, którą w jego przypadku była Mesenaea, córeczka Loraila i dom.

Camelot byłby popadł w depresję po utracie pracy, ale myśl o żonie i nienarodzonym dziecku generowała w nim wolę walki. Na dodatek po porodzie wystąpiły u Lionela trudności oddechowe. Okazało się, że w płucach było sporo płynu owodniowego w ciągu kilku dni dopóki się nie wchłonął i nie ewakuował na zewnątrz trzeba było monitorować elektrodą Clarka poziom tlenu i dwutlenku węgla a przez kilka godzin oddech wspierany był przez Infant Flow, nową maszynę do wentylacji nieinwazyjnej noworodków. W tym okresie pomimo, że utracił pracę przestało mu na niej całkowicie zależeć. Poczul w sobie siłę hermafrodyty, mitycznego dwupłciowego bóstwa greckiego, był nawet usatysfakcjonowany z tego powodu tym bardziej, że Catherine jego żona dostała pracę w agencji reklamowej. Zlecenia jakie otrzymywała dawały honoraria pozwalające na zatrzymanie obszernego mieszkania przy Cedar street 1256. Na dodatek przejęcie przez Camelota obowiązków ojca pozwoliło na otrzymywanie finansowych subsydiów od byłego już pracodawcy. Został prawdziwym tatusiem i poszedł na urlop macierzyński czy raczej tacierzyński.

Miłość do dziecka i żony jest w stanie uczynić z mężczyzny rycerza. W przypadku Likurgeona z wojownika stał się rycerzem legendą, obrońcą małej i dużej ojczyzny w walce z Persami. Camelot został natchniony duchem rycerza okrągłego stołu Króla Artura, kiedy wypełnił misję Ojca wobec Lionela Vogta swojego syna, pomimo panującego kryzysu ekonomicznego i utraty pracy.

Prof. Tadeusz Sokołowski i polski Szpital Wojenny w Casamassima

Casamassima jest małym miasteczkiem na południu Włoch, w prowincji Puglia. Przy wjeździe do miasta od strony Bari po lewej stronie widać cyprysy okazałe stojące jak żołnierze w czworoboku. Otaczają cmentarz polskich żołnierzy potocznie zwany il cimitero polacco. Znajduje się na nim około 430 grobów. Najbardziej "włoski" w charakterze, ozdobiony drzewostanem typowym dla tego regionu śródziemnomorskiego leży między otaczającymi go winnicami. Casamassima leży niedaleko Bari, miasta królowej Bony. Polaków do dzisiaj wspomina się tutaj żywo i z wdzięcznością. Wspomnienia dotyczą nie tylko młodych polskich żołnierzy poległych w walkach o Monte Cassino, ale również lekarzy z polskiego szpitala wojennego, który stacjonował w miasteczku w latach 1943-1946. Wiele łączy też łączy to miasto ze Szczecinem przez osobę prof. Tadeusza Sokołowskiego, patrona Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego Nr-1. Operował nie tylko rannych żołnierzy ale również miejscową ludność.

Na cmentarzu znajduje się mogiła Andrzeja Bachledy, groby polskich Żydów tatarskich muzułmanów polskiego pochodzenia, W 1946 roku spoczął tu także legendarny obrońca Westerplatte mjr Henryk Sucharski, który pod koniec życia był dowódcą batalionu strzelców w II Korpusie. Jego zwłoki ostatecznie ekshumowano, ponieważ pragnął być pochowany na Westerplatte.

Włosi dbają o polski cmentarz wojskowy. Od zakończenia II

wojny światowej cmentarzem pieczołowicie opiekują się miejscowe władze. Nekropolia jest bardzo zadbana. Co roku odbywa się tutaj uroczystość za dusze poległych żołnierzy i pamięci o nich. Co roku w dzień Wszystkich Świętych odbywa się tutaj podniosła uroczystość. Na ołtarzu usytuowanym w centrum cmentarza z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej i inskrypcją: „Nie siłą prawa złamani - mężnie i szlachetnie zginęli” odprawiana jest msza za polskich żołnierzy. W tym roku w uroczystości wzięli udział miejscowi notable, burmistrz Casamassima (*sindaco*) Vito de Tommaso i marisciallo Nicola Girolamo.

Cmentarz wizytował w roku 1957 kardynał Stefan Wyszyński, powiedział wówczas: *„Życzę sobie, aby rodziny tych umiłowanych dzieci, którzy walczyli za wolność wszystkich narodów, mogły jak najszybciej przyjechać tutaj i zabrać do ojczyzny radosne wrażenie, którego ja dzisiaj doświadczyłem widząc te zadbane groby z wielką wrażliwością przez włoskich braci. To kawałek Polski gdzie zebrano w oczekiwaniu na wieczne życie 431 najlepszych synów, pamiętanych w modlitwie tych, którzy przez długie lata, w imię bólu, który nie ma granic, zastąpili z żalem matki nie mogące zapłakać nad grobami ich najdroższych”*.

W tym roku w uroczystościach uczestniczył między innymi ambasador Polski w Rzymie Jerzy Chmielewski, były miejscowe władze, gwardia narodowa, policja, carabinieri... Mszę odprawił kapelan Wojska Polskiego ks. mjr Paweł Piontek i ks. Andrzej Wiśniewski, który pełni posługę w szpitalu dla trędowatych.

Pacjentami szpitala są ludzie w podeszłym wieku z zaleconą chorobą.

Dobrym duchem pamięci poległych żołnierzy jest Żaneta Nawrot, Polka, która od kilku lat mieszka w Casamassima. Wzruszył ją los polskich chłopców, którzy walczyli i umierali na włoskiej ziemi. Wspiera i wzbogaca coroczne uroczystości. W ubiegłym roku zaprosiła Grupę Rekonstrukcji Historycznej „Commando” ze Swarzędza. Pojawili się w polskich mundurach na ulicach Casamassima i wzbudzili sensację jak niekłamany zachwyty i sympatię Włochów. Jej najbliższymi współpracownikami są Stefania Castellano i Gianluca Vernole.

Wracając do prof. Tadeusza Sokołowskiego poznałem historię córki cukiernika, która pomagała ojcu w kręceniu ciasta i jej długie, czarne włosy wkręciły się w wirnik maszyny i zerwały część skalpu z głowy. Natychmiast przeniesiono ją do polskiego szpitala gdzie operował ją prof. T. Sokołowski. Po operacji gorączkowała więc zdobył dla niej penicylinę. Wyzdrowiała i ze wzruszeniem wspomina do dzisiaj jego osobę i to co dla niej uczynił. Jest dzisiaj niezwykle przystojną, piękną Panią o ujmującej osobowości i do dzisiaj pisze wiersze o polskim lekarzu i polskich młodych żołnierzach, którzy oddali życie za wolność Europy, naszej dzisiejszej ojczyzny.

Szpital wojenny nr 5 w Casamassima i działalność prof. T. Sokołowskiego stały się tematem wystawy przygotowanej przez prof. Tadeusza Brzezińskiego. Wystawę ma charakter stały i jest eksponowana w pięknie odnowionym gmachu w centrum miast po

dawnym sierocińcu. To ważne ponieważ historię polską znają ludzie starszej daty. Miasto rozwija się, pojawiają się nowe dzielnice i młodzi ludzie, którym warto przekazać pamięć i lekcję historii. Temu celowi służą nie tylko coroczne obchody. Przydałoby się muzeum i na pewno tablica pamiątkowa na fasadzie szkoły, w której mieścił się główny budynek szpitala. W roku 2010 planowane jest wmurowanie takiej tablicy z inicjatywy władz Pomorskiej Akademii Medycznej i Urzędu Marszałkowskiego. Warto bo pamiętają tam o nas i czekają.

Bari, Bari

Pomorska Akademia Medyczna podpisała umowę o współpracy z Uniwersytetem w Bari (Włochy). Bari jest miastem w południowych Włoszech, położone nad Adriatykiem. Jest stolicą prowincji Apulii. Ludność miasta niemal 400 tysięcy mieszkańców. Cały zespół miejski Bari liczy 1,5 mln mieszkańców. Bari jest największym miastem nad Adriatykiem, ważnym ośrodkiem przemysłowym, handlowym i kulturalnym Włoch południowych. Duży port wojenny, handlowy i pasażerski utrzymuje połączenia promowe z miastami Jugosławii, Chorwacji i Grecji. Rozwinięty przemysł stoczniowy i spożywczy (m.in. tradycyjne gałęzie - wytwórnie makaronów i win). Wielka rafineria ropy naftowej. Oprócz tego duże zakłady przemysłu maszynowego, samochodowego, cementowego, włókienniczego i stalowego. Od roku 1930 w Bari organizowane są Międzynarodowe Targi Lewantyńskie.

W starożytności Bari było małą rzymską osadą i ważnym portem morskim od roku 180 p.n.e., a także ośrodkiem handlowym i

strategicznym. Rozwój Bari przypada na okres VI-X wieku, kiedy pełniło rolę największego portu południowo-wschodniej Italii. W IV w. stało się siedzibą biskupstwa, później było pod panowaniem Bizancjum. W wiekach XI-XIII miasto było punktem zbornym rycerzy chrześcijańskich biorących udział w wyprawach krzyżowych i w tym czasie przekształciło się w zamożną republikę czerpiącą swe bogactwa z handlu morskiego. W XIII w. król Sycylii Fryderyk II z dynastii barcelońskiej rozbudował system obronny miasta, m.in. normandzki zamek i bastion portowy. Następnie miasto było stolicą samodzielnego księstwa Bari należącego do rodu Sforzów, z którego pochodziła żona Zygmunta I Starego, królowa Bona. W roku 1558 przeszło pod panowanie królestwa Neapolu, po czym podupadło, by znów rozkwitnąć w wieku XVIII. W okresie panowania francuskiego (lata 1796-1814) marszałek Francji Joachim Murat mianowany w roku 1808 przez Napoleona I królem Sycylii rozbudował Bari w głąb lądu - budynki i pałace nowej dzielnicy zwane są *Borgo Muratiano*. Od roku 1860 Bari weszło w skład Królestwa Włoskiego.

Do zabytków należy zamek króla Fryderyka II z XI wieku, przebudowany w wieku XIII, a następnie w XVI w. w stylu renesansowym, romańsko-gotycka katedra Św. Sabina (*San Sabino*) wzniesiona na przełomie XI i XII w, w miejscu gdzie stał pałac bizantyjskiego namiestnika miasta. Św. Sabin był pierwszym patronem Bari. Wewnątrz między innymi XIII-wieczne freski, obrazy J. Tintoretta, P. Veronesego, P. Bordonego oraz obraz *Madonna Odegitria* przywieziony z Konstantynopola w VIII w. Jest to obraz

niezwykły, bo jak głosi legenda został namalowany przez samego Św. Łukasza i wiernie przedstawia wizerunek Madonny. Także romańska bazylika Św. Mikołaja (San Nicolo) z lat 1087-1132 jest potężną budowlą romańską o charakterystycznej surowej formie z tronem biskupa Eliasza (XI w.) i XII-wiecznym cyborium. W bazylice złożono relikwie Św. Mikołaja przywiezione z Turcji do Bari; w X w. Św. Mikołaj otoczony ogromnym kultem, zyskał miano świętego patrona miasta. O kulcie patrona świątyni przypominają znajdujące się w środku dzieła sztuki. Obecnie kustoszami bazyliki są dominikanie. W 1984 r. w bazylice Św. Mikołaj modlił się Jan Paweł II. Z bazyliką Św. Mikołaja spleciony jest ważny fragment dziejów Polski. W kościele tym znajduje się nagrobek z r. 1593 królowej Polski Bony, pochodzącej z panującej w Mediolanie dynastii Sforzów, - żony Zygmunta Starego i matki Zygmunta Augusta. Mauzoleum ufundowane przez jej córkę, królową Annę Jagiellonkę, umieszczono za ołtarzem głównym świątyni. Sarkofag zdobi rzeźba przedstawiająca klęczącą Bonę w schyłkowych latach jej życia. Obok polskiej królowej stoją patroni Polski i Bari - św. Stanisław i Św. Mikołaj. Pod koniec XVI w. ponad grobowcem wmurowano płaskorzeźbę wyobrażającą Zmartwychwstanie Pana Jezusa oraz pokryto mury freskami przedstawiającymi postacie polskich świętych i królów. Znalazły się tu wizerunki św. Kazimierza Królewicza, św. Jadwigi Śląskiej, św. Stanisława Kostki i św. Ludwika Gonzagi, a także Anny Jagiellonki, Zygmunta III Wazy, Jana Kazimierza i Marii Ludwiki Gonzagi (żony dwóch polskich królów: Władysława IV i

Jana Kazimierza). Niestety, w pierwszej połowie XX w., nie bacząc na historyczną i artystyczną wartość kompozycji, usunięto większość polskich akcentów z otoczenia sarkofagu królowej Bony. Ich barokowy charakter nie pasował do surowej romańskiej świątyni. Malowidła te uległy całkowitemu zniszczeniu. My Polacy jesteśmy dla Barezi, Slavi czyli ludzie z jasną cerą, tak nazwali Rzymianie ludzi z północy i stąd nazwa Słowianie. Niemcy i inni to Barbare bo nosili brody. Panie w futrach, Panowie (Barezi) w jesionkach i swetrach a nawet kozuchach a temperatura 17 stopni ciepła i słońce. Ale za to w okularach przeciwsłonecznych.

Z Bari i regionem Apuli związana jest historia prof. Alfreda Sokołowskiego, który pracując w szpitalu wojskowym w Casamassima operował miejscowe dzieci z rozszczepem, podniebienia. Tu ponad trzy lata żyli Polacy. Pułkownika Tadeusza Sokołowskiego do dzisiaj ludzie w sercach pamiętają... uratował tyle chorych dzieci.

Na inauguracji roku akademickiego, która odbyła się w Akademii Marynarki Wojennej w Taranto pojawiły się władze państwowe, regionalne oraz profesorowie z wielu uczelni na świecie. Wystąpił zespół etniczny z żywą muzyką regionalną. Rektor Corrado Petrocelli wygłosił emocjonujące przemówienie, po którym otrzymał standing ovation. Troską wielką władz uniwersytetu jest rozwój uczelni w wymiarze europejskim i światowym. Współpraca z Uniwersytetem w Bari może być dla obu stron bardzo korzystna. Między innymi włosi otwierają kierunek anglojęzyczny studiów

medycznych i są ciekawi naszych doświadczeń. Są mili, żywiołowi i bardzo „słoneczni”.

Dziesięć lat i dwa przyjęcia

Zaraz jakoś po otwarciu kliniki, już po zakończonym remoncie odbyło się przyjęcie u Beaty P. Była piękna zima, pełno śniegu. Dom Beaty i Grzesia w Alei Wojska Polskiego tonący w śniegu, otoczony drzewami i w świetle ulicznych lamp wyglądał uroczo. Wnętrza były świeżo po remoncie. A remont nie był zwykły ponieważ robiony był według projektu architekta wnętrz li indywidualnie. Jedzenie było doskonałe a my o czternaście lat młodszy. Tylko ja miałem doktorat, koleżanki jeszcze nie. Byłem człowiekiem z zewnątrz. Nie miałem kredytu zaufania, a może nawet miałem kredyt nieufności.

Po czternastu latach wszystkie koleżanki są po doktoratach z wyjątkiem Ania B., która właśnie go robi. Koleżanka Agnieszka K. napisała i obroniła habilitację. Koleżanka Beata Ł. jest tuż przed obroną swojej habilitacji. Koleżanka Beata P., która była gospodynią poprzedniego przyjęcia bezapelacyjnie wygrała konkurs na ordynatora oddziału w jednym ze szpitali w Warszawie i radzi sobie doskonale. Ma duży potencjał i możliwości. Powinna być profesorem. Jeżeli potrafi znaleźć porównanie impresjonizmu do neonatologii, powinna być nauczycielem innych. Nie jesteśmy już Oddziałem Neonatologii ale Kliniką Patologii Noworodka PAM. Mamy na koncie wiele sukcesów jak utworzenie ośrodka leczenia retinopatii wcześniaków i operacje laserem w przypadku retinopatii, operacje chirurgicznego zamknięcia przewodu Botalla, czy stworzenie programu edukacji

poporodowej realizowanego w kilkudziesięciu szpitalach w Polsce, konstrukcję monitora funkcji mózgu, który funkcjonuje w kilku klinikach akademickich.

Co będzie za dziesięć lat? Czego i kogo już nie będzie? To ważne pytania ale najważniejsze jest to, że nawet gdyby to skończyło się teraz nie mamy się czego wstydzić. Mamy się czym pochwalić, ale czy nie musimy się wstydzić? Gdyby można było wrócić czas parę dzieci przeżyłoby z dzisiejszą wiedzą i doświadczeniem jakie posiadamy. Ale czasu wrócić nie można. Nadal też obowiązuje zasada „z sukcesami damy sobie radę, oby nie było porażek”. A o te w neonatologii, w ogóle w medycynie nie trudno. Między innymi dlatego myśląc o przyszłości myślę o dniu dzisiejszym. Jeżeli dzisiaj będzie wszystko dobrze, jeżeli przeżyjemy wszyscy dzisiaj...